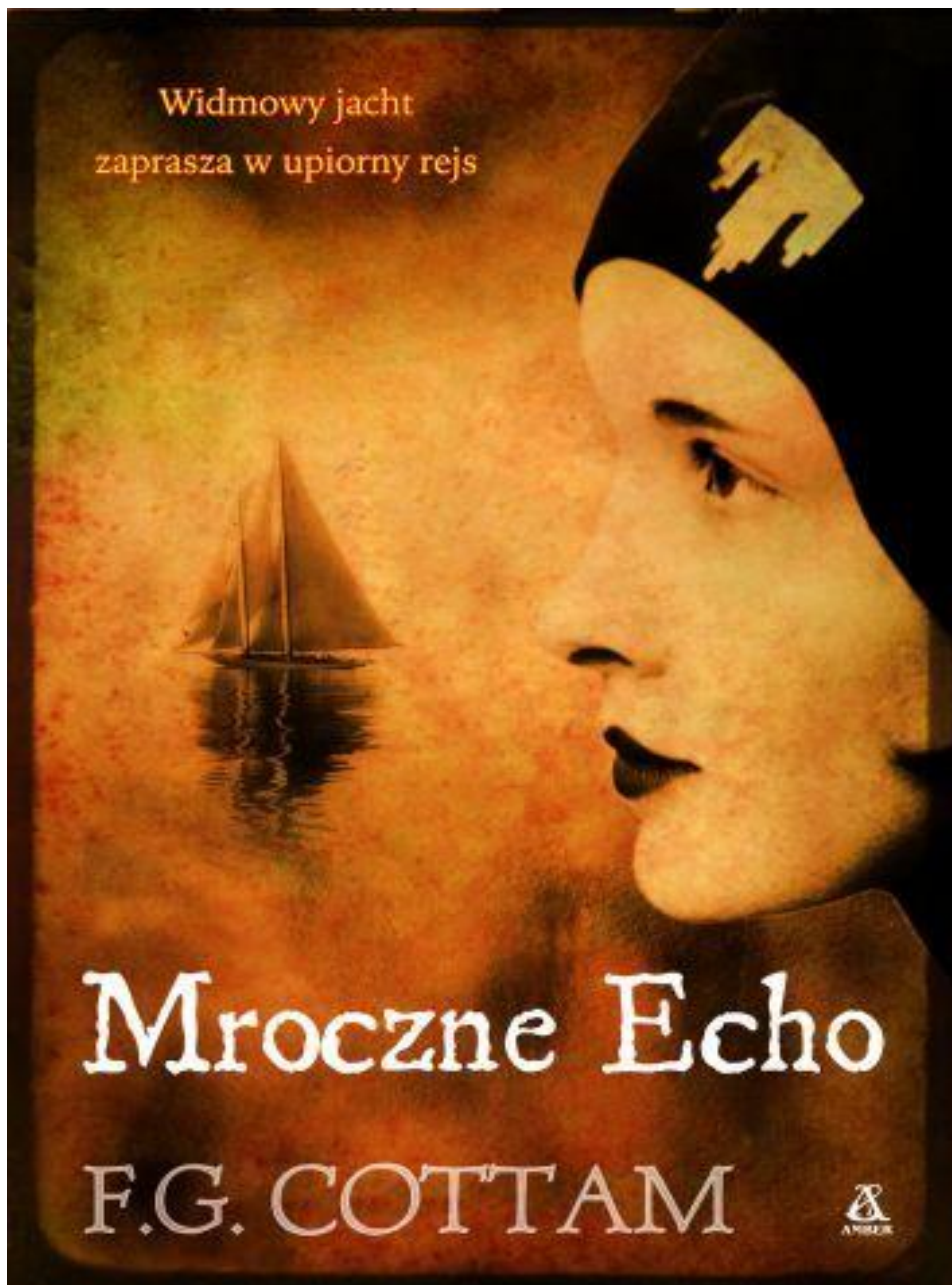




## Mroczne Echo

**F.G. COTTAM**

Przekład: GRAŻYNA GRYGIEL



*Mojej uroczej siostrze Kate*

TLR

## Prolog

Rouen, wrzesień 1917

Gdy nadciągnęła mgła, kapitan Destain i sierżant Boulez stali na schodach przed wejściem do katedry. Pili kawę kupioną w jednej z budek w otaczającym budowlę labiryncie uliczek. Kapitan stanoeczo stwierdził, że takiej mgły nie widziano nigdy. Wlewała się i rozwijała ciasnymi ulicami, przesłaniała szczegóły, pożerała przestrzeń. Destain określał ją jako mętną i nieprzeniknioną. Czegoś takiego nie spotkał nawet w portach, gdzie zdarzyło mu się być - w Antwerpii czy Zeebruge. Tę mgłę dało się niemal dotknąć.

Gdyby jego ludzie nie byli doświadczonymi żołnierzami, mógłby uznać, że niektórzy z nich w panice założą maski gazowe, sądząc, że to atak chemiczny niemieckiej artylerii. Tego jednak ranka nie słyszano świstów pocisków. Od strony niemieckiego frontu, oddalonego o ponad sześćdziesiąt kilometrów na wschód, nie słychać było ostrzału. Wkrótce mieli się przekonać, że to nie gaz ich zaatakował.

Boulez był góralem, urodził się i wychował na wsi w Alpach Francuskich, gdzie chodził polować z ojcem, który nauczył go posługiwania się starym karabinem skałkowym. Dzięki zdobytym wtedy umiejętnościom strzeleckim wyróżniał się w wojsku. Miał typowe dla górala wyczucie pogody i zmysł obserwacji. Opisał mgłę jako otulający wszystko całun, który czasem schodzi z wysokich gór. Pojawiała się nagle i jeśli się w niej utkwilo, miało się ochotę instynktownie, jak przerażone zwierzę, na czworakach, skryć w śniegu. Ale we wrześniu na schodach katedry w Rouen śniegu nie było. Boulez również twierdził, że zjawisko to różniło się od znanej mu z Alp mgły, podobnej do szarego gęsiego puchu. Ta mgła była skłębiona i dosłownie czarna.

Destain zawsze mówił swoim żołnierzom, że katedra to nie forteca. Można w niej rozlokować oddziały, ale nie da się z niej zrobić twierdzy nie

do zdobycia, skoro każdy może swobodnie tu wejść, ponieważ taka jest natura i przeznaczenie tego miejsca. Bogaci i biedni, dzieci i starcy - wszyscy bez

wyjątku są tu zapraszani, by wielbić Boga. Podczas wojny, nawet bardziej niż w czasie pokoju, katedra stanowi dodatkowo miejsce duchowej pociechy i należy to uszanować.

Mimo to katedra została obsadzona. Żołnierze Destaina, dobrze wyszkoleni i czujni, należeli do wojskowej elity. Przy zachodnim murze ulokowano ośmiu ludzi, dwaj strzelcy wyborowi czuwali na szczycie wieży świętego Romana po prawej stronie i dwaj na Wieży Maślanej po lewej. Północnego oraz południowego portalu strzegły grupy liczące po trzech żołnierzy, a przy wejściu do podziemi stali dwaj wartownicy. Wszyscy mieli karabiny i pistolety dużego kalibru. Wydano im taką broń, ponieważ przewidywano, że być może będą musieli stoczyć walkę wręcz. Każdego wyposażono w bagnet i nóż. Ci żołnierze nie lekceważyli swoich zadań. Byli zadowoleni ze służby, wybrano ich ze względu na pobożność i męstwo. Wierzyli, że obiekt, który chronią, wart jest, by o niego walczyć, a w razie konieczności - umrzeć.

Nie można zmienić katedry w fortecę, powtarzał później Destain, załamany, gdy gangrena zżerała go powoli na szpitalnym łóżku. I nikt nie powinien oczekiwać, że można zabezpieczyć takie miejsce przed ludźmi w mundurach sprzymierzeńców.

Z mgły wynurzyli się uśmiechnięci Amerykanie. obrońcy katedry w Rouen i spoczywającej w niej świętej relikwii najpierw poczuli mdłą słodycz gumi do żucia, którą tamci zazwyczaj żuli podczas marszu. Początkowo kłęby mgły uniemożliwiały dokładniejszą identyfikację. W końcu francuscy obrońcy nagle ich zobaczyli.

Amerykanie mieli na sobie mundury piechoty morskiej, krótkie płaszcze, spodnie, getry i lśniące skórzane buty. Każdy z nich niósł na lewym ramieniu półautomatyczny karabin Garanda. Mgła ich nie zmyliła, zupełnie im nie przeszkadzała. Sunęli przez nią i dopiero gdy znaleźli się w odległości paru kroków od Francuzów, podnieśli karabiny i ze straszną nonszalancją wpakowali kule prosto w głowy swoich sojuszników.

Gdy się zbliżali, mgła zagłuszyła wszystkie odgłosy, opowiadał Destain. Gdy zaczęli strzelać, stłumiła huk eksplozji pocisków wylatujących z luf karabinów, odgłos kul odbijających się rykoszetem od starych murów katedry. Nie powstrzymało to nas od odpowiedzi ogniem. Strzały - zwłaszcza te padające ze szczytów wież - były celne i mordercze. Ci z żołnierzy, którzy stali przy portalach, przemieścili się, by wesprzeć kolegów. Strzelaliśmy oczywiście do cieni, w

powietrzu buczały i gwizdały zabójcze pociski. Nikt nie mógł przeżyć takiego ostrzału. Zasypaliśmy ich gradem kul.

A jednak zbuntowani Amerykanie odchodzili. To niewiarygodne: szli nie-  
dbałym, wolnym krokiem. W środku grupy znajdował się mężczyzna z odkrytą  
głową wyższy od innych. Dzięki jasnobłond włosom widać go było wyraźnie w  
kłębach mgły, choć dodatkowo mgiełka kordytu gęstniała podczas wymiany  
ognia. Był jak mgnienie, jak widmo, mówił Destain. Jak blada, uśmiechnięta ko-  
pia człowieka. Destain wyjął pistolet z kabury, wycelował starannie i strzelił do  
Amerykanina. Miał czas na tylko jeden strzał. Pociągnął za sztywny spust i po-  
czuł szarpnięcie odrzutu, przenoszące się przez nadgarstek i ramię.

Nigdy w życiu nie oddałem równie pewnego strzału. A umiałem strzelać.  
Przy tej odległości broń zawsze trafiała celnie. Ale musiałem spudłować, stwier-  
dził. Musiałem spudłować. W prześwicie mgły zobaczyłem, jak Amerykanin  
uśmiecha się, podnosi karabin i strzela mi w ramię. Krwawiąc, upadłem bez tchu  
na schody przed katedrą. Traciłem świadomość. Dźwięki, i tak już stłumione  
przez mgłę, stały się jeszcze bardziej niewyraźne. Na oczy opadała mi szkarłatna  
zasłona, I wtedy poczułem zmieszane zapachy wody kolońskiej i tureckiego ty-  
toniu, ktoś przyklęknął przy mnie i zaczął szeptać mi coś do ucha. Wiedziałem,  
że oto triumfuje amerykański zdrajca, którego nasze kule się nie imają. Dość do-  
brze znam angielski. Nic dziwnego, bo przez trzy długie lata wojny nasłuchiłem  
się go we Francji.

„Miałeś zły dzień, chłopie”, powiedział.

Mówił jak człowiek, który właśnie pokonał kolegę z klubu w niedzielnym  
wścigu cyklistów. „Miałeś zły dzień”.

„Będziesz się smażyć w piekle”, odparłem. Pomyślałem, że wyjmie z za pasa  
pistolet i skończy ze mną za tę zniewagę, ale on roześmiał się tylko ponuro i  
okrutnie - wesołość z otwartego grobowca. Ten nieludzki śmiech kontrastował z  
jego słowami. Może tylko przybrał postać człowieka? Myślę, że był tak nienatu-  
ralny jak mgła, z której się wyłonił. Ostatnią rzeczą, jaką usłyszałem, był zgrzyt  
podkutych butów na bruku śliskim od krwi moich towarzyszy.

Wiedziałem, po co tu przyszedł, powiedział Destain.

Mężczyźni zgromadzeni przy szpitalnym łóżku kapitana - ponura delegacja z  
Watykanu, patrząca, jak zabija go gangrena - spuścili oczy tak jak on, niektórzy  
się przeżegnali.

Wiedziałem też, że naprawdę będzie się smażył w piekle. Wiedziałem, że pewnego dnia uśmiechnięty Amerykanin zostanie skazany na wieczne potępienie.

TLR

**MARTIN**

TLR



**Kupno** przedmiotu, na którym ciąży klątwa, jak najbardziej leżało w charakterze mojego ojca. Zupełnie się nie przejmował, jeśli coś miało wątpliwą proveniencję. Nie wierzył, gdy nie zobaczył na własne oczy lub nie miał konkretnego dowodu. Sądzę, że przy podejmowaniu decyzji cena też nigdy nie grała roli, chyba że była bardzo wysoka. Ale i wtedy nie zawsze potrafił się powstrzymać przed kupnem, owładnięty żądzą posiadania. Pociągały go rzeczy rzadkie. Myślę, że nigdy nie miał przesądów i - gdy teraz wszystko analizuję - również wyrzutów sumienia czy choćby najmniejszego uczucia żalu. Dzięki tupetowi zdobył fortunę. Każdego dnia fortuna rosła, instynktowne przeczucia nabierały siły i uzyskiwały potwierdzenie. Wszystko robił pewnie, niczego się nie bał, nigdy nie zmieniał decyzji. Niczym był dla niego udział w aukcji wraku pechowej łodzi, a spodziewać mógł się tylko zwycięstwa w licytacji. To jednak, co wydarzyło się później, zaskoczyło wszystkich. Może nawet mojego ojca. Szkoda, że go o to nie spytałem. Obawiam się, że teraz już nie będę miał okazji. Zresztą nie wiem. Może to dobrze, że go o to nie męczyłem, zważywszy na to, co się potem stało.

Nie odziedziczyłem po ojcu ani jego odwagi, ani skłonności do ryzyka. Pozbawiony jego instynktownej żądzy pieniędzy, również w tej dziedzinie się nie sprawdziłem. Mając siedem czy osiem lat, wiedziałem już, że będę dla niego rozczarowaniem - taki los. Nie miałem też jego brawury, jako dziecko byłem marzycielem. Dlatego nieliczne, bezcenne, wyrwane biznesowej gonitwie godziny, jakie poświęcał mnie, swemu jedynemu synowi, musiały być dla ojca bardzo frustrujące. Spędzając ze mną czas, przenosił swoją żądzę współzawodnictwa w sferę zabawy. Robił to chętnie, z przyjemnością i zainteresowaniem. Ale mnie nigdy nie interesowało, który z nas wygra w szachy. Siedząc po drugiej stronie szachownicy, ojciec miał ochotę mnie udusić, a ja jak dureń szczyrzyłem zęby z podziwu. Wyobrażam sobie, jak go to irytowało.

Pewnego dnia - miałem wtedy jedenaście lub dwanaście lat - po kolejnej przewidywalnej wygranej w scrabble czy domino ojciec zdjął marynarkę, zawiązał rękawy i oparł łokieć na stole. Patrzyłem na silne owłosione ramię, na muskuły i po raz kolejny zastanawiałem się, skąd ojciec - finansista - ma taką kondycję.

- Daj mi rękę - powiedział.



Posłusznie zacisnąłem dłoń na jego dłoni. Była twarda, szorstka i sucha. Poniósłem dotkliwą porażkę, gdy przygiął mi ramię i uderzyłem knykциями o gładki blat stołu. Przygwoździł mnie wzrokiem, oczy miał barwy starego szmaragdu.

- Martinie, masz tyle siły co motyl. I mniej więcej tyle samo woli walki.

Wstał powoli, jakby był znużony, wyjął chusteczkę i wytarł z dłoni ślady mojej słabości.

- Kiedy mnie pokonasz, zasłużysz na mój szacunek - powiedział. - A kto wie, może również na własny?

Mój ojciec jako chłopiec uprawiał boks. A właściwie walczył na pięści. Dzieciństwo upłynęło mu w biedzie. Nosił buty z tekturowymi podeszwami, ubrania od organizacji dobroczynnych, wielokrotnie cerowane i odświeżane prasowaniem na mokro. Jego wygląd nie uległ zmianie, gdy zaczął chodzić do szkoły - dostawał stypendia dzięki swoim zdolnościom. Prześladowano go, znęcano się nad nim i z konieczności odkrył, że potrafi posługiwać się pięściami. Początkowo padał ofiarą agresji w szkolnych łazienkach i ciemnych korytarzach internatów. Potem brał udział w pojedynkach; w koszulce z emblematem klubu walczył przy aplauzie widzów. Zdobyte wówczas nagrody - tanie nikłowe puchary - są teraz bezcennymi skarbami, relikwiami legendarnej przeszłości. Gospodyni ojca codziennie wyjmuje je z gabloty i pieczołowicie poleruje.

Gdy miałem dwanaście lat, ojciec oddał mnie pod opiekę starego księdza, który go kiedyś trenował, a teraz w seminarium wiódł pobożne życie rezydenta. Ksiądz miał się zająć również moim treningiem. Gdyby ojciec chciał, żebym został mistrzem boksu, mógłby sobie pozwolić na zatrudnienie najslawniejszych trenerów: Brendana Ingle'a z Sheffield albo Enza Calzaghe z Walii. Na Boga, nawet z Ameryki, z Los Angeles, mógłby ściągnąć Angela Dundee albo braci Petronellich z Bostonu. Ale chociaż chciał obudzić we mnie ducha współzawodnictwa, bardziej zależało mu na tym,

żebym doszedł do tego tak jak on. A ponieważ ojciec O'Hanlon nadal żył, to właśnie on miał zostać moim trenerem.

Ojciec namówił go, żeby włożył stary dres, w którym siwiuteńki ksiądz wydawał się starcem. Dres miał wystrzępiony kołnierzyk, rozciągnięte ściągacze przy nadgarstkach i kostkach. Płócienne tenisówki były zszarzałe jak jego cera. Ten ksiądz o przeredzonych, zaczesanych do tyłu włosach wyglądał na człowieka spiętego i niechętnego. Sumiennie ćwiczyłem z łapą treningową, bez entuzjazmu waliłem w worek treningowy, a już całkiem niedbale w gruszkę bokserką. Gdy skończyłem ćwiczenia wzmacniające, które kazał mi wykonywać, usia-

dłem obok niego na ławce. Moje ciało parowało w koc, który zarzucił mi na plecy dla ochrony przed zimnem.

Położył pomarszczoną dłoń na moim ramieniu i ścisnął mięśnie.

- Gdyby twój ojciec miał choć ułamek twojego talentu, nigdy nie zarobiłby nawet pensa na giełdzie - stwierdził.

Zaintrygowało mnie to.

- Dlaczego, ojczu? Klepnął mnie po udzie.

- Nie musiałby tego robić. Zdobyłby tę swoją cholerną fortunę na ringu. Tak mi powiedział pewnego wieczoru w Cumbrii.

Sprawy jednak nigdy nie są takie proste. Życie to nie film, jak byśmy sobie tego życzyli w naszych żarliwych, tajemnych marzeniach. Ciężko i sumiennie trenowałem pod kierunkiem ojca O'Hanlona. Choć nosił nędzny strój sportowy, uważam go za mądrego i rzetelnego trenera, jakiego może sobie życzyć każdy bokser. Pod jego byстрыm okiem doszedłem do finałów rozgrywek Związku Boksu Amatorskiego. I nie chwaląc się, osiągnąłem to bez większego trudu. Wszedłem do finału wagi średniej prawdopodobnie jako największy pewniak od dekad. Tego wieczoru mój ojciec siedział oczywiście tuż przy ringu, pyszniąc się swoją najnowszą żoną. Mrugnął do mnie, a ona kiwnęła mi ręką, gdy rozległ się gong. Przez dwie rundy wszystko szło zgodnie ze scenariuszem: starłem na miązgę Winstona Cory'ego, oburęcznego zawodnika z West Ham.

W trzeciej rundzie Cory powalającym ciosem złamał mi nos i posłał mnie na deski. Był to pierwszy w mojej karierze cios, którego nie przewidziałem, i ostatni, jaki zaliczyłem w uczciwej walce. Liczono mnie. Na „cztery” wstałem mocno na nogi. Z poprzednich walk i sparringów z większymi od siebie chłopcami wiedziałem, że potrafię przyjąć mocny cios, byłem więc bardziej oburzony niż ranny. Ale dostałem krwotoku i sędziowie musieli przerwać walkę. Przegrałem i zwyciężył Cory. Wróciłem do narożnika, do księdza O'Hanlona, który patrzył na mnie tak, jak Zbawca musiał patrzeć na obiecującą duszę, którą skazał na potępienie.

Co się dzieje w filmowych wersjach takich opowieści? Ojciec, nie mogąc znieść hańby porażki, porzuca pokonanego syna. Zostawia swoją olśniewającą zdziwę, która, dygocząc z zimna, czeka na limuzynę, wpada do szatni, gdzie słyszy żarty i głośnie gratulacje. Klepie ludzi po plecach, częstuje cygarami. Męski i wspaniałomyślny, staje się duszą spoconego towarzystwa świętującego małe zwycięstwo.

W życiu jednak jest inaczej. Tata podszedł do narożnika, gdzie usiłowano zatamować mi krwotok i usztywnić nos. Zdjął płaszcz i ręcznikiem wycierał mi zranione miejsca. Krew poplamiała mu elegancką wykrochma-loną koszulę. W ogóle się tym nie przejmował, nawet tego nie zauważył. W jego dotyku było tyle delikatności i troski, że o mało się nie rozplakałem, czując tę nieoczekiwaną ojcowską bliskość.

- Staraleś się, synu - powiedział. Przestałem krwawić i ojciec zbierał się do odejścia. - Zrobiłeś, co w twojej mocy. Przegrałeś tylko dlatego, że przeciwnik bardziej chciał wygrać.

Była to prawda równie oczywista, co druzgocąca.

Wiele lat później dowiedziałem się, że po tym meczu ojciec zatrudnił Winstona Cory'ego. Dokładniej rzecz biorąc, oferował mu synekurę, która umożliwiała treningi, gdy Cory wypłynął na arenę międzynarodową jako mistrz Anglii. Tę fikcyjną posadę Cory zajmował przez kilka lat. Stwierdził to publicznie i podziękował mojemu ojcu w artykule w „Timesie”, kiedy wrócił z olimpiady ze srebrnym medalem. Nie jest to jednak opowieść o boksie ani o Winstonie Corym, który złamał mi nos, zanim przeszedł na zawodowstwo i zdobył sławę, a wraz z nią niemałą fortunę. To opowieść o łodzi, o mężczyźnie, który ją kupił, oraz o jego synu. A także o innych sprawach, innych wydarzeniach i ich konsekwencjach. Ale nawet gdy to piszę, nie jestem do końca pewien, czym owe wydarzenia i ich następstwa mogłyby się okazać. Zatem uznajmy to za opowieść o jachcie i o mężczyźnie, dla którego ten jacht stał się obsesją.

Przejście ojca na emeryturę zaskoczyło wszystkich, z wyjątkiem jego samego. Przypuszczam jednak, że nawet dla taty mogła to być niespodzianka. Patrząc z zewnątrz, komunikat o jego odejściu wydawał się nieoczekiwany i szokujący. Ja uważałem, że zyski, władza i pochlebstwa, związane z sukcesami finansowymi, stanowiły jego siłę napędową. Emerytura nie była więc abdykacją-jak to przedstawiano - ale rodzajem samobójstwa. Przedstawione przez ojca wyjaśnienia cechowały się rozpaczliwym stylem i wątplą logiką listu pożegnalnego samobójcy.

Można to było porównać z odejściem mistrza sportu u szczytu formy, Björn Borg schodzi z kortu, wrzuca rakietę do torby, zdejmuje opaskę z głowy i gdy pot po meczu wysycha na jego ciele, dwudziestosześcioletni tenisista już wie, że płomień współzawodnictwa wygasły w jego duszy, że ma dość ciągłego wysiłku potrzebnego do zwyciężania. Pamiętam to. Mam trzydzieści dwa lata. Wtedy miałem sześć i jak dla wielu moich rówieśników, również dla mnie wielki Szwed

był idolem. Przegrał z leworęcznym Francuzem Henrim Lecontem w drugorzędnym turnieju i jego wola walki po prostu zniknęła, gdy opuszczał kort.

Tylko że mój ojciec miał pięćdziesiąt pięć lat, gdy zakomunikował osłupiałym dziennikarzom z prasy ekonomicznej, że zrzeka się wszystkich zobowiązań, chce przejść na emeryturę i żeglować staroświeckim jachtem. Zamierza popłynąć do Ameryki, oznajmił. W dalszej perspektywie chce opłynąć świat, ale jak na dziewiczy rejs, Atlantyk jest i tak sporym wyzwaniem.

Wyobraźcie sobie pokój, w którym przekazał to oświadczenie - gabinet z pozłacanymi detalami i skórzanymi meblami w Stannard Enterprises. Po obu stronach ojca stali starannie dobrani ludzie, którzy mieli nadal rozwijać jego imperium. Ale on przeszedł już do historii, sprzedał swoje aktywa konglomeratowi inwestorów wysokiego ryzyka, których propozycje przez wiele lat pogardliwie odrzucał. W pokoju tłoczyli się mężczyźni w prążkowanych garniturach i preten-sjonalnych jedwabnych krawatach, naładowani testosteronem. W kieszeniach dziennikarzy grzały się osobiste komputery od przychodzących e-maili. Panowała dziwna atmosfera, jak powiedziała mi później sekretarka ojca. Nie odczuwała tego w ten sposób dlatego, że była jedyną kobietą w tym towarzystwie. Przez lata ojciec hojnie dzielił się z tymi ludźmi wskazówkami biznesowymi, a wiele z jego rad przynosiło ogromne zyski. Goście byli jak elegancko ubrani żebracy - opowiadała Sheila - którzy zebrali się po raz ostatni przy stole króla, jak zwykle szczerze rozdzielającego ochłapy z uczyty.

W końcu wszyscy zrozumieli, że naprawdę zamierza zrobić to, co zapowiada, i że nie żartuje. Jeden z dziennikarzy - prawdopodobnie wiedząc, że Magnus Stannard nie ma doświadczenia żeglarskiego - zasugerował żartobliwie, że może rejs z Southampton do Cowes byłby stosowniej szy. Skwitowały to pojedyncze wybuchy śmiechu, które ucichły, gdy ojciec omiół salę twardym spojrzeniem.

- Dotychczas udało mi się zrealizować wszystkie swoje marzenia -oznajmił w ciszy. - Dlatego teraz wy coś tam bazgrzecie, a ja siedzę tutaj.

Zapadło jeszcze głębsze milczenie.

Ojciec uśmiechnął się aż nazbyt skromnie.

- Patrząc realistycznie, są argumenty za tym, żebym zaczął od Norfolk Broads.

Zaśmieli się. Wybaczył im, mogli więc zanosić się śmiechem. Oczy mu pojaśniały, spojrzenie złagodniało.

- Chłopaki, co byśmy mieli z życia, gdybyśmy na wszystko patrzyli realistycznie? - spytał.

Sheila powiedziała mi, że nieczułe pismaki podniosły się jednocześnie i urządziły mu owację na stojąco. Spontaniczną, gwałtowną i długą. W oczach niektórych pojawiły się łzy.

Nie musiałem jej pytać, czy ojciec należał do tych, którzy uronili łzę.

Licytacja, podczas której dla kaprysu przepłacił za ten wrak, odbyła się w stoczni jachtowej Bullena i Clore'a w Portsmouth, pewnego zimnego i mglistego styczniowego poranka. Ojciec zażądał, żebym mu towarzyszył, ale oczywiście nie odbyliśmy podróży wspólnie. Ja pojechałem, on poleciał. Nie poprosił mnie nawet, żebym podjechał po niego na lądowisko helikopterów - wolał wziąć tak-sówkę. Przybył na aukcję punktualnie. Ja już tam byłem, zmarznięty, mokry i znużony czekaniem w doku.

„Bullen i Clore” kojarzyło mi się z nazwą wiktoriańskiego zakładu pogrzebowego. Na miejscu przekonałem się jednak, że zakres działalności firmy to przeciwieństwo pochówków. Specjalizowali się w ratownictwie. Wskrzeszali trupy w żeglarskim świecie. Wydobywali i odzyskiwali zatopione statki, ratowali porzucone albo sprowadzali do doków całkowicie zniszczone jednostki i naprawiali wraki. W ich królestwie pirsów i pali na wybrzeżu słyszało się hałas wielkich i tajemniczych łańcuchów, jęczących, kiedy szarpały je potężne pływy. Wśród stalowych kadłubów i mokrych drewnianych belek oczami wyobraźni niemal widziało się Isambarda Brúñela w cylindrze, który w skórzanych butach ślizga się w szlamie na kilka godzin przed śmiertelnym udarem. Tego dnia mgła pozbawiła światło barw, nadając dokom Bullena i Clore'a fakturę ziarnistej sepii z bardziej ponurej epoki.

Jacht wystawiony na sprzedaż stał w suchym doku. Był niekompletny, w zasadzie stanowił sam kadłub. Z opisu ojca wiedziałem, że łódź jest dwumasztowym szkunerem gaflowym. Przynajmniej taka była pierwotnie. Stary i niekonserwowany wrak miał teraz zerwaną rufówkę tam, gdzie ponad pokład powinna się wznosić kabina. Z fokmasztu też nic nie zostało. Podczas jakiegoś sztormu pękł maszt główny - gruba nasada wystawała z pokładu, rozłupane drzazgi ponad czterdzieści centymetrów nad półmetrową obejmą z żelaza. Cała złamana kolumna wystawała około dwóch i pół metra od miejsca, w którym się wynurzała. Pewnym pocieszeniem był fakt, że zniszczeń dokonał żywioł, a nie piła łańcuchowa robotnika złomującego łódź.



Mgła skraplała się jak rosa na szerokich ramionach ojcowskiego płaszcza. Klepnął mnie po plecach.

- Może się spodobać, prawda? - powiedział. Jego oddech cuchnął już intensywnie porannym cygarem. Jak zwykle, miał rację.

Chodziło o linię jachtu. Nawet wyjęty z wody demonstrował władcą elegancją. Kadłub był poplamiony, ale drewno wyglądało zdrowo, najwyraźniej nienaruszone. Pokład z mosiężnym relingiem stanowił cichy hymn wdzięku. Jacht miał tak piękne proporcje, że nawet jako wrak wydawał się wytworny i dostojny. Może częściowo wrażenie brało się stąd, że przywoływał na myśl bogactwo i świetność człowieka, na którego zlecenie został zbudowany i który nim żeglował. W katalogu sprzedaży wyczytałem, że łódź „Mroczne Echo” należała do Harry'ego Spaldin-ga. Ale tak naprawdę chodziło o jej linie. Choć mosiężne detale pokrywał nalot, a iluminatory były krzywe lub całkiem wpadły do środka, można było ją sobie wyobrazić pod pełnymi żaglami na migotliwym morzu w pobliżu białych murów Cap D'Antibes lub wylaniającą się gdzieś spod słonecznego horyzontu. To wspaniały obraz, gdy w zimowy dzień stało się na mokrym bruku przy ponurej jednobarwnej kei Bullena i Clore'a. „Mroczne Echo”, nawet pokancerowane i zdewastowane, zawieszona nad płamą smaru, ciekącego z łańcuchów, sprawiało wrażenie, że jest obdarzone mocą spełniania marzeń.

Licytacja odbywała się w posepnym pomieszczeniu z drewna tekowego i mahoni, z wysokimi oknami zamazanymi przez mgłę i deszcz. Pokój pachniał wilgocią i terpentyną. Czuję tu większy chłód niż na zewnątrz. Tylko dwa elementy nawiązywały do nowoczesności. Na ścianie wisiał stary wyblakły kalendarz firmy Pirelli. Zgodnie z nim mieliśmy obecnie kwiecień 1968 roku. Doprawdy? Widziałem również telefon na biurku przy podeście licytatora, staromodny, czarny, olbrzymi aparat, chyba z bakelitu. Nawet w 1968 roku takie urządzenie było przestarzałe. Telefon obsługiwał urzędnik w tanim garniturze i z przylizanymi włosami. Licytator, starszy mężczyzna, miał surową minę. W pokoju siedziało z pół tuzina osób, ale poza moim ojcem żadna z nich nie wyglądała na taką, która ma środki, by stać się potencjalnym nabywcą. Siedział tam również młodzian z notesem. Nie zdjął płaszcza przeciwdeszczowego. Uznałem, że to chłopak z lokalnej gazety. W swej historii „Mroczne Echo” niewiele miało wspólnego z Portsmouth. Stępkę położono w Newport na Rhode Island w 1916 roku. W końcu po długim i czasami wspaniałym życiu jacht pojawił się tutaj, jakże poniżony. Bullen i Core to firma miejscowa. Młodzianowi przydzielą może jedną kolumnę w lokalnej gazecie. Może powstać przyzwoity barwny artykuł al-

bo notka w kronice towarzyskiej. Obok młodzieńca nie zauważyłem fotoreportera. Taniej będzie wmontować piękne zdjęcie archiwalne jachtu pod pełnymi żaglami, pomyślałem.

Nie myliłem się co do ludzi na parkiecie. Poza moim ojcem nikt nie licytował. A ojciec musiał nieustępliwie przebijać ofertę kogoś, kto ostro walczył o łódź przez telefon. Ojciec znacznie przekroczył założony limit, ale był człowiekiem upartym i miał ogromne fundusze. Zależało mu na wygraniu licytacji, a nie zwykł zajmować drugiego miejsca na podium. Sporo przepłacił i gdy rozległo się ostatnie uderzenie młotka, odwrócił się i posłał mi uśmiech znacznie bardziej skomplikowany od znanego mi triumfalnego uśmieszku, jakiego się spodziewałem. Było w nim coś dziwnego, czego nie potrafiłem rozpoznać. Gdy teraz o tym myślę z jasnością, jaką daje wiedza, uważam, że tego dnia uśmiech ojca zakłóciło zupełnie mu obce przeczucie. Na radość ze zwycięstwa padł nieznany cień trwogi.

Natychmiast potem spotkała mnie kolejna niespodzianka.

- Byłbym wdzięczny, Martinie, gdybyś podwiózł mnie na lądowisko - prosił ojciec.

Skinałem głową, wstałem, zapiąłem płaszcz, wymacałem w kieszeni kluczyki do samochodu i wyszedłem. Czekałem przy otwartych drzwiach biura, podczas gdy ojciec udzielał chłopakowi z lokalnego szmatławca krótkiej wypowiedzi, z pewnością uprzejmej i dowcipnej.

W suchym doku jakiś mężczyzna nadzorował grupę pracowników. Za pomocą dźwigu i lin zarzucali brezentową plandekę na tekowo-dębowy wrak, za który mój ojciec zapłacił właśnie królewski haracz. Mgła gęstniała. Między mokrym brukiem, na którym stali mężczyźni, a dnem doku ziała piętnastometrowa przepaść i ludzie poruszali się ostrożnie. Mężczyzna dyrygujący akcją miał żeglarską czapkę i marynarską kurtkę włożoną na brudny kombinezon. W nadpływającej znad morza kłębiącej się mgłę wyglądał jak wojowniczy duch, gdy rzucał głośne instrukcje i ssał krótkie cygareto, którego zapalony koniec świecił słabym pomarańczowym ognikiem. Chyba nie zauważył, że go obserwuję. Gdy dokerzy wykonali zadanie i odeszli spowici szarym tumanem mgły, przystanął i patrzył na nieruchomy olbrzymi kształt owiniętego całunem jachtu. Przerzucił niedopałek za mur doku, daleko w błoto, i przeżegnał się powoli, jak katolik przyklękający podczas mszy. Wydawało się, że to absurdalny gest po tych wszystkich przekleństwach i krzykach towarzyszących ukończonej przed chwilą pracy. Może to jakaś żeglarska tradycja, pomyślałem, której nie znam, jak zresztą wszyst-



kich zwyczajów żeglarskich. Potem mężczyzna zniknął we mgle. To Bullen albo może Clore, pomyślałem. Żałobny hołd od szefa, który za chwilę dzięki bezsensownie wydanym pieniądzązom mojego ojca odniesie sporą korzyść. Ojciec stanął przy mnie, wziął mnie za rękę - niespodzianka po raz trzeci - i poszliśmy do zaparkowanego samochodu. Droga prowadziła obok „Mrocznego Echa” w brezentowej płachcie, ale ojciec nawet nie spojrział na łódź. Patrzył prosto przed siebie i choć prawdopodobnie wydawało mu się, że ma na twarzy wyćwiczony triumfalny uśmiech, strach zmieniał go w grymas niewyraźny i złowrogi. Intuicja podpowiadała mi, że ojciec się boi. Wziął mnie za rękę jak przestraszony berbecę chwyta dłoń ojca, szukając pociechy.

Gdy dojechaliśmy do lądowiska, mgła tak zgęstniała, że uniemożliwiała wy-lot. Nawet Magnus Stannard nie mógł nic poradzić na to, że zakazano wszelkich lotów.

- Odwiozę cię, tato - zaproponowałem. Nie chciałem, żeby pierwszy dzień jego emerytury został zepsuty choćby cieniem porażki. Byłem dobrym kierowcą. Nawet ojciec musiał to przyznać.

Spojrzał na mojego saaba i westchnął.

- Szkoda, że nie kupiłem ci lepszego samochodu - powiedział. -Przypomnij, żebym wybrał ci jaguara czy coś w tym stylu.

- Lubię mój samochód. Saab to dobre auto.

- Dobre dla Szweda - odparł, wsiadając do samochodu. - Dobre, jeśli wyznajesz religię nadmiernej skromności. A Szwedzi, jako Skandynawowie, nie mają innego wyjścia.

- O ile pamiętam, to ty wybrałaś dla mnie saaba - zauważyłem.

Zaśmiał się. Śmiech łatwo mu przychodził. Jechaliśmy dalej. Na autostradzie mogłem się wpakować komuś w zderzak, bo we mgle widoczność wynosiła dziesięć metrów. Dobrze się dziś ze sobą dogadywaliśmy. Jak przyjemnie, pomyślałem. Ścisnąłem kierownicę i, mój Boże, poczułem dumę.

Wieczorem zjedliśmy razem kolację. Suzanne pojechała do Dublina zbierać materiały, nie miałem niczego w planie i nie musiałem się przed nikim tłumaczyć. Ojciec zadzwonił z trasy do swojej sekretarki i polecił, by przekazała stosowne usprawiedliwienia jego najnowszej żonie. Może dla ojca SMS był zbyt osobistą formą komunikacji. A może zbyt nowoczesną. Telefon do żony w ogóle nie wchodził w grę. Sygnały dotyczące ich wzajemnych relacji nie były obiecujące i w duchu zrobiłem zakład - nie odrywając oczu od mętnego widoku za szybą - że to małżeństwo potrwa nie dłużej niż dwa poprzednie.

- Brakuje mi twojej matki - powiedział chwilę później. W jego głosie brzmiał ogromny żal, jak zawsze, gdy wspominał mamę. - Boże, Martinie, tak za nią tęsknię.

- Ja też - wyznałem zgodnie z prawdą. Prowadziłem samochód w milczeniu. Zapadło między nami milczenie, bolesne, ale niekłopotliwe. Po prostu nie potrzebowaliśmy więcej słów. Minęło dwanaście lat od odejścia mamy, a jej śmierć nadal odbieraliśmy jako straszną tragedię. Nie miałem pretensji za te słowa płynące prosto z serca. Ale przecież nie mogłem mu zaofiarować pocieszenia.

Podczas obiadu nastrój mu się poprawił. Po kilku łykach szampana najwyraźniej odzyskał część swego zwykłego usposobienia.

- Co wiesz o Harrym Spaldingu? - spytał ojciec.

- To przedstawiciel Hemingwayowskiego straconego pokolenia. Ojciec zmarszczył czoło.

- Co masz na myśli?

- Nie wiem... taki facet w typie Dicka Divera.

- Dick Diver to bohater Scotta Fitzgeralda - przypomniał.

- Wiem, ale rozumiesz, tato, o co mi chodzi: jeden z tych bogatych Amerykanów na obczyźnie, ozdoba Riwiery w latach dwudziestych. - Coś wiedziałem na ten temat. Ta literatura to ulubiony gatunek Suzanne. - Wielu było takich Harrych Spaldingów - próbowałem wzmocnić swoją argumentację. - Bogaci, nieodpowiedzialni, uprawiający sport, z pretensjami artystycznymi. Gerald Murphy byłby tu wzorcem. Lato spędzali na południu Francji, zimę w Zermatt. Spalding grał w polo i zwyciężał w regatach na swoim słynnym jachcie.

- Masz niezłe informacje.

- Przeczytałem to dziś w katalogu przed licytacją.

- Bullen i Clore nie są historykami. To śmieciarze, handlują morską starzyzną. Powiem ci, kim naprawdę był Harry Spalding.

Ojciec nie należał do nudnych samouków. Dostawał stypendia i błyszczał w szkole. Uczył się u jezuitów w Ampleforth, ale nie poszedł na uniwersytet i w rezultacie z powodu niepewności co do swojej wiedzy wydawał się napuszony, gdy dochodziło do akademickich dyskusji czy rozmów na tematy kulturalne. Miał skłonności do dogmatyzmu, świętoszko-watości, pedantyzmu. Według Suzanne miał znakomity gust, ona zaś miała wszelkie kwalifikacje, by wydawać trafne osądy. Teraz jednak musiałem poczekać na wykład o Harrym Spaldingu, ponieważ dyskretnie podszedł do nas kelner i stanął przy ojcu, by odebrać za mówienie.

Siedzieliśmy w Kundan na Horseferry Road. To angielsko-indyjska restauracja, elegancka i bardzo droga. Jej klientami są przede wszystkim urzędnicy państwowi wysokiej rangi, starsi posłowie z tylnych ław parlamentu i prawnicy na wysokich rządowych pensjach. Ojciec przychodził tu od lat. Przypuszczam, że przez ten czas menu wcale się nie zmieniło. Znów uświadomiłem sobie, że jak na człowieka, który tak wielką wagę przywiązuje do stabilności, planowana przez niego morska wyprawa to wyraz lekkomyślnej nonszalancji, niepasującej do jego charakteru. Przypomniałem sobie wtedy twarz ojca, gdy dziś rano przechodziliśmy obok przykrytego plandekajachtu.

Okazało się, że Harry Spalding był bohaterem I wojny światowej. Zaczął jako porucznik dowodzący plutonem piechoty amerykańskiej aż do ostatniej fazy walk we Francji i Flandrii. Woodrow Wilson - pokojowo nastawiony prezydent - doprowadził w końcu do zaangażowania Ameryki w wojnę. Naprawdę żarliwie pragnął pokoju. Po zawieszeniu broni zainicjował utworzenie Ligi Narodów, mającej gwarantować, że już nigdy nie powtórzy się podobna wojna, w którą uwiłkła swój naród.

Na oddziały amerykańskie znacznie większy wpływ wywarły jednak filozofia i etos walki wyznawane przez Theodore'a Roosevelta, mniej pokojowo nastawionego poprzednika Wilsona. Na początku XX wieku w wojnie kubańskiej Roosevelt dowodził atakiem kawalerii. Gdy w grę wchodziły amerykańskie interesy, Roosevelt był bojowy, bezwzględny i nieustępliwy w swoim przekonaniu, że racja jest zawsze po stronie siły. To on stworzył wielkie bazy, gdzie żołnierze uczyli się taktyki i zaprawiali do walki. Roosevelt dbał, by im przyzwoicie płacono, żeby mieli najlepsze buty, najcieplejsze koce i najbardziej nowoczesną broń.

Gdy w 1917 roku trzeba było zaangażować się w wojnę, Amerykanie musieli się zmierzyć z niemieckimi weteranami, z oddziałami, które cztery lata spędziły w okopach, atakując i odpierając ataki. Jankesi, sprawni, dobrze wyćwiczeni i pewni siebie, walczyli odważnie i znakomicie. Nawet jednak na tle wojska, które generalnie odznaczało się walecznością wyczyny porucznika Spaldinga przeszły do legendy.

- W końcu awansował na majora i powierzono mu dowództwo elitarniej grupy desantowej - mówił ojciec. - Pod wieloma względami ta jednostka przypominała współczesne oddziały specjalne. Wśród tych ludzi stopień nie grał roli, podobnie jak pochodzenie społeczne. Spalding wywodził się z warstwy uprzywilejowanej, był ukochanym synem jednej z najbogatszych rodzin amerykańskich

bankierów. Jednak awans wojskowy zawdzięczał zasługom bojowym, jak zresztą wszyscy jego podwładni. A on nimi dowodził.

- Mieli jakąś nazwę? Czy ta jednostka jakoś się nazywała? Ojciec wypił łyk szampana.

- Nazywali się Załoga Jerycho. - Z kieszeni marynarki wyciągnął portfel, wyjął z niego zdjęcie i położył je na białym obrusie. Wziąłem je i obejrzałem w przyćmionym restauracyjnym świetle. Na stole stał kandelabr, przysunąłem go bliżej: odbitka była nowa, ale wiedziałem, że samo zdjęcie ma dziewięćdziesiąt lat. Przedstawiało mężczyzn upozowanych jak drużyna futbolowa: połowa z nich stała z tyłu za kolegami klęczącymi na pierwszym planie. Włosy mieli krótko obcięte. Wszyscy byli biali i młodzi, patrzyli pustym, bezlitosnym wzrokiem, uzbrojeni po zęby w noże, kastety, rewolwery i karabiny dużego kalibru o krótkich lufach. Siłę strzałów można było ocenić, widząc grube pociski tkwiące w pasach przewieszonych przez ramiona żołnierzy. Mieli na twarzach jednakowe, dziwaczne, jakby świadczące o moralnym zepsuciu uśmiechy. Wyglądali jak ludzie pijani mordem. Uznałem, że nie powinienem dzielić się moimi spostrzeżeniami z ojcem. Skinąłem głową, mając nadzieję, że wygląda to na gest uznania. Na mnie sprawiali wrażenie żołdaków, którzy na polu bitwy odcinają kawałki kończyn poległym, by zabrać je jako trofea.

- Który to Spalding?

Ojciec wyciągnął palec i postukał w zdjęcie.

Mogłem się domyślić. Spalding, gość z dobrego domu, był o pół głowy wyższy od pozostałych. W tamtych czasach dobrobyt prawie zawsze przekładał się na budowę fizyczną. Spalding był bardzo szczupły, gibki, długonogi, o zwinnych palcach. W uśmiechu odsłaniał komplet białych, równiutkich zębów. Był nadzwyczaj przystojnym mężczyzną, w konwencjonalnym sensie, o twarzy prawie doskonałej, a jednak nie miał w sobie zupełnie nic atrakcyjnego. Wydawał się niebezpieczny. Człowiek wolałby nie spotkać go na swojej drodze, a gdyby go spotkał, nie chciałby mieć go za plecami. Przetarłem oczy. Może to wpływ wina, które wypilem po piwie spożytym po długim dniu i męczącej jeździe we mgle. Jeszcze raz spojrziałem na Spaldinga, ale wrażenie nie zniknęło. Dziki - to najcelniejsze słowo, jakie przychodziło mi na myśl, gdy na niego patrzyłem.

- Skąd ta nazwa - Załoga Jerycho? Ojciec wzruszył ramionami.

- Nie udało mi się tego odkryć. W każdym razie nie znalazłem niczego przekonującego. A ludzie na zdjęciu od dawna nie żyją.

Dzięki Bogu, pomyślałem.

- Może Suzanne zdołałaby coś dla mnie wygrzebać?

- Jeśli nie ona, to nikt tego nie zrobi - stwierdziłem. - Ale teraz jest w Dublinie, próbuje dokopać się nowych materiałów do filmu dokumentalnego o Michaelu Collinsie.

- Nie ma pośpiechu. - Ojciec zabrał zdjęcie. - To nie takie ważne. Przyglądałem się winu w kieliszku.

- Oczywiście traci tam czas.

- Słucham?

- Irlandczycy są gadatliwi. Nie ma żadnych faktów z życia Michaela Collinsa, których byśmy już nie znali.

Przy aromatycznej jagnięcinie i kurczaku z indyjskimi przyprawami ojciec wprowadził mnie w historię krótkiego, lecz burzliwego życia Spaldinga. Jego pierwszym ważnym wyczynem w czasach pokoju było uniknięcie hiszpanki, grypy, która zabiła więcej niż połowę jego kumpli, gdy wracali parowcem do domu z Francji. W latach powojennych wziął dwa półroczne urlopy z pracy w banku, by pożegłować swoją nowiutką zabawką. Jesienią 1922 roku doszedł do wniosku, że nie znosi swojej pracy i ku przerażeniu ojca opuścił na dobre finansjerę. Co dziwne, zamiast w odwecie odciąć go od funduszy, zwiększono mu je i teraz mógł sobie pozwolić na trwonienie fortuny co miesiąc. Pożegłował jachtem do Europy. Wziął ze sobą narzeczoną, ale znudziło się jej życie na morzu i opuściła łódź, porzucając go na dobre na nabrzeżu w Rimini. Grał w kasynie w Monte Carlo i wygrał. Zaccumował żaglowiec na zimę i pojechał do Paryża, gdzie grał w tenisa z Ezrą Poundem, odbył kilka nieuniknionych rund bokserskich z Hemingwayem, dla kaprysu kupił sobie konia do gry w polo, choć nigdy na niego nie wsiadł, brał też udział w seansie spirytystycznym prowadzonym przez angielskiego kapłana czarnej magii, Aleistera Crowleya. Jak wielu innych mężczyzn, którzy po jatce w okopach nabawili się urazu psychicznego, dużo pił, wypowiadał się lekkomyślnie i nie potrafił dostrzec w ludzkim życiu nadziei, wartości czy zbawiania.

Słuchając tej opowieści, zastanawiałem się, jak pokonywał codzienne trudności, dysponując tak bajecznym bogactwem.

W połowie lat dwudziestych ubiegłego wieku spędził pewien czas w Anglii. Wypłynął na morze z Zatoki Dublińskiej i z powodu sztormu, który omal nie zniszczył „Mrocznego Echa”, musiał zawinąć do Liver-poolu. Tam przekonał się, że klimat, a także północny chłód ludzi i ich spokój bardziej mu odpowiadają niż Europa kontynentalna. Nadszedł dla niego okres zwycięstw w regatach w



Cowes i innych miejscach, gdzie jego wspaniały jacht znano i podziwiano na pstrych wodach cieśniny Solent.

W Cowes pamięć o jego wyczynach nadal jest żywa wśród wilków morskich, których ojcowie pilotowali Spaldinga albo byli jego załogantami podczas regat. Opowiada się o jego złym bulmastifie, Tobym, o tym, jak należało na niego uważać, gdy trzeba było wziąć mapę z kajuty na rufie.

Nadal pamięta się tu o hojnych napiwkach na pokładzie zwycięskiego jachtu, które pozwalały spędzić następnych sześć miesięcy beczynninie, bycząc się na leżaku na plaży w Ventnor.

We wspomnieniach o żeglarzu Harrym Spaldingu pobrzmiwało zdziwienie, ale brakowało w nich sympatii. On sam najwyraźniej też siebie nie kochał. Pewnego zimnego dnia w grudniu 1929 roku, gdy jego jacht stał w tężejącym lodzie, zakotwiczony w porcie Nowy Jork, dwa kilometry dalej, w hotelu na Manhattanie, Spalding wpakował sobie kulę w prawą skroń. Miał trzydzieści trzy lata. Zwłoki były piękne. Nowojorski policjant, wezwany do zdarzenia, tak właśnie powiedział, gdy zobaczył Harry'ego w śmiertelnym śnie. Zmarły wyglądał pogodnie. Jediną skazą była mała dziura po kuli i ciemna, delikatna otoczka z prochu wokół otworu. Nie było rany wylotowej. Najwyraźniej kula utknęła w czaszce.

Zbyt dużo wypilem, żeby prowadzić auto, zostawiłem więc saaba przy parkometrze i odprowadziłem ojca do taksówki, która odwiozła go do Mayfair. Mostem Lambeth poszedłem na drugi brzeg rzeki do domu, gdzie mieszkaliśmy z Suzanne. Wszedłem, zdjąłem płaszcz i zajrzałem do jej małego gabinetu, zapalając światło. Powietrze w pomieszczeniu zachowało jej delikatny zapach i z wdzięcznością nabrałem go w płuca. Na parapecie stał rząd książek, w których żółte karteczki zaznaczały ważniejsze strony. Suzanne dostała nagrodę za trzyczęściowy film dokumentalny o Rudolfie Hessie - oprawione w srebro trofeum z pleksiglasu przylepiła do monitora swojego komputera. Była z tej nagrody bardzo dumna. Uśmiechnąłem się na widok trofeum. Ścianę, na którą Suzanne patrzyła podczas pracy, pokrywała galeria fotografii osób utalentowanych lub okrytych niesławą, których tajemnice Suzanne próbowała rozwikłać. Znajdowali się wśród nich Auden i bracia Kray; wisiał szkic ołówkowy Christo-phaera Marlowe'a oraz stare zdjęcie w sepii Dana Leno w kostiumie. Było też słynne zdjęcie Michaela Collinsa: wąskie wargi, skórzane rękawice, pysznił się w wojskowym mundurze jako szef Wolnego Państwa Irlandzkiego. Przy pasku miał parabellum. Przyjrzałem mu się. Człowiek, który wykończył grupę Cairo podczas jednej

krwawej nocy, wyglądał na dość miłego faceta. Przypomniałem sobie fotografię, którą widziałem wcześniej tego wieczoru - zdjęcie Załogi Jerycho z Harrym Spaldingiem.

Zauważyłem, że kwiaty w wazonie, stojącym na parapecie obok książek, więdną. Postanowiłem kupić nowy bukiet na powitanie Suzanne. Zgasilem światło, kręcąc głową. Bez Suzanne mieszkanie było ciche i puste. Delikatnie zamknąłem drzwi do gabinetu i poszedłem do kuchni po szklanek wody. Pikantne jedzenie, piwo i wino spowodowały, że chciałem napić się wody przed snem, ale to głównie prośba ojca wywoływała pragnienie. Czułem w ustach suchość, jak w przypiływie nerwowości czy nawet strachu. Przyczyniła się do tego propozycja ojca przy restauracyjnym stole i mój powrotny spacer do mieszkania. Pod mostem Lambeth woda w rzece chlupotała cicho w ciemnościach, a dźwięk ten tłumiała mgła. Nieprzenikniona mgła z Portsmouth wyciągnęła macki aż tu, do stolicy. Na ulicach niemal nie było ruchu i, co dziwne, nie widziałem pieszych, choć, jak na Londyn, pora nie była późna. Od chwili odjazdu taksówki ojca oparowało mnie dziwne podejrzenie, że w tej rozproszonej mgle ktoś mnie śledził przez całą drogę mostem aż do domu, gdzie znalazłem bezpieczny azyl.

Tej nocy śniło mi się spotkanie Harry'ego Spaldinga i Michaela Collinsa, które odbyło się na niewyraźnej monochromatycznej ziemi niczyjej. Byli bez mundurów, zdjęli czapki i oficerskie pasy. Zaczęli się mocować. Collins, mocny chłopak z farmy w hrabstwie Cork, silniejszy i posiadający znacznie większe umiejętności zapaśnicze, zdobył przewagę. I wtedy kończyny Spaldinga zaczęły się wydłużać i błyszczeć, a potem poczerniały jak odnóża olbrzymiego owada, aż zmiażdżył i łakomie pożarł przeciwnika. Ramiona i nogi owada, podzielone teraz na segmenty, obrzydliwie świergotały, gdy czmychał w ciemność z pola walki. Obudziłem się spocony. Straszny sen, tym bardziej że - jak to zwykle jest ze snami - pozbawiony sensu i znaczenia.

Wstałem i poszedłem do gabinetu Suzanne, skąd wzięłem kaszmirowy sweter, wiszący na oparciu krzesła przy biurku. To on był źródłem zapachu, mieszanką woni skóry, włosów i perfum, jakich zwykle używała. Podłożyłem sobie sweter pod głowę, ale nadal byłem przerażony. Ze stolika przy łóżku wzięłem komórkę i wysłałem do Suzanne SMS-a, żeby do mnie zadzwoniła, jeśli jeszcze nie śpi. Dobrze, że wyjechała tylko do Dublina, który jest w tej samej strefie czasowej. Zbieranie informacji mogło wymagać podróży po całym świecie. W Dublinie i Londynie było tuż po północy.

Natychmiast oddzwoniła.



- Co się stało?

- Nic. Słyszałaś kiedyś o człowieku, który nazywał się Harry Spal-ding?

Zapadła cisza, podczas której moja dziewczyna na pewno przeszukiwała bazę danych w swej mądrej i pięknej głowie.

- Tak. Paryż, lata dwudzieste ubiegłego wieku. Zaproponował kiedyś Bricktop sto tysięcy dolarów, jeśli się z nim prześpi.

Nie miałem pojęcia, kim albo czym była Bricktop. Kurtyzana? Akto-reczką?

- I co na to Bricktop?

Suzanne się zaśmiała.

- Według mnie to nie nadaje się do druku.

- Słyszałaś o Załodze Jerycho? Znów zapadła cisza.

- Nie, nie słyszałam, ale nie brzmi to zbyt przyjemnie, cokolwiek to jest czy było. Martinie, o co właściwie chodzi?

- Ojciec kupił dziś wrak łodzi Spaldinga. Jacht „Mroczne Echo”. Słyszałem, jak Suzanne przełknęła ślinę.

- No, cóż, twój ojciec nigdy nie był przesądny.

- Dlaczego to mówisz?

- Powiem ci, jak się zobaczymy. Opowiem ci także wszystko o tej Bricktop.

- Ojciec zamierza wyremontować jacht, żeby znów był zdolny do żeglowania. Ma zamiar opłynąć nim świat. Powiedział mi dziś wieczorem, że chciałby, żebym mu towarzyszył.

Zaśmiała się, ale nie wyczułem w tym śmiechu wesołości.

- Myślałam, że twój ojciec mnie lubi.

- Bo cię lubi.

- Ale chce mi cię zabrać.

- To znaczy, że mnie również lubi. Niemal słyszałem, jak myśli.

- Zobaczymy się w weekend - powiedziała. Była środa, Suzanne miała wrócić w sobotę. - Uważaj na siebie, Martinie.

Nigdy tego nie mówiła. To dziwne, pomyślałem. Dlaczego mam na siebie uważać?

Przez chwilę leżałem na łóżku z jej miękkim, słodko pachnącym swetrem pod głową, ale nie zdołałem zasnąć. Wróciłem do gabinetu i włączyłem komputer. Potem bez zastanowienia włączyłem małe radio Suzanne. Wzięła laptopa ze sobą, a nasz domowy komputer był stary i wolny. Miło czegoś posłuchać, kiedy ładowały się programy startowe. Radio było nastawione na stację cyfrową grającą bebop, modern jazz i fusion. Utwory przechodziły jeden w drugi bez niepo-

trzebnych wtretów jakiegoś cierpiącego na bezsenność didżeja, nabuzowanego kawą i własnym ego.

Bębniłem palcami po blacie i uśmiechałem się na wspomnienie nieprawdopodobnych okoliczności, w jakich poznaliśmy się z Suzanne. Jechałem metrem linią East London. W tym samym co ja wagonie siedziała nadzwyczaj atrakcyjna dziewczyna. Nagle do wagonu wtargnęło trzech za-kapturzonych bandziorów, którzy zaczęli zaczepiać pasażerów, wyglądających na najbardziej bezbronnych. Na to, co stało się potem, miał wpływ pewien ksiądz O'Hanlon - to on nauczył mnie niezbędnych umiejętności - oraz mój ojciec, który zorganizował te treningi.

Na poczynania łobuzów nikt nie zareagował - londyńska rzeczywistość. Ci, których nie nagabywano, udawali, że nic się nie dzieje. Nie było krzyków, gróźb, oburzających napaści czy przemocy. Przecież jechaliśmy normalnym metrem w Londynie, prawda? To oczywiste, że ci, których nie okradano, patrzyli w czarne okna na przemykające ściany tunelu, gdy łobuzy zaczepiały bladą, ładną kobietę, ściskającą laptopa pod pachą. Wszystko jak należy. W końcu wstałem, podszedłem do tych drani i stłukłem ich tak, że się nie podnieśli.

Później Suzanne nazwała to moim momentem RNBK (rycerz na białym koniu). Dla niej była to chwila DWO (dama w opałach). Akronimy ją bawiły. Role również były zabawne i tak absurdalnie odległe od równowagi naszego późniejszego związku.

Aresztowano mnie, zabrano do komisariatu w Wapping i oskarżono o napaść. Kaucję osobiście wpłacił mój rozpromieniony ojciec. Suzanne wystąpiła dobrowolnie jako świadek. Po sześciu tygodniach wezwano mnie i oznajmiono, że nie zostaną wniesione przeciwko mnie żadne oskarżenia.

- Te szumowiny są znane jako grupa z Shadwell - powiedział sierżant detektyw w pokoju przesłuchań. - Od czasu, gdy miał pan z nimi zatarg, nazywamy ich dupa z Shadwell. Miło mi donieść, że ta nazwa się przyjęła.

Suzanne zjadła ze mną kolację - świętowaliśmy moje ułaskawienie. Tydzień później zamieszkaliśmy razem.

Komputer w końcu wystartował. Szukałem Bricktop. Najpierw przejrzałem obrazki i znalazłem tylko stare fotografie czcigodnej Murzynki, a także zdjęcia z jej pełnego przepychu i pretensjonalnego pogrzebu. W Internecie odkryłem legendę jej łotrzykowskiego życia oraz rozlicznych błyskotliwych talentów, jakimi się wykazała w swoim klubie nocnym w Paryżu w szalonej dekadzie po pierwszej wojnie. Przeczytałem informacje o jej długich nogach i równie długiej liście

adoratorów. O jej względy ubiegali się gangsterzy, malarze, oszuści i pisarze, niektórzy z nich nosili słynne nazwiska. Spalding ze swoim majątkiem nie miał szans na pierwsze miejsce tam, gdzie przepychali się i puszyli tacy ludzie, jak Jack Johnson, Pablo Picasso czy Duke Ellington.

Nie wiem, jak długo leciała już w radiu ta piosenka, gdy powoli oderwałem się od tekstu na ekranie i nadstawiłem ucha. Po plecach przebiegł mi zimny dreszcz, gdy słuchałem starej melodii odtwarzanej z trzeszczącej płyty. Spojrzałem na radio. Suzanne kupiła niedawno to małe, bardzo nowoczesne urządzenie, z którego wydobywały się teraz dźwięki zupełnie do niego niepasujące. Przez straszną chwilę słyszałem zmarłą Bricktop, jej głos dotarł tu po ponad siedemdziesięciu latach od śmierci jej niefortunnego adoratora, tego samego dnia, gdy mój ojciec kupił rzecz bardzo cenną dla tego adoratora. Utwór się skończył. Tym razem zapragnąłem usłyszeć ludzki głos. I doczekałem się: prezenter programu poinformował, że śpiewała Josephine Baker. Odczułem ulgę. Baker była protegowaną Brick-top, a nawet została przez nią odkryta. Tyle wyczytałem w Internecie. Czy dziwny zbieg okoliczności wysunął macki aż tak daleko? W każdym razie tak to zinterpretował mój zmęczony umysł. Macka dalej nie może sięgnąć - wyłączyłem radio, nie dałem jej szans.

Wróciłem do łóżka, ale sen ciągle ulatywał. Oddychałem ciepłym poduszki, którą zrobiłem z kaszmirowego swetra Suzanne. Uśmiechałem się, myśląc o moim obecnym zachowaniu i porównując je z tym w londyńskim metrze, gdy się poznaliśmy. Czyżbym bał się ciemności? Suzanne uważała, że niczego się nie boję. Chyba dałem jej powody do takiej opinii, ale od prawdy dzieliła ją straszna przepaść. Może rzeczywiście bałem się ciemności?

Szczerze mówiąc, nie. Ale bałem się tego jestem pewien - złośliwej pamięci Amerykanina Harry'ego Spaldinga.

## 2

W szaleństwie ojca była w każdym razie jakaś metoda. Zanim kupił jacht Spaldinga, zamówił dokładny kosztorys jego remontu, wyposażenia i uzdatnienia do żeglugi. Zlecił to zakładowi szkutniczemu nad rzeką Hamble. Szkutnik cie-

szył się doskonałą reputacją w tej ekskluzywnej, tajemniczej branży, wymagającej pracy dokładnej i fachowej. Oryginalna konstrukcja jachtu była doskonała. Nadal istniały firmy, które potrafiły zbudować podobny jacht, ale w grę wchodziły rzadkie umiejętności i należało za nie dużo zapłacić. Dzięki wspomaganemu komputerowemu projektowaniu nowoczesnych jachtów stało się o wiele tańsze, ale odbudowa starego wymagała wyteżonej pracy, a także specjalistycznych narzędzi i drogich surowców.

Frank Hadley powiedział, że jego zakład podejmie się remontu. Uczciwie uprzedził, że jeśli praca ma być wykonana rzetelnie, potrwa to pół roku. To ojcu odpowiadało. Sześć miesięcy umożliwiłoby mu zdobycie umiejętności żeglarskich, niezbędnych, by wyruszyć w rejs na „Ciemnym Echu”. Jacht miał być gotowy na początku lipca. W kalendarzu morskim był to okres dobry do przekraczania Atlantyku. „Dobry” i „Atlantyk” - te dwa słowa trudno jest pogodzić w jednym zdaniu. Wszystko jednak było względne. Lipiec będzie lepszy od marca i znacznie lepszy od października.

Suzanne wróciła do domu zgodnie z planem. Opowiedziała mi wszystko o Bricktop. Przekazała to, co wiedziała o krótkim pobycie Harry'ego Spaldinga w północno-zachodniej Anglii. Rok temu zebrała trochę informacji o hotelach, rzekomo nawiedzanych przez duchy. Pamiętała, że Spalding bywał w jednym z nich jako znakomitość. Hotel Palace w Birkdale został jednak dawno rozebrany. Praca nad filmem dokumentalnym nie wyszła poza wstępne szkice scenariusza. Bardzo się ucieszyłem z widoku Suzanne, a Spalding wydawał się tak wstrętnym typem - sądząc tylko na podstawie tego, co o nim usłyszałem - że szybko straciłem wszelkie zainteresowanie, by dowiedzieć się czegoś więcej. Ojca pochłoneło zdobywanie wiedzy o morzu oraz sprawy związane z rozpadem jego ostatniego małżeństwa, dlatego zapomniał o tym, że miał zapytać Suzanne o pochodzenie nazwy Załoga Jerycho. Późniejsze wypadki sprawiły, że gorzko żałowałem, iż do tej sprawy nie wrócił. Wtedy jednak i w tamtych okolicznościach uznałem to za wybaczalne zaniedbanie.

Zapisałem się na te same kursy żeglarstwa i nawigacji co ojciec. Zostałem też członkiem jachtklubu. Ustaliliśmy, że nie będziemy uczestniczyli razem w zajęciach. Zналиśmy się chyba na tyle dobrze, żeby wiedzieć, iż w przeciwnym wypadku plany wspólnej wyprawy zostałyby zniweczone jeszcze na lądzie. Na łodzi powinniśmy wierzyć w swoje umiejętności, a na szkoleniach siłą rzeczy wykazywaliśmy ich brak. Na kurs chodziliśmy więc oddzielnie, a ponadto zapisałem się do jachtklubu w Whit-stable, gdzie podczas nieprzewidywalnej lutowej

pogody mogłem żeglować w warunkach bezpiecznych, choć zbliżonych do oceanicznych.

Szczerze mówiąc, nie wiem, co o tym wszystkim sądziła Suzanne. Chyba uznała zbliżenie między mną i ojcem za coś dobrego. Początkowo uważała za pewne, że pół roku to mnóstwo czasu i na razie nie ma się czym przejmować. Miała może nadzieję, że zdążymy zdobyć przynajmniej podstawowe umiejętności przed wyprawą. „Mroczne Echo” to szkuner regatowy, zdolny pokonać odległość między Southampton a Nowym Jorkiem w trzy tygodnie. A przy tym wszystkim w epoce łączności satelitarnej i dźwiękowych boi alarmowych morze jest znacznie bezpieczniejsze niż osiemdziesiąt lat temu, w szalonych latach dwudziestych. Suzanne była zajęta zbieraniem materiałów do przełomowego serialu dokumentalnego poświęconego Michaelowi Collinsowi i walce Irlandczyków o niepodległość. Jeśli nawet miała jakieś obiekcje co do naszego przedsięwzięcia, zachowała je dla siebie.

Może się zastanawiacie, jak znalazłem czas na te wszystkie przygotowania oraz pieniądze na szkolenie. Osoby nieznające sytuacji miałyby prawo przypuszczać, że dostałem sowity datek od ojca. To nieprawda. Ojciec zawsze był dla mnie hojny, ale ja wolałem zachowywać niezależność, zwłaszcza po nagłej śmierci matki. Na obu uniwersytetach, do których uczęszczałem, pracowałem w radiowęzle: przeprowadzałem wywiady, organizowałem imprezy i zbiórkę funduszy oraz konkursy na żywo. Po dyplomie dostałem podobne zajęcie w rozgłośni regionalnej w Kent, ale tym razem wiązało się to ze stałą pensją. Potem zacząłem pracować w Londynie w stacji komercyjnej. Moja dalsza kariera zawodowa polegałaby na przejściu do radia BBC. Zawsze uwielbiałem siłę i moc oddziaływania słowa mówionego i wolałem radio od telewizji, ponieważ radio wyzwala wyobraźnię słuchacza w sposób, jakiego nigdy nie osiągnie telewizja, zależna od obrazu i obawy o niewykorzystany czas.

Tak oto z czasem mógłbym się stać kimś w stylu dwudziestopięcioletniego Johna Reitha. Ale los chciał inaczej. Wraz z kolegą londyńskiej rozgłośni wymyśliliśmy nowy konkurs radiowy i przyszło nam do głowy, by zastrzec prawa autorskie. Konkurs stał się wielkim przebojem, został bez trudu przeniesiony do telewizji i zyskał popularność na całym świecie. Nie wzbogaciłem się na tym tak jak ojciec na swoich interesach, ale przyniosło mi to dość pieniędzy, bym przez kilka lat nie musiał się martwić o spłatę hipoteki.

Dwa lata temu zrezygnowałem z pracy na etacie. Emerytura w wieku trzydziestu lat to, szczerze mówiąc, przygnębiająca perspektywa. Miałem jednak



ambicje pisarskie. W ciągu tych dwóch lat napisałem i wydałem dwie książki dla dzieci. Osiągnęły umiarkowane nakłady, ale zdobyły trochę pochwał. Odpowiada mi wyzwanie polegające na pisaniu dla zagadkowych małych ludzi, których umysły tak trudno poznać. Dla powieścio-pisarza nie ma chyba nic bardziej interesującego, niż rozpalić wyobraźnię dziecka. Mam nadzieję, że już niedługo Suzanne i ja będziemy mieli własne dzieci. Może lepiej powiedzieć, że miałem taką nadzieję. W obecnej sytuacji realizm nakazuje użyć czasu przeszłego. To złowrogie przekleństwo Harry'ego Spaldinga wymusiło taką konieczność.

„Mroczne Echo” cieszyło się sławajachtu pechowego, ale dla nas było to bardzo mgliste. Słyszałem coś na ten temat od ojca, gdy po raz pierwszy wspomniał, że interesuje się tym jachtem, ale nie mogłem sobie nawet dokładnie przypomnieć, o co chodziło. Gdy go o to zagadnąłem, odchylił się w klubowym fotelu i powiedział coś o żeglarzach i przesądach, po czym wrócił do ważniejszej sprawy - wskrzeszenia zgasłego cygara. Nawet Suzanne nie okazała się bardziej rozmowna. Słyszała o jachcie w związku z jakimś aktem przemocy wśród hazardzistów kasynowych w późnych latach trzydziestych u wybrzeży Kuby. Indagowałem ją łagodnie, ale nie potrafiła sobie przypomnieć ani nazwisk, ani narodowości ludzi w to zamieszanych. Nazwy portu, w którym się to zdarzyło, również nie pamiętała.

- Może na tym polega klątwa „Mrocznego Echa” - żartowała. - Jej ofiary zostają dotknięte amnezją i ciągle wracają po dalsze cięgi.

Zrobiła stosowną minę i potrząsnęła włosami jak upiór. Teraz może się to wydawać niewiarygodne, ale wtedy oboje się z tego śmialiśmy.

Pierwszy wypadek w stoczni Franka Hadleya był dość pospolity. Ostrożnie wyjmowano iluminatory, które nie zostały uszkodzone. Jeśli nadawały się do renowacji, kąpano je w kwasie, żeby usunąć plamy rdzy, a potem polerowano, by odzyskały dawny blask. Najpierw jednak należało usunąć dłutem fragmenty poptłuczonego szkła, przy czym trzeba było robić to dokładnie, ponieważ okrągłe, przykrawane oddzielnie do każdego okna szyby musiały być dopasowane według wzoru i wypolerowane przez rzemieślnika. Podczas usuwania ostrych szklanych odłamków nie można było zniekształcić miękkiego mosiądzu stanowiącego oprawę iluminatora.

Uczeń szklarza skaleczył się przy tej pracy. Nikt się tym nie przejął. Ale rana została zakażona. Chłopak dostał wysokiej gorączki i zawieziono go do izby chorych, gdzie jego stan szybko się pogorszył. Przyjęto go do szpitala, a potem przeniesiono na oddział intensywnej terapii - stwierdzono ostry przypadek sepsy.

Chłopak był młody i silny, grał w piłkę nożną amatorsko, ale z szansą na półzawodowstwo. Nie wyglądał na sportowca, gdy na szpitalnym łóżku podłączano go do respiratora, a rozcięta ręka, groteskowo zniekształcona i opuchnięta, wisiała nad jego sparaliżowanym ciałem, które nie potrafiło samodzielnie oddychać.

Chłopak z tego wyszedł. Opuchlizna ustąpiła, infekcję opanowano. Po tygodniu wypisano go do domu. Nie wrócił jednak do pracy przy bulajach „Mrocznego Echa”, zleconej zakładowi szklarskiemu przez stocznnię Hadleya. Zadzwoił do swojego byłego szefa i oznajmił, że nigdy już nie będzie ciął szkła. A właściwie - żarliwie przysiągł, że już nigdy nie pozwoli, by szkło go pocięło.

Drugi wypadek zdarzył się w samej stoczni i był znacznie poważniejszy. Cieśla planował wymianę poszycia klepkowego pokładu. Materiałem było oczywiście twarde drewno tekowe wysokiej jakości, sprowadzone ogromnym kosztem z legalnego źródła - ojciec dbał o swoją reputację. Albo drewno nie było dobrze wysezonowane i jeszcze na tyle wilgotne, że przywarło do ostrza hebla, albo miało sęk, którego nie zauważono. Cieśla używał oczywiście sprzętu z epoki. A struganie drewna, nawet gdy cieśla jest wprawny i ma ostre narzędzia, wymaga pewnej siły. W każdym razie ostrze pękło i stalowy odłamek zranił robotnika w oko. Uraz był paskudny, cieśla stracił pięćdziesiąt procent wzroku i przez resztę życia zawodowego nie mógł wykonywać trudniejszych zadań.

Dwa nieszczęśliwe wypadki. Trzeci - przerażająca tragedia - przypięczętował sprawę. Tym razem wydarzyło się to w obecności mojego ojca, który odwiedził stocznnię Franka Hadleya.

Wyciągano nasadę starego masztu z zamocowania pośrodku kadłuba i usuwano ją z konstrukcji przez pokład. Operacja przypominała nieco wyrywanie zepsutego zęba. Sam maszt nie był zgniły, lecz pęknięty i nie nadawał się do naprawienia. Musiał zostać wymieniony. Ustawiono ramię dźwigu, by wyciągnąć resztkę masztu z łodzi. Przymocowane do nasady liny miały zapewnić mu stabilność i zapobiec niebezpiecznemu kołysaniu, gdy znajdzie się poza kadłubem. W żadnym wypadku nie chciano, żeby maszt stał się taranem rozwalającym statek, któremu służył wiernie przez tyle lat.

Jakimś cudem jedna z lin obluzowała się, okręciła wokół ramienia mężczyzny stojącego na pokładzie i odcięła mu rękę tuż nad bicipsem tak gładko, jakby drut przecinał ser. Oczywiście natychmiast wstrzymano prace, wezwano pogotowie i udzielono rannemu pierwszej pomocy. Frank Haldey był doskonałym pracodawcą. Dwaj jego przeszkoleni ludzie potrafili udzielać pierwszej pomocy i ułożyć ofiarę w pozycji bocznej bezpiecznej. Ranny zwijał się jednak w konwul-



sjach na pokładzie łodzi mojego ojca, aż umarł po czterech czy pięciu minutach krwawej agonii.

Wstrzymanej pracy już nie podjęto. Ojciec przekazał Frankowi Hadleyowi pokaźną sumę, a ten, jako sumienny pracodawca, wypłacił swoim ludziom wysokie pensje. Po tym śmiertelnym wypadku nikt jednak nie chciał pracować przy „Mrocznym Echu”. Hadley osobiście wytarł pokład z krwi zmarłego takielarza, policjanci zakończyli spisywanie zeznań, od pogrzebu minęło osiem dni, a mimo to nikt nie wyraził ochoty, by wrócić do pracy. Był czwarty tydzień lutego. W całej południowej Anglii notowano rekordowe opady deszczu, zainstalowana specjalnie pompa utrzymywała w suchości dok pod leżącym na plecach „Mrocznym Echem”. Łódź znów spowijał całun, jakby na znak uroczystego i dostojnego żalu po człowieku, który zmarł na jej pokładzie. Coś mi mówiło, że jego poprzednicy - mężczyźni i kobiety - byli oplakiwani z taką samą wyważoną, fałszywą godnością. A może to tylko pogoda sprawiała, że czułem się ponuro i na wszystko patrzyłem tak posepnie jak płaczące niebo.

Razem z ojcem siedzieliśmy w biurze Franka Hadleya. Przez okno widać było okryty brezentem kadłub jachtu moknący na deszczu. Stocznia znajdowała się w rzeczonym estuarium. Głębszy tor wodny utrzymywano dzięki pogłębiarce usuwającej szlam, tak by łodzi miały dostęp do otwartych wód. Pod pewnym względem było tu jak u Bullena i Clore'a. Ten sam zapach soli, ta sama poświata - nawet przy mocno zachmurzonym niebie - jaką spotyka się tylko na wybrzeżu. Wilgotny bruk, dwie wielkie liny, łańcuchy i pierścienie cumownicze. I obecność „Mrocznego Echa”.

Jednak pod innymi względami wszystko było odmienne. Obszerne biuro stanowiło hołd jakiegoś minimalisty złożony dobremu gustowi i nowoczesności. W odległym rogu cicho pyrkał ekspres do kawy. Na ścianie po naszej lewej stronie - po prawej dla Hadleya, który siedział przy swoim biurku naprzeciwko nas - umieszczono zestaw monitorów LCD. Pokazywały ten sam ciąg obrazów: złożoną trójwymiarową symulację komputerową długiej łodzi wikingów. Gdy patrzyło się na to przez kilka chwil, układ zawijasów i żeber konstrukcji mógł uchodzić za dzieło sztuki abstrakcyjnej.

- Budujemy flotę statków do filmu fabularnego - wyjaśnił Hadley. - To znaczy... widz w efekcie zobaczy flotę. My budujemy tylko jedną pełną kopię, zdolną do żeglowania. Reszta to wnętrza, kilka szczegółów i grafika komputerowa.

Ani ojciec, ani ja tego nie skomentowaliśmy.

- Mimo wszystko jest to bardzo kosztowne. Znowu żaden z nas się nie odezwał. Hadley patrzył przez chwilę na monitory.

- Nie potrafimy ulepszyć tego, co tamci budowniczcy zrobili tysiąc lat temu, używając tych samych materiałów, jakie były dostępne za ich czasów, choć dysponujemy mikroczypami i megabajtami. Długie łodzie wikingów to idealna jedność formy i funkcji. Oszalamiający efekt projektu i wykonania.

Frank Hadley, wysoki i młodzieńczo szczupły, miał na sobie spodnie khaki i jasnoniebieską bawełnianą koszulę. Stalowosiwe włosy niedbale zaczesał z przedziałkiem na boku. Oczy mu błyszczały, miał roziskrzone spojrzenie kobieciarza. Pod tym względem nie różnił się od mojego ojca. Ale twarzy Hadleya brakowało wyrazu, stanowczego zarysu szczęki, wyglądu gwiazdy, tak charakterystycznego dla oblicza ojca. Hadley mógłby wyglądać na przystojniaka, ale obecność ojca przyćmiewała go. Porównanie tych dwóch mężczyzn to jak porównanie Petera Lawforda i Cary'ego Granta.

- Dla skutnika takiego jak pan pechowa łódź jest z pewnością czymś w rodzaju nawiedzonego domu dla współczesnego architekta – powiedział ojciec. - To nie tylko anachronizm. To coś gorszego od absurdu. To afront. Obelga.

Hadley przeniósł wzrok z monitorów, ale nie wymienił spojrzenia z ojcem. Patrzył na swoje dłonie złączone na biurku.

- Moje poglądy na ten temat są bez znaczenia, panie Stannard.

- Proszę mi mówić Magnus - rzekł ojciec.

- Zatem, Magnusie, moje poglądy na temat pechowych łodzi nie mają nic do rzeczy, jeśli nie mogę skłonić ludzi do pracy nad twoim jachtem.

- Weź innych.

Hadley wstał. Odwrócił się do nas plecami i patrzył przez zalane deszczem okno na niskie niebo i posępną sylwetkę jachtu okrytego plandeką.

- Magnusie, byłeś tu podczas tego wypadku. Obserwowałeś przebieg demontażu. Nie wyobrażam sobie, żeby jakikolwiek inżynier czy rzeczoznawca wypadkowy potrafił uzasadnić lub wyjaśnić mi, dlaczego w tej drańskiej linie było choćby trochę luzu.

- Drańska - powtórzył ojciec. Wypowiedział to słowo obojętnie, jakby było obce, a on tylko próbował się przekonać, jak brzmi.

- Była poddana stałemu olbrzymiemu naprężeniu, a jednak zdołała znaleźć tyle długości i elastyczności, by się okręcić wokół ręki tego człowieka i ją odciąć.

- Ciężkie prace konstrukcyjne są niebezpieczne - stwierdził ojciec. - Rozumiem, że w stoczni został utworzony fundusz na rzecz rodziny tego niešťczęśliwego chłopaka.

- Owszem.

- Zasilę go - oświadczył ojciec. - Hojnie.

- Widziałeś, jak walił stopami o pokład, widziałeś jego śmiertelne płąsy w rosnącej kałuży krwi.

- To interesujące przekonać się, jak osoba o twojej reputacji zawodowej ustosunkuje się do interpretacji rodem z kolorowych gazet, że mamy tu do czynienia z odrodzeniem zabobonów.

- Zabobony? - Wydawało mi się, że Hadley parsknął śmiechem. Nie byłem jednak tego pewien. - To nie zabobony.

Ojciec nic nie odpowiedział.

- Czy chciałbyś poznać historię tej łodzi? - Hadley ciągle stał odwrócony do nas plecami.

- Znałem historię „Mrocznego Echa”, zanim je kupiłem - odparł ojciec. Jak na niego, nadzwyczajnie nad sobą panował. Gniew był jednym z jego talentów, a wściekłość jedną z najskuteczniejszych broni.

- Gdzie jest dziennik pokładowy?

- W moim sejfie. Całe pięć tomów. Bezpieczny i nienaruszony.

- Zgodnie ze zwyczajem dziennik pokładowy powinien być na statku, z którego pochodzi.

- Dziennik jest bezpieczny - powtórzył ojciec.

- Sugerowałbym, żebyś go przeczytał.

- Przeczytałem.

- Nalegam, byś mi go udostępnił. - Odwrócił się wreszcie. Źle go oceniłem. Przypominał bardziej Martina Sheena niż Petera Lawforda. Nie miał surowej charyzmy, jaką miał i bezwzględnie wykorzystywał mój ojciec, ale cechowały go godność i zdecydowanie. Z pewnością był człowiekiem z zasadami, gdy w grę wchodziło dobro ludzi, których zatrudniał. Dla Franka Hadleya zasady były ważniejsze od opinii tabloidów.

Ojciec wstał.

- Coś jeszcze?

- Prasa jeszcze ze mnie nie szydziła, nie stałem się dotąd obiektem kpin, ale już nazywają twój nabytek: „pechowym jachtem”.

- Wielu ludzi nazwałoby go przeklętym - stwierdził ojciec.

- Dostałem list od niejakiego Jacka Peitersena z Newport na Rhode Island, gdzie go zbudowano. zaproponował, że przyjedzie tu i pomoże w remoncie. Twierdzi, że jego pradziadek pracował przy budowie jachtu. - Hadley otworzył szufladę biurka i wyjął z niej list lotniczy. Nie wiedziałem, że takie rzeczy istnieją jeszcze w dobie cyberprzestrzeni. - Mówi, że jeśli go zatrudnimy jako kierownika prac, remont zakończy się sukcesem.

- Świr. - Ojciec zapiął płaszcz i poklepał się po kieszeni w poszukiwaniu, jak wiedziałem, pudełka z cygarami. - Maniak z Nowej Anglii wykorzystuje okazję i próbuje szantażu.

- Tyle że go sprawdziłem - oznajmił Hadley. - Nie jest wariatem. Przynajmniej tak należy sądzić na podstawie jego referencji.

- No to go sprowadź, Hadley. Opłacę to. Ale ręczysz za to swoją reputacją. - Przerwał. - Wyjdę na zewnątrz zapalić. Pod moją nieobecność, panowie, możecie sobie porozmawiać.

Gdy ojciec zamknął za sobą drzwi, Frank Hadley usiadł.

- Ironia losu polega na tym, że ja lubię i podziwiam twojego ojca. To jednocześnie tyran i primadonna, ale jak na tyranizującą primadonne jest bezstronny i szczodry.

- Nigdy nie wymawiasz nazwy jego jachtu, który masz wyremontować i wyposażyć.

- Nie - potwierdził. - I nigdy nie będę jej używał, tak mi dopomóż Bóg.

- Naprawdę wierzysz, że jacht jest przeklęty? Uśmiechnął się.

- Nie byłeś na pokładzie, prawda?

- Nie.

- Mimo komplikacji udało nam się sporo zrobić. Przed wypadkiem ciężko przy nim pracowaliśmy przez sześć tygodni. Jest w na tyle dobrym stanie, że możesz popłynąć na wycieczkę. Może powinieneś sobie zafundować zwiedzanie. Namówię ojca, żeby służył ci za przewodnika.

- Bo ty nie postawisz na nim stopy, tak?

To już drugie pytanie, jakie mu zadałem, niebędące właściwie pytaniem.

Spojrzał na monitory: obrazy komputerowe płynnie przechodziły jeden za drugim, bezkrwawa, geometryczna elegancja czarnych linii na białych ekranach.

- Mam nadzieję, że ten facet, ten Peitersen, zdoła wykonać to, co obiecuje. Modłę się o to, Martinie.

Spojrzałem w okno. Szyba była mocna i wytrzymała, nie przepuszczała dźwięków. Smagał ją deszcz. Pogoda ciągle się psuła, wiatr przybierał na sile.

Mogłem to ocenić na podstawie nierównego lotu mew, które na próżno usiłowały wdrzeć się w szare, niespokojne niebo. Widząc wzbierającą falę za płycizną ujścia rzeki, gdzie białe grzywy kotłowały się w groźnym, wznoszącym się rytmie nacierającej burzy, przez chwilę mimowolnie życzyłem sobie z całego serca, żeby sztorm przybrał na sile, przerwał zapory stoczni jachtowej Hardleya i roztrząsał zacumowane tam „Mroczne Echo” w drzazgi. Była to myśl przelotna, ale zaskakująco uporczywa, zdziwiła mnie własna mściwa radość, gdy wyobrażałem sobie szczapy drewna tekowego, strzepy konopnej liny i brezentowej plandeki na linii przyływu, gdy już w czasie ciszy szczątki starej łodzi zostają zmyte, nareszcie nieszkodliwe.

- Czujesz respekt przed swoim ojcem? Zaśmiałem się głośno.

- Jak większość ludzi.

- Ale nie Harry Spalding.

- Który umarł ponad siedemdziesiąt lat temu. Chyba że wierzysz w te czary.

Twarz Hadleya wykrzywiła się w niecierpliwym uśmiechu. Spojrzał na mnie uważnie. Jego oczy były jasnoniebieskie, lekko nabiegłe krwią.

- Nie mam zamiaru spierać się z synem klienta, od którego dostałem dobre zlecenie. Tym bardziej nie chciałbym narażać się na poniżenie. Ale ponieważ mam syna mniej więcej w twoim wieku, bez względu na wszystko błagam cię, żebyś przeczytał dziennik pokładowy statku, zanim wybierzesz się na nim w podróż. Martinie, nie proś ojca o to, żeby ci ten dziennik pokazał. Masz na to nalegać.

Ojciec wrócił po chwili i trafił na ciszę tak niezręczną, że musiała mu się wydać namacalna. Zaakceptował kilka rachunków i podpisał parę czeków. Hadley wstał, wymieniliśmy uściski dłoni i wyszliśmy na wzmagający się wiatr.

Ojciec wybierał się do Chichesteru i zgodził się, żebym go podwiózł. Nie pytałem go, jakie ma tam sprawy do załatwienia. Wycofał się już z interesów, nie pomnażał majątku, a jego obecne małżeństwo odchodziło w przeszłość, wyobrażałem więc sobie, że umówił się na randkę. W mojej pamięci Chichester zapisało się jako miasto miłych antykwariatów i staroświeckich pubów. Wąskie, georgiańskie uliczki dawały przytulne schronienie przed żywiołami. Wyobrażałem sobie klub: polana w kominku, migoczące w blasku płomieni mosiężne elementy końskiej uprząży na ścianie, brandy połyskująca w pękatych kieliszkach, przy stole siedzi dwoje ludzi, między nimi leży kosztowny prezent, który wraz z alkoholem przyczynił się do stworzenia odpowiedniego nastroju. Ojciec należał do mężczyzn, którzy utrzymują przyjacielskie stosunki ze swoimi byłymi kochan-



kami. Lodowaty chłód rezerwował dla kobiet, które poprowadził do ołtarza. Płomienie dawnych uczuć podtrzymywał i pielęgnował, wierząc, że pewnego dnia znów mogą wybuchnąć żarem dobrze podsycanej namiętności.

Przypuszczałem, że w ciągu dwunastu lat, jakie minęły od śmierci mamy, miał z pół tuzina przyjaciółek. Ich liczba i jakość prowadziła do nieuniknionego pytania o jego dawną pozamałżeńską przeszłość. Nie byłem jednak dość odporny, by zadać tego rodzaju pytanie. Tylko on mi pozostał z najbliższej rodziny, jednak niełatwo było go kochać. Przypuszczam, że zdobycie pewności, iż podczas małżeństwa z mamą wielokrotnie ją zdradzał, oznaczałoby ostateczne zerwanie więzi między nami. Jak wspominałem wcześniej, nie jestem tchórzem w sensie fizycznym. To prawda. Ale myśl, że mógłbym zerwać z rodziną, przerażała mnie od czasu, gdy mama tak nagle od nas odeszła. Istniały po prostu pytania, których nie ośmieliłbym się ojcu zadać. Odpowiedzi mogłyby prowadzić do konsekwencji, którym nie miałbym odwagi stawić czoła.

- Chciałbym przeczytać dziennik pokładowy „Mrocznego Echa” - powiedziałem.

- Bardzo proszę. Zorganizuję to po weekendzie. Był czwartek. Zbliżała się pora lunchu.

Chichester powitał nas tablicą ociekającą wodą. Miasto nie ma prawie przedmieść. Za parę chwil ojciec miał wysiąść z samochodu.

- Chciałbym pożyczyć tę kartę magnetyczną, którą dał ci Hadley. Żeby wejść do stoczni. Jutro ci zwrócę.

Spojrzał na mnie.

- Po co ci jest potrzebna?

- Chciałbym spojrzeć na łódź. Ojciec zaśmiał się.

- W taką pogodę?

- Właśnie w taką pogodę. Chciałbym się przekonać, czy Hadley mówił prawdę o tych pracach, które jakoby już wykonano.

- Sporo zrobili.

- Chcę to sam sprawdzić.

- Dobrze. - Wyjął kartę z kieszeni. Myślę, że upór to jedna z moich nielicznych cech, za którą mnie cenił. Przecież odziedziczyłem ją po nim.

Karta nie otwierała drzwi do gabinetu Hadleya. W porządku. Nie interesowało mnie podkradanie danych z komputera ani majstrowanie przy ekspresie do kawy. Szkutnik sugerował, że na łodzi panuje złowroga atmosfera, koniecznie

więc musiałem się tam dostać i odczuć ją na własnej skórze. Moje wcześniejsze pragnienie, by żaglowiec uległ roztrzaskaniu, mogło oznaczać, że nie lubię go bardziej niż on mnie. Ta moja antypatia stanowiła sama w sobie zagadkę, którą chciałem rozwiązać. Ukradkowe odwiedziny pod osłoną burzy to właśnie to, co należało zrobić. Suzanne znów wyjechała do Dublina w poszukiwaniu śladów Wielkiego Faceta, a ja nie miałem żadnych pilnych zajęć. Ojciec wysiadł z auta i w strugach deszczu pobiegł wąskim chodnikiem, by schować się pod daszek. Widziałem, jak sprawnie wskakuje na krawężnik, sięga do kieszeni płaszcza i wyjmuje telefon komórkowy. Znów mi uświadomił, że ani jego wygląd, ani sposób poruszania się nie wskazywały na to, że ma pięćdziesiąt pięć lat. Jadąc, rozglądałem się przez zalaną deszczem przednią szybę w poszukiwaniu drogi powrotnej.

Stocznia wyglądała na pustą, gdy dotarłem tam o drugiej trzydziści po południu. Nawet gdyby Hadleyowi udało się zwerbować ekipę nowych rzemieślników, skłonnych pracować przy „Mrocznym Echu”, i tak w tych warunkach byłoby to prawie niemożliwe. Wiatr wiejący od cieśniny So-lent, przesycony solanką atakował wściekle z siłą huraganu. Niósł ze sobą nieustający ciężki deszcz, który bębnił o dach samochodu i szosę, tańczył na pogłębiających się kałużach. Widok stoczni działał przygnębiająco, jakby wszyscy ją opuścili. Spojrzałem w głąb terenu, gdzie stały solidne hangary. Próbowałem dostrzec za ich oknami oznaki krzątania – niebieskie ogniki lamp lutowniczych czy białe jaskrawe światło spawarek, które rozjaśniałoby mrok. Niczego takiego nie było ani za wiatami przy nabrzeżu, ani na szerokiej pochylni, gdzie wodowano łodzie. Wiatr gwizdał przez naprężone druty rozpięte między betonowymi słupami. Włożyłem kartę magnetyczną otwierającą elektryczny zamek. Wszedłem, a brama zatrzasnęła się za mną. Spojrzałem na biuro Hadleya, zajmujące drugie piętro eleganckiego drewnianego budynku, stojącego sto metrów ode mnie po prawej stronie. Żaluzje były opuszczone, ale pomiędzy szczebelków sączyło się ciepłe żółte światło. A więc przynajmniej szef pracował.

Plandeka osłaniająca łódź ojca rozdarła się gdzieś tam, targana gwałtownym wiatrem. Była zrobiona z ciężkiego brezentu pozszywanego siecią wzmacniających szwów i grubych ściągów. Nieprawdopodobne, żeby całkiem się rozrwała i spadła z kadłuba. Tak przynajmniej sądziłem. W różnych miejscach nadarła się jednak i przetarła. Wiatr gwizdał przez osłabiony materiał, jakby okrutnie szydził. Plandeka łopotiała i drżała w podmuchach sztormu, trzęsła się i wylała jak żywa istota. Protestowała.



Dotarłem do łodzi przemoknięty. Ubrałem się na spotkanie, a nie na zawieruchę. Spojrzałem w lewo, w dal, gdzie rzeka Hamble wpadała do cieśniny Solent. Patrzyłem z nabożnym podziwem na potęgę rozkołysanego morza. Nogi ślizgały mi się na dużych brukowcach nabrzeża i po raz pierwszy zrozumiałem gigantyczny ogrom kamiennego muru oraz sens jego istnienia. Te mury to szanice, system obronny. Ich grubość i moc były tylko praktycznym sposobem ochrony przed żywiołami, którym miały się przeciwstawiać.

Ślizgając się na zdradliwych skórzanych podeszwach, szedłem w stronę „Mrocznego Echa”. Przeklinałem swoją głupotę. Na egzaminie z nawigacji okazało się, że mam dryg do obliczeń, a teraz groziło mi, że spadnę dziesięć metrów w dół na beton, tam, gdzie spoczywała stępka naszego jachtu, że się rozbiję, ponieważ nie włożyłem butów na gumowej podeszwie. Odzyskałem równowagę. Plandeka cały czas ryczała, naderwane kawałki łopotały. Gdy podszedłem bliżej, z mgły wyłoniła się płachta spowijająca długi kadłub. Spojrzałem w górę - igły deszczu kłuły boleśnie. Niebo, wcześniej gniewne, teraz stało się pędzącym nad ziemią czarnym pułapem. W kieszeni wymacałem małą latarkę. Bogu dzięki, że wysiadając z samochodu, nie zapomniałem jej zabrać ze schowka. Wyjąłem latarkę i skierowałem na plandekę wąski snop światła. Przynajmniej nie będę miał trudności z wejściem na pokład. Tuż przed sobą zauważyłem rozdarcie brezentu prawie półmetrowej długości. Zgasilem latarkę, włożyłem ją między zęby i przecisnąłem się przez otwór na pokład „Mrocznego Echa”.

Pierwszym moim wrażeniem była przytulność. Czułem dziecięcy komfort psychiczny jak w czasach, gdy należałem do zuchów, a później jako nastolatek - do skautów. Deszcz wygrywał nostalgiczną melodię na sztywnej tkaninie, ale nie mógł mnie dosięgnąć. Pachniało wilgocią, ale ja byłem suchy, bo moje przytulne, zatechłe schronienie osłaniało mnie przed ulewą.

Przyszedłem tu jednak coś załatwić. Oświetliłem wnętrze: zobaczyłem, że pokład starannie pokryto nowym drewnem. Nie zaimpregnowano go i nie polakierowano, ale nawet w świetle małej latarki widziałem, że pracę wykonano nie-nagannie i fachowo. Przesunąłem palcami po deskach i nie wyczułem połączeń między nimi. Mój ojciec postawił nadzwyczaj wysokie wymagania techniczne. Wszystkie wypełniono. Spojrzałem wzdłuż smukłych linii pokładu w stronę zejściówki - ciemnej, prostopadłej paszczy. Wokół mnie brezent wył i drżał. Uśmiechnąłem się. To pokrzepiające, że pieniądze ojca zostały właściwie wykorzystane, a nie cynicznie roztrwonione.

Zejsście po schodni było trudne. W ryku burzy nie słyszałem skrzypienia stopni, ale pod stopami czułem gąbczaste podłoże i wywnioskowałem, że jeszcze ich nie wymieniono. Schodziłem po starym i zbutwiałym drewnie, starałem się więc iść ostrożnie. Zanurzając się coraz głębiej w mroczne trzewia statku, zaczynałem odczuwać bezsensowny strach, wręcz panikę. Łódź ryczała, wtórując sztormowi na zewnątrz, a intensywny zapach stęchlizny stawał się coraz bardziej złożony, gdy schodziłem krótkimi schodkami do kajut i kambuza. Zejsście zajęło mi znacznie więcej czasu, niż powinno. Za dużo tu stopni, pomyślałem. Wydało mi się, że dno statku jest za daleko.

Na dole zejściówki było bardzo ciemno. Królowały tu niezwykle skomplikowane zapachy, tak mocne, że z niechęcią myślałem o włączeniu latarki z obawy o to, co mógłbym zobaczyć. Wyczuwałem dziką psią woń, zapach sierści i tropu dzikiego psa. Jądra mi się skurczyły, włosy stanęły dęba, przeszedł mnie dreszcz. Tu na dole nie słychać było wycia burzy oraz łopotu i falowania brezentu atakowanego przez nawałnicę. Było cicho i tak strasznie, że z trudnością panowałem nad pęcherzem.

- Wyluzuj, stary - usłyszałem wewnętrzny głos.

Włączyłem latarkę. Niczego tu nie było. Znajdowałem się w kajucie kapitańskiej. Niczego nie zobaczyłem, tylko wypatroszone, przeciekające wewnątrz starej łodzi przechodzącej remont. Jedynym obcym przedmiotem było małe, oprawione w mosiądz lustro, przymocowane na prawo od drzwi prowadzących do mniejszej kajuty. Wykrzywiłem się do lustra. W mojej opuszczonej drżącej dłoni tańczyło światło latarki. I wtedy spojrzałem na odbicie w lustrze.

Miałem wrażenie, że widzę czerwoną skórę i fioletowy plusz ze złotymi frędzlami, papierosowy dym, męski but zapinany na guziki, umykający z pola widzenia z prędkością cofającej się kobry. Oraz kobiecą twarz z bladym makijażem z epoki jazzu, o kruczoczarnych, geometrycznie przyciętych włosach i pąsowych ustach. W oczach i zastygłych, ściągniętych wargach malował się tak prawdziwy i szczery wyraz trwogi, że rzuciłem się do ucieczki, nim w pełni ogarnąłem rozumem ten straszny widok. Zwiąłem. Wspiąłem się po rozłupanych schodach i zdarłem sobie paznokcie, szukając po omacku szczeliny w nieustępliwym brezencie. Znalazłem ją i wygramoliłem się na zewnątrz. Choć burza miotła się i ciskała, usłyszałem goniący mnie krótki męski śmiech. Położyłem się na nabrzeżu, próbując odzyskać oddech i spokój. W końcu wstałem i spojrzałem w stronę biura Hadleya, szukając tam wsparcia. Jasne żółte smugi między

szczebelkami żaluzji zniknęły. W stoczni Franka Hadleya zgaszono chyba wszystkie światła.

Trzymając ręce na kierownicy saaba, spostrzegłem, że spod zdartych paznokci cieknie mi krew. Koniuszki palców zaczęły pulsować bólem w spóźnionej reakcji na obtarcie. Choć przemoczony i drżący, odzyskałem na tyle przytomność umysłu, że udało mi się włączyć ogrzewanie. Skupiłem się na prowadzeniu samochodu. Na otwartej przestrzeni wodosпад deszczu na przedniej szybie i gwałtowne, zmienne podmuchy wiatru utrudniały mi jazdę. Usiłowałem nie myśleć o kajucie. Rzecz w tym, że choć nie po raz pierwszy miałem wrażenie obecności ducha, chyba po raz pierwszy ta obecność emanowała wrogością. Moje stargane nerwy i drżące mięśnie świadczyły o tym, że duch Harry'ego Spaldinga był duchem przepełnionym czystą złośliwością i bezbrzeżną nienawiścią. Jechałem do Londynu. Zbliżałem się już do Lambeth. Zaparkowałem samochód, wyjąłem z bagażnika ścierkę i wytarłem z dłoni zakrzepłą krew. W ciągle wilgotnym ubraniu poszedłem do pubu Wiatrak, zamówiłem podwójny rum i wypięm go jednym haustem. W domu wziąłem gorący prysznic, przebrałem się w świeże rzeczy i choć zrobiło mi się ciepło, a za oknami ulewa przeszła w słabą mżawkę, minęło wiele godzin, nim poczułem się choć trochę bezpiecznie.

Nie było sensu wysłać wiadomości do Suzanne. Leżałem w naszym wspólnym łóżku i zastanawiałem się, co mam opowiedzieć kobiecie, którą kocham. Sekrety mają zwyczaj ropicć, a dzielenie się najbardziej osobistymi myślami i uczuciami stanowiło ważny aspekt naszej bliskości, która miała dla nas wielkie znaczenie. Nie wszystko jej mówiłem. Nie miałem wyrzutów sumienia z tego powodu, że zachowuję dla siebie nudziarstwa i banały. Chciałem w ten sposób zaradzić temu, by nie myślała o mnie jak o banalnym nudziarzu.

Co Suzanne sądziłaby o mojej przygodzie na łodzi? Czy uznałaby mnie za szaleńca? Uwierzyłaby w moją opowieść. Wyraziłaby współczucie, że przeżyłem taki wstrząs. Była jednak osobą zbyt praktyczną, by wierzyć w zjawiska nadnaturalne. Próbowalaby znaleźć jakieś racjonalne wyjaśnienie. Na przykład, że to skutek zmęczenia albo mojej wybujałej wyobraźni. Pamiętałem, co powiedziała, gdy zadzwoniłem do niej do Dublina z informacją o licytacji. Wiedziała już, że „Mroczne Echo” miało opinię pechowego jachtu. Powiedziała mi o tym, nim doszło do wypadków w stoczni Franka Hadleya. Muszę ją o to zapytać. To było równie ważne jak przeczytanie dzienników pokładowych statku.

Zadzwonił telefon.

- Cześć. Co się dzieje? - spytała Suzanne.

- Niewiele.

- Jak wyprawa do Hampshire?

- Zwerbowani za grube pieniądze rzemieślnicy stchórzyli.

- Nic dziwnego.

- Dlaczego tak mówisz? - Nie powiedziałem jej o śmiertelnym wypadku w stoczni. Takie rzeczy pomijałem jako nudne i trywialne.

- Powiem ci, gdy wrócę.

- A jak tam Wielki Michael? - O mało nie zapomniałem o to zapytać.

- Szczerze mówiąc, chyba żadnego mężczyzny tak nie podziwiałam.

- O rety!

- Z wyjątkiem ciebie.

- Oczywiście.

Tej nocy po dłuższym czasie w końcu zasnąłem. Ale spałem płytko i dręczyły mnie koszmary.

Z ojcem spotkałem się następnego dnia po południu w jego domu w Mayfair. Oddałem mu kartę. Nie wspomniałem o tym, co wydarzyło się na łodzi. Poprzedniego wieczoru uciekłem z królestwa Hadleya i miałem powody przypuszczać, że nikt mnie tam nie widział. W każdym razie nikt, kto miał prawo się tam znaleźć, nikt z żywych. Czuję oczywiście, że widział mnie Harry Spalding. Słyszałem Harry'ego Spaldinga. Dostrzegłem go przez ułamek sekundy w węzowym umknięciu jego odbicia. Słyszałem, jak mówi głosem martwym od dziesiątków lat, a jednak dźwięcznym.

Słyszeć go - to już było zbyt wiele. Nie chciałem tego rozpamiętywać ani myśleć o jego towarzysze, kobiecie, którą widziałem w lustrze. Ojciec by mi nie uwierzył i dlatego nic mu nie mówiłem. Wcześniejsze wydarzenia z mojego życia całkowicie zniweczyły jego wiarę we mnie, jeśli chodzi o sprawy duchowe. A cokolwiek by mówić, Harry Spalding należał do sfery spraw duchowych. Byłem tego pewien.

- Marnie wyglądasz - stwierdził ojciec. On natomiast był potargany i wyglądał na sytego i zadowolonego z siebie.

- Miło było w Chichesterze?

Zignorował moje pytanie. Nalał mi kawy ze srebrnego dzbanka. Zawsze mnie dziwiło, że ojciec pamięta, jaką kawę lubię. Oczywiście nie parzył jej sam. Dzbanek wjechał na stoliczku pchanym przez gospodynię.

- Tato, dlaczego „Mroczne Echo”? Dlaczego właśnie ta przeklęta łódź? Uśmiechnął się. Ten uśmiech przeznaczony był wyłącznie dla niego.

- Moje dzieciństwo, Martinie, było zupełnie inne od tego, jakie ja mogłem ci zapewnić.

Nie zapowiadało się obiecująco. Upiłem łyk znakomitej kawy. W kawie moja pociecha.

- Wiem o tym, tato.

- Proszę. Nie przerywaj. - Wstał i podszedł do jednego z wąskich, wysokich okien. - Moja matka, czyli twoja babka, robiła wszystko, co mogła. Ale były to ciężkie czasy, bezlitosne dla kobiety z klasy robotniczej, dla wdowy, która miała dziecko na utrzymaniu. - Umilkł, nadal stojąc przy majestatycznym oknie swego przesadnie luksusowego domu. Pozwalał w takich chwilach, by jego biedne i czasami upokarzające dzieciństwo znów go prześladowało. - Szczególnie ponuro było w święta Bożego Narodzenia. Byłem bystrym chłopcem. Matka zadrezczała się, że z powodu biedy nie może dać mi tego, na co zasługuję. Oczywiście czasy były ciężkie. Moi szkolni koledzy pochodzili z wyższych warstw. Porównania były nieuniknione, ubóstwo stawało się dotkliwe, wyraźne i czasami, przyznam, upokarzające. - Odchrząknął.

- W Manchesterze, w dzielnicy, gdzie wtedy mieszkaliśmy, były sklepy ze starzyzną, z używaną odzieżą, lombardy. Dla ludzi takich jak my odgrywały w pewnym sensie rolę banków. Dawaliśmy im buty jako zabezpieczenie pożyczki, której nam udzielali za te buty do czasu, aż mogliśmy sobie pozwolić na ich odkupienie. A różnica między tym, co otrzymywałeś, i tym, co im zapłaciłeś, stanowiła ich zysk. Drobnny zysk, dla nas był to raczej rodzaj zapomogi, dla nich kilka pensów dodanych do kapitału.

Znów przerwał, i pokiwał głową, wspominając. Ojciec nadal rozpaczał po stracie matki niemal tak samo, jak opłakiwał żonę. Wiedziałem, że i teraz jest w jego sercu i pamięci.

- Sklepy sprzedawały niewykupione rzeczy. Na kołkach wisiały cynkowe wanienki do kąpieli, na stojakach stały używane rowery. W tamtych czasach, co może dziwne, najbardziej pożądanym towarem były książki.

Był rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty trzeci. Miałem jedenaście lat. Radio oznaczało dla nas BBC i świat zupełnie inny od tego, w jakim żyłem. Telewizor znajdował się poza zasięgiem finansowym matki. Ale ja uwielbiałem czytać. Gorliwie chodziłem do biblioteki. Łaknąłem wiedzy i sensacji. A wypożyczanie książek było bezpłatne.



Odwrócił się do mnie. Jego sylwetka rysowała się na tle okna. Mój ojciec, który doszedł do milionów sam, stał i snuł wspomnienia, a wokół jego siwiejącej głowy tworzyła się aureola światła.

- W latach trzydziestych żył niejaki Arthur Mee. Pedagog. Pokręciłem głową. Nazwisko nic mi nie mówiło.

- Opracował encyklopedię dla dzieci. Gdy wpadła mi w ręce, była już przestarzała, miała trzydzieści lat, ale dla takiego dziecka jak ja książki stanowiły źródło egzotycznych i urzekających obrazów świata, jakiego byłem spragniony. Więcej - chciwie go pożałowałem. W jednym z tomów znalazłem zdjęcie gigantycznej sekwoi, w jej wielkim pniu wydrążono tunel zdolny pomieścić samochód. W innym tomie jakiś śmiałek sfotografował niedźwiedzia, który stoi na dwóch łapach jak człowiek, wyciągając się w górę na trzy i pół metra. Wszystko tam znalazłem: olbrzymiego marlina, turbiny w elektrowni, fale przyływu, mikroskop elektronowy, wir wodny i siedem cudów antycznego świata. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim roku na Boże Narodzenie dostałem od mamy jedenaście tomów z dwunastotomowej edycji. Kupiła je na straganie przy Piccadilly za zaoszczędzone z trudem pieniądze.

To poczucie winy kazało mu teraz mówić, wyzwałało sztuczny patos, do którego miał skłonności. Jego wycieńczona matka zmarła, zanim dorobił się pieniędzy, dzięki którym okres starczego dzieciństwa mogłaby przeżyć w komforcie.

- Chodź ze mną.

Poprowadził mnie do biblioteki. Z szuflady biurka wyjął klucz i otworzył gablotkę. Za dębowymi drzwiczkami i szybą ze rżniętego szkła zobaczyłem na półce encyklopedię Arthura Mee. Na zniszczonych grzbietach z niebieskiego płótna widniało jego nazwisko.

- Tu jest dwanaście tomów, tato.

Skinął głową i położył dłoń na moim ramieniu. To był ludzki dotyk, którego potrzebował jako pociechy, gdy wspominał swoją matkę.

- Zdobyłem dwunasty. To samo wydanie, ten sam rok druku. Chciałem mieć wszystkie, komplet.

Patrzyłem na źródło wiedzy ojca o szerokim świecie, na jego książkowe podróże, na marzenia i aspiracje uprawione w niebieskie płótno. Nie było tu wiele do powiedzenia.

Sięgnął po jeden z tomów i wysunął go kciukiem. Tom szósty. Otworzył książkę, a ja cofnąłem się o krok i spojrzałem na otwarte strony.

Zobaczyłem całostronicowe zdjęcie szkunera Harry'ego Spaldinga, okrążającego boję w jaskrawym słońcu na pokrytej świetlnymi plamami wodzie. Wydawało się, że manewr wykonywany pod takim kątem, jak nakazywały pełne żagle, groził katastrofą i w tej samej triumfalnej chwili obiecywał zwycięstwo.

- „Mroczne Echo” - powiedział ojciec. Na sąsiedniej stronie w tekst wstawiono fotografię roześmianego Spaldinga w białym stroju, w marynarce, trzymającego puchar. Jasne włosy tworzyły złotą aureolę wokół jego głowy. W spojrzeniu nie widziałem wilczej groźby, jaką odnalazłem na zdjęciu z Załogą Jerycho. Był elegancki, chłopięcy i niemal nieśmiały z powodu zainteresowania, które wzbudził swoim zwycięstwem. Prawie doskonale naśladował styl i sposób bycia człowieka, jakiego ludzie chcieli w nim widzieć. Robiłem, co mogłem, żeby się nie wzdrygnąć.

- Gdy zobaczyłem to zdjęcie, przysięgłem sobie, że stanę się właścicielem tego jachtu i poześluję nim. I tak będzie, Martinie. Nic mnie nie powstrzyma. Ufam, iż z boską pomocą znajdę u ciebie tyle litości, że ze zrozumieniem przyjmiesz zachciankę starego człowieka pragnącego spełnić swoje marzenia.

Nie odpowiedziałem.

- Zgodzisz się?

- Tak - odparłem. Napilem się kawy. Wystygła już.

W bibliotece słyszałem leciutki szmer nawilżacza, który zapewniał świeżość cygarom ojca. Sześć metrów niżej, w garażu, jakiś chłopak z Krakowa czy Kijowa woskował bentleya i astona martina. Późnym popołudniem stare trofea bokserskie ojca zostaną zdjęte z dumnej ekspozycji i z szacunkiem wypolerowane. Nagle zrozumiałem, dlaczego ojciec odszedł na emeryturę. W wieku pięćdziesięciu pięciu lat poddał się dziecięcym marzeniom i postanowił je spełnić, ponieważ ma na to czas i środki. Nic go nie powstrzyma. Infantylnie zachcianki zrealizuje z żelazną konsekwencją.

- Czy mógłbym dziś zobaczyć dziennik pokładowy?

- Jak się zachowywał jacht?

- Zachowywał?

- No, w jakim jest stanie, jak wygląda? Synu, każda łódź ma inny charakter. Czy okazało się, że jest bezczelna podczas wczorajszego sztormu?

Usiłowałem sobie przypomnieć parametry jachtu. Miał 36 metrów długości, pokładnik- 5,7 metra, a głębokość zanurzenia wynosiła 3,3 metra, ważył siedemdziesiąt ton. Ten dwumasztowy szkuner ożaglowany gafłowo miał czterysta pięćdziesiąt metrów kwadratowych żagla. Był „Mrocznym Echem” i nawiedzał

go duch jego pierwszego kapitana. Każda kość mojego ciała, każda drobina mojego wewnętrznego, instynktownego wyczucia niebezpieczeństwa mówiła mi, że to duch mordercy.

- Jak zdołałem się zorientować, dotychczasowe prace wykonano skrupulatnie - odparłem. - Do remontu pokładu używają drewna tekowe-go uszczelnionego bawełną i zaszpachlowanego czarną gumą.

- Dobrze. Jakież czopy?

- Żadnych nie widziałem. Łączenie styków jest prawie niewyczuwalne, a deski przymocowali od dołu.

- Hadley mówił, że na drzewce użyli laminatu ze świerka alaskań-skiego.

- Wierzę mu. Wczoraj po południu było dość mroczno, a pod plandeką panowały całkowite ciemności. Wszystko wyglądało bardzo ładnie, dobrze wykończone. Mogę zobaczyć dziennik pokładowy dzisiaj?

- Oczywiście. Ale to nie jest lektura na jeden dzień. — Z szuflady starego biurka wyjął klucze i rzucił mi je. - Korzystam ze skrytki.

Skinałem głową. Przechowywał tam rzeczy, z którymi nie chciał się rozstać, gdy negocjacje rozwodowe przekształcały się w przeciąganie liny albo w napad rabunkowy. Ojciec miał sporo cennych współczesnych obrazów. Większość kupił w latach osiemdziesiątych i wczesnych dziewięćdziesiątych, gdy malarze byli jeszcze studentami, z trudnością wiążącymi koniec z końcem. Od ponad dziesięciu lat nie widziałem, żeby któryś z tych obrazów wisiał w domu. Zmagazynowano je w ukryciu, w ciemności, w przechowalni w południowym Wimbledonie. Wszystkie rzeczy należące do mojej matki złożono tam w pomieszczeniu, które osoba z ponurym usposobieniem nazwałaby grobowcem.

Godzinę zajęła mi droga do Wimbledonu, a potem dodatkowo trzy kwadranse pokonanie kilometrowego odcinka na parking przechowalni. Gdy w końcu przybyłem na miejsce, zobaczyłem, co zablokowało drogę. Połowę jezdni zagrodziły dwa wozy strażackie, samochód drogówki oraz policyjny radiowóz. Piana i woda pokrywały całą powierzchnię ulicy, a strażacy nadal gasili ogień. To dziwne, bo wcześniej nie widziałem słupa dymu ani nie słyszałem syren wyjących niecierpliwie w pełznącym ruchu.

Większość budynków-przechowalni zbudowanych z pustaków na stalowej ramie wyglądała na nietkniętą. Byłem pewien, że cenna kolekcja sztuki nowoczesnej ojca i pamiątki po mamie są nienaruszone i nic im się nie stało. Z zamierającym sercem uświadomiłem sobie, co zostało zniszczone.

Rozmowny strażak potwierdził moje podejrzenia. Spytałem go, co spowodowało pożar.

- Zaczęło się w sejfie pełnym starych książek - wyjaśnił. Żuł gumę, twarz miał czarną od sadzy. - Płonęły niewiarygodnie intensywnie. Dziwne, że ogień się nie rozprzestrzenił, ale na szczęście nie. Zajmie nam to całe wieki. Już druga zmiana to gasi.

- Podpalenie?

Uniósł brew, spuścił wzrok i zaczął się kołysać.

- Nie ja to ustalam, kolego. To nie moja rola. Ale papiery tak się nie palą. W żadnym wypadku. Nie w tej temperaturze. Ktoś musiał im w tym pomóc.

Skinąłem głową. Wciągnąłem w nozdrza nadal gryzący dym. Piana z gaśnic zbierała się w rynsztoku w postaci brązowożółtego kożucha, który szukał ujścia w studziencie kanalizacyjnej. Oczywiście, pokręcę się tu. Przepytam ludzi, którzy zawiadują przechowalnią. Poczekam w popołudniowej szarówce na ponurym londyńskim przedmieściu i ustalę fakty. Miałem jednak pewność, że spłonęło właśnie pięć tomów dziennika pokładowego „Mrocznego Echa”, zanim zdążyłem się z nimi zapoznać, zanim dotarły do roztropnego Franka Hadleya. Pożar wybuchł nad ranem, gdy zapadłem w niespokojny, pełen koszmarów sen. Nie wiedziałem, jak to wpłynie na harmonogram prac remontowych w stoczni. Nie wiedziałem nawet, kiedy skończy się inwentaryzacja i wiadomość o stratach zostanie przekazana mojemu ojcu. Jedną rzecz uważałem za pewną: opowiem wszystko Suzanne, kiedy tylko wróci z Dublina. Nie wierzyłem w to, że problem z kimś dzielony to połowa problemu, ani w żadne komunały na ten temat. Sądziłem jednak, że trzymanie tego wszystkiego w tajemnicy może być niebezpieczne. Przeraziło mnie to, z jakim impetem rozwijają się wydarzenia, i nie mogłem dłużej zachowywać informacji tylko dla siebie.

### 3

**Mój** ojciec mawiał, że wyróżniam się talentem wiary. Niewykluczone, twierdził, że to twój jedyny talent. Jego dowcipy nie miały na celu wywołania u słuchaczy salw śmiechu, raczej układał je tak, jakby zdobywał punkty w jakiejś grze. Ale tym żartem trafił w sedno. Moje nieudane powołanie bardzo go zraniło.

Właśnie do tej sprawy nawiązywałem, mówiąc, że jeśli chodzi o sprawy duchowe, u taty wyczerpałem kredyt.

W wieku lat dziewiętnastu sądziłem, że mam powołanie do kapłaństwa. Zew wiary potężnie nade mną zapanował, a ja nie próbowałem mu się opierać. Rzuciłem uniwersytet, wstąpiłem do seminarium i rozpocząłem naukę. Pogrążyłem się w pobożności i wyrzeczeniach służby Bogu. W tamtym czasie - w latach dwięćdziesiątych XX wieku - taki wybór drogi życiowej nie był popularny. Wśród myślących mężczyzn była wtedy modna pewna wrażliwość, rozumienie swojej męskości i okazywanie w stosunku do kobiet większej otwartości i uczciwości. Pod koniec dziesięciolecia ten trend się zdegenerował. Zostały z niego: zapatrzenie we własny pępek i smętna obsesja na temat własnej osoby. Ale pewna wrażliwość była jeszcze akceptowana. Sutanna i kadzidło - już nie. Kler katolicki ostatnio był w modzie w latach trzydziestych, kiedy w sentymentalnych, hollywoodzkich melodramatach Bing Crosby nosił koloratkę i mówił z irlandzkim zaśpiewem. Od tamtego czasu publiczny wizerunek kapłana wciąż tracił na znaczeniu.

Mój wybór wstrząsnął moimi przyjaciółmi. Zareagowali tak, jakbym przystał do sekty. Większość po prostu mnie porzuciła. Para przyjaciół, która wciąż przy mnie trwała, próbowała mnie odwieść od niebezpiecznego urojenia, które zrujnuje moje młode życie. Moja dziewczyna z tamtego okresu interpretowała całą sprawę jako kryzys seksualności. Miałem jakoby odkryć, że jestem gejem, ale nie śmiałem przyznać się do tego ani jej, ani sobie. Pod wpływem tych wyjaśnień zgrzeszyłem próżnością. Czyżbym rzeczywiście w łóżku nie wykazywał zaangażowania? Oceniałem to inaczej.

Ojciec był zachwycony. Powołanie nadawało sens tym wszystkim moim cechom, które go dezorientowały i niepokoiły. Usprawiedliwiało mój brak agresji i zapału do rywalizacji. Zmieniało w cnotę marzycielską skłonność do samotności. A chyba najbardziej cenił sobie to, że również jemu zapewniało ono dar bożej łaski. Poświęcenie syna kapłaństwu było podobne do średniowiecznego kupowania odpustów przez bogaczy, zbyt zajętych swymi zyskami, by znaleźć niezbędny czas na modlitwę. A on zrobił coś skuteczniejszego niż tamci. Ojciec nie był bezbożnikiem, co zakrawało na ironię. Wierzył z ogromnym przekonaniem we wszechmocnego, a czasami mściwego Boga. Ale życie biznesmena przekreśliło jego szanse na odkupienie i nie przykładał się do zapewnienia należytego zadośćuczynienia za grzechy. Krótko mówiąc, zbyt się zadłużył w Banku Wszechmogącego. To, że wybrałem celibat i życie w ubóstwie i poświęceniu, w służbie



jego Boga, zapewniało mu znowu dodatnie saldo. To tylko przypuszczenie, ale myślę, że tak właśnie było. Znam ojca i ciężko zapracowałem na tę znajomość. Mój osąd jest dobrze umotywowany.

Nie mogłem być aż tak nieprzekonujący w łóżku, gdyż Rebeka, moja dziewczyna z college'u, złożyła mi wizytę.

- Czy nigdy nie podziwiałaś żadnego kapłana? Zastanowiła się chwilę nad pytaniem.

- Tego w *Egzorcystie*. Był fajny. Na swój sposób.

Pomalowała usta czerwoną szminką, włożyła czarną obcisłą sukienkę i biustonosz z fiszbinami. Spryskała się perfumami Shalimar. Pachniała rozkosznie.

- Ojciec Merrin. Pokręciła głową.

- Ten drugi. Młody niedoskonały facet.

- Ksiądz od whisky.

- O, właśnie. Był fajny.

- Nie miał prawdziwej wiary.

- I dlatego był taki fajny. Przyniosła torbę zjedzeniem.

- To nie jest wizyta u więźnia, Rebeko.

- Nie upiekłam ci tortu z pilnikiem w środku. Dlaczego się uśmiechasz?

- Na myśl o tobie piekającej tort.

Torbę wypełniały pokusy mające odwieść mnie od mojego zamiaru. Koperta ze zdjęciami nas dwojga podczas weekendu w Brighton. Trochę płyt kompaktowych. Van Morrison, Everything But The Girl, Prefab Sprout. Może zresztą po prostu Rebeka chciała się ich pozbyć. Moją ulubioną muzykę określała zawsze jako „rock dla mięczaków”. Co zaś bardziej znaczące, torba zawierała też piłkarskie trampki, związane razem sznurowadłami. Co niedziela grywałem w zaimprovizowanej drużynie futbolowej w Regent's Park i tego rytuału bardzo by mi brakowało. Już za nim tęskniłem. Seminarium stało nad morzem, na szczycie skalistego wzgórza na wybrzeżu Northumberland. Była to twierdza jezuitów, zbudowana za czasów młodości królowej Wiktorii. Przebywałem tam od sześciu tygodni. Brakowało mi wszystkiego.

Rebeka, uperfumowana, pachniała smakowicie.

- Paddy McAloon uczył się na księdza.

- Kto taki?

Wskazałem jedną z przyniesionych płyt. Steve'a McQueen.

- To członek Prefab Sprout. Píše dla nich wszystkie piosenki.

- Czy taki masz plan gry, Martinie? Wyszkolić się na księdza i zostać gwiazdą rocka?

Tylko raz w życiu ułożyłem plan gry: był to plan pobicia Winstona Cory'ego. Skończyło się to tak, że wylądowałem na tyłku ze złamanym nosem.

- Nie jestem właściwym materiałem na gwiazdę rocka.

- Jesteś też o wiele za przystojny na księdza.

- Bóg mógłby się z tobą nie zgodzić. Pokręciła głową. W oczach miała łzy.

- Po co przyjechałam do tego pieprzonego Northumberland - powiedziała. Wkładała rzeczy z powrotem do torby. Swoje zdjęcia. Moje buty. Po ostatniej grze nie oczyściłem ich porządnie i Rebeka również się o to nie zatroszczyła. Znajomy zapach gleby i psich odchodów z boiska w Regent's Park nadal trzymał się korków. Upuściła zdjęcie na podłogę, ale złapała je z powrotem i odgarnęła z twarzy niesforny kosmyk. - Co za cholerne marnotrawstwo.

Przetrwałem dziewiętnaście miesięcy. Nie doznałem w tym czasie większego kryzysu wiary. Inni nowicjusze byli zdolni, mili i dobrzy. Niektórych cechowała głęboka dobroć. Była to garstka uprzywilejowanych. Przywilejem pozostałych było to, że z nimi przestają. Od nich dowiedziałem się, co to znaczy żyć w stanie łaski. Nie spotkałem wśród nich ani ukrytych nazistów, ani nikogo, kto uważałby kapłaństwo za gwarantowaną drogę do sekretnego molestowania dzieci. W moich doświadczeniach, czarna propaganda, dotycząca zorganizowanego Kościoła, okazała się jedynie czarną propagandą. Najbardziej ponurym występkiem, z jakim się spotkałem, była skłonność niektórych starszych wykładowców do wygłaszania długich pouczeń. Ale na różnych życiowych ścieżkach spotyka się ludzi, którzy łączą zamiłowanie do dźwięku własnego głosu z niezdolnością do powiedzenia czegoś oryginalnego. To przywara ludzka, a nie katolicka czy religijna.

Jezuici zawdzięczali złą reputację wydarzeniom sprzed czterystu lat. Tortury i stosy kontrreformacji zaistniały na długo przed dwuznacznym stosunkiem Watykanu do Mussoliniego i Hitlera, na długo przed molestowaniem dzieci ukrywanym przez diecezje w Chicago, Dublinie i w całej przygnębiającej liście innych miejsc. Jezuita, z którym się głównie kontaktowałem, był prawdopodobnie najświętszym człowiekiem, jakiego spotkałem dotąd w życiu. Niektórzy mówili, że monsignore Delaunay jest dalekim krewnym wielkiego malarza francuskiego o tym samym nazwisku. Od czasu do czasu organizował rekolekcje w domu zbudowanym w stylu georgiańskim, należącym do kościoła w Barmouth na wybrze-

żu Walii. Był to solidny, samotny dwupiętrowy budynek z widokiem na zatokę. Na lewo od niego wznosił się majestatyczny w nadmorskich walijskich mgłach, wielki masyw Cader Idris.

Krażyła pogłoska, że w morzu przy Barmouth mieszka jakiś potwór. Źródłem tej plotki byli nie turyści, lecz rybacy, co przydawało jej wiarygodności. Nie powstrzymało to monsignora Delaunaya od codziennego pływania. Ponury założyciel zakonu wprowadził stereotyp jezuitę: wychudłą postać w nieskazitelnym czerni. Ojciec Delaunay bardzo odbiegał od tego wizerunku. Był to kawał chłopca o ramionach miotacza i barkach, których sama objętość stanowiła wyzwanie dla lodowatej zimowej wody. Wieczorami, w bibliotece budynku, przy ogniu płonących polan, snuł opowieści o swoich misjach w Airyce i Ameryce Południowej. Czuję, że są sprawy, którymi się nie dzieli ze swoimi niewinnymi słuchaczami, ale i tak jego opowieści fascynowały. W Barmouth, słuchając głosu monsignora Delaunaya, naprawdę wierzyłem, że czeka mnie przyszłość w służbie wielkiego, miłosiernego i potężnego Boga. Delaunay miał rzadki talent zaradzania wiarą.

Załatwiło mnie to, że nie mogłem znieść zimnej samotności celibatu. Łaknąłem fizycznych zbliżeń. Rebeka hasała w moich snach ubrana tylko w perfumy Guerlaina. Ostatnie trzy miesiące były straszliwe. Miałem zaledwie dziewiętnaście lat i już czekało mnie drugie wielkie życiowe niepowodzenie. A wynikło całkowicie z mojej winy. Nie istniały żadne okoliczności łagodzące. Modliłem się, ale to dowodziło tylko jałowości modłów. Były to modły męczennika ukrywającego instynkt królika w rui. W takich okolicznościach nie mogłem odwołać się do tradycyjnego źródła pocieszenia i otuchy. Spowiedź nie pomoże komuś tak zdecydowanemu popełnić grzech. Nie było innego wyjścia - zrezygnowałem, spakowałem się i wyjechałem stamtąd.

Trzeba uczciwie powiedzieć, że ojciec przyjął to źle. Zanim usłyszałem głos fałszywego powołania, w London School of Economics szło mi całkiem nieźle. Ale obecnie na zajęcia zgłosiło się zbyt wielu chętnych. Uczelnia nie mogła przyjąć mnie z powrotem przez najbliższe dwa lata. Miałem poprzednio dobre oceny, ale jeśli zwolniło się jakieś miejsce, na liście oczekujących znajdowano najwidoczniej kandydata bardziej ode mnie zasłużonego. W końcu trafiłem na kurs podstawowej historii na uniwersytecie w Kent w Canterbury. Mój ojciec był na tyle łaskawy, że zapłacił chesne i niedobory w stypendium, które - trzeba to przyznać - wynosiły prawie sto procent. Ale praktycznie nie odzywał się do mnie przez trzy lata i nie przyszedł na rozdanie dyplomów. Nie mogłem go za to wi-

nić. Zaprzepaściłem jego szansę łatwej drogi do nieba. Nawet dla człowieka tak zamożnego jak ojciec była to strata trudna do zniesienia.

Gdy się „wyzwoliłem” - jak to określali wszyscy, którzy nadal ze mną rozmawiali - Rebeka już dawno zmieniła obiekt swych zainteresowań. Spotykała się z przedsiębiorcą budowlanym z Fulham. Zobaczyłem ich razem w barze w Pimlico mniej więcej osiem miesięcy po tym, jak opuściłem seminarium. Może wdałbym się w bójkę z przedsiębiorcą gdyby był mocniej zbudowany, a więc byłby przeciwnikiem, którego mógłbym sprowokować, tak by później nie nazywano mnie łobuzem. Ale wiedziałem, że zabicie go, nawet po pijanemu, jest prawie tak dziecinne, jak spuszczenie powietrza z opon jego porsche. Mnie należało winić za to, co stało się z Rebeką. Jej wina była niewielka. Przedsiębiorca budowlany nie był winien w ogóle. Ale muszę przyznać, że kiedy wychodziłem z baru i mijalem porsche, który należał przypuszczalnie do niego, bardzo mnie kuśiło.

Między zerwaniem z Rebeką a spotkaniem Suzanne spotykałem się z kobietami. To było powierzchowne, czasami bezwzględne i zawsze przelotne. Romanizm i spontaniczność są według mnie największymi ofiarami epoki SMS-ów i e-maili. Dziś wszystko wydaje się takie przypadkowe i ograniczone. Nie ma miejsca na szczerość, kiedy można tak łatwo uniknąć uczciwego ludzkiego głosu. Powtarzałem sobie w duchu: „Bogu dzięki za Grupę z Shadwell. Dali mi Suzanne, ocalili mnie od samotności i przynieśli mi miłość”. Tak właśnie myślałem. Aż do momentu, kiedy po powrocie Suzanne z Dublina opowiedziałem jej o wszystkim, co wydarzyło się od czasu kupienia przez mojego ojca wraku „Mrocznego Echa”.

Samolot z Dublina spóźnił się - Suzanne przyleciała zmęczona i mimo wszystko trochę spięta. Nie poczyniła spodziewanych postępów w zbieraniu materiałów na temat Michaela Collinsa. Ktoś stojący wyżej od niej w hierarchii polityki programowej wpadł w pułapkę: sformułował pewne wnioski na temat życia i charakteru Collinsa, zanim badania te wnioski potwierdziły. Klasyczna zapadnia w tego rodzaju pracy. Każdy w nią wpadał, ale wiedza o tym nie ułatwiała akceptacji zachowania szefa. Było ono nierozsądne i niezbyt uczciwe. Wywieraliło na Suzanne dodatkową presję. Wróciła do Londynu gniewna i sfrustrowana.

Stała przy oknie w salonie i paląc papierosa, rozważała to, co jej powiedziałem. Kiedy ją spotkałem, była nałogowym palaczem z rodziny palaczy. Od tego czasu znacznie ograniczyła palenie. Ale nadal paliła czerwone marlboro. Kiedy paliła, z satysfakcją wypuszczała z nosa dwie smugi dymu. Stała w chłod-

nym powiewie z okna, trzymając elegancko papierosa przy bladym policzku i myślała. Miała krótko obcięte ciemne, błyszczące włosy, piwne oczy o tak ciemnym połysku, że wydawały się prawie czarne i lśniły, odbijając światła ulicy za oknem. Nosiła czarną wąską spódnicę i białą bluzkę, jej włosy nad białym rozpiętym kołnierzykiem kreśliły równą linię. Nie po raz pierwszy pomyślałem, że wygląda jak kobieta z innych czasów - takich, w których szczegóły naszego życia uznano by za skandal. Nie dbałyby o to. To jeszcze jedna cecha jej charakteru.

Dym układał się wieńcem wokół jej ślicznej głowy. Z łatwością mogłem sobie wyobrazić Michaela Collinsa, jak uwodzi ją podczas kolacji wydanej na jego cześć w trakcie rozmów pokojowych w Londynie - tych rozmów, które pośrednio go zabiły. Mogłem też wyobrazić sobie Harry'ego Spaldinga, jak robi to samo w jakimś eleganckim klubie jachtowym czy tenisowym. Zbliżałby się do niej przez parkiet, stukając obcasami skórzanych butów. Szedłby krokiem lekkim, ale pewnym. Dziewczyna przyciągnęłaby wzrok każdego mężczyzny. Było w niej wyzwanie, któremu męskie drapieżniki nie potrafiłyby się oprzeć.

Zgasła niedopałek w aluminiowej popielniczce stojącej na parapecie i wyrzuciła go przez okno.

- Słyszałam coś o przekleństwie „Mrocznego Echa”. Mówiąc ściślej, o czymś, co można tak określić. Pokopałam trochę tu i ówdzie po naszej rozmowie wieczorem, w dniu aukcji.

- Dlaczego to zrobiłaś? Odwróciła się do mnie.

- Z powodu propozycji twojego ojca. Choć wydawało się, że jesteś dumny i że propozycja ci pochlebia, w twoim głosie dźwięczała również obawa.

- Coś mnie przstraszyło - przyznałem. - Spojrzałem na twarz Spaldinga na grupowym zdjęciu Załogi Jerycho i poczułem coś silnego, niemal przeczucie. Kiedy później wracałem we mgle do domu przez most Lambeth, miałem wrażenie, że ktoś mnie śledzi.

Skinęła głową. Objęła się ramionami i zadrżała. Londyn rozciągający się za otwartym oknem naszego mieszkania był bardzo cichy. Czuło się jednak powiew rzecznej wilgoci. Rześkie powietrze wczesnych dni marca.

- Masz niezłą intuicję, Martinie.

- Nic podobnego.

- Bo nie dostrzegłeś nadchodzącego ciosu, który złamał ci nos? Czy też może dlatego, że zmarnowałeś półtora roku życia, idąc za fałszywym powołaniem?

- Oba przykłady rzeczywiście można potraktować jako dowód.



- Jak, według ciebie, zaczął się pożar, który zniszczył dziennik pokładowy statku? Zwróć uwagę, że płonął z upartą wściekłością.

- Nie wiem, Suzanne. Oczyma wyobraźni widzę widmo Harry'ego Spaldinga z raketnicą Verry'ego w ręku. W mroku piwnicy uśmiecha się tym swoim uśmiechem kościotrupa, naciska spust i wypuszcza raketę alarmową w stos tomów.

- Ale nigdy się nie dowiemy, czy tak było. Wszystko spłonęło, więc się nie dowiemy - powiedziała. I to mnie zaskoczyło.

- Myślałem, że roześmiesz się w głos z mojej opowiadki. Znowu potarła dłońmi zziębnięte ramiona. Zamknęła okno. Zawsze oczekiwała chwilę. Nie cierpiała myśli, że w jej oddechu będę czuł zapach wypalonego papierosa. A mnie naprawdę to nie przeszkadzało. Wychowałem się we wszechobecnym smrodzie ojcowskich cygar.

- Martinie, w czasie mojej wcześniejszej podróży do Dublina coś mi się przytrafiło. W środę, w dzień, kiedy odbyła się aukcja.

Gerald Smythe, producent serialu *Michael Collins*, był ambitnym młodzianem z BBC. Nieprzyjemny i nierozsądny brutal, traktował Suzanne bardzo ostro.

- Smythe znowu cię ochrzanił?

Wiedziałem, że bała się jego zarządzeń, które wysyłał ze swojego kieszonekowego komputera Black Berry. Ale pokręciła głową.

- Nic z tych rzeczy.

- Więc mi opowiedz.

Padał deszcz. Szła z parasolem jedną z tych niekończących się georgiańskich ulic po północnej stronie Liffey. Szukała konkretnego adresu. Ulice w tej części miasta były tak długie i proste, że zauważało się ich łagodne nachylenie, kiedy wznosiły się ku odległej plamie Gór Dublińskich. Słyszała, jak deszcz syczy i bulgocze w rynsztokach, płynąc do studzienek ściekowych. Nie potrafiła rozróżnić tych ulic, były w pewnym sensie pozbawione cech charakterystycznych. Wszystkie domy wyglądały jednakowo; smagane deszczem i surowe, z żelaznymi wycieraczkami na szczycie zniszczonych kamiennych schodów. Na swój sposób te domy były ładne. Ale w rozproszonym świetle deszczowego dnia wyglądały ponuro - siedziby pachnące cięższymi, uboższymi czasami.

Po latach zaniedbania ta część Dublina w końcu złapała postrzępiony ogon celtyckiego tygrysa i awansowała. Właściciel domu był psychiatrą. Kupił go niedawno. Wyjechał na sympozjum i powierzył Suzanne klucz. Cieszyła się, że dzielnica jest zaniedbana. Dostarczyła kiedyś Collinsowi całego labiryntu bez-

piecznych kryjówek. Ukrywał się tu dziewięćdziesiąt lat temu, po zwolnieniu z obozu internowania we Frongoch w Walii. A okolica wyglądała tak samo. Te same schody słuchały odgłosu jego szybkich kroków. Jego ciche kołatanie dźwięczało na tej właśnie brązowej kołatce.

Był wtedy członkiem egzekutywy Sinn Fein i kierownikiem Irlandzkich Ochotników, weteranem oblężenia poczty podczas nieudanego powstania wielkanocnego. Jego wola i charyzma w czasie pobytu we Frongoch wyniosły go na pozycję naturalnego przywódcy. Tu właśnie zrobił na brytyjskiej Secret Service wystarczające wrażenie, by założono mu teczkę. Suzanne zatrzymała się. Znalazła właściwy adres. Grzebała w kieszeni, szukając klucza. Michael Collins, gdy się tu ukrywał, miał dwadzieścia siedem lat.

Otworzyła frontowe drzwi i złożyła parasol. Poczula dochodzący z wewnątrz lekki zapach stęchlizny. Cieszyła się, że nowy właściciel nie przeprowadził w domu generalnego remontu, nie wypatroszył wnętrza. Cicho zamknęła drzwi i rozpięła płaszcz.

Tego późnego wilgotnego ranka w domu było chłodno i ciemno. Ściany holu, długiego i z wysokim sufitem, pokrywał brzydki wyblakły tynk, a kamienną podłogę - zniszczona i popękana mozaika. Schody na końcu holu prowadziły zarówno w górę, jak i w dół. Suzanne intuicyjnie wybrała górę. Collins był zbyt przebiegłym i doświadczonym uciekinierem, by zamykać się na noc w pułapce piwnicy. Chciałby spać tam, gdzie ostrzeże go tupot wojskowych butów na schodach. Chciałby mieć drogę ucieczki przez płaskie, tarasowate dachy.

Zostawiła ociekający wodą parasol na zimnej posadzce holu i weszła po schodach. Nie zdjęła jednak płaszcza. Pod nieobecność właściciela domu nie ogrzewano i Suzanne, wchodząc po stromych, niewyłożonych niczym schodach widziała parę własnego oddechu. Zatrzymała się dopiero przed drzwiami na samej górze. Znalazła ten adres nabazgrany na kilku pokwitowaniach ze składu papierów Irlandzkich Ochotników przechowywanych w archiwum na Zamku Du-blińskim. Rachunki wymieniały koszty jedzenia i picia zamawianego przez wiele wieczorów w hotelu Dooley's za rogiem. Nazwisko umieszczone na tych drobiazgowo ponumerowanych i datowanych rachunkach nie brzmiało Collins, lecz Browne. Ale Collins, choć oszczędny, pseudonimami szafował rozrzutnie. I Suzanne rozpoznała staranne pismo, wyuczone podczas urzędniczego stażu w Londynie. To był on. Mieszkał tutaj. Tu prowadził zebrania. Tu powstawały plany i decydowano o strategiach, które zmieniły bieg historii narodu.

Otworzyła drzwi.

W pokoju stało rozsuwane łóżko, szafa i samotne krzesło o prostym oparciu. Było też prostokątne okienko z małymi szybami szarymi od kurzu. Z łóżka dawno zdjęto pościel. Odkryte sprężyny lekko zardzewiały, ale nadal były napięte przez żelazną ramę. Podłogę stanowiły gołe deski. Zadrżała. W tym małym i skromnym pokoiku nie było niczego groźnego.

Słyszała bębnienie deszczu o świetlik. Przeszła krzesło i weszła na nie, chcąc lepiej przyjrzeć się świetlikowi. Wiedziała, że umieścił go tam jeden z chłopaków wprawny we władaniu młotkiem i dłutem. Wykonano go dosyć starannie, ale nie wtedy, gdy budowano ten dom. Drewnianą ramę nieco nachylnono, by deszcz nie tworzył na szybie kałuży. Po jednej stronie świetlika znajdował się zameczek, na stronie przeciwległej solidne, podwójne zawiasy. By tamtędy wyjść, człowiek musiał być zdolny do podciągnięcia się z krzesła na rękach. Ale Collins był młody i bardzo silny. Nie ma sprawy, powiedziała do siebie. Żaden problem.

Zeszła z krzesła i z uśmiechem podeszła do szafy. Pomyślała, że ten pokój powinni raczej sfotografować, a nie filmować. Był nienaruszony. Mieli budżet na pokrycie kosztów fabularyzowanego dokumentu z udziałem aktorów grających Collinsa, Cathala Brugha czy kogoś innego, którzy zasiedliby na zasłanym łóżku, nastrojowo spiskując przy lampie lub świecy. I była pewna, że psychiatra, właściciel tego domu, tolerowałby związany z tym zamęt. Ale zdjęcie lepiej by odzwierciedliło prostotę miejsc, w których Collins odpoczywał od swej wojny z najpotężniejszym imperium na świecie, miejsc, w których mógł się ukryć przed wrogami.

Uśmiechała się, ponieważ była pewna, że będzie tam lustro. Podeszła do szafy i otworzyła ją. Była wąska, jednodrzwiowa. Wnętrze pachniało lekko olejkiem pimentowym i naftaliną. Zobaczyła miejsce, gdzie chyba wieszal płaszcz i garnitur. Zauważyła też cienki miedziany pręt przytwierdzony do wewnętrznej strony drzwi - na pewno wisiał na nim jego krawat i prostował się przez noc. Nad prętem przybito lustro, przed którym Collins się krzątał i szykował, pobłażając pawiej próżności - tak istotnej części jego skomplikowanej osobowości.

Suzanne zamknęła drzwi szafy, jeszcze bardziej uradowana. W pokoju, w ciemności, owionęło ją ciepło. I nie czuła już, że jest tu sama. Ta zmiana nastroju była zupełnie nieusprawiedliwiona. Suzanne odwróciła się gwałtownie i rozejrzała. Wszystko wyglądało tak samo, ale była pewna, że temperatura się podniosła. Pokój nie był już tak surowy, opuszczony i zaniedbany jak przed chwilą. Panowała w nim całkowicie odmienna atmosfera. Czuło się, że ktoś tu mieszka. Czuła czy-

jaś obecność. Prawie czuła zapach ciepłej, ludzkiej i energicznej obecności, kogoś, kto obserwuje ją odpoczywając. Usłyszała ciche skrzypienie łóżka, jakby ktoś na nim siedzący przesunął się i przeciągnął leniwie.

- I co potem? - zapytałem.

- Nic - odpowiedziała. - Chwila minęła. Wrażenie jakby... wyparowało. Ale je miałam. Nie wymyśliłam go sobie. Przez chwilę tam był.

- Która była wtedy godzina? Mniej więcej?

- Powiem ci dokładnie. Była dwunasta piętnaście. Spojrzałam na zegarek. A potem wyszłam.

Dwunasta piętnaście. Tuż po aukcji. Spojrzała na zegarek dokładnie w chwili, kiedy ja spojrzałem na swój w warsztacie skutniczym Bullena i Clore'a, kiedy zobaczyłem, jak tamtejszy brygadzysta żegna się przy łupie mego ojca.

- Właśnie dlatego nadal byłam rozbudzona i czujna, kiedy wysłałeś mi ten tekst późnym wieczorem - dodała. - Nigdy nic podobnego mi się nie przydarzyło. Nadal zastanawiałam się nad tym przeżyciem. Nie do wyjaśnienia. Ale rzeczywiście.

Milczałem. Nie wątpiłem jednak w jej słowa.

- Chcę ci coś pokazać - powiedziała.

Przyniosła torbę podróżną. Postawiła ją na stole, otworzyła i pogrzebała w niej. Wyjęła szarą kopertę ze skrzydełkiem raczej zagiętym niż przyklejonym. Było w niej ksero strony z gazety, złożone we czworo. Wręczyła mi je. W lewym górnym rogu dokumentu umieściła samoprzylepną karteczkę. Swoje badania prowadziła pedantycznie, nawet jeśli były to badania, których nie miała prowadzić. Na karteczce napisała: „Liverpool Daily Post”, 9 sierpnia 1927. Odkleiłem karteczkę i rozłożyłem odbitkę. Miała układ raczej lokalnej kroniki towarzyskiej niż gazety. Były na niej trzy fotografie, o wiele za dużo jak na stronę dziennika z tamtego okresu, na której mógł widnieć najwyżej jeden obrazek. Najbardziej rzucał się w oczy artykuł. Nosił nagłówek *Skutnik na morzu*.

„Szanowany skutnik, pan Patrick Boyte, 54 lata, odwiedził wczoraj posterunek policji przy James Street, by być świadkiem zwolnienia z aresztu swojej córki, Jane Elizabeth Boyte, lat 29. Panna Boyte została aresztowana i przesłuchana w sprawie, o której nie chcą mówić ani liverpoolska policja, ani rodzina Boyte'ów. Pan Boyte jednak usilnie podkreślał, że jego córka została zwolniona bez postawienia jej zarzutów czy warunków wstępnych, że nie wniesiono żadnej kaucji i, co więcej, żadne zarzuty jej nie grożą.

Nasz dziennikarz próbował porozmawiać z panem Boyte'em na nieco weselszy temat. Chodziło o sukces odniesiony w zeszłym tygodniu przez pana Harry'ego Spaldinga na jego regatowym szkunerze „Mroczne Echo”. Stali czytelnicy „Posta” przypominają sobie, że po wielkim kwietniowym sztormie statek został sprowadzony do stoczni Boyte'a w stanie niewiele lepszym od tonącego kadłuba. Czy pan Boyte zgadza się, że zwycięstwa w Cowes w ubiegłym tygodniu są hołdem dla prac remontowych wykonanych w jego warsztacie?

Jednak pan Boyte nie dał się wciągnąć w rozmowę. „Nie mam nic do powiedzenia na temat statku czy właściciela”, oświadczył.

„Czy życzy pan sobie, by na kolumnach »Posta« przekazać jego gratulacje panu Spaldingowi?”

„Nie życzę sobie”, odparł. I prowadząc pod rękę uwolnioną córkę, pożegnał naszego korespondenta”.

Przeczytałem to sprawozdanie dwa razy. Był w nim pewien ukryty sarkazm, ton znacznie złośliwszy, niż uznałbym za właściwy w kronice towarzyskiej. Przecież osiemdziesiąt lat temu dla kobiety z wyższych sfer aresztowanie nie było wydarzeniem, nad którym przechodziło się do porządku dziennego. A obydwójce Boyte'owie należeli do wyższej sfery. Patrick wyglądał na człowieka, któremu dobrze się wiedzie. Oświetlenie na zdjęciu odsłaniało żywe szczegóły słonecznego dnia późnym latem. Patrick Boyte, łysy, silny i wysoki, promieniał w drogim, szytym na miarę garniturze z grubym łańcuszkiem złotego zegarka na kamizelce, w usztywnionym kołnierzyku i jedwabnym krawacie. Dłoń, która nie trzymała ręki córki, dzierżyła kapelusz i trzcinkę. Jane, smukła, z krótko obciętymi włosami, miała na sobie lekki letni płaszcz.

Ton notatki przypomni mi reportaż o feministkach z tamtych lat, który czytałem, studiując na uniwersytecie. Charakteryzowała go ta sama przemądrzała, protekcjonalna kpina. Jednak przestępstwo Jane nie mogło mieć nic wspólnego z walką o prawa wyborcze dla kobiet: kronika ukazała się o dwie dekady za późno, by o tym pisać.

„Post” dawał do zrozumienia, że Boyte'ów ustawiono specjalnie do zdjęcia. W tamtych czasach aparaty fotograficzne nie wykonywały zdjęć tej jakości bez statywu i starannych przygotowań. Odległość została starannie oceniona, zmierzone światło. To ktoś z liverpoolskiej policji pomógł zmajstrować tę szopkę. Para została złapana w zasadzkę na stopniach komisariatu. Byłem ciekaw, co też



takiego zrobiła Jane Boyte, by wzbudzić aż taką wrogość. Zastanawiałem się, czego się dopuściła, że ją aresztowano.

Ale nie to intrygowało mnie najbardziej. Uderzył mnie przede wszystkim wygląd samej Jane Boyte. Na jej twarzy malowały się te same uczucia jak u ojca - oburzenie i wściekłość. Była porażająco piękna. Z budowy i rysów twarzy tak podobna do stojącej przy mnie kobiety, że ona i Suzanne mogłyby być siostrami. Złożyłem kartkę i położyłem na wierzchu leżącej na stole koperty.

- Jane Boyte mogłaby być twoją siostrą bliźniaczką.

- Istnieje pewne podobieństwo. To typ podobny do mnie. Przynajmniej tak wygląda na tej fotografii. Ale nie o to chodzi.

I nie chodziło też o aresztowanie. Chodziło o Patricka Boyte'a i o to, czego nie chciał powiedzieć reporterowi „Posta” o pracy, którą wykonał dla Harry'ego Spaldinga.

- Nie sądzę, by to, co opowiedziałeś mi dziś o nieszczęsnym Franku Hadleyu, zdarzało się po raz pierwszy - rzekła Suzanne. - Myślę, że zdarzało się to już wcześniej.

- Masz coś więcej, prawda? - zapytałem. Przytaknęła.

- Tak, jest tego więcej.

Poszliśmy do pubu. Była dziesiąta i Suzanne była oczywiście zmęczona opóźnionym lotem. Ale i tak tam poszliśmy, gdyż oznajmiła, że to, co ma mi do powiedzenia, lepiej przekazać przy drinku. Udaliśmy się do Wiatraka, za rogiem naszego domu przy Lambeth High Street, i znaleźliśmy stolik w kącie praktycznie pustego pubu. Bar miał marynistyczny wystrój, co pasowało do tematu naszej rozmowy. Na ścianach wisiały stare sztychy przedstawiające barki, szkunery i holowniki z minionej epoki, kiedy Tamiza była rzeką pracującą. Niewykluczone, że niektóre z nich zrobiono niedawno - może w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku. Ale wszystkie wydawały się odległe i starodawne, od czasu, gdy je zrobiono tak wiele się zmieniło.

Po śmierci Spaldinga łódź należała do dwóch właścicieli. Pierwszym z nich był spekulant z Bostonu, który stał się niezwykle zamożny, gdyż należał do niewielu ludzi, którzy dostrzegli nadchodzący kryzys w 1929 roku. Każdy, kto miał choć odrobinę rozsądku, wiedział, że w końcu na giełdzie nastąpi krach. Większość uważała, że to samospełniające się proroctwo. Ale Stephen Waltrow przewidział termin z dokładnością tygodnia. Kupił łódź Spaldinga, co spowodowało małe poruszenie w rubrykach towarzyskich bostońskich i nowojorskich gazet. Kiedy Waltrow dokonał zakupu, Spalding nie ostygł jeszcze w grobie. Więk-

szość ludzi zakładała, że to właśnie kryzys był przyczyną samobójstwa młodego człowieka.

Według Suzamie bardzo się mylono. Upiłem łyk gorzkiego piwa. W pubie grała muzyka. Na szczęście nie była to Josephine Baker, tylko Billy Paul lamentował w *Me and Mrs Jones*.

Stephen Waltrow miał brata bliźniaka. W dzieciństwie razem pływali na jolkach. Wychowali się w niezamożnej klasie średniej. Dorastali w pobliżu przystani, a ich ojciec był zapalonym żeglarzem i kiedy jeszcze obydwaj chodzili w krótkich spodenkach, nauczył ich żeglugi. Bracia byli pomysłowi i twardzi. W wieku czternastu lat uczestniczyli w żeglarskiej tragedii, kiedy to w sześć jolek, biorących udział w wyścigu wokół bostońskiej przystani, uderzył szkwał nagły i brutalny, właściwie bez żadnego ostrzeżenia. Cztery jolki przewróciły się do góry dnem i zatoniły. Siedmiu chłopców zginęło. Nastąpiło dziewięć godzin niepokojnego oczekiwania. Ciemną nocą bracia Waltrowowie doprowadzili swą poobijaną łódź na pochylnię, z której wyruszyli. Przeżyli wstrząs i stracili przyjaciół. Mieli jednak dziecięcą odporność i w następny weekend znów znaleźli się na wodzie.

Kevin Waltrow nie był tak przedsiębiorczy jak jego brat. Został gliną. Kiedy jednak Stephen kupił łódź Spaldinga, Kevin chętnie spędzał na niej weekendy. W odróżnieniu od swego brata - kawalera - był żonaty, miał dwójkę dzieci i jego nowe weekendowe hobby stało się przyczyną pewnych domowych niesnasek, które nasiliły się trzy miesiące po zakupie łodzi, kiedy Stephen zasugerował, by bracia spędzili Wielki Tydzień, żeglując „Echem” na Long Island i z powrotem.

Według Suzanne, dzięki wpłacie Stephena na Fundusz Dobroczynny Policji Bostońskiej udzielono Kevinowi dostatecznie długiego urlopu na rejs. Opinia żony na ten temat nie jest znana. Niewiele wiadomo o tym, co się stało, gdy łódź wyruszyła wczesnym rankiem czwartego kwietnia 1930 roku z bostońskiej przystani. Dzień był pogodny, od morza wiała narastająca bryza. Z pewnością nie otrzymano żadnych meldunków, choć statek miał na pokładzie zestaw Marconiego wysokiej klasy. Niczego nie podejrzewano do chwili, kiedy sto pięćdziesiąt mil od brzegu znaleziono jacht bez załogi, dryfujący leniwie i niesiony morskim prądem.

Łódź przyholowano do New Jersey, zatrzymano ją i przeszukano. Na pokładzie nie znaleziono niczego istotnego. Po braciach Waltrowach ślad zaginął. W końcu, miesiąc później, doprowadzono ją z powrotem do Bostonu. Tutaj, może ze względu na bogactwo Stephena albo na pracę Kevina w bostońskiej policji,

jacht przeszukano staranniej i przeprowadzono prymitywne badania z zakresu medycyny sądowej.

- Czy coś znaleźli? Suzanne pociągnęła drinka.

- Sporo krwi. Wydawało się, że bracia mogli stoczyć walkę. Jednego chyba zraniono na gaflu. Na łodziach cały czas zdarzają się wypadki. Chłopcy mieli różne grupy krwi i zabezpieczono duże ilości obu.

- Coś jeszcze?

- Tak. Książeczka czekowa Stephena Waltrowa. Znaleźli ją w szufladzie biurka w głównej kabinie. Też poplamioną krwią. Na jej tylnej okładce ktoś nabażgrał atramentem trzy słowa. Jedno zdanie: „Być z innymi”.

- Czy zagadka wywołała duże poruszenie?

- Nie bardzo. Wszystko zdarzyło się w burzliwym okresie. W Ameryce nie brakowało sensacji ani skandali. Ale wykonano pewnego rodzaju badania. Stąd mam większość informacji.

Badaczem był człowiek o nazwisku Ernie Howes. Były policjant i prywatny detektyw, który zajął się zjawiskami parapsychologicznymi po pierwszej wojnie światowej, kiedy zbiorowa żałoba osamotnionych rodziców stworzyła boom na samozwańczych ekspertów od łączności z utraconymi synami. Howes prowadził lukratywny biznes, demaskując fałszywe media. Zaspokajał jednak apetyty łatwowiernych, dodając niekiedy do informacji gazetowych własną okultystyczną interpretację.

Tragedia jolek mogła oznaczać, że chłopcy przyciągają niebezpieczeństwo. Bliźniaków można uważać za ewidentny przykład niemożności uniknięcia przeznaczenia. Samobójstwo Spaldinga znalazło się na pierwszych stronach gazet całego kraju. Stephen Waltrow to już drugi milioner w tamtym roku, którego spotkanie marny koniec. Obaj byli właścicielami „Mrocznego Echa”. Czyżby jacht był przeklęty? Ludzie lubią historie o łodziach przynoszących pecha. Z jakichś przyczyn skłonni są w nie wierzyć, tak jak skłonni są wierzyć w nawiedzone domy.

- Której historii się trzymał?

- Żadnej - odparła Suzanne, obgryzając paznokiec kciuka. - Przeprowadził wywiad z wdową po Kevinie Waltrowie. Opowiedziała mu o narastającym rozdrażnieniu i gwałtowności Kevina w tygodniach poprzedzających rejs. Howes porozmawiał również z siedmioletnim synem Kevina, Michaellem, mając nadzieję natrafić na jakieś drastyczne szczegóły. Nie sądzę, by bostońska policja chętnie słuchała historii o niedawno zmarłych funkcjonariuszach, którzy biją żony, a w nocy słyszą w swej głowie głosy, które im rozkazują. Ernie Howes obudził się

pewnego ranka w bostońskim hotelu i znalazł na poduszce kulę. Takiej amunicji, nabojów soft point kaliber 0.38, używała policja. Zrozumiał aluzję. Nigdy nie napisał ani słowa o Waltrowie ani o „Mrocznym Echu”.

- Jak się o tym dowiedziałaś?

- Możesz wierzyć lub nie, ale finał tej opowieści nie jest tak do końca tragiczny. Michael Waltrow i jego młodsza siostra Mollie w końcu odziedziczyli całą fortunę wuja. Michael ma obecnie osiemdziesiąt cztery lata, jest w pełni władz umysłowych. Został znanym pejzażystą i dożywa swych dni na Martha's Vineyard. Znalazłam jego telefon, zadzwoniłam i umówiłam się na spotkanie. Powiedziałam mu, że zbieram materiały na temat „Mrocznego Echa”. Nie pytał mnie po co, więc nie musiałam kłamać.

- Czy ucieszył się z tej rozmowy?

- „Cieszyć się” byłoby określeniem zdecydowanie niewłaściwym. Ale powiedział, że czuje ulgę, że może wreszcie z kimś o tym porozmawiać. To właśnie on powiedział mi o Howesie - według niego nieprzyjemnym, spoconym mężczyźnie, który śmierdział whisky i tanimi cygarami.

- Co mówił o ojcu?

- Twierdził, że ojciec został opętany przez diabła. Z łagodnego, pogodnego człowieka stał się nieprzewidywalnym potworem, którego wszyscy się bali i nikt w domu nie poznawał. Przemiana dokonała się w ciągu kilku tygodni. Michael jest przekonany, że to ojciec zamordował swojego brata, a potem się zabił. Ale stanowczo twierdził, że to wina diabła.

- Nie winił samej łodzi?

- Nie. Kiedy doszło do wypadku, był siedmioletnim chłopcem z katolickiej bostońskiej rodziny. Sądził, że ojciec został opętany. Do tej pory tak uważa.

- Co zrobił z łodzią?

- Nic. „Mroczne Echo” odziedziczyła Mollie Waltrow. Jacht niszczał - kałdł w suchym doku. Mollie sprzedała łódź na złom tego samego dnia, w którym stała się pełnoletnia. Nigdy nie postawiła stopy na jachcie.

Odchyliłem się w fotelu i popadłem w zadumę, dopijając ciepłe piwo. Z baru płynęła muzyka, ale w zamęcie, który miałem w głowie po opowieści Suzanne, nie słyszałem, co to za piosenka.

- Jak poznałaś historię Patricka Boyte'a?

- Wiedziałam, że Spalding zatrzymał się w hotelu Pałace w Birkdale po tym, jak musiał pojechać do Liverpoolu, by naprawić uszkodzenia po sztormie. Po

prostu poszukałam w wyszukiwarce Google Spaldinga, Liver-poolu i warsztatów skutniczych. Wskoczyła ta strona gazety.

- Odpowiedziałaś niejasno, kiedy cię zapytałem, czy wiesz coś o „Mrocznym Echu”. Próbowałaś wymigać się od odpowiedzi.

- Nie gniewaj się, Martinie. Nie chciałam psuć nastroju twojemu ojcu. To wszystko.

- Więc dlaczego teraz zdradzasz mi te sekrety?

- Kocham cię. Zależy mi na tobie. Po tym, co opowiedziałeś mi dziś wieczorem, nie miałam innego wyjścia, jak powiedzieć ci wszystko, co wiem.

- Mój ojciec na pewno zna całą tę historię.

- Tak podejrzewam. W każdym razie, przynajmniej niektóre rzeczy. Mówiłeś, że przeczytał dziennik pokładowy.

- Dwaj właściciele, Suzanne. Powiedziałaś, że było dwóch właścicieli.

- Opowiem ci również o drugim. Ale bardzo potrzebuję papierosa. Czy mogę ci opowiedzieć o tym w domu?

Drugą historię opowiedziała mi w swoim pokoju, kiedy nalałem jej kieliszek wina. W oknie zamontowano niewielki wentylator - włączyła go, zanim usiadła przy biurku i odwróciła się do mnie. Uważała, jak przypuszczam, że tylko tutaj może palić bez większego poczucia winy. Kiedy wróciłem z winem, włączyła radio. Bebop ze stacji nadającej jazz zagłuszył brzęczenie pracującego wentylatora.

Gubby Tench był trzeciorzędnym playboyem. Kupił „Mroczne Echo” latem 1937 roku, kiedy miał trzydzieści dziewięć lat i był właśnie po drugim rozwodzie. Mógł sobie pozwolić na łódź, co świadczyło o tym, że zakończył drugie małżeństwo, nie zbankrutowawszy. Ale jacht nie był już taki jak kiedyś. Zamontowano silnik spalinowy, by zaoszczędzić i zatrudnić mniejszą załogę. Tench był wykwalifikowanym żeglarzem. Ale gdy okoliczności tego wymagały, silnik pozwalał mu na zwinięcie żagli i samotne kierowanie jachtem przy niemal każdej pogodzie.

Jacht stracił wiele ze swego blasku. Stracił również swą oryginalną nazwę. Kiedy Tench został jego właścicielem, przechrzcił go na „Asa Trefl”. To dobry wybór, bo Tench był hazardzistą. Pierwszą podróż odbył z Miami, gdzie kupił jacht, do Hawany, gdzie zacumował go w zatoce i zszedł na ląd, gotowy do działania w słynnych kasynach kubańskiej stolicy.

Rejs z Miami zajął mu trzy dni i trzy noce we mgle, którą inni lokalni właściciele łodzi opisywali później jako niemal nieprzeniknioną. Przeszkadzała w



transmisjach radiowych, odczyty kompasu były niespójne, niedokładne, bezużyteczne. Mając na względzie późniejsze wydarzenia, interesująca byłaby wiedza o tym, co się działo z Gubby Tenchem podczas tego dziwnego okresu niezełownej pogody. Ale, oczywiście, dziennik pokładowy został zniszczony, więc nikt nie wie i nigdy się nie dowie, czym się wtedy zajmował ani co sobie myślał.

- Chyba że wie to mój ojciec - zauważyłem. - Utrzymuje, że przeczytał wszystkie tomy dziennika.

Suzanne uśmiechnęła się i zapaliła następnego papierosa. Paliła jednego po drugim, znacznie przekraczając ustaloną przez siebie normę dziesięciu dziennie.

- Wątpię, czy Gubby Tench zapisał w czasie tej podróży choćby linijkę - stwierdziła. - Nie sądzę, by ten typ człowieka trzymał się jakichś morskich protokołów. I nie odnoszę wrażenia, żeby miał zacięcie pamiętnikarskie.

Przybył do Hawany z wysoką gorączką. Na Kubie przed wojną epidemie były codziennością. Kierownik piętra jednego z kasyn, nadzorujący stoły do blackjacka, pomyślał, że Gubby Tench wygląda jak człowiek, w którym rozwija się cholera. Bardzo się pocił, oddychał płytko i świszcząco. Ale na choroby tego rodzaju na ogół zapadali ludzie ze slumsów - rozrzutni amerykańscy goście rzadko się nimi зараżali. A ten gość dopiero co zszedł z jachtu. Jednak wielu świadków mówiło, że Tench wyglądał jak chory, trawiony gorączką co nie wpływało na jego formę przy stołach. Pierwszej nocy wysoko wygrywał. Drugiej wygrał jeszcze więcej. Trzeciego wieczoru, przyciągając tłum widzów, przerzucił się z blackjacka na ruletkę i wywołał powszechne podniecenie, stawiając tylko na czarne. Do chwili, kiedy czar przysł - około wpół do piątej nad ranem - wygrał prawie sto tysięcy dolarów.

- Do czasu, kiedy czar przysł?

- Gracze i obsługa stołów mówili, że tak to właśnie wyglądało. Mówili, że Tench grał, jakby był w transie. Jakby nie mógł przegrać.

- Jestem zaskoczony, że pozwolono mu tak wygrywać. Czy kasyna w tym czasie nie należały do mafii?

- Niektóre - potwierdziła Suzanne. - Kubański dyktator Batista wydzierżawił mafii część swoich kasyn. Resztę prowadzili jego kumple, a on był pośrednim właścicielem. Ale nie mieli nic przeciwko okazjonalnym wielkim wygrany. Tak naprawdę nikt nie wygrywa z kasynem, jeśli ciągle do niego wraca. I dobra passa, taka jak ta, którą cieszył się Tench, zawsze przywabia poważnych klientów.

Jednak Gubby Tench chyba nie cieszył się, że ma takie szczęście. Czwartego wieczoru był już tak chory, że przy stoliku z ruletką musiał się nim zająć lekarz. Tench miał ponad czterdzieści stopni gorączki. Ciśnienie przekroczyło skalę. Mokry od potu, oddychał płytko i niepokojąco sapał. Mówił bełkotliwie, choć nikt nie widział, by wypił choćby łyk z postawionego przy nim darmowego drinka. Pił tylko zimną wodę ze szklanki i kostki lodu grzechotały, gdy podnosił ją do ust.

Nadal wygrywał. Pod koniec czwartego wieczoru zgromadził tyle żetonów, że potrzebował wózka, by zawieźć je do kasjera. Leżały przed nim na suknie - kolorowa kupka malowanej kości słoniowej. A on się uśmiechnął i z kieszeni smokingu wyjął rewolwer. Pokręcił cylindrem nad sukniem i wytrząsnął z niego sześć kul. Popatrzył na ludzi przez sześć okrągłych otworów, które przed chwilą opróżnił. Puścił oko do dziewczyny obsługującej stoły, pokazując język i patrząc na nią z tak bezmyślną pożądlivością że dziewczyna nie mogła później przez tydzień spać. Potem wybrał jedną kulę, włożył do komory i zakręcił cylindrem. Odwiódł kurek, z szerokim uśmiechem przyłożył lufę do skroni i pociągnął za spust.

- Wszyscy gracze odeszli od stołu - ciągnęła Suzanne. - Nikt nie chciał być zbryzgany krwią Tencha. Ale wszyscy zostali, by patrzeć. Lata trzydzieste w Hawanie to lata wolności i luzu. A wszyscy dookoła byli hazardzistami. Frapował ich widok człowieka kładącego na szali swoje życie.

Gubby Tench pociągnął za spust. Kurek szczęknął na pustej komorze. Mężczyzna zamrugał i przez jego oszołomioną twarz przepłynął jakby obłok rozczarowania. Załadował pięć kul do sześciu komór cylindra rewolweru. Uśmiechnął się szeroko, zakręcił cylindrem i jeszcze raz przyłożył pistolet do skroni. Ktoś wrzasnął. Tench pociągnął za spust...

- ...1 kurek szczęknął na pustej komorze - dokończyłem. Suzanne pokiwała głową.

- Zrobił to pięć razy. Raz na każdą kulę w rewolwerze. Potem wytrząsnął łuski, zebrał żetony w obrus, który wziął z baru, i zmienił je na pieniądze, a osłupiała publiczność odprowadzała go oklaskami.

- Był ogromnym szczęściarzem.

- W ogóle nie był szczęściarzem - sprostowała Suzanne. - Szczęście nie ma z tym nic wspólnego. Pięć do jednego to szczęście. Ale pięć do piątej potęgi do jednego? Nikt nie wygrywa, mając tak małe szanse.

- Jedynym akceptowalnym wyjaśnieniem jest to, że amunicja w pistolecie była do niczego.

- To nie był jego pistolet. Zabrał go ukradkiem z kabury gangstera pracującego jako ochroniarz na piętrze. Chyba potrafił robić różne sztuczki, triki, oszukiwać. Tego wieczoru postanowił wrócić na jacht. Za podwiezienie łodzią wożącą tytoń, pracującą w zatoce jako wodna taksówka, zapłacił pół dolara. Sternik powiedział, że to wyrzucone pieniądze. Na tym etapie wszyscy już wierzyli, że mógłby pomaszerować po wodzie do swego „Asa Treflowego”.

Który był tak naprawdę „Mrocznym Echem” Spaldinga.

Gubby Tench nie wrócił do kasyna ani następnego wieczoru, ani kolejnego. Po czterech dniach ktoś poczuł smród wydobywający się z jego jachtu zakotwiczonego w zatoce. Hawana miała gorący klimat i zwłoki rozkładały się tam szybko i prawie całkowicie. Policja weszła na pokład, zakładając, że znajdą tam martwą ofiarę napadu. Jak należało się spodziewać, znaleziono ciało. Lecz Tencha nie zamordowali złodzieje. Nikt nie wchodził na łódź prócz właściciela. Dokładniej: nie wchodził na pokład nikt, kto zostawiłby po sobie ślady.

Tench siedział przy stole nawigacyjnym w głównej kabinie. Wcześniej włożył sobie do ust raketnicę Very'ego i pociągnął za spust. Dolary, sztabki złota i srebra, weksle, a nawet żetony z kasyna leżały przed nim na blacie, tworząc jaszkrawy stos. Nadal miał na sobie koszulę i smoking. Były poplamione potem, żółte ubranie ciasno opinało wzdęte ciało, napięty materiał koszuli odsłaniał nagie torsy w otworach między guzikami. Rakietka nie wybuchła, kiedy Tench wystrzelił, jednak miała dostateczną energię, by odstrzelić mu wierzch czaszki. Fragmenty kości i kawałki mózgu plamiły sufit i tylną ścianę kabiny. Śmierć równie niewytłumaczalna, co brudna. Świadców oczywiście nie było. Tench nie zostawił listu, by rzucić światło na motywy samobójstwa. Chciał się unicestwić bez reszty w piekle hawańskiej przystani, wśród swych bogactw, na pokładzie własnej, małej, pływającej domeny. Udała mu się jedynie wyjątkowo brudna autodestruk-cja. Właśnie dlatego się nie śmiałam, kiedy podzieliłeś się ze mną swoim snem czy wizją pożaru, który zniszczył dzienniki pokładowe „Mrocznego Echa”. Wzmianka o rakiecie sygnalizacyjnej przypomniła mi o strasznym losie Guby'ego Tencha.

Milczałem. Cóż mogłem powiedzieć? Zrobiło się bardzo późno. Mimo wysiłków elektrycznego wentylatora dym papierosowy rozpełzł się po pokoiku i powietrze wydawało się martwe i zatechłe.

- Zastanawiam się, czy oni wszyscy się znali - powiedziała w zamyśleniu Suzanne.

- Kto taki?

- Spalding. Waltrow. Tench.

- Skąd pochodził Gubby Tench?

- Z Nowego Orleanu.

- Więc to mało prawdopodobne - odrzekłem. - Boston i Nowy Jork są dość oddalone od siebie. W tamtych czasach, przed epoką lotów krajowych, odległości były znacznie większe. Nowy Orlean jest zdecydowanie daleko od obu tych miejsc, nawet teraz. Możesz wysunąć argument, że bankowość i spekulacje finansowe to właściwie to samo. Ale Tench był zawodowym hazardzistą, nie tylko geograficznie odległym od Spaldinga i Waltrowa. Kulturowo należał do innego wszechświata.

Ale mnie nie słuchała.

- Wszyscy trzej byli w tym samym wieku, z dokładnością do roku czy dwóch. Zastanawiam się, czy nie spotkali się na wojnie. - Spojrzała na mnie i poczułem, że nadchodzą komplikacje. - Wojna sprawia, że demografia przestaje mieć sens, Martinie. Nie respektuje barier klasowych czy kulturowych. Bardzo chciałabym zobaczyć zdjęcie Załogi Jerycho. To, które ma twój ojciec.

Nie odpowiedziałem.

- To dziwne - mruknęła Suzanne.

- Co takiego? Wcześniej włączyła radio.

- Właśnie to zagrali. Grają znowu tę samą piosenkę. Powtarzają ją. Rozpoznałem ją. Nie brzmiała jak jazz, choć Suzanne miała radio na stałe nastawione na stację jazzową. Piosenkę śpiewał zespół Prefab Sprout i nosiła tytuł *Kiedy miłość się kończy*. Śpiewał ją niedoszły ksiądz, Paddy McAloon. Według Suzanne powtarzał ją. To rzeczywiście dziwne. Ale po opowieści o Gubbym Tenchu ta dziwność wydawała się nieistotną osobliwością. Podszedłem do radia i wyłączyłem je.

- Chyba pora iść spać - powiedziałem. Objąłem Suzanne, szukając u niej pociechy.

Jej włosy pachniały dymem, zwietrzałymi perfumami i recyklowanym powietrzem, którym jest się zmuszonym oddychać w samolocie. Ale czułem przy sobie jej ciało - ciepłe, miękkie i cudowne. Zamknąłem oczy i znów podziękowałem za nią Bogu. Wierzyłem, że to Bogu, nie Grupie z Shadwell musiałem dziękować za Suzanne. I wydawało mi się, że z radia popłynęła pojedyncza, melan-

cholijna nuta ballady McAloona. Ale musiało mi się tylko wydawać, gdyż Suzanne nadal miękko się do mnie przytulała, z dłońmi splecionymi na moich plecach.

Nie chciałem, żeby kręciła się przy Załodze Jerycho. Jak zauważył mój ojciec, wszyscy od dawna nie żyli. Ale dla mnie byli zdziczałymi duchami, które otrzymawszy właściwą zachętę, mogą się włóczyć przez dekady w poszukiwaniu łupu. Złe, niespokojne, czekają w niecierpliwym stadzie na swojego wygłodniałego przywódcę. Nie, Załogę Jerycho lepiej pozostawić jej samej i historii. Podpowiadała mi to intuicja. Uwolniłem się z objęć Suzanne i poszedłem umyć zęby. Wróciłem do łóżka i słuchałem, jak bierze prysznic. Wreszcie tego wieczoru w Lambeth, objęci, zapadliśmy w sen, dzięki Bogu pozbawiony koszmarów.

Rano obudził mnie telefon od ożywionego ojca. Spojrzałem na uspioną Suzanne, na jej kruczoczarne włosy na zgniecionej białej poduszce, a potem na zegarek. Dochodziło wpół do siódmej.

- Będę wdzięczny, jeśli się tu pokażesz, Martinie. I to szybko, jeśli nie masz pilniejszych zobowiązań. Zabierz ze sobą ten swój powolny skandynawski samochód. W taką pogodę śmigłowcem nie da rady.

Sennie odsunąłem zasłony. Nie chciałem budzić Suzanne po męczącym dniu i wyczerpującym wieczorze. Pogoda była ohydna, nasz ograniczony widok na rzekę wskazywał, że woda jest szara i spieniona od wiatru, a obłoki wiszą nisko. Perkusja deszczu biła o szybę i bębniła w jezdnię wielkimi, dźwięczącymi kroplami. Jakimż ponurym miesiącem okazał się marzec!

- O co chodzi? - spytałem.

- Frank Hadley chyba zmaga się z jakimś załamaniem. Odchrząknąłem, jeszcze nie całkiem obudzony.

- Zakładam, że wiesz o pożarze, tato?

- Wiem. Ale Hadley nie wie. Zwęglony dziennik pokładowy nie stanowi problemu.

- A co stanowi?

- Po prostu przyjdź, Martinie.

Zgodnie ze swoim ojcowskim zwyczajem, odwiesił słuchawkę.

Na drodze do Hamble - nic nie wspominając o tym, czego sam doświadczyłem, ani o tym, czego się dowiedziałem - starałem się zasiać w umyśle ojca wątpliwości. Powiedziałem, że zgodnie z tym, co wiemy, możemy nazwać



„Mroczne Echo" statkiem skłonnym do wypadków. Rejs, który mieliśmy w perspektywie, wydawał się ryzykowny.

Rozwazał to, co powiedziałem. Bez natychmiastowego komentarza. Wyjął z pudełka cygaro i przez chwilę je palił. Nie wybuchnął, co było jego zwykłym sposobem reagowania, gdy przypierano go do muru. Wiedziałem, że nie wynika to z szacunku, jaki do mnie żywi, ale z tego, że świadectwa były przekonujące i wbrew jego życzeniom stawały się przekonujące coraz bardziej.

- Każda rzecz jest przeklęta jedynie w retrospekcji - odezwał się w końcu. - A zła reputacja zawsze jest przede wszystkim kwestią interpretacji. Jeśli wspinacze giną, próbując wejść na himalajski szczyt, i próba się nie udaje, wyprawa jest przeklęta. Rozgniewali yeti lub zantagonizowali duchy gór, albo podaje się jakiś inny podobny nonsens, niemożliwy do dowiedzenia ani do odrzucenia. Jeśli zaś wspinaczka na szczyt zakończy się powodzeniem, nie ma znaczenia, co stało się z zespołem podczas zejścia. Ekspedycja jest uznana za sukces. Cel został osiągnięty. Nic nie jest przeklęte. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

- Nie bardzo.

- W roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym wyprawie zorganizowanej przez Chrisa Boningtona udało się zdobyć południową ścianę Annapurny. Był to ostatni wielki nierozwiązany problem, ostatnie wyzwanie, jakie miał do zaoferowania dach świata. Pewnego ranka, trzysta metrów od szczytu, Don Whillans i Doug Scott, kierownicy wyprawy, wyszli z namiotu i dotarli do wierzchołka. Podczas zejścia do bazy dwóch ludzi z zespołu zginęło w dwóch różnych wypadkach. Czy wyprawa była przeklęta? Czy góra przyniosła pecha?

Droga do naszego celu w Hamble była prosta, ale prowadzenie samochodu okazało się trudne, bo widoczność była okropna, a drogą płynęła woda.

- Ty mi powiedz, tato.

- Bonington był dość dobrym wspinaczem. Wspiął się na północną ścianę Eigeru. Razem z Whillansem dokonał pierwszego przejścia Filarem Freney. Jednak jego główny talent polegał na organizacji i na manipulowaniu mediami. Annapurna nie została przeklęta. Ekspedycja okazała się triumfem, ponieważ tak to zdołał przedstawić Bonington.

Nie byłem przekonany. Mój ojciec o tym wiedział.

- Na łodzi gromadzą się ludzkie myśli i uczucia, Martinie. Wewnątrz krucho kadłuba można pielęgnować nasze marzenia i aspiracje dotyczące przygód i osiągnięć. Jednak łódź jest jednocześnie miejscem, gdzie nasze lęki i nasza niepewność mogą zostać wzmocnione i zniekształcone tak bardzo, że grozi to zdro-

wiu psychicznemu. Mogę tylko stwierdzić, że „Mary Celeste” nie spotkałby tak zagadkowy i tragiczny los, gdyby przy sterze stał Kolumb albo Drake.

Roześmiałem się. Musiałem.

- Nie jesteś Kolumbem, tato. Z pewnością nie jesteś też Drake'em. A nawet nie sędzę, żebyś był Boningtonem.

Też się roześmiał.

- Nie jestem. Nie jestem ani przez chwilę. Taki ze mnie wspinacz jak z „Mrocznego Echa” statek przeklęty.

Kiedy dotarliśmy do stoczni Franka Hadleya, czekał już na nas na nabrzeżu otoczony tłumem swych pracowników. Cieśnina Solent miała odcień spizu, na falach tworzyła się piana, a na linii przyływu gromadziła brzydka, żółta zawiesina. Jakieś wielkie stworzenie wyciągnięto na wciągarnie z wody i zawieszono za ogon na linie przymocowanej do żurawia nad mokrym dokiem tuż obok miejsca, gdzie przykryte spoczywało „Mroczne Echo”, ciche i ślepe. Mocno pachniała krew i wydzieliny. Tułów należał do morświna czy delfina. Nie miał głowy. Zarznięte stworzenie obracało się powoli na stalowej linie, wystawione na podmuchy wściekłego wichru. Wyglądało jak ogromny, ale na wpół ukończony przedmiot, jakiś niezręczny żart, rozgrywany przeciw naturze. W stoczni panował przejmujący chłód, ale bezgłowe stworzenie, zwisające z żurawia, nic nie czuło.

- Wyrzuciło go na brzeg dziś rano przed świtem - wyjaśnił Hadley mojemu ojcu. Pod targaną wiatrem czupryną wyglądał mizernie. Ten sam wyraz twarzy widziałem wczoraj wieczorem u Patricka Boyte'a.

- To znak, panie Stannard. To zły omen, wyraźniejszego ostrzeżenia mi nie trzeba. Nie potrzebuję ludzi przesądnych, by mi go objaśniali. Chcę, aby pańska ohydna łódź zniknęła z mojej stoczni. Zwrócę panu wszelkie wydatki związane z jej usunięciem. I będę szczęśliwy, wypłacając panu rekompensatę za wszelkie opóźnienia pierwotnie ustalonego harmonogramu.

Ojciec się roześmiał. Patrzył z niedowierzaniem na obracające się zwłoki stworzenia.

- Z powodu tego? Dlatego że jakiś morświn został zraniony śrubą statku w najbardziej uczęszczanym miejscu na morzach świata? Co to za pieprzony kawał, Hadley? O jakich cholernych czarach rozmawiamy?

- To nie morświn, panie Stannard. Widzi pan, że jest za duży na morświna. I jest daleko od domu. To gatunek delfina zwykle spotykany tylko w wodach tropikalnych.

Przeszył mnie dreszcz. Nie miał nic wspólnego z zimnem. Myślałem o Gubym Tenchu, jego nieustającym szczęściu, jego strachu i jego łodzi, kołysanej we mgle przez prąd zatokowy. Spojrzałem na przykryte całunem „Mroczne Echo”. Na tę samą łódź.

- I to nie była śruba - mówił Hadley tu i teraz, w deszczu na nadbrzeżu. - To zrobiła ryba. Rekin.

Ale ojciec nie patrzył na resztki delfina.

- Podam cię do sądu - powiedział do Hadleya. - Zrujnuję cię, kurwa, jeśli to zrobisz.

Hadleya jednak słowa ojca nie poruszyły. Już był bardzo zdenerwowany tym, że sprawy toczyły się w złym kierunku.

- Będę zrujnowany, jeśli tego nie zrobię - uzasadniał swoje zdanie, uśmiechając się gorzko.

Na skraju mojego pola widzenia dostrzegłem jakiś ruch. Zobaczyłem, że ktoś jest na pokładzie „Mrocznego Echa” i za chwilę wdrapie się na nadbrzeże. Ktokolwiek to był, między linami przytrzymującymi plandekę poruszał się lekko i z wprawą. Mężczyzna zeskoczył zwinnie na bruk, zacierając dłonie. Miał na sobie płócienne spodnie, zapiętą kurtkę marynarską i wełnianą marynarską czapkę przykrywającą rudawe zmierzwiłone włosy. Miał rumianą wysmaganą wiatrem twarz. Co za kontrast: nagle uświadomiłem sobie, jak bladzi ze strachu są ludzie z grupki pomocników Franka Hadleya.

- Kto to? - spytał mój ojciec.

- To Peitersen. Z Ameryki. Może być pańskim wybawcą. A jeśli zdoła przekonać pana do swych zamiarów, może okazać się również moim wybawcą.

**Ojciec** zaprosił Peitersena na śniadanie w przydrożnej kawiarni, jakieś półtora kilometra od warsztatu. Hadley, kiedy już poinformował właściciela „Mrocznego Echa” o swoich zamiarach wobec łodzi, zdecydowanie się odprężył. Określenie „ciężar na barkach” najwyraźniej stosowało się do niego, ponieważ wyraż-

nie się wyprostował i wydawał się wyższy. Czuł, że publicznie werbalizując swą decyzję, udobruchał wszystkie złe siły, jakie według niego sprzysięgły się przeciw niemu. Oczywiście trzeba poczekać z odholowaniem statku, aż ta przerażająca pogoda poprawi się choć na chwilę. Ale tutaj jachtowi nikt już nie poświęci ani minuty pracy.

Peitersen się zbliżył, Hadley przedstawił nas sobie, a ojciec przełączył się z oburzenia i wściekłości na swój zwykły tryb kindersztuby. Było to raczej wycofanie taktyczne, a nie kapitulacja. Mógł zrujnować Hadleya w sądach, oczywiście, że mógł. Mógł zrealizować swoją groźbę. Ale spowodowałoby to opóźnienie w realizacji jego prawdziwego celu i konkretnej misji: restauracji i ponownego spuszczenia jachtu na wodę. Kołysałem się na wietrze na śliskim od smaru bruku, który pokrywał ten kamienny szaniec na skraju morza. Zapach słonej wody atakował nos, a ofiara okrutnego okaleczenia zwisała ze stalowej liny tuż przed moimi oczami. I nagle po raz pierwszy uświadomiłem sobie całą głębię urojeń, które opanowały tatę. Z tego, co mówił na drodze do Hamble, „Mrocznemu Echu” nie brakuje niczego prócz kompetentnego PR-u. Łódź potrzebuje morskiego Chrisa Boningtona, który opowiadałby o jej mocnych stronach, o osiągnięciach w regatach i może również o estetyce konstrukcji. Nie istniała taka rzecz jak łódź przynosząca pecha. Były tylko pechowe i czasami tragiczne indywidualia, które od czasu do czasu przebywały na jej pokładzie. W ruchliwych warsztatach skutniczych zdarzają się czasami nieuniknione wypadki. Znudzony personel pilnujący magazynów czasami przemyca do nich papierosy i zostawia tłące się niedopałki, które wzniecają pożar. Ssaki morskie nie są wystarczająco inteligentne, by unikać śruby promu płynącego na wyspę Wight, zwłaszcza gdy ich szwankujący sonar każe im oddalić się setki mil od właściwego kursu.

Nic go nie odstraszy. Wszystko da się wyjaśnić. Wiara w szczęśliwą gwiazdę i w Boga wszechmogącego były jedynymi mistycznymi elementami, jakie ojciec uznawał w życiu. Nie pozwalał, by lęk innych przed czymś, co pogardliwie nazywał „czarami”, wpłynął na jego postawę. Odremontuje „Mroczne Echo” i poniesie wszelkie koszty, jakich statek zażąda. Odbędzie nim rejs transatlantycki, a ja popłynę z nim nie dlatego, że to zaproszenie mi pochlebia, ale dlatego, że kocham go tak bardzo, iż czuję podejrzaną, złowrogą niebezpieczeństwo i nie mogę pozwolić, by stawał mu czoło samotnie. Gdybym to zrobił, straciłbym go, jestem tego pewny. Nie chcę, by mój ojciec został pokonany przez strach i szaleństwo. I nie śmiem nawet myśleć, że go stracę.

Takie myśli snułem na nabrzeżu warsztatu skutniczego Hadleya. Wydawały się doskonale pasować do okoliczności. Bezgłowy delfin kołysał się i na bruk kapąła z niego jakaś lepka ciecz. Daleko w cieśninie zadźwięczała syrena statku, nadwątlona i zniekształcona przez wiatr. Pod szarym niebem stali ludzie Hadleya, szarzy i wynędzniali, z łopoczącymi połami ubrań. Mój apodyktyczny ojciec, z grzywą siwych włosów, wyglądał na skazanego na zagładę. A łódź, którą kupił, tkwiła niczym tajemnica pod postrzępionym brezentem.

Gdy tylko dotarliśmy do kawiarni, Peitersen zupełnie zmienił ten nastrój. Był pełen życia, energiczny i skupiony. Jego oczy jaśniały entuzjazmem równie mocno jak podwójny rząd mosiężnych guzików jego marynarskiej kurtki. Miał w sobie coś, co z braku lepszego określenia trzeba nazwać stylem. Mówił tylko o jasnych konkretach. Przewieziemy „Mroczne Echo” na płaskodennej barce morskiej, gdy tylko wynajmiemy ten statek i holownik do jej ciągnięcia i pogoda się poprawi. Już pomyślał o prowizorycznym miejscu postoju jachtu. Pięć mil dalej na wybrzeżu znajdowała się mała stocznia, którą na krótko mogliśmy wynająć. Nie była ostatnim krzykiem techniki, jak stocznia Hadleya, nie miała wyposażenia, by budować długie łodzie wikingów do epopei filmowych, ale miała wszelkie niezbędne urządzenia, by znowu uczynić z „Mrocznego Echa” jacht zdolny do żeglugi po morzach, znów dumny i piękny, mówił, pałaszując angielskie śniadanie.

Wiedziałem, że takie przemowy bez trudu uwiodą ojca, ponieważ ubierającego najzarliwsze marzenia w słowa, którymi sam by się posłużył. Ale Peitersen mnie nie przekonał. Przyglądałem mu się uważnie. Nie był tak młody, jak sugerowały - widziane z pewnej odległości - jego zwinne ruchy na łodzi. Miał zmarszczki wokół oczu i lekko obwisłą skórę na szyi. Zdjął czapkę. Fale rudawych włosów wyglądały dość młodzieńczo. Jego opalenizna sugerowała tropiki i również odejmowała mu lat. Początkowo brałem go za około trzydziestopięciolatka, ale miał prawdopodobnie ponad pięćdziesiątkę.

- Nie wierzy pan, że ten jacht przynosi pecha, panie Peitersen? - zagadnąłem.

- Wystarczy - powiedział do mnie z uśmiechem. Miał bardzo białe zęby kontrastujące z opalenizną niepasującą do pory roku. -I nie, nie wierzę, synu. Sądzę, że to jacht, który miał za dużo pechowych właścicieli. Ale to był jego pech. A jego losy właśnie się zmieniają.

Spojrzałem na ojca. Uśmiechał się teraz szeroko, niemal błogo. Peitersen rzeczywiście mógł nim manipulować. A przecież dopiero co się poznali.



- Jak wyjaśnisz sprawę delfina, Jack?

Spojrzał na mnie niebieskoszarymi oczyma, równie jasnymi jak jego uśmiech. Był bardzo bystry. Pomyślałem, że jeśli ręce ma równie sprawne jak umysł, remont jachtu ojca zostanie przeprowadzony błyskawicznie.

- Nie ośmieliłbym się tego robić - odparł. - Próba wyjaśnienia zagadek morza to przejaw ludzkiej arogancji. Uważam, że martwe stworzenie to tylko martwe stworzenie, nic więcej. Nie będę spekulował, dlaczego tutaj pływało i w jaki sposób zdechło. Wolę mieć do czynienia z drewnem, smołą, gwoździami i liną. Mogę sprawić, że „Mroczne Echo” będzie reagowało na najlżejszy dotyk steru. Mogę z niego wycisnąć osiemnaście węzłów pod pełnym ożaglowaniem, synu. Wolę mieć do czynienia z rzeczami praktycznymi, niż dumać na temat przesądów.

Skinałem głową. Naprawdę nie lubiłem, kiedy nazywał mnie „synem”.

- Nie wierzę w przekleństwa. Trzymam się tego, co wiem.

- Widzę to.

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Skąd?

- Ponieważ zjadłeś jajka, bekon i parówki do ostatniego kawałka. Ale zostawiłeś nietkniętą kaszanke.

Spojrzał na swój talerz.

- Jeśli mi mówisz, że ta rzecz jest jadalna, Martinie, czuję się zobowiązany uwierzyć ci na słowo. Ale tylko dlatego, że wyglądasz na uczciwego chłopaka.

Rozbawiony ojciec uderzył rękaw stół. Przyszło mi na myśl, że prawdopodobnie dzięki optymizmowi jego życie było takim sukcesem. Ten optymizm wydawał się niezatapialny.

- Nie lubisz go, co?

Wracaliśmy moim saabem do Londynu.

- Jest wyniosły. Protekcyjny. I sędzę, że jest bardziej skomplikowanym typem, niż się wydaje.

- Mam nadzieję, że jest bardziej skomplikowany od Franka Hadleya - odparł ojciec.

Nowy warsztat znajdował się po drugiej stronie Southampton Water, między Calshot i Lepe, zaraz za cyplem i starą przystanią szalup w Calshot.

Na czas remontu ojciec zgodził się pokryć koszty pobytu Peitersena w hotelu w Exbury. Hotel był stary, ale bardzo wygodny, z doskonałą restauracją. Peitersen powiedział jednak, że większość nocy spędzi raczej w stoczni. Oznajmił, że z nadejściem wiosny i cieplejszych wieczorów taki nocleg będzie wystarczająco

wygodny, a poza tym praktyczniejszy, bo zagwarantuje, że nie nastąpi poślizg w uzgodnionym planie robót. Oczywiście w uszach ojca taka gadka brzmiała jak muzyka.

- Wiesz, Martinie, nie musisz płynąć ze mną w ten rejs - powiedział łagodnie.

- Wiem.

- Możesz nie chcieć popłynąć. Suzanne może nie chcieć cię puścić. Zrozumiem, jeśli się teraz wycofasz. To da mi trzy miesiące na znalezienie załoganta, a trzy miesiące to dużo czasu.

- Płynę, tato. Nic mnie nie powstrzyma.

- Dobrze - powiedział i uściśnął moje ramię. - Bardzo się cieszę, że tak czujesz.

Tak potrzebna chwilowa poprawa pogody nastąpiła następnego dnia. Nie pojechałem, by obserwować wydarzenia. Było jasno i rześko, pogoda dla śmigłowca, i moje usługi jako kierowcy nie były potrzebne. Peitersen wynajął holownik i barcę, więc „Mroczne Echo” wciągnięto na pokład i umocowano tam bez żadnych problemów. Po krótkiej podróży przez niewinne błękitne wody wyładowano łódź w nowej stoczni, też szybko i sprawnie. Ojciec powiedział mi tego wieczoru przez telefon, że obecne warunki sprawiają, iż burzliwa pogoda w poprzednich dniach wydaje się jakimś dziwnym, wagnerowskim snem. Frank Hadley nie pojawił się, gdy wyciągano jacht z jego doku.

- Nie pytaj, gdzie był - powiedział ojciec. - Prawdopodobnie załatwiał wypychanie delfina.

- Peitersen?

- Uosobienie kompetencji. To żeglarz do szpiku kości, Martinie. I ma dar przewodzenia. Ludzie robią o co proszą, niemal zanim o to poproszą.

Skinałem głową co jest dość głupim gestem w rozmowie telefonicznej, gdzie liczą się tylko słowa i ton głosu. Ale nie lubiłem Jacka Peitersena i nie sądziłem, że kiedykolwiek polubię.

Jednak trzymał się tego, co obiecał w liście do Hadleya wysłanym pocztą lotniczą. Nie było dalszych przerażających wypadków. Kwiecień przyniósł dłuższy okres ciepłej wiosennej pogody, a mały, dobrany przez Peitersena zespół rzemieślników czynił duże postępy. Doszło do dyskusji, czy zamontować silnik, a jeśli tak, to jakiego typu. Nie uczestniczyłem w niej. Ojciec niechętnie odnosił się do pomysłu, aby jacht poruszało coś innego niż wiatr. Peitersen uważał, że to wyłącznie kwestia praktyczna, nie ma istotnego wpływu na estetykę łodzi i że

silnik znacznie ułatwi niedoświadczonym żeglarzom, takim jak ja i ojciec, bezwypadkowe manewry w porcie, wypływanie i wchodzenie. Mówił, że silnik to tylko jedna z innowacji, która poprawia funkcjonowanie statku, nie naruszając jego integralności. Pozostałe to najnowszy system komunikacji między lądem a morzem, system nawigacji satelitarnej i sonar, zapobiegający wpływaniu na mieelizny czy rozerwaniu kadłuba przez podwodne skały. Wszystkie te urządzenia były zasilane przez akumulatory.

Ojciec szczegółowo rozważał zalety i wady silnika. Powiedzenie, że się tym zadrećzał, to przesada, ale niewielka. Spalding, bohater wojenny i czempion regatowy, nie chciał mieć silnika. Peitersen chyba się roześmiał, słysząc ten argument. Odparł, że gdyby małe, czyste, współczesne morskie turbiny wtedy istniały, jego prapradziadek uznałby zamontowanie silnika na „Mrocznym Echu” za rzecz oczywistą. Ojciec w końcu zgodził się na silnik. Decydującym argumentem było to, że silnik nie zmieniał oficjalnego statusu jachtu jako prawdziwie klasycznego szkunera. Ja jednak sądzę, że zdecydował respekt dla opinii Peitersena, w miarę jak rósł wpływ tego mężczyzny, dzięki jego oczywistym kwalifikacjom i ogromnym postępom w remoncie łodzi.

Ojciec bardzo nalegał, żebym przypilnował dwóch etapów: dopasowywania głównego masztu oraz zamocowania na pokładzie dziobowym kabestanu, łańcucha i kotwicy. Obie operacje zaplanowano na pierwsze dni maja. Moja teoretyczna wiedza żeglarska była wtedy już dość spora i wiedziałem, jak płynąć z Whitstable i wokół wyspy Sheppey na prawdziwym jachcie pod żaglami. Zacząłem się jednak orientować, że naprawdę potrzebuję doświadczenia na szkunerze podobnej klasy co „Mroczne Echo”. Na pokład łodzi ojca musiałem wejść z konkretnymi umiejętnościami.

Poszukałem w Internecie i znalazłem firmę, która organizowała przebieranki i jako dziewiętnastowieczny żeglarz spędzało się kilka dni na pokładzie rozmaitych zrekonstruowanych jachtów. Wszystkie były wyposażone znacznie bardziej spartańsko, niż miała być wyposażona po remoncie łódź ojca. Spało się w hamaku, myło w beczce deszczówki na pokładzie, a kiedy słońce zanurkowało za horyzont, jedyne oświetlenie stanowiły lampy naftowe. Nawet racje żywnościowe były podobne do tych z tamtych czasów. Świeże było tylko to, co złapałeś na wędkę. Wszystko wyglądało bardzo conradowsko. Dokładnie takiego zanurzenia w czyste żeglarstwo potrzebowałem.

Podróż szkunerem firma planowała na koniec kwietnia. Może szczegóły wzięto nie tyle z Josepha Conrada, co z Erskine'a Childersa. Statek wyruszał z

Rotterdamu i płynął przez Morze Północne do wschodniego Fries-landu i pasa wysp u wybrzeży Dolnej Saksonii. Był to zimny, wilgotny, a nawet opuszczony kawałek świata. Znałem go tylko z opisu Childersa w jego powieści *The Riddle of the Sands*. Mieliśmy rzucić kotwicę przy wyspie Baltrum i pozostać tam przez parę nocy, by obserwatorzy ptaków, należący do zaimprovizowanej załogi, mogli oddać się swemu masochistycznemu nałogowi. Potem jacht wracał do Rotterdamu i dawał susa do Antwerpii na remont. Jacht nazywał się „Andromeda” i początkowo zarejestrowano go jako jednostkę brytyjską, stępkę położono w Clyde, w 1878 roku. Winston Churchill wtedy uczył się chodzić. Telefonu jeszcze nie wynaleziono. Miałem powierzyć moje życie na Morzu Północnym łodzi zbudowanej całe dziesięć lat wcześniej niż Kuba Rozpruwacz zainauguował swój krótki sezon okropności.

Wydawało się to bardzo dobrym pomysłem. Nawigowanie na zwodniczych płyciznach obok łańcucha wysp, dokąd się udawaliśmy, było znane z trudności. Pływy następowały tam szybko, krążyły silne prądy. Często nagle pojawiała się gęsta mgła. No i jeszcze żywioł samego Morza Północnego. Dużo się nauczę.

- Przywieziesz mi coś? - spytała Suzanne.

- Prawdopodobnie skorbut - odparłem - jeśli spojrzeć na dietę, jaką będziemy stosowali.

Zaśmiała się. Nie miała nic przeciwko temu, bym popłynął. Moja wyprawa miała się odbyć w tym samym czasie, co jej już prawdopodobnie ostatnia inspirowana przez Collinsa podróż do Irlandii. W ubiegłym tygodniu zapytała, czy może zwiedzić stocznię w Lepe i zobaczyć „Mroczne Echo”. Pojechaliśmy tam i rozmyślnie zaskoczyliśmy Jacka Peitersena. Nie chciałem, żeby na powitanie Suzanne przygotował jakąś lipę.

Wydawał się szczerze uradowany naszym widokiem. Przed Suzanne rozciągał się graniczący z zalotnością dworski czar rodem z Nowej Anglii. Chyba jej się to podobało. Z „Mrocznego Echa” zdjęto osłony. Słońce przeświecało między łatami, mosiężne elementy błyszcząły, a iluminatory mrugały i oślepiały w blasku słońca. Jacht pachniał świeżo malowanym drewnem, farbą i dopiero co położonym lakierem. W obszernej kabinie kapitańskiej unosił się silny aromat wosku do polerowania i natłuszczonej skóry luksusowej tapicerki zamówionej przez ojca.

Łódź zdawała się zupełnie różna od jachtu, na którego pokładzie przeżyłem wcześniej chwile przerażenia. Wszystko było czyste, zdrowe i nowe.

Wizyta na statku w świetle dnia, w towarzystwie Suzanne i Peitersena sprawiła, że wcześniejsze doświadczenie wydawało się halucynacją. Nagle zrozumiałem, co miał na myśli ojciec, kiedy nazwał cały epizod w warsztacie skutniczym Hadleya „wagnerowskim”. Teraz przegnano nastrój ponurego przygnębienia. Wymieniono schody zejściówki. Były mocne i sprężynowały pod stopami. I kiedy po nich schodziłem, nie czułem strachu. Zaniepokojony spojrzałem na miejsce, gdzie w głównej kajucie na ścianie wisiało lustro. Nie było po nim śladu. Zobaczyłem, jak Suzanne zerka na mnie badawczo. Niepotrzebnie się o mnie niepokoiła. Fizyczna rzeczywistość tego, co widziałem na „Mrocznym Echu”, świetlana wspaniałość jachtu zepchnęła w moim umyśle wcześniejsze przeżycia, jak to się w końcu dzieje ze złymi snami.

Od czasu naszej niespodziewanej wizyty w stoczni w Lepe niewiele rozmawialiśmy z Suzanne o podróży ojca. Zadała kilka pytań na temat Peitersena. Na drugie pytanie odpowiedziałem pytaniem, czy się jej może spodobał. No i musiałem się uchylić przed rzuconą przez nią książką. Więcej nie pytała. Odniosłem wrażenie, że jej także podróż do Lepe dodała otuchy. Nie rozmawialiśmy o tym, jednak realność wyremontowanego „Mrocznego Echa” wydawała się niesłychanie oddalona od wizji Harry'ego Spaldinga, której doświadczyłem na przykrytym płótnem wraku, co opisałem Suzanne. Jeszcze bardziej oddalona była od dramatycznej zagadki braci Waltrowów i hazardzisty Gubby'ego Tencha. Po wizycie w Lepe tamte wydarzenia uznałem za bardziej symptomatyczne dla owego niezdrowego, histerycznego okresu w historii niż dla samego jachtu.

Suzanne miała torbę przewieszoną przez ramię, a na przedramieniu płaszcz. Kiedy schyliła się po bagaż, na jej twarz spadło pasmo włosów. Zdmuchnęła je i się wyprostowała - smukła, zdecydowana i zachwycająca.

- Czy to będzie wzruszające? Pożegnanie z Michaellem Collinsem? - zapytałem.

Uśmiechnęła się, patrząc w podłogę. Uśmiech wydawał się smutny.

- W moim życiu nie ma miejsca na duchy. Podszedłem, objąłem ją i pocałowałem na pożegnanie.

- Na duchy nie ma miejsca w życiu żadnego z nas. Musnęła palcami mój policzek.

- Kocham cię, Martinie.

- Dziękuję za to Bogu.



Podczas podróży do wschodniej Fryzji pogoda była okropna. „Andromeda” śmierdziała olejem rybnym, gnijącymi konopnymi linami i drewnem nasiąkniętym morską wodą. Miała mokre żagle, a zęzy napełnione gulaszem starego brudu, zbyt gęstym, by mogła go usunąć jakaś pompa, co sprawiało, że nawet pod pełnymi żaglami łódź poruszała się niemrawo. Miała tendencję do kołysania się i skrzypiała niepokojąco, kiedy wiatr i prąd pchały ją w różnych kierunkach.

Na jachcie płynęło nas ośmiu - zbyt wielu jak na załogę. Z początku byłem zbędny i z braku czegoś bardziej kształcącego spędzałem mnóstwo czasu, obserwując morze rozpościerające się za relingiem na rufie statku. A obserwowanie wód Morza Północnego było pouczające. Wód niespokojnych, skotłowanych, nigdy w spoczynku. Zawsze uważałem morze za leniwe, nawet w czasie sztormu. Tylko dlatego, że prawie nic o nim nie wiedziałem. To żywioł energiczny, który kłócił się sam ze sobą i chyba nie mógł się zdecydować, co zrobić ze swą przepastną głębią i straszliwą energią. W nocy wydawało się spokojniejsze. Ale nocny ruch na morzu mógł okazać się niebezpieczny, jeśli nie zachowało się czujności.

Kiedy drugiego dnia rejsu uderzył w nas mocny szkwał i przyniósł ponadmetrowe fale, do obrzydliwego koktajlu zapachów doszedł zapach rzygowin. Zwinęliśmy żagle. Łódź podskakiwała na falach i czułem, jak od uderzeń stare deski trzęsą się pod moimi stopami. Wiedziałem, że aby „Andromeda” rozłamała się i zatoneła, potrzeba czegoś znacznie gwałtowniejszego niż to, co się dzieje. Potrafiła znieść podobną a nawet jeszcze gorszą pogodę. Z drugiej strony, była statkiem sędziwym. I choć zadbano o autentyczność, to o statek raczej nie zadban.

Morze pod ołowianym niebem przybrało posepny zielony kolor. Wiatr znad arktycznej Norwegii dmuchał i kłuł, wywołując odrętwienie każdej odsłoniętej części ciała. Pokład omywały deszcz i fale. Miałem sztormiak na spodniach i swetrze z natłuszczonej wełny. Moja kurtka łopotała, usiłując zerwać mi się z głowy. A ja się uśmiechałem. Cieszyłem się z tego, że jestem wystawiony na działanie żywiołu. W innych miejscach ludzie w takich warunkach łowili ryby, dostarczali ładunki, przygotowywali się do wojen. Na mnie nie spoczywała podobna odpowiedzialność i mogłem po prostu upajać się chwilą.

Poczulem klepnięcie po ramieniu i odwróciłem się. Był to kapitan Straub, właściciel „Andromedy”. Wytracony z marzeń rozejrzałem się. Na pokładzie nie było nikogo poza nami.

- Widzę, że już pewnie czuje się pan na morzu! - krzyknął. Uśmiechnął się do mnie przez siwą zroszoną wodą brodę. Był Holendrem i miał bardzo silny akcent.

- To chyba wrodzone, kapitanie.

- Więc ma pan szczęście - odparł. - Czy zechciałby pan przejąć ster, panie Stannard?

- Z radością, kapitanie.

- Niech pan tylko trzyma kurs.

Prawdopodobnie Straub chciał zapalić, wysikać się czy coś takiego. Byliśmy za daleko od lądu, by groziło wprowadzenie statku na mieliznę. Do zsynchronizowania kolizji potrzeba dwóch, a przecież facet przy sterze drugiego statku będzie kompetentny. Jednak kiedy powierzono mi ster, poczułem dreszczyk dorosłości. To oznaczało, że łódź jest w moich rękach; jestem odpowiedzialny za siedem pozostałych dusz na pokładzie. Przyjemność, jaką poczułem, uświadomiła mi, jak niewiele w życiu dokonałem. Ale ta świadomość nie zepsuła mi przyjemności. To nie było zaskoczenie ani objawienie. Żyjemy w epoce pomniejszych dokonań. Przez chwilę wydawało mi się, że sterowanie siedemdziesięcotonowym szkunerem w czasie sztormu dobrze mi robi. To była praca fizyczna. Mimo przekładni między kołem a płatem steru czułem na ramionach siłę fal i ciężar łodzi. Obok koła na kolumnie znajdował się kompas szafkowy. Wytarłem kropelki wody z jego półkolistej szklanej osłony i sprawdziłem namiar. Wiedziałem, gdzie jesteśmy i dokąd zmierzamy.

Ląd objawił się następnego popołudnia postrzępionymi szarymi garbami na szarym horyzoncie. Kiedy rzuciliśmy kotwicę nieopodal Baltrum, nasi obserwatorzy ptaków mieli twarze szare, wymizerowane od torsji. Malowało się na nich zadowolenie, ponieważ mieli płynąć ku czemuś stabilnemu pod stopami: wsiadali do łodzi wiosłowej spuszczonej z burty na sfalowane morze. Patrzyłem, jak obserwatorzy odpływają, ale zgłosiłem się na ochotnika, by zostać na pokładzie. Będę miał kabinę dla siebie. Dzikie piaski, trzciny i rzadkie ptaki nie stanowiły dla mnie zbytnej atrakcji.

Kapitan Straub również został. Tego wieczoru razem jedliśmy kolację. Kapitan był kucharzem pełnym inwencji. Przygotował rodzaj casse-role z jęczmienia, gotowanego bekonu i szalotki. Popiliśmy to weissbier, a później raczyliśmy się doskonałym duńskim serem i wspaniałą brandy kapitana. Bardzo się to różniło od robaczywych statkowych sucharów i solonego śledzia. Była to również niezwykle przyjemna droga do szkorbutu.

Kiedy skończyliśmy posiłek, kapitan wyjął tytoń z wielkiego woreczka, skręcił papierosa i rozsiadł się w fotelu. Z miejsca, w którym siedziałem, rozejrzałem się po kabinie. Głód i rozmowa nie pozwoliły mi wcześniej należycie przyjrzeć się otoczeniu. Kabina Strauba, mniejsza od kabiny ojca na „Mrocznym Echu”, nie dorównywała tamtej pod względem przepychu i wytworności urządzenia. Naprawdę jednak godny uwagi był fakt, że wszystko w niej musiało pochodzić z późnego wieku XIX. Jedliśmy kolację przy świecach. Po prawej, nad małym stolikiem koło iluminatorów wisiała na haku lampa naftowa. Zwinięte mapy nawigacyjne leżały na stole obok sekstansu. Do obliczeń służył suwak - kość słoniowa, z której go wykonano, pożółkła w ciągu dziesięcioleci od wilgoci ludzkich dłoni. Kiedy zbliżaliśmy się do wyspy, pomiarów głębokości dokonywaliśmy sondą ołowiową. Straub miał koję, nie hamak, a kajutę ogrzewał kominek na drewno. To dość przytulne schronienie przed żywiołami należało do innych czasów i denerwowałoby mnie, gdybym był tutaj sam, a nie w towarzystwie.

Straub wstał i postawił garnek z kawą na palniku naftowym na stole pod lampą. Zapalił palnik drewnianą zapalką. Zauważyłem, że morze uspokoiło się, ucichło. Przez iluminatory widziałem dryfujące za szkłem macki mgły.

- Czy wierzy pan w duchy, kapitanie?

Nadal był odwrócony do mnie plecami. Zobaczyłem, że prawie niedostrzegalnie zeszywniał, a potem cicho się roześmiał.

- Wiedziałem, że takie pytanie zostanie postawione. A jednak pozwoliłem, by mnie zaskoczyło.

Odwrócił się. Straub również mógł uchodzić za artefakt z XIX wieku; ludzki artefakt o wymizerowanej twarzy, potężnych ramionach i stalowo-siwej szczecinie brody. Zaciągnął się mocno papierosem, którego koniuszek rozjarzył się w mroku kajuty. Gestem głowy wskazał czajnik na palniku.

- Poczekamy na kawę, panie Stannard. A potem opowiem panu historię o duchu.

Usadowiliśmy się na krzesłach, kawa i butelka brandy stały na stole między nami. Mgła nacierała teraz na iluminatory białym, solidnym kocem. Jacht stał na kotwicy zupełnie spokojny. Przy bezwietrznej pogodzie morze na zewnątrz było nieruchome i ciche. Kapitan oznajmił, że dowodzi „Andromedą” od dwunastu lat. Był jej panem od roku, kiedy zobaczył widmo.

- Płynęliśmy po Oceanie Atlantyckim, panie Stannard. Niektórzy Amerykanie są wspaniałymi i wymagającymi żeglarzami jachtowymi. Miałem na pokła-

dzie pięciu, wszyscy sprawni i twardzi. - Znowu się zaśmiał. - Chyba żaden z nich nie obserwował ptaków.

Uśmiechałem się, by zachęcić go do kontynuacji, i upiłem łyk mocnej, dobrej kawy.

- Znajdowaliśmy się około czterystu mil na wschód od wyspy Nantu-cket i płynęliśmy kursem wschodnim, choć nasze położenie nie ma raczej znaczenia. Był wrzesień i było ciemno od godziny. Stałem tam... - wskazał stół z mapami - i obliczałem średnią szybkość, ponieważ jeden z gości na pokładzie mnie o nią zapytał. Podniosłem wzrok i duch siedział tam, gdzie teraz siedzi pan.

Zrobiło mi się zimno. Kawa w kubku była gorąca, w kominku nadal płonął ogień, a ja, z pełnym żołądkiem i w tym przytulnym schronieniu, marzyłem w grubym swetrze.

- Kto to był?

- Mężczyzna w brązowym mundurze, stalowym hełmie, z bandażem zakrywającym mu połowę twarzy. Powiedziałem „mężczyzna”. Tak naprawdę to był chłopiec. Ze strachem w młodych, umęczonych oczach. Osiemnastoletni żołnierz czy coś koło tego, z błotem na onucach i karabinem, który leżał na jego kolanach i wyglądał, jakby był dla niego za duży.

- Co robił?

- Nic nie robił. Po prostu na mnie patrzył.

- Co pan zrobił?

- Zamknąłem oczy. Kiedy je otworzyłem, już go nie było. Odetchnąłem.

Widmem Strauba nie był więc Harry Spalding. Nie było

oczywiście powodów, dla których miałyby to być akurat on. Ale duchy i logika nie są zgodnymi towarzyszami w moim umyśle i czułem ulgę, czystą i nieskażoną. Spalding był żołnierzem. Ale gość Strauba był niewinny. A Spalding nigdy nie był niewinny. Straub widział kogoś innego.

Twierdził, że zrobił wszystkie zwykłe rzeczy, wynalazł wszelkie możliwe usprawiedliwienia. Był zmęczony. Niewyspany. Zestresowany i prawdopodobnie nieco pijany. Miał rozbuchaną, niezdrową wyobraźnię.

- Oczywiście, to wszystko nieprawda..

- Czy zobaczył pan tego ducha ponownie?

- Widywałem go bardzo rzadko. Nie częściej niż raz w roku, a czasami przerwa wynosiła aż osiemnaście miesięcy.

- Jak się zachowywał?

- Zawsze tak samo.

- Zatem nie wie pan, kto to jest?

- Mniej więcej pięć lat temu przeprowadziłem pewne badania na temat historii „Andromedy”. Nie miało to nic wspólnego z moim duchem. Ludzie wchodzą na statek i zadają pytania, a ja nie miałem należytej wiedzy o jej historii. Jest sędziwą morską starszą panią, panie Stannard. - Podniósł kieliszek, upił łyk brandy, a potem ponownie napełnił nasze kieliszki i wyjął woreczek z tytoniem. - Ma barwną przeszłość.

W swoim czasie spotkałem kilku gadatliwych opowiadaczy, nałogowych gawędziarzy. Mój ojciec jest dla mnie najbardziej jaskrawym przykładem człowieka zauroczonego brzmieniem własnego głosu, kiedy przemawia do słuchaczy. Ale kapitan Straub do nich nie należał. Kiedy siedziałem przy jego stole, w jego kajucie, na tym spowitym mgłą morzu, czułem, że opowiada mi tę historię nie dlatego, że chce, ale dlatego, że czuje taki przymus.

- Dowiedziałem się, że została zarekwirowana po jednej z ogromnych, katastrofalnych ofensyw sił sprzymierzonych w końcowych etapach I wojny światowej. Jej portem macierzystym w tamtym czasie był Whit-stable, na wschodnim wybrzeżu hrabstwa Kent w Anglii.

- Znam ten port.

- Pożeglowała do Calais. Popędziła do Calais. Ale na próżno. Ofiary bitwy, które zabrała, były zagazowane. Nikt z nich nie mógł oddychać. Wszyscy cierpieli katusze. - Kapitan zapalił papierosa i gestem wskazał jeden z iluminatorów. - Gdy wracała, mgła opadła. Była to mgła gęsta, nieprzenikniona, bardzo podobna do tej. Myślę, że mgła jeszcze bardziej zaszkodziła płucom tych biednych, rannych chłopców. Nikt z młodych żołnierzy nie przeżył tej podróży.

Kiwnąłem głową.

- Skąd pan wiedział, że zapytam o pańskiego ducha?

Kapitan Straub dopił brandy. Zrobiło się późno. We dwóch niemal opróżniliśmy butelkę. Nie przypuszczam, bym kiedykolwiek w życiu czuł się bardziej trzeźwy.

- Zobaczyłem go ubiegłej nocy. Pierwszy raz od niemal dwóch lat. I myślę, że próbował do mnie mówić.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Nie miałem nic do powiedzenia.

- Czy zna pan okrutny i piękny poemat o ataku gazowym, panie Stannard? Mam na myśli poemat napisany przez jednego z największych poetów wojennych, Anglika?

- Wszyscy czytaliśmy Wilfreda Owena w szkole.



- Więc będzie go pan znał. Będzie pan znał wiersz o płucach zatrutych pianą. Zeszłej nocy, kiedy leżałem w mroku na koi, mój duch próbował wykorzystać swoje zatrute pianą płuca, by do mnie przemówić. W życiu nie chciałbym znów usłyszeć tego dźwięku.

- Skąd ta zmiana?

- Przez pana, panie Stannard. Głowiłem się i jako przyczynę wymyśliłem tylko pana. Tu nie może chodzić o któregoś z tych miłośników ptaków z Baltrum.

- Rozumiem pana, kapitanie.

- Mój duch próbuje mnie przed czymś ostrzec. I sędzę, że mam przekazać to ostrzeżenie panu.

Milczałem. Zrozumiałem, dlaczego, gdy jedliśmy i potem, pił z umiarem. Holender nabierał odwagi i najwidoczniej przypuszczał, że może jej potrzebować, jeśli zostanie wyrwany ze snu przez nocnego gościa. Ale kiedy przed pójściem spać robiliśmy obchód pokładu, szedł pewnie i chyba zdawał sobie sprawę z każdego szczegółu i aspektu jachtu, którym dowodził.

Jeśli duch powrócił, kapitan mi o tym nie wspomniał. Ale nie sędzę, by znów się ukazał. Następnego ranka mgła opadła i nasza spostonowana, acz nieświadoma grupa miłośników ptaków z Baltrum znów do nas dołączyła. Miałem nadzieję, że udało im się zobaczyć z bardzo bliska mnóstwo rzadkich okazów i że udało im się zrobić wspaniałe zdjęcia. W drodze powrotnej nastąpiło bowiem pogorszenie pogody, a z nim powróciła choroba morska. Współczułem im, ale mnie ich niedyspozycja wyszła na dobre. Prowadzenie szkunera w warunkach sztormowych jest prawdziwym wyzwaniem dla dwóch ludzi i choć kapitan był wytrawnym żeglarzem, miałem mnóstwo okazji, by podnieść moje żeglarskie kwalifikacje, podczas gdy reszta załogi rzygała.

Nie wysiadłem w Rotterdamie. Polubiłem „Andromedę” i chciałem odprzewadzić ją do Antwerpii, na remont. Dobrze, że tak zrobiłem.

- Niech pan przejmie ster, panie Stannard - powiedział kapitan Straub, kiedy wpływaliśmy do portu. Przejąłem. I zacumowałem ją bardzo fachowo w ruchliwym porcie, na niespokojnych wodach.

Na nadbrzeżu uścisnęliśmy sobie dłonie. Polubiłem również kapitana „Andromedy”.

- Myślę, że zobaczył pan swojego ducha po raz ostatni - powiedziałem do niego.

Powoli pokiwał głową. Spojrzał na łódź, a ja wiedziałem, że ją kocha. Wyglądała na zmęczoną i anachroniczną wśród tankowców i frachtowców w tętniącym życiem porcie. Ale będzie dobrze. Nadal tliło się w niej życie.

- Musisz na siebie uważać, Martinie - rzekł Straub.

Nie wiedziałem nawet, że wie, jak mam na imię. Trzymałem w ręku torbę. Nadszedł czas, by odejść. Kiwnąłem głową, potwierdzając, że słyszałem, co powiedział, odwróciłem się i odszedłem.

Na pokładzie „Andromedy” nie mogłem używać telefonu komórkowego. Regulamin pokładowy zakazywał używania komórek. Leżała cały czas w mojej torbie, wyłączona. Oczywiście nie mogłem jej nigdzie doładować. Ale w baterii zostało akurat tyle mocy, by wysłać Suzanne SMS-a, informującego, o której mniej więcej będę w domu. Czy już wróciła z Dublina?

Tak, odpowiedziała. Czeka na mnie w Wiatraku o ósmej wieczorem.

Wydawało się to nieco dziwne. Mam słabość do pubów, jak większość mężczyzn, ale po tygodniu pod masztami moim marzeniem był gorący prysznic, wieczór przed telewizorem z Suzanne w ramionach, a potem przez godzinę czy dwie doganianie świata via Internet.

Dopiero kiedy mój samolot wystartował z Antwerpii, zaczęło do mnie docierać pełne znaczenie tego, co zaszło między kapitanem Straubem a jego duchem. Straub uważał, że duch stara się go ostrzec. Sądził, że ostrzeżenie przeznaczone jest dla mnie. Każde ostrzeżenie z za grobu, które mnie dotyczyło, musiało dotyczyć Harry'ego Spaldinga. Ogniwem łączącym Spaldinga z angielskim żołnierzem była wojna, w której obaj walczyli i w której angielski chłopiec został śmiertelnie ranny. Umarł na pokładzie „Andromedy”. Byłem załogantem „Andromedy” jedynie przez kilka dni, kiedy po dekadzie widmowego milczenia zjawia żołnierza próbowała coś powiedzieć.

Najgorsze było to, że od czasu podróży z Suzanne do Lepe sprawa Harry'ego Spaldinga zeszła w moim umyśle na bardzo daleki plan. Rzeński, wiosenny angielski dzień, jak u Enid Blyton, plus galanteria Peitersena i robiący wrażenie splendor „Mrocznego Echa” niemal całkowicie zagrzebały Spaldinga na dnie mojej pamięci. Ale duch ze statku Strauba znów wypchnął go na pierwszy plan. Widziałem jego dziki uśmiech i ciało, sprężone i zwinne, ukryte pod cywilizowaną osłoną ubrania. Podczas lotu śniłem, że razem z ojcem znajdujemy się na pokładzie jego łupu, unieruchomieni w gazowej mgiele na morzu krwi.

Kiedy wszedłem do pubu, Suzanne siedziała w tym samym miejscu, w którym siedzieliśmy oboje poprzednim razem, podczas wieczoru rewelacji. Wydała się blada nawet jak na nią a pod oczyma miała cienie posępne niczym sinia-ki. Uśmiechnęła się blado i złączyła leżące na kolanach dłonie. Rzuciłem na nie ukradkowe spojrzenie i zobaczyłem, że paznokieć prawego kciuka został ogryziony niemal do żywego mięsa. Wstała i pocałowaliśmy się, a w moich ramionach wydawała się prawie niematerialna, tak schudła. Miała puste spojrzenie, jakie widuje się u modelek na pokazach mody. A minął tylko tydzień. W ciągu tych siedmiu dni zrzuciła chyba ponad trzy kilogramy. Odłożyłem torbę, poszedłem do baru po drinka i spojrzałem na jej odbicie w lustrze za barem. Zastanawiałem się, czy ma zamiar za chwilę mnie rzucić. Była zdrętwiała z niepokoju. Wiedziałem, że straszliwą pewnością, że za moment się mnie pozbędzie.

- Jak było we wschodniej Fryzji?

- Ani razu nie zszedłem na ląd. Zagadka piasków pozostaje więc zagadką. - Napilem się piwa. Nie wiedziałem, co powiedzieć. To mniej więcej było wszystko, co miałem do przekazania. Ale Suzanne milczała i czułem się zobowiązany wypełnić tę ciszę. - Czy wiesz, że Erskine Childers i Michael Collins byli przyjaciółmi? Nachmurzyła się. Patrzyła na stół.

- Myślę, że raczej kolegami.

- Naprawdę?

- Collins był bardzo zaściankowy w swych przyjaźniach.

- To znaczy?

- Irlandczyk i katolik urodzony w hrabstwie Cork, to jego **preferencje**.

- Chociaż obaj mieli ze sobą coś wspólnego. Obydwu zabito podczas wojny domowej.

Suzanne nie odpowiedziała. Siedziała ze spuszczoną głową.

- Tak?

Spojrzała na mnie.

- Nie pojechałam do Dublina, Martinie. Przykro mi, ale cię okłamałam.

Odruchowo upiłem łyk piwa. Uśmiechnąłem się. Nie wiem, dlaczego się uśmiechnąłem. Czułem się jak po ciosie w brzuch.

- Och?

- Pojechałam do Francji.

- Jest Francuzem, prawda? Jest pieprzonym zabojadem. Pojechałaś i sprawiłaś sobie francuskiego chłopaka. Jezu Chryste.

- Pojechałam tam z powodu Załogi Jerycho. Płakała teraz, odpędzając łzy mruganiem.

- Pojechałam tam, ponieważ się o ciebie bałam.

Czułem ulgę, kiedy dowiedziałem się, że duch kapitana Strauba nie jest Harrym Spaldingiem. Ale ta ulga była niczym w porównaniu z tym, co czułem teraz. Suzanne nie kłamała, by mnie zwieść. Kłamała z niepokoju o moje bezpieczeństwo. Za moimi plecami przeprowadziła śledztwo. I najwidoczniej odkryła coś przerażającego i niepokojącego. Ale wiedziałem w głębi serca, że żadna trudna sytuacja nie zasmuciłaby mnie tak, jak odejście Suzanne. Nic nie mogło być gorsze. Dowodem na to było miażdżące odrętwienie, jakie mnie ogarnęło, kiedy jej odejście z mojego życia wydawało mi się tak bliskie.

- Lepiej mi powiedz, czego się dowiedziałas. Bo dowiedziałas się czegoś, prawda?

W pubie grała muzyka. Billy Paul znowu lamentował na temat swojej miłości do pani Jones. Otoczenie i piosenka były bardzo znajome. Siedzieliśmy przy ulubionym stoliku w naszym lokalu. Ale nic nie wydawało się dobrze znane. Zorientowałem się po wyrazie jej twarzy, jak bardzo Suzanne tęskni za papierosem. Ale nie sugerowała pójścia do domu. Zamiast tego odchrząknęła i zaczęła wyjaśniać, co takiego robiła, kiedy bawiłem się w wilka morskiego.

Intrygowały ją okoliczności aukcji w firmie Bullena i Clore'a. Opowiadałem jej poprzednio, jak mój ojciec przepłacił za łódź. Po przeprowadzeniu badań na temat zagadki Waltrowów i drastycznej śmierci Gubby'ego Tencha, Suzanne postanowiła wyjaśnić sprawę aukcji. Nie mogła zrozumieć, jak ktoś może licytować telefonicznie, próbując kupić spory kawał morskiego złomu.

Odkryła, że oferentów telefonicznych było dwóch, a nie jeden. Bullen i Clore, oceniwszy niespodziewany poziom zainteresowania „Mrocznym Echem”, zatrudnili prowadzącego licytatora, specjalistę w dziedzinie sztuki i antyków z Chichester. W każdym innym zawodzie przekroczyłby już wiek emerytalny. David Preston był zręczliwym snobem, próżnym i, jak odkryła Suzanne, cudownie niedyskretnym. Odwiedziła go, podając się za kolekcjonerkę miśnieńskich figurek. Udawała, że zamierza sprzedać coś ze swego zbioru. Powiedziała mu też, że żegluje. Było to drogie hobby, a jej łódź wymagała remontu, na co potrzeba funduszy. Teraz wystarczyło łagodnie szturchnąć rozmowę, by skierować ją na coś, co nazywał „koszmarnym” interesem podczas ostatniej aukcji, którą poprowadził w lokalu firmy Bullen i Clore.

Aukcja była koszmarna, ponieważ Bullen i Clore to para chciwych filistrów, działających w obskurnym i podupadłym lokalu, którzy z opóźnieniem zapłacili mu prowizję. Była nieprzyjemna, ponieważ jeden z telefonicznych oferentów bardzo źle przyjął swoją przegraną. To była spółka z Brukseli o nazwie Martens i Degrue. Za to, że ich przelicytowano, winili wadliwą łączność. Ściśle rzecz biorąc, mieli argumenty. Dla dwóch rywalizujących oferentów telefonicznych powinny być dwie linie, a nie jedna. Kiedy młotek uderzył po raz ostatni, zaczęto wypowiadać ciemne groźby. Pełne jadu.

- Kim był drugi oferent? - spytała Suzanne niedbale.

Preston poinformował ją, że to neapolitańska firma Cardoza Associates. Oni też byli niezadowoleni z rezultatu licytacji. Ale według Davida Prestona licytację w Bullen i Clore wygrała właściwa strona. Magnus Stannard, który z pewnością dawno powinien dostać tytuł szlachecki, to prawdziwy angielski dżentelmen z dużymi zasobami i szanujący zwyczaj szczodrych napiwków. Martens, Degrue i Cardoza mogą iść do diabła, przynajmniej według Davida Prestona. I prawdopodobnie są z piekła rodem.

Suzanne odniosła wrażenie, że mimo okazywanej nonszalancji David Preston doznał wstrząsu. Pożegnała go z uczuciem, że ta rozmowa była nie tyle niedyskrecją z jego strony, ile rodzajem katharsis. Wyszczekane przez telefon z Brukseli groźby faktycznie odbiły się na nim niekorzystnie. Kiedy od niego wychodziła, było wpół do piątej po południu, a on pił już trzeci okazały gin z tonikiem. A spożyty alkohol jeszcze nie opanował drżenia ręki unoszącej szklanekę.

Poszukiwania internetowe nie odsłoniły niczego zaskakującego na temat firmy Martens i Degrue. Spółka fasadowa, w zasadzie przykrywka dla przedsiębiorstwa unikającego rozgłosu.

- Powiodło mi się natomiast z Cardoza Associates - powiedziała Suzanne. Oni cały czas licytują na aukcjach na całym świecie. Kupują głównie sztukę sakralną.

- Od sztuki sakralnej do wraku podejrzanej łodzi to spory przeskok - zauważyłem.

Skinęła głową.

- Zwłaszcza jeśli się rozważy źródło ich finansowania. Za wszystko, co Cardoza Associate pomyślnie wylicytuje, płaci bank watykański.

- Więc pojechałaś do Francji, aby dowiedzieć się czegoś o Martensie i Degrue?



- Nie - odpowiedziała. - Nie słuchałeś mnie uważnie. Pojechałam do Francji śladami Harry'ego Spaldinga, by dowiedzieć się jak najwięcej o Załodze Jerycho.

- Zimny trop - mruknąłem. Suzanne upiła drinka i uśmiechnęła się.

- Nie masz pojęcia jak zimny.

Rodzina Spaldinga mieszkała od pokoleń na Rhode Island. Jej członkowie należeli do pierwszych osadników w kolonii. Gdy Harry się rodził, byli bogaci. Zachowywali się jednak bardzo dyskretnie. Jedynym klubem czy organizacją, do której należeli, było chyba towarzystwo dyskusyjne, do którego należało kilka wybitnych rodzin z Rhode Island. Wydawało się ono nie tylko ekskluzywne, ale miało w jakimś stopniu charakter dynastyczny. Budowniczy jachtu Harry'ego, Josiah Peitersen, był członkiem tego towarzystwa.

- Towarzystwo praktykowało rytuały inicjacyjne - opowiadała Suzanne. - I nawet w epoce rozkwitu tajemnych zgromadzeń, zamkniętych klubów i elitarnych żeńskich korporacji na Wybrzeżu Wschodnim Ameryki to akurat towarzystwo było niewiarygodnie tajemnicze.

- To brzmi jak opis sekty - stwierdziłem. - Jak się nazywało?

- Jeśli miało nazwę, a myślę, że z całą pewnością miało, trzymano ją w sekrecie. Kiedy o nim mówiono, używano jedynie terminu „członkostwo”.

- Czy ono nadal istnieje?

- Nie. Zostało zniszczone w czasach prohibicji. Jego lokale zburzono, a gruzy polano benzyną i podpalono. Następnie na to miejsce wjechały buldożery, by zatrzeć po nim wszelki ślad.

- Więc był to klub, w którym sprzedawano nielegalnie alkohol?

- Nie, Martinie. Prohibicyjne prawodawstwo stanowiło tylko mało wiarygodny pretekst do zniszczenia towarzystwa. Asystowali przy wszystkim ludzie z FBI. Oraz dwóch jezuitów. Jednym z nich był egzorcysta z nowojorskiej diecezji. Mówiłeś przed chwilą o sekcie. Myślę, że bardziej pasowałoby słowo „okultyzm”. Sądzę, że członkowie rodziny Harry'ego Spaldinga byli satanistami, że praktykowali czarną magię, być może od czasów procesów czarownic i stosów w Nowej Anglii. W raporcie, który czytałam, nie wspomniano o soleniu ziemi za buldożerami. Ale nie zdziwiłabym się, gdyby to robiono.

- Więc Frank Hadley miał rację, mówiąc o czarach.

- Niewykluczone.

- Istnieje dobry sposób, by się o tym dowiedzieć. Zapytajmy Peitersena - zasugerowałem. - Jest samozwańczym ekspertem od „Mrocznego Echa”. Zapy-

tajmy go, czym zajmował się jego pradziadek, kiedy dyskutował z klanem Spaldingów.

Poprzednio Suzanne uśmiechała się blado, teraz - bardzo blado. Jej twarz stała się biała jak kość.

- Możemy go zapytać. Ale to bezcelowe. Ponieważ Jack Peitersen nie jest tym, za kogo się podaje. Jack Peitersen nie istnieje.

Jęknąłem.

- Lepiej opowiedz mi, czego się dowiedziałas o Jacku Peitersenie.

- Dojdę do Peitersena. Najpierw muszę ci powiedzieć o Załodze Jerycho.

- Czy mogę przyjąć, że Waltrow i Tench byli członkami?

- Dla Harry'ego Spaldinga byliby podporucznikiem Waltrowem i kapralem Tenchem. I rzeczywiście, Martinie, należeli do Załogi Jerycho do jej smutnego końca.

## 5

**Wyprawa** do stoczni w Lepe wcale nie dodała Suzanne otuchy. Jadąc, niepokoiła się, jak zniósę kolejną wizytę na „Mrocznym Echu”. A kiedy tam przybyliśmy, pomyślała, że w Peitersenie jest coś fałszywego. Że za jego uprzedzającą amerykańską grzecznością i czarem tak naprawdę nic nie ma. Uważała, że jego uśmiech kojarzy się z napisem „wolne pokoje” w jasno oświetlonym oknie motelu. Wbrew mojemu wrażeniu, że poczuli do siebie sympatię, Suzanne nie lubiła go jeszcze bardziej niż ja. Nie spodobał jej się na pierwszy rzut oka, a przede wszystkim nie wzbudził w niej zaufania.

Po wizycie w Lepe chciała się dowiedzieć jak najwięcej o tajemnicy łodzi, której mój ojciec i ja z tak wielką determinacją zamierzaliśmy powierzyć życie. Miała umiejętności detektywistyczne, praktykę i bystry umysł, ale stwierdziła, że podczas śledztwa ogarnia ją poczucie beznadziejności. Wydawało jej się mało prawdopodobne, że informacje, do których dotarła, mają w ogóle jakieś znaczenie. Jednak jej śledztwo nabrało rozpędu i nie mogła go teraz przerwać. Tę niebezpieczną przygodę dyktował los - jej przebieg był z góry ustalony. Targały nią także wątpliwości, bo mnie okłamywała. Pracę na temat Collinsa wykonała i zamknęła. Ale ja tego nie wiedziałem, prawda? Suzanne zdołała przekonać samą

siebie, że jeśli niczego nie znajdzie, nigdy się nie dowiem o Francji i kłamstwach. Ale jeśli coś znajdzie, może uda się powstrzymać ojca i mnie przed żeglarską wyprawą prosto ku jakiejś strasznej tragedii. Suzanne wiedziała, że w jej rozumowaniu jest wiele rozmaitych luk i sprzeczności. Ale po spotkaniu z Peitersem w warsztacie w Lepe czuła, że musi działać.

Dowiedziała się o służbie wojskowej Waltrowa i Tencha, najpierw z ich nekrologów, a następnie z amerykańskich archiwów wojskowych, które mogła ściągnąć na komputer. Korzystała z dostępu BBC, nadal utrzymując, że poszukuje materiałów do programu o Michaelu Collinsie. Pretekstem był dokonany przez IRA czarnorynkowy zakup broni z rezerw amerykańskich po rozejmie w 1918 roku. Ten handel kwitł na coraz większą skalę w okresie irlandzkiej wojny domowej. Nikt nie kwestionował tej ścieżki badań. Miała wystarczające uzasadnienie. W wyniku poszukiwań w amerykańskim archiwum wojskowym danych na temat Waltrowa, Tencha i Spaldinga Suzanne znalazła informacje o Załodze Jerycho. Odkryła też niepokojący fakt, że dokumenty dotyczące działalności grupy we Francji i Flandrii są nadal tajne niemal dziewięćdziesiąt lat po ich powstaniu.

- Dowiedziałam się, że mieli bazę - opowiadała Suzanne. - Nie była to baza oficjalna, jak koszary. Mieściła się w stodole na farmie, około dziesięciu kilometrów za systemem okopów alianatów, niedaleko wsi Bethune w północnej Francji. To nadal tereny rolnicze, a ta farma wciąż istnieje. Załoga się tam zbierała. Jeśli któryś z nich podczas akcji oddzielił się od grupy, zostawał z tyłu lub się zgubił, jak najszybciej kierował się właśnie tam. W stodole trzymano wodę, żywność w puszkach, paliwo, ubranie na zmianę, a nawet broń i amunicję.

- To dziwne, że jednostki alianckie, przechodząc obok stodoły, nie zwędziły tego wszystkiego. Nawet jeśli wystawiono wartę, szczególnie żywność musiała stanowić pokusę. Żołnierze w czasie wojny raczej nie słyną z uczciwości w takich sprawach. Na froncie zachodnim szerzyły się drobne kradzieże, nawet w ramach jednej kompanii, nie mówiąc o batalionie.

- Załoga Jerycho nie składała się z ludzi, których się okrada - odparła Suzanne. - Żołnierze może nie są bardzo uczciwi, są za to ogromnie przesądni.

-I pomyślałaś, że stodoła nadal może tam stać?

-Pomyślałam, że są na to spore szanse. Mówimy o francuskiej wsi. Ziemia nie jest tam tak cenna jak w Anglii. Nie ma konieczności upraw intensywnych. Farmerzy nie burzą budynków, chyba że mają po temu bardzo istotne powody. Są na ogół dość konserwatywni. Nie wprowadzają zmian dla samych zmian. Pomyślałam: jest szansa, że stodoła pozostała nienaruszona. A potem zidentyfiko-

wałam ją na fotografii lotniczej. Zrobiłam to bez wstawania z fotela, przed komputerem w pracy. Tak samo zbierałam wstępne materiały na temat podporucznika Waltrowa i kaprała Tencha.

- Co znalazłaś w stodole?

- Dojdę do tego. Najpierw muszę ci powiedzieć, co robiła Załoga Jerycho.

Przyniosłem z baru drinki. Byłem zmęczony po podróży z Antwerpii. Zmęczony i brudny, a poranne przybijanie do nabrzeża na „Andromedzie”, całkowicie oddanej moim dłoniom, zdawało się wspomnieniem już milszym, bo oddalonym w czasie. Cudzołożne błagania Billy'ego Paula z głośników na półkach za barem zastąpił Martin Gaye, zawodzący półgłosem na temat dobra, które umiera młodo. Czasami zło również młodo umiera, pomyślałem, szukając drobnych i przyglądając się swemu odbiciu w lustrze za barem. Przypomniałem sobie należące do ojca zdjęcie Załogi Jerycho. Ich młode twarze wyrażały obłęd i zagubienie. Zadrzałem, choć w pubie nie było zimno. Zapłaciłem za drinki i zaniósłem je do stolika, gdzie siedziała Suzanne. A ona zaczęła wyjaśniać mi różne sprawy.

To Kanadyjczycy wymyślili wypad z okopów. Byli pełni wigoru i zaczepni, co prawdopodobnie brało się z tego, że u siebie przeważnie wiedli spokojne życie na łonie przyrody. Nie to, co mięso fabryczne zindustrializowanej Anglii, przyzwyczajone do niewolniczej pracy przy tokarce na dwunastogodzinnych zmianach przez sześć dni w tygodniu. Byli ludźmi otwartych przestrzeni i impas na froncie zmusił ich do wynajdywania działań, by urozmaicić monotonię. Wypadki z okopów przeprowadzano nocami, by wzmocnić morale żołnierzy i zaspokoić ich młodzieńczy apetyt na zabijanie wroga.

Stosowano zaimprovizowaną broń, niemal średniowieczną - zarówno w formie, jak i w surowej brutalności działania. Broń musiała być cicha. Były to przeważnie różne odmiany noża, maczugi i kastetu. Wykorzystywali maczety, sztylety, noże fińskie. Również garota należała do faworytów w sztuce bezgłośnego zabijania, ale wymagała ona pewnych umiejętności, których nabywało się tylko na polu walki. A uduszenie człowieka wymaga dużego zdecydowania.

Śmiałe rajdy kończyły się sukcesami. Podnosiły morale, wyrządzały szkody i przyczyniały się do zwiększania lęku i znużenia żołnierzy we wrogich okopach. Spanie stało się udręką. Odprężenie - lekkomyślnością. Rodziły się napięcia, krążyły pogłoski, ludzie byli przerażeni. Zdarzało się, że żołnierze strzelali do własnych wartowników i patroli. Podsumowując, wypadki z okopów okazały się wielkim sukcesem, tak wielkim, że zostały podjęte przez Australijczyków, No-

wozelandczyków i Szkotów. W końcu nawet Anglicy skapowali, jaka to skuteczna i oszczędna taktyka.

Kiedy do wojny włączyli się Amerykanie, wypadki z okopów były stałym elementem życia na froncie. Wiejscy chłopcy z Kentucky oraz chłopcy z mokradł Luizjany polubili to jak niedźwiedź miód. Zwłaszcza jeden młodszy oficer wykazywał prawdziwy pociąg do tego krwawego, partyzanckiego stylu walki. Co interesujące, ten facet nie był z zadupia. Nazywał się Harry Spalding. Odnosił sukcesy zarówno w sporcie, jak i w nauce w Yale. Jego rodzina pochodziła z Rhode Island i przygotowywano go do kariery bankiera w Nowym Jorku. Był bogaty, sprytny i kulturalny, miłośnik współczesnego malarstwa i poezji, dobrze władał niemieckim i francuskim. Miał wpływowych przyjaciół, a przynajmniej takich przyjaciół miał jego ojciec. Odznaczał się pełną swobody charyzmą, która predestynowała go na naturalnego przywódcę ludzi wybranych do tego typu walki, do jakiej sam wykazywał zdolności. Okazał się najbardziej krwawym, pozbawionym skrupułów zabójcą wśród wszystkich żołnierzy Trzeciej Armii Amerykańskiej.

Pewien starszy pułkownik porównał go do Apaczów - zabójców z wojen indiańskich, w których brał udział jego własny ojciec. W końcu jednak doszedł do przekonania, że Harry Spalding się od nich różni. Apacze na amerykańskim Zachodzie byli biegłymi w zabijaniu, doskonałymi myśliwymi, wykorzystywali swoją sprawność w polowaniach do tego, by przeżyć. I stanęli wobec groźby, że zostaną wytepieni. Spalding zdawał się posiadać ten sam nadnaturalny talent do tropienia ofiar. W walce wykazywał tę samą zabójczą dzikość. Ale w jego przypadku nie chodziło o przetrwanie. Starszy pułkownik, którego z powodu raportu o poczynaniach Załogi Jerycho przymusowo odesłano na emeryturę, napisał w tym raporcie, że Spalding wydawał się zabijać ze złośliwą radością. Pławił się w zabijaniu. Raport kończył się stwierdzeniem, że w konflikcie, w którym chodzi o zachowanie cywilizacji, poleganie na takich osobach to więcej niż sprzeczność - to niegodne uleganie wartościom wyznawanym przez Hunów, naszych wrogów.

Kanadyjczycy wynaleźli wypadki z okopów. Amerykanie go udoskonalili. A Załoga Jerycho przekształciła go ze sztuki w naukę. Podczas nocnych patroli na ziemi niczyjej prowadzili szczegółowe obserwacje. Organizowali zabójstwa. Porywali zwiadowców i przesłuchiwali ich. Dokonywali aktów sabotażu. Kradli plany bitew i zdobywali elementy eksperymentalnego wyposażenia, by dokładnie je zbadać. I nigdy nie stracili ani jednego człowieka.



- Ależ, Suzy - powiedziałem, kiedy zabrzmiał dzwon, zapraszając do ostatniego zamówienia. - Nigdy nie stracili człowieka? Przesadzasz.

- Nie.

- Lepiej to wyjaśnij.

- W domu. Wyjaśnię to w domu. W tej chwili, Martinie, zabiłabym za papierosa.

- Teraz to dopiero przesadzasz.

- Najwyżej odrobinę - odparła.

To prawda, że Załoga Jerycho nie straciła w walce ani jednego człowieka. Ale jedna ofiara była. W skład oddziału - czternastu mężczyzn wykonujących krwawą robotę - wchodził kapelan. Duchowny kościoła baptystów, Derry Conway, zagorzały patriota, staromodny zwolennik tego, co poprzednie pokolenie nazywało „prężnym chrześcijaństwem”. W college'u był sportowcem, a jego wiarę w Boga uważano za niewzruszoną.

Conwaya przydzielono do załogi, ponieważ bez przerwy wykonywała krwawe misje. Pod koniec 1917 roku sporo się dowiedziano o nerwicy wojennej i załamaniu nerwowym, o psychologicznych problemach, które obecnie nazywa się zespołem wyczerpania walką. Jeśli ludzie mieli przeżyć te doświadczenia i zachować zdrowie zarówno cielesne, jak i umysłowe, potrzebowali duchowego wsparcia. Tak przynajmniej głosiła teoria. Wsparcia Harry'emu Spaldingowi i jego ludziom miał udzielić wielebny Conway.

Po miesiącu od podjęcia przez Conwaya służby znaleziono go wiszącego na linie w stodole w Bethune. Miał złamany kręgosłup szyjny. Wspiał się na krokiew, przywiązał do niej jeden koniec liny, drugi zawiązał w pętlę, założył na szyję i skoczył. Kiedy go znaleziono, nadal trzymał w zaciśniętej dłoni książeczkę do nabożeństwa. Prawdopodobnie wyjął ją z kieszeni płaszcza, by otrzymać przed skokiem wsparcie duchowe. Uszkodzenie kręgów sprawiło, że głowa była przechylona pod dziwnym kątem, mimo to na twarzy młodego Derry'ego Conwaya malował się uśmiech.

Po śmierci kapelana w Załodze Jerycho zostało trzynastu ludzi. I żaden z nich nie został zabity ani ranny w tej niezwykle krwawej wojnie. Ale Suzanne udało się dowiedzieć, co stało się z jedenastoma z nich po zawieszeniu broni. Odkryła, że członkowie oddziału w czasach pokoju nie mieli już tyle szczęścia. Nikt z trzynastki nie doczekał czterdziestych urodzin. Najdłuższym życiem z tej grupy cieszył się Gubby Tench. Choć Suzanne miała wrażenie, że kiedy mowa o

Gubbym Tenchu, „cieszyć się życiem” jest prawdopodobnie niewłaściwym określeniem. Pod koniec Tench zdawał się przebywać w swego rodzaju piekle.

Suzanne pojechała pociągiem do Dover, a potem promem do Calais. Kiedy zbliżała się do wybrzeży Francji, miła kwietniowa pogoda, którą cieszyła się Anglia, skończyła się, a prom spowił szary, uparty deszcz padający z chmurnego nieba. W Calais lało jak z cebra. Wynajęła samochód i przestudiowała mapę. Wcześniej skontaktowała się z farmerem, którego rodzina od pokoleń była w posiadaniu ziemi, na której stała tamta stodoła. Sądząc z tonu głosu w słuchawce, nie wydawał się zbytnio uradowany z propozycji wizyty. Ale ją przyjął. Suzanne mówiła trochę po francusku, jednak farmer chętnie dogadywał się w prostej angielszczyźnie.

- Wtorek - powiedział. Próbowała ustalić godzinę.

- Wtorek - powtórzył. Nalegała, by dokładnie sprecyzował czas, ale to go rozbawiło. - Będę tutaj. Dokąd miałbym pójść?

Próbowała opisać, jak wygląda.

- Poznam panią- zapewnił. - Niech się pani nie niepokoi, madame. To nie jest farma angielska. Nie jest pani celem dla mojej śrutówki.

Roześmiał się. Uznała to za kiepski dowcip.

Francuski krajobraz wiejski był płaski, ponury, zdominowany przez deszcz. Jazda samochodem okazała się monotonna. Chcąc odpędzić ochotę na papierosa, Suzanne włączyła radio i próbowała znaleźć jakąś stację. W opinii Suzanne francuska muzyka pop składa się zwykle z kilku rywalizujących ze sobą melodii, wygrywanych jednocześnie przez mnóstwo nie-pasujących do siebie instrumentów. Język francuski zaś niechętnie nagiął się do popowych tekstów. Słowa nie dawały tak wygodnego rytmu jak wyrazy angielskie. Szukała więc stacji nadającej muzykę klasyczną. Przerwała naciskanie guzika dostrajania, gdy tylko usłyszała coś znajomego i dającego się słuchać i co nie było po francusku.

Balladę Prefab Sproutów *Kiedy miłość się kończy* śpiewał żalonym tonem niedoszły kapłan. Jak, według Martina, brzmi jego nazwisko? Znała je, ponieważ utwór znajdował się w smętnym, dziwacznym albumie, którego Martin lubił słuchać na wypasionym sprzęcie audio w ich mieszkaniu. Na odtwarzaczu, za który tak dużo zapłacił i z którym tak się cackał. Za chwilę przypomni sobie nazwisko piosenkarza. U Suzanne nic nie pozostawało zbyt długo na końcu języka. To jeden z jej talentów. Miała doskonałą pamięć do szczegółów.

Właśnie wtedy, w tym momencie życia, czuła, że jej zdolności nie są doceniane, za to nieco nadużywane. Straciła pracę na etacie w wyniku cięć oszczędnościowych w BBC, które, jak uważała, zostawiły w jej dawnej redakcji cały tłuszcz, a usunęły większość mięśni. Dano jej do wyboru odprawę lub pracę na zlecenie. Wybrała to drugie. Czuła jednak, że w statusie wolnego strzelca jest coś subtelnie degradującego. Wydawcy programów i producenci traktowali ją inaczej teraz, kiedy nie miała ochrony BBC jako pracodawcy. Mniej grzecznie. Bardziej naciskali. Dawali krótsze terminy. A producenci programów, którzy próbowali zapanować nad swoim seksizmem czy skłonnością do mobbingu, nie panowali już nad tym, kiedy się z nią spotykali.

Typowym przykładem tych praktyk był serial o Collinsie. Zapowiedziano w programie jego wersję ostateczną i przez trzy czterdziestominutowe epizody była pewna, że tak będzie. Ale producent chciał Wielkiej Rewelacji. Właśnie tak to określił w swoich notatkach dla redakcji, pisząc to wielkimi literami. A Wielka Rewelacja, której pragnął, polegała na tym, że Michael Collins miał jakoby być homoseksualistą. Uzasadnieniem tego poglądu -według Suzanne, śmiesznym - było znane zamiłowanie Collinsa do mocowania się z kolegami oraz próżność, jeśli chodzi o własny wygląd. Nadal nie mogła się zdecydować, czy ta teoria była bardziej obraźliwa dla Collinsa, czy dla ruchu gejowskiego. Ale nie udało jej się znaleźć ani strzępu dowodu, fizycznego czy anegdotycznego, na poparcie tej tezy. I to uznano za jej niepowodzenie, gdyż producent miał głębokie wewnętrzne przekonanie, że ma rację, i czuł, że nie może się mylić. Nie miało znaczenia, że Suzanne odkryła na temat Michaela Collinsa niezbite fakty, które po raz pierwszy ujawnił ten właśnie serial. Atmosfera w pokojach wydawcy była obrzydliwa. Trzy tygodnie przed emisją panujące poczucie rozczarowania było niemal namacalne. Suzanne wykonała znakomitą robotę, ale czuła, że jest osądzana jako osoba znajdująca się gdzieś w połowie drogi między powierzchowną a nieudolną. A dla wolnego strzelca etykieta nieudolności jest niszcząca.

- Paddy McAloon - powiedziała głośno, przypominając sobie wreszcie nazwisko kapłana nowicjusza, który został gwiazdą rocka. Zaskoczona skonstatowała, że nadal grają tę piosenkę, a to przecież niemożliwe, prawda? Chyba że istnieje wersja *Kiedy miłość się kończy*, trwająca dziesięć minut. A może ta stacja po prostu puszcza w kółko tę samą piosenkę?

Wyłączyła radio, zerknęła we wsteczne lusterko i zobaczyła, że jest sama na drodze. Zatrzymała samochód dwoma kołami na trawie, otworzyła okno, a potem zgasła silnik. Wycieraczki zatrzymały się, przednią szybę natychmiast zamazał

deszcz. Słyszała, jak bębni o dach samochodu i o trawę za oknem. Ten rytmiczny i znajomy dźwięk zwykle dodawał otuchy. Ale nie teraz. Czuła się strasznie sama i bezbronna. Nie na miejscu w tym rozmazanym krajobrazie, zalanym rozproszonym przez deszcz światłem. Zdecydowała, że zapali papierosa. Dochodziło południe, a to będzie pierwszy papieros tego dnia. Sięgnęła na siedzenie pasażera, gdzie położyła torbę. To oczywiście mit, że nikotyna uspokaja i pomaga się odprężyć. Ale akurat w tej chwili bardzo potrzebowała wiary w ten mit i pocieszenia.

Tuż po pierwszej dotarła do drogi prowadzącej na farmę: dwóch głębokich kolein w cienkiej warstwie żwiru leżącej na czarnej glebie, wyłobionych przez dekady wielkimi kołami traktorów. Po obu stronach drogi rósł żywopłot. Wysoki i nie do przebycia. Zrobiło się ciemno i musiała włączyć światła. Droga była dłuższa, niż jej się wydawało, tak długa, że Suzanne sądziła, iż skręciła w niewłaściwym miejscu. Nie mogła jednak zawrócić, bo było zbyt ciasno. A kiedy żywopłot się kończył, rozpoznała za nim niskie stare zabudowania gospodarcze farmy, których układ oglądała na zdjęciach lotniczych na ekranie komputera.

Nie było wśród nich stodoły - stała samotnie kilometr za polami. Pola oddzielał rów obsadzony topolami. Do stodoły docierało się, jadąc tym rowem, na przykład traktorem czy samochodem z napędem na cztery koła, bo grunt był nierówny i podmokły. Można też było pójść piechotą. W północnej Francji do celu wśród pól szło się pieszo. Gdzieś w pobliżu czekał duży pies. Szczekanie nie niepokoiło Suzanne. Psy na farmach broniły swego terytorium, ale na ogół nie były złośliwe. Złośliwy pies na farmie powoduje zbyt duże straty w żywym inwentarzu, a ona wiedziała, że ten farmer, Pierre Duval, hoduje gęsi, kurczęta i jagnięta.

Zapukała do drzwi budynku, który wyglądał na dom mieszkalny. Był stary, ceglany, z gankiem, a z komina unosił się dym - cienka plamka na tle deszczowego nieba. Na pukanie nikt nie reagował. Obeszła dom i zajrzała w okno. Wewnątrz panował mrok i chyba zimna wilgoć, w cieniu żółto majaczyły stare emaliowane garnki. To była kuchnia, ale wyglądała na starą i opuszczoną.

W pozostałych budynkach również nikogo nie było. Może gospodarz pracuje w polu? Suzanne jeszcze raz rozejrzała się po podwórzu, próbując dostrzec coś malowniczego w zabudowaniach o częściowo drewnianych ścianach, w rdzawych ceglach i zapadających się dachówkach. Ale w deszczu, otoczone kałużami miejsce wydawało się zapuszczone. Brakowało uroku wsi. Ptaki machały skrzydłami, lecąc postrzępionym stadem ku topolom porastającym rów prowadzący do

stodoły. Suzanne spojrzała na zegarek i postanowiła pójść za nimi. Zanim zapadnie zmierzch chciała przebyć znaczną część drogi powrotnej do Calais i jasno oświetlonej przystani promowej.

Dopiero po dziesięciu minutach marszu stodoła wydała się odrobinę bliższa. Suzanne uznała, że to sztuczka perspektywy. Budynek był większy i stał dalej, niż to początkowo oceniała. Fotografia lotnicza oddawała dokładnie prostokątny zarys stodoły, ale nie jej rozmiary. Kiedy Suzanne podeszła bliżej, zorientowała się, że stodoła jest naprawdę duża. I ma mocną konstrukcję, nie tyle solidną ile potężną. Nie nawiązywała do skromnej domowej architektury zabudowań farmy, które Suzanne zostawiła za sobą. Tamte budynki były prostsze i nowsze - najprawdopodobniej zbudowano je w połowie XIX wieku. Stodoła rzeczywiście mogła pełnić obecnie funkcję stodoły. Ale mimo swego oddalenia, z pewnością kiedyś, w przeszłości, musiała być czymś wspanialszym. Była to ponura budowla. Wydawało się, że nawet w tym zubożonym przez deszcz oświetleniu rzuca cień większy od siebie.

Miała okna na poziomie, który kiedyś był górnym piętrem. Nie łukowate - raczej prostokątne. Zamurowano je wiele lat temu blokami zrobionymi z tego samego kamienia, co reszta konstrukcji. Z czasem zwietrzały i miały taki sam kolor jak reszta ścian. Ale zaprawa między kamieniami szerniała i zdradzała starą robotę. Suzanne żałowała, że nie zna się na architekturze. Miała powierzchowne wiadomości. Wiedziała jednak sporo o pracy i metodach nazistowskiego architekta Alberta Speera, ponieważ zbierała materiały na jego temat do programu dokumentalnego. Uświadomiła sobie jednak, że ta budowla nie kojarzy się z pompatycznymi plagiatami Speera. Kazała jej myśleć raczej o zabójcy z Whitechappell, Kubie Rozpruwaczu.

Zamarła w miejscu, w błocie. Czy to nie absurdalne skojarzenie, które przychodzi jej do głowy tu, w rowie, na skraju błotnistej pola we Francji, w ulewym deszczu, w kwietniowe popołudnie? Cóż wiktoriański seryjny morderca może mieć wspólnego z Harrym Spaldingiem i radosną żądzą krwi Załogi Jerycho?

I wtedy zrozumiała. Pomyślała wcześniej, że stodoła nieco przypomina normański kościół pozbawiony wieży czy iglicy. Ale z kwadratowymi oknami, które kiedyś istniały, przypominał tak naprawdę świątynię masońską. Myśl architektoniczna przewidywała sztuczki, zaułki i ślepe uliczki, do których rozpoznania Suzanne brakowało wiedzy. Ale im bliżej podchodziła, tym lepiej widziała szczegóły i narastało w niej przekonanie, że być może są to charakterystyczne detale



świątyni masońskiej. Niektórzy spekulowali, że Kuba Rozpruwacz był masonem. Nie istniały świadectwa potwierdzające to przekonanie, gdyż Kuba Rozpruwacz nigdy nie został schwytany i skazany. Ale w umyśle Suzanne powstało połączenie, które sprawiło, że podchodząc do stodoły, czuła się nieswojo. Może uznała to miejsce za siedzibę czegoś więcej niż tylko chłodu właściwego budynkom starym, opuszczonym i stojącym nieszczęśliwie na uboczu.

Nogi miała nie tylko ubłocone, ale i mokre. Czarna ziemia przywarła powyżej wysokich do kostek butów i poplamiała jej rajstopy aż do łydek. Pomyślała o tych butach, prawdopodobnie zniszczonych. Kupiła je w sklepie Russel i Bromley, a nie u Milleta, i kosztowały dwieście funtów bez pensa. Uregulowała należność kartą kredytową, więc nawet tego jeszcze nie spłaciła. Oczywiście sama była sobie winna. Ale kto by pomyślał o zapakowaniu gumiaków, wsiadając na prom? Rozejrzała się po mokrym i bezludnym krajobrazie. Przedtem miała nadzieję, że jej uśmiech i uprzejmość sprawią, że farmer ciepło ją przyjmie. Myślała, że prosty acz rycerski Pierre Duval podwiezie ją przez bagno autem z krótkofalówką i masywnymi oponami. Ale tę część przygody źle obmyśliła.

A potem, nagle, znalazła się na miejscu. Grunt przy ścianach budynku wznosił się i był twardy. Niewielkie nachylenie zapewniało skuteczne odwadnianie i ostatnich kilka metrów przeszła po twardej ziemi. Rozejrzała się za przemoczoną eskadrą ptaków, która poleciała przodem. Myślała, że to szpaki. Ale ptaki skrzyły i wybrały inny kierunek. Ptaków nie było. Nie było też królików ani wiewiórek, a pies, ujadający na podwórzu farmy, dawno umilkł w oddali. W pobliżu starej kryjówki Załogi Jerycho i Harry'ego Spaldinga nie było niczego żywego. Nawet pobliskie topole wydawały się skarłowaciałe i smutne. Ale Suzanne wiedziała, że to tylko jej wyobraźnia. Popatrzyła na mury, na mokrą od deszczu murarkę, na zamurowane okna, które niczym ślepe i złowrogie oczy spoglądały mrocznie na bezkształtną domenę Pierre'a Duvala. Spojrzała na wielkie, dębowe podwójne wrota, które nie wydawały się zamknięte. Poczowała się straszliwie samotna i bezbronna. Czuła strach znacznie większy niż wtedy na drodze, gdy zatrzymała się, szukając pocieszenia w papierosie.

Zmusiła się do pójścia naprzód. Co się z nią dzieje? Jest dorosłą kobietą. Jest środkiem dnia, na miłość boską. Chciała tu przyjechać. Uchyliła jedno ze skrzydeł wielkich drzwi i wślizgnęła się do środka. I pierwszym jej wrażeniem był niemal grobowy mrok i katedralna cisza. Spojrzała w górę, szukając szczelin w materii budynku, które przepuściłyby nędzne światło i pozwoliły jej oczom w końcu dostosować się do mroku. Przede wszystkim dostrzegła drewniane belki, z których,

jak przypuszczała, Derry Con-way wykonał skok życia. Grube i solidne. Nie wiedziała dla nich uzasadnienia w konstrukcji budynku, chyba że kiedyś podtrzymywały podłogę. Wyjaśnialoby to również, dlaczego zamurowane obecnie okna umieszczono tak wysoko.

Powoli, niechętnie, opuściła wzrok. I zobaczyła, że stodoła nie jest pusta. Skrzynki z produktami rolnymi ułożono w stos niemal do sufitu wzdłuż całej lewej ściany. A pośrodku, na ziemi, na wprost niej leżała nieregularna wysoka przyzma buraków. Niemal sięgała belek. Wielka i wysoka, nie wyglądała na stabilną. Suzanne prawie się uśmiechnęła. Zostać zmiażdżoną pod burakową piramidą to upokarzająca perspektywa. Śmierć pozbawiona godności.

Cisza działała na nerwy. Złożone tutaj płody rolne wcale nie dodawały otuchy. Powinny nadać budynkowi charakter codzienny i swojski. Ale nie nadawały. Suzanne nie wiedziała dokładnie dlaczego. Jedną z przyczyn to cisza. Inną był fakt, że nie czuła tutaj żadnego zapachu, ani ziemi, z której wyrwano leżące w przyzmi warzywa korzeniowe, ani tego, co zgromadzono w skrzynkach. Może to nie owoce ani warzywa, ale zapasy wina? - pomyślała. Jeśli podejdzie, rozpozna zatechły, wyraźny zapach korków, którymi zatkało stare butelki.

Podeszła do skrzynek. Jej oczy przyzwyczyły się już do mroku. Skrzynki były drewniane i stare. Na niektórych widniały wypisane wyblakłym atramentem daty. Na innych rok wypalono. Powinny zawierać butelki wina ze starych i cennych roczników. Najpóźniejsza data wskazywała 1915 rok. Ale skrzynki były pełne jabłek, śliwek, zwykłych i damasceńskich, oraz gruszek, świeżych owoców - w ciemności połyskiwały czerwienią, brązem i złotem na jędrnym miąższu. Nad owocami nie unosiła się nawet aluzja, nawet cień dojrzałego i leśnego aromatu sadu. Dziwne.

Na przeciwległej, prawej, ścianie Suzanne zobaczyła coś, co sprawiło, że niemal straciła dotychczasowe opanowanie. Kryjówka Załogi Jerycho napawała ją lękiem. Wszystko dookoła wyglądało tak przyziemnie. Nic jej nie zagrażało. A jednak miała pewność, że nigdy wcześniej nie była w miejscu, w którym czaiło się takie czyste i bezwzględne zagrożenie. Przed oddaloną ścianą zobaczyła równy rząd mężczyzn stojących w bezruchu na tle ocienionego kamienia. Nie zbliżali się. Po prostu patrzyli i czekali, nieruchomi i pewni siebie. Niemal krzyknęła, zanim jej umysł zdołał racjonalnie zidentyfikować widok jako rząd płaszczy zawieszonych na haczykach.

Kiedy podchodziła do płaszczy, czuła, jak mięśnie w jej nogach drgają. Płaszcze będą zatechłe i zniszczone, będzie ich trzynaście. Jednak było ich tylko

dziewięć. A kiedy dotknęła jednego z nich, meszek materiału w miejscach, gdzie nie obryzgało go błoto, był solidny, gęsty i nadal miękki. Obróciła kołnierz szynela i ledwo odczytała litery tworzące nazwisko „Waltrow S.” na wyblakłej metce, przyszytej maszynowo do munduru czerwoną nitką. Cofnęła się, kiedy do budynku wpłynęły światło i hałas. Krzyknęła głośno i podniosła ręce do twarzy.

- Madame?

W drzwiach stała postać w kapeluszu i pelerynie przeciwdeszczowej.

- Madame?

Farmer Pierre Duval miał śrutówkę przewieszoną przez ramię. Jego wysoką sylwetkę zalewało światło wpadające przez drzwi. Miał gęste wąsy, ociekający wodą kapelusz i pelerynę przeciwdeszczową czarną i śliską od wilgoci. Mógł dotrzymać obietnicy i jej nie zastrzelić, ale wziął ze sobą strzelbę, tak z ostrożności. Patrzył na Suzanne nachmurzony.

- Czy znalazła pani to, po co przyjechała? - spytał lepszą angielszczyzną niż ta, którą mówił przez telefon.

Wskazała skrzynki i piramidę buraków.

- Wykorzystuje pan to miejsce jako magazyn?

Rozejrzał się. Nie przekroczył progu. Wyczuła, że ma przed tym opory. Wspomniała, co mówił Martin: że Frank Hadley nie chciał wymawiać nazwy łodzi Harry'ego Spaldinga. Zakołysał się i dwie lufy jego strzelby powędrowały w górę i w dół nad łokciem.

- Nigdy tu nie przychodzę - oznajmił. - Nic tu nie robię.

Było bardzo cicho. Suzanne słyszała, jak deszcz spływający z peleryny przeciwdeszczowej Duvala rozpryskuje się na schodku przy wejściu. Nie rozumiała. A potem pomyślała, że może rozumie.

- Nic tutaj nie gnije?

Tylko na nią spojrzał. Podwójna lufa strzelby była gruba i wyglądała na ciężką. Kiedy spoczywała na jego przedramieniu, połyskiwała w matowym świetle nieba.

- Nic się nie psuje?

- Nic za mojego życia, madame. Ani za życia mojego ojca. Ani dziadka. To wybryk natury.

Wyraz jego oczu wyraźnie świadczył o tym, że Duval wie, że nie jest to wybryk natury, lecz zjawisko sprzeczne z naturą. Odwróciła się i znowu spojrzała w tył na piramidę buraków wznoszącą się pośrodku. Próbowała wyobrazić sobie pieśni i poczucie koleżeństwa, i ciepło obozowego ogniska, nad którym umiesz-

czono garnek z kawą czy patelnię z bekonem. Ale jej wysiłki spełzły na niczym. Znowu spojrzała na widmowe towarzystwo płaszczy wiszących w szeregu na ścianie. Nie odkryła tutaj niczego prócz ciszy i ciemności. To miejsce, gdzie nic się nie psuje, a także miejsce, gdzie nic nie żyje. Derry'emu Conwaywi udało się tutaj umrzeć jesienią 1918 roku, ale Suzanne, obejrzawszy otoczenie, poczuwszy jego surową wrogość, była przekonana, że Conwayowi ktoś dopomógł. Znowu zadrżała. Co za ludzie znajdowali tu pokrzepienie?

- Mam w domu kawę. - Pierre Duval, który widział, jak Suzanne drży, wskazał zabudowania farmy. - Nierozsądnie z pani strony, że przysłała tu pani pieszo. Chodźmy.

Zaparkował poobijanego land-rovera za linią topól. Pomyślała, że to dziwne, że nie słyszała ciężko pracującego silnika, kiedy auto podjeżdżało, bo gdy Duval przekręcił klucz w stacyjce, silnik okazał się głośny. Warczał, a kiedy kierowca wcisnął pedał gazu, zawył i zawibrował na wysokich amortyzatorach. Ale jeśli chodzi o stodołę, dziwnych zjawisk było zbyt wiele, by fakt, że nie dochodzi tam dźwięk, szczególnie Suzanne zaniepokoił. Była wdzięczna za podwiezienie. Kiedy strzelba Duwała spoczywała na tylnym siedzeniu, cieszyła się także z jego towarzystwa.

Pojechał za podwórze farmy pod inny budynek, którego Suzanne wcześniej nie dostrzegła, gdyż skrywały go pozostałe zabudowania. Zaparkował. Był to nowy dom, który zaprojektowano tak, by wtapiał się w otaczającą go ziemię i drzewa. Wyglądał bardziej na skandynawski niż typowo francuski. Suzanne rozumiała teraz, że mogła nie dostrzec tego domu podczas przeglądania zdjęć lotniczych, kiedy szukała starych kamieni i zapadających się glinianych płytek. Wąski dach miał kolor ziemi i wykonano go z jakiegoś nowoczesnego materiału. Okna zabarwiono od zewnątrz, tak że budynek nie odbijał światła.

Wrażenie, że mimo wszystko dla Pierre'a Duwała rolnictwo to interes dochodowy, wzmogło się, kiedy farmer otworzył drzwi i zaprosił Suzanne do środka. Nie lubił byle czego, miał drogie meble. Kuchnię urządzone w stali i granicie. Na jednej ze ścian salonu zainstalowano wielki plazmowy telewizor. W kominku leżały polana, ale ogień nie płonął. Na małym biurku stał laptop, a w rogu zestaw stereo firmy Bang & Olufsen. Nad nim na półkach ustawiono w trzech równych rzędach płyty kompaktowe. Była przekonana, że nikt więcej tu nie mieszka. Pierre Duval nie dzielił z nikim swego życia. Uśmiechnęła się w duchu na myśl, że kiedyś mieszkał w brudzie i nędzy, wśród odrapanych emaliowanych naczyń teraz zostawionych kilkaset metrów dalej.

Wziął jej płaszcz, zdjął swój i zaniósł je gdzieś, by wyschły. Potem gestem poprosił, by usiadła, a on zamierzał zaparzyć kawę. Wytarła energicznie nogi o słomiankę na zewnątrz. Teraz zobaczyła, że jej zabłocone buty zostawiły kilka grudek wilgotnej ziemi na drewnianej podłodze. Duval to zauważył - miejsce było nieskazitelnie czyste. Ale nie sądziła, by zrobił z tego problem. Wybrała ostrożnie ścieżkę między dywanami, wyglądającymi na drogę. Czowała, że zaprosił ją nie tylko po to, by dać jej do picia coś gorącego i dodającego sił. Chciał jej o czymś opowiedzieć. Będzie więc tolerował nieco błota za to, że Suzanne wysłucha jego opowieści.

- W 1917 roku mój dziadek był chłopcem - rozpoczął. Siedział w fotelu naprzeciwko niej. Pili kawę. - Miał czternaście lat i był bardzo naiwny. Lubił Amerykanów. Lubił ich żołnierzy. Byli bardzo hojni, częstowali go czekoladą i gumą do żucia. Byli radośni. Wielu z nich, całe bataliony piechoty, to byli żołnierze kolorowi. Czy wie pani o tym?

- Nikt z Załogi Jerycho nie był czarny - odparła Suzanne. Duval nie odpowiedział. Opuścił wzrok na swój kubek.

- Mój dziadek również nazywał się Pierre Duval. I był wtedy dzieckiem. A wojna była wielką przygodą. Kiedy żołnierze maszerowali, śpiewali. Większość śpiewała. Szkoci w bojowych kiltach z rozwiniętymi sztandarami maszerowali w rytm wygrywanych na dudach pieśni chwały. Po nocach kolorowi żołnierze w obozowiskach śpiewali niewolnicze pieśni o przywiązaniu do Boga.

- Spirituals - dodała Susanne.

Duval uśmiechnął się, jakby to on sam wspominał.

- Spirituals, tak, oczywiście. Śpiewali swoje spirituals tak daleko od domu, w brezentowych namiotach, a ich mocne, żarliwe głosy niosły się przez noc. Jak wspaniale i dziwnie musiało to tutaj brzmieć.

Przerwał. Suzanne nie czuła potrzeby przerywania ciszy. Upił łyk kawy.

- To wszystko było wielką przygodą dla chłopca, który miał stać się moim dziadkiem. Musiało to wyglądać dla niego jak dla nas film fabularny. A potem przybyła tutaj Załoga Jerycho. Oni nie śpiewali, madame. Oni w ogóle nie śpiewali.

Pierre Duval, który miał czternaście lat i dla którego wojna była wielką przygodą nie widział nikogo z tego oddziału. Działali w nocy. Poruszali się cicho, jak duchy. Ale czasami widział w nocy żar ich ognisk. A znając przyjacielską postawę wojsk alianckich, powodowany ciekawością podszedł do stodoły.



Zrobił to bardzo cicho i ostrożnie. Nie chciał, żeby go wzięli za nacierającego wroga, żeby go zastrzelili, biorąc go za podchodzącą zwierzynę. Miał prosty plan: stanąć na widoku w świetle ich obozowiska, żeby zobaczyli nieszkodliwego, nieuzbrojonego chłopca. Później dziękował instynktowi, nakazującemu ostrożność, gdyż był przekonany, że właśnie on ocalił mu życie. W tamtym czasie, kiedy szedł po miękkiej jesiennej ziemi między topolami a rowem odwadniającym, czuł jedynie chłopięce podniecenie.

Stali w grupie za stodołą. Dziadek widział całą scenę z odległości trzydziestu metrów, zza osłony drzew. I z początku nie rozumiał, o co chodzi. Dlatego że wiedział, że teren jest płaski. Płaski w każdym miejscu. A jednak oni siedzieli wokół swych ognisk na wzgórzu. A potem zobaczył, co takiego na tym wzgórzu zbudowali.

Trzy drewniane krzyże. Na każdym wisiał mężczyzna w mundurze. Najstarszy i wyglądający na najwyższego rangą więzień wisiał pośrodku. Po jego prawej i lewej mogli być jego adiutant i szofer - tak przypuszczał Pierre. Czy człowiek w środku był generałem? To nie miało znaczenia. Inne szczegóły wryły się w młodym umyśle ze znacznie większą i bardziej szokująca wyrazistością. Przybito ich do krzyży bagnetami. Przygwożdżeni ludzie nie ruszali się. Pierre pomyślał, że byli prawdopodobnie martwi. I każdy z nich został ukrzyżowany do góry nogami.

Kiedy tak patrzył, zeszywniały ze grozy, jeden z Amerykanów, mężczyzna ze strzechą białych włosów, wstał i powoli podszedł do ofiary pośrodku tego żywego obrazu. Wziął nóż i piłował coś przy torsie, a Pierre był pewien, że niemiecki generał, poddany temu okaleczaniu, jest martwy. Mężczyzna szarpnął, a w jego rękę znalazło się coś mokrego, połyskującego w płomieniach ognisk, a on włożył sobie ten kawałek człowieka do ust i zaczął żuć.

Pierre usłyszał śmiech i oklaski. I wtedy zobaczył siedzącego człowieka, który przechyla się i wymiotuje. Pierre widział, że ten człowiek jest ubrany w taki sam mundur jak pozostali Amerykanie. Jednak wydawało się, że dłonie ma skrępowane za plecami. Wokół jego szyi bielą koloratka duchownego.

- Deny Conway - powiedziała Suzanne.

- Zbudowali własną Kalwarię - ciągnął Pierre, który był wnukiem Pierre'a Duvala. - Skonstruowali ohydę. Sami byli ohydą. Po tym nikt z farmy nigdy więcej nie zbliżył się do tego miejsca. A chłopiec, który był moim dziadkiem, zrewidował oczywiście swe poglądy dotyczące wojny.

- Niech mi pan opowie o stodole - poprosiła Suzanne.

Duval wpatrywał się w kubek z kawą. Suzanne pomyślała, że wygląda nie tylko na człowieka smutnego, ale i zawstydzonego. Podniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

- Stała tutaj od czasu Wielkiego Terroru, który nastąpił po rewolucji. Zbudowało go Soci t  Jericho. Takie kulty tolerowano, a nawet wspierano w tamtych czasach tak wrogich zorganizowanej religii. Moi przodkowie wydzierzawili im ziemię pod budowę świątyni. Płacili myto za przejazd drogą przez naszą ziemię, żeby się do niej dostać. Odnosiliśmy korzyści. Przez pewien czas odnosiliśmy korzyści z ich pobytu. Ich działalność została zakazana za panowania pierwszego cesarza. Budynek wypatroszono i zrujnowano. Ale moja rodzina zapłaciła i nadal płaciła za grzech oportunisty i chciwość w sprawie Towarzystwa Jerycho.

- Czy wie pan, dlaczego tak się nazywali? Duval się uśmiechnął.

- Jerycho jest starym hebrajskim słowem oznaczającym księżyc - wyjaśnił. - Tak się nazwali, ponieważ byli związani z nocą. Byli oddani nocy i wszystkiemu, co rozkwita pod płaszczem mroku.

Suzanne dopiła kawę. Duval odprowadził ją w deszczu do wynajętego samochodu. Kiedy wyszła z domu, w budzie pod kępą drzew zobaczyła dwa doberman. To jeden z nich musiał przedtem szczekać.

- Trzyma je pan dla towarzystwa? Zaśmiał się, ale był to śmiech gorzki.

- Wprost przeciwnie, madame. Psy nie są tutaj dlatego, że jestem sam. Są tutaj, ponieważ podejrzewam, że czasami nie jestem sam.

Podziękowała farmerowi, a on w milczeniu odprowadził ją do samochodu i patrzył, jak odjeżdżała z jego ziemi.

Dopiero jakieś dwadzieścia minut po opuszczeniu alejki wiodącej na farmę uświadomiła sobie, że we wstecznym lusterku widzi samochód. Czarną furgonetkę. Całkiem sporą. Po kilku kilometrach Suzanne była zupełnie pewna, że jest śledzona. Nabrała tej pewności, gdyż choć jechała wolno z ostrożnością osoby nieprzyzwyczajonej do jazdy po niewłaściwej stronie szosy, furgonetka nie zbliżała się ani nie podejmowała próby wyprzedzania. Po prostu tkwiła w jej wstecznym lusterku. Suzanne próbowała uznać swoje nerwowe podejrzenia za paranoję. Ale kiedy, chcąc ustalić prawdę, zredukowała szybkość, czarny kadłub zachował w stosunku do niej dokładnie ten sam dystans. Musiała dojść do przekonania, że rozmyślnie czai się za nią.

Suzanne mogła jedynie jechać dalej. Z każdym przejechanym kilometrem zbliżała się jasna, handlowa krzątanka Calais i przystań promowa. Wstęga szosy przed autem Suzanne stawała się coraz bardziej błada i widmowa w przytłumio-

nym snopie światła reflektorów, jakby mgła opadała lub podnosiły się jakieś opary. Jęknęła. Zaczęła bębnić palcami po kierownicy. Wyłączyła wycieraczki. Próbowwała pocieszać się myślą że przynajmniej deszcz w końcu ustał. Ale kiedy spojrzała w lusterko, widziała za sobą nieprzezroczystą zasłonę szarości. Przysadzisty czarny prześladowca zniknął z pola widzenia Suzanne.

I wtedy furgonetka przemknęła obok. Elegancka, pojawiła się nagle przy niej, jak rekin w wodzie pojawia się obok pływaka. Jeśli nie liczyć tego, że ten rekin miał stalowe boki, na których złociście połyskiwał napis. „Martens & Degrué”. I Suzanne, która nie dzieliła ze swym chłopakiem wiary w zbiegi okoliczności - niekiedy wiary miłosiernej - zastanawiała się, w jak okropne kłopoty dają się wpędzić Martin i jego ojciec.

Po kilometry czy dwóch mgła się podniosła. Suzanne zobaczyła drogowską do Calais. Obezwładniający strach ustąpił na tyle, że dziewczyna uświadomiła sobie, jak bardzo tęskni do wygodnej normalności. Spojrzała na zegarek i mając nieco czasu, zatrzymała się w przydrożnej kafejce i zamówiła gorącą czekoladę. W kawiarni było ciepło i jasno. Obojętni ludzie z powszednią rutyną sączyli napoje. W ściennych głośnikach Police grali *Every Little Thing She Does Is Magic*. Stoliki pokrywał laminat. W powietrzu unosił się zapach pieczonej fasoli, sera tostowego, bagietek z szynką i słaby anyżkowy powiew likieru Ricard, nalewanego z lepkiego dozownika za barem. Jeśli w barze palenie było wzbronione, klienci to ignorowali.

Suzanne sączyła czekoladę, wabiona uwodzicielską normalnością która przychodziła tylko jako rodzaj zamierzonej amnezji. Starła się zapomnieć o kilku ostatnich godzinach i o tym, co odkryła. Mogła o nich zapomnieć na zawsze, co byłoby bezbolesnym powrotem do wczorajszych pewników. Albo mogła poddać te wydarzenia inteligentnej, sceptycznej reinterpretacji, co trwałoby dłużej, ale w końcu dałoby ten sam pocieszający wynik.

Wygodnie otepiały. Ktoś śpiewał taką piosenkę, prawda, *Wygodnie otepiały?*

I była jeszcze piosenka *Kiedy miłość się kończy* Paddy'go McAloona. Słyszała, jak grano ją tam, gdzie stanowczo nie powinna jej być słyszeć. W radiu wynajętego samochodu, kiedy jechała na farmę pod Bethune, na farmę dzielnego i ostrożnego francuskiego właściciela, Pierre'a Duvala.

Mimo pokusy Suzanne nie uległa złudnej normalności. Widziała, co widziała, czuła, co czuła i słyszała, co jej opowiedziano. Była pewna, że z czasem pozna całą niepokojącą prawdę o Harrym Spaldingu. Ale miała nadzieję, że nie

będzie musiała tego robić. Miała nadzieję, że to, czego się dowiedziała, wystarczy, by odwieść Martina, a przede wszystkim jego upartego ojca od pomysłu wyruszenia w rejs wyremontowaną łodzią Spaldinga.

Zrobiło się późno, kiedy Suzanne skończyła sprawozdanie ze swojej wyprawy na tereny bitewne I wojny światowej. A ponieważ nie minął nawet dzień od mojej przygody z „Andromedą”, byłem po prostu skonany. Też czułem się otepiały. Prawdę mówiąc, czułem się wygodnie otepiały. Żadne jej odkrycie nie wydawało się tak ponure, jak perspektywa sprzed kilku godzin, że Suzanne mnie porzuci. To były moje lęki z początku wieczoru. Straszne lęki. W rzeczywistości czułem się bardziej pochlebiony wysiłkiem, jaki dla mnie uczyniła, niż wyprowadzony z równowagi rezultatami tego wysiłku.

Drastyczne okrucieństwo sprzed dziewięćdziesięciu lat było takie odległe. Niesamowita stodoła pod Bethune wydawała się znacznie bardziej złowieszczą stoickiemu Francuzowi, uprawiającemu ziemię, niż mnie czy mojemu ojcu, planującym rejs na pokładzie klasycznego szkunera.

Suzanne dokonywała swych odkryć za moimi plecami. Mówiąc ściśle, jak już wspominałem, oszukała mnie. Związki buduje się na zażyłości, a żaden ze składników tworzących zażyłość nie jest ważniejszy od wzajemnego zaufania. Ale Suzanne działała ze szlachetnych pobudek. A ja, po usłyszeniu jej rewelacji, popełniłem grzech poważniejszy od jej przewinienia. Mój grzech to oczywiście grzech zaniechania.

Teraz wiem, co powinienem był zrobić. Prawdę mówiąc, wiedziałem to i wtedy. Nie bacząc na własne zmęczenie, nie bacząc na jej zmęczenie, powinienem był jej opowiedzieć o duchu z kajuty Strauba. Powinienem był jej opowiedzieć tę historię i pozwolić, by przenikliwy umysł, który krył się w jej ślicznej główce, spróbował ustalić miejsce tej wizji w wyłaniającym się ogólnym wzorcu. Ale nie zrobiłem tego. Uciałem sobie drzemkę. Ona drzemała tuż przy mnie. A potem, kiedy zegar na stoliku przy łóżku piknął o pierwszej w nocy, poruszyłem się, pogładziłem jej gładkie ramię i poprosiłem:

- Opowiedz mi o Peitersenie, Suzanne.

Otworzyła ciemne, lekko zapuchnięte oczy. W naszym mieszkaniu nad rzeką panował mrok. Wstała i zaparzyła sobie herbatę. Popijała ją, leżąc w łóżku, znów przytomna.

- Josiah Peitersen rzeczywiście zbudował „Mroczne Echo”. Spalding był jeszcze młodzikiem, kiedy kładziono stępkę. Tak więc łódź należy uznać za prze-

jaw wielkiego pobjazania ze strony rodziców, nie bacząc na to, że byli bogaci. Ogromnie bogaci. Taka łódź to bajeczna nagroda dla kogoś, kto właśnie przestał być młodzieńcem, kiedy wyszła w morze.

- Chyba że była czymś więcej - zauważyłem, nie wiedząc naprawdę, dlaczego to powiedziałem ani dokąd prowadzą mnie takie myśli. Mój umysł podróżował w przeszłość, do zimnych wód wschodniej Fryzji, do Baltrum i do intrygi Childersa w *Riddle of the Sands*.

- Co masz na myśli?

- Tylko to, że mogła nie być wyłącznie prezentem. Może zbudowano ją w jakimś celu, nie tylko dla błahostki w rodzaju regat. Może sposobiono Spaldinga na jej właściciela z przyczyn, których jeszcze nie odkryliśmy.

Suzanne się zastanowiła. Odwróciła głowę, by spojrzeć mi w twarz. W jej ciepłym oddechu czułem zapach earl greya.

- Chcesz powiedzieć, że przygotowywano go od urodzenia?

- To tylko myśl - odparłem. I myśl przerażająca. - Jak się nazywali? To towarzystwo dyskusyjne, do którego należeli Spaldingowie, Peitersenowie i cała reszta?

- Nie zdołałam się tego dowiedzieć. Mówili o sobie „członkostwo”, ale oczywiście byli członkami czegoś. To musiał być jakiś klan, bractwo czy koteria. Istniał jakiś sekret, rytualna nazwa, nie byłam w stanie tego odkryć. Jest gdzieś w jakichś zapiskach FBI, od czasów prohibicji, kiedy federalni się nimi zajmowali. Ale te zapiski są utajnione lub zaginęły.

- Lub zostały skradzione - powiedziałem. - Zwędzone przez kogoś pracującego dla brukselskiej firmy Martens i Degruet. Lub skradzione przez człowieka udającego Peitersena, który wtedy udawał kogoś innego.

- Josiah Peitersen i jego żona nie mieli potomka - poinformowała Suzanne. - Dowiedzenie się tego było łatwe. Oboje umarli przed Harrym Spaldingiem. I nie zostawili po sobie rozpaczającego syna, który przedłużyłby ich linię.

- Hadley powiedział, że referencje Peitersena są sprawdzone.

Ale to łatwe do wyjaśnienia, nawet dla mnie. Dla Hadleya, którego dręczył sztorm i nękały wypadki w warsztacie, Peitersen okazał się darem niebios. Hadley siedział wśród swoich zaawansowanych technicznie zabawek i widział przez okno biura ponury wrak przywiązany do pachołków na nadbrzeżu. List musiał mu się wydać zesłany przez samego Boga. Sprawdzanie referencji tego człowieka w najlepszym razie było pobieżne, jeśli w ogóle to zrobiono. W takich okolicznościach większość ludzi wybaczyłaby zdesperowanemu Frankowi Hadleyo-



wi wygodne kłamstwo. On z pewnością je sobie wybaczył - alternatywą była groźba bankructwa.

Mojego ojca na ogół niełatwo nabrać. Nie jest łatwowierny. Jednak Peitersen był ucieleśnieniem wszystkiego, czego ojciec wymagał od skutnika. Był częścią rodowodu „Mrocznego Echa”. Wyglądał odpowiednio i mówił to, co trzeba. Jego wygląd i rzekomy rodowód przemówiły do ojcowskiego snobizmu - to jego sła-  
bość, która w dorosłym życiu była skutkiem dzieciństwa bez rasowości i rodo-  
wodu. Rodziło się jednak pytanie, kim właściwie jest Peitersen? Jaki miał po-  
wód, by przychodzić do mojego ojca i udawać kogoś, kim się nie jest? Fakt, że  
robił dobrą robotę, a jego obecność okazała się cudownie potrzebna, zwiększał  
jeszcze wagę tego pytania.

- Muszę porozmawiać z Peitersenem - powiedziałem, - Czy jak tam się na-  
zywa.

- Powodzenia - mruknęła Suzanne. - Próbowałam to zrobić dziś rano, po  
tym, jak moje rewelacje o nim zostały potwierdzone w Stanach późnym wieczó-  
rem. Zobaczyłam to potwierdzenie dopiero dziś rano, kiedy włączyłam kompu-  
ter. Natychmiast zadzwoniłam do stoczni w Lepe. A potem do hotelu. Ale nig-  
dzie go nie było. Zdaje się, że wyjechał tak nagle, jak przybył. Kimkolwiek był,  
zniknął.

## 6

**Następnego** ranka zadzwoniłem do ojca tak wcześnie, jak pozwalało na to  
dobre wychowanie. Ojciec jest uzależniony od wczesnego wstawania, czyli tuż  
po szóstej rano. Ale nie było go w domu. Jego gospodyni podeszła do telefonu  
po dobrej chwili i wesoło życzyła mi miłego dnia. Nie kwapiła się, by zdradzić,  
dokąd się udał.

- Czy myśli pani, pani Simms, że może być w Chichesterze? W słuchawce  
zapadła pełna napięcia cisza.

- Pani Simms?

- Możliwe, Marty. To uzasadnione przypuszczenie, ponieważ przed wyjaz-  
dem nie poinformował mnie o celu podróży.

Pani Simms była Irlandką. Znałem ją od dzieciństwa. I wiedziałem, że lubiła  
hazard.

- Pani Simms?
- Marty?
- Czy postawiłaby pani jakąś sumę na Chichester?
- Z pewnością nie postawiłabym mojego domu. Ale owszem, Marty, postawiłabym kilka funciaków.

Więc chodzi o schadzke z jego nową-starą sympatią. Uśmiechnąłem się do siebie. Chichester już nigdy nie będzie dla mnie po prostu uroczym i dobrze prosperującym miastem założonym po inwazji rzymskiej. To słowo nabrało dla mnie nowego znaczenia. I stało się czasownikiem. „Chi-chesterowanie” będzie eufemizmem dla ojcowskiej energicznej pogoni za seksem. Lub za romantyzmem. Albo, co było najlepszym określeniem, jego pogoni za romantyzmem poprzez seks. Mój ojciec był optymistą. Zawsze mi o tym przypominał swoimi poglądami i zachowaniem. Szklanka Magnusa Stannarda nigdy nie była w połowie pusta. Zawsze była pełna, z meniskiem przy ustach. Ta myśl sprawiła, że poczułem przypływ synowskich uczuć, czułych i trwożnych. Po raz pierwszy w życiu miałem wrażenie, jakby naprawdę potrzebował mojej miłości i opieki. Zdałem sobie sprawę, właśnie podczas rozmowy telefonicznej z Margaret Simms, że nie miałem najmniejszego pojęcia, jak bardzo kocham mojego ojca, zanim zaczęła się ta pożałowania godna historia.

- Zabrał komórkę?
- Zabrał tę jagodziankę.
- BlackBerry, komputer osobisty.
- Właśnie. To właśnie zabrał.
- Dziękuję, pani Simms.
- Niekoniecznie musi być włączona.
- Co takiego?
- Powiedział mi, że niekoniecznie będzie włączona. Powiedział, że może nie przyjmować żadnych wiadomości.

To do niego podobne.

- Dziękuję, pani Simms.

Odłożyłem słuchawkę. Zaparzyłem herbatę, przyniosłem filiżankę Suzanne i zastanawiałem się, co robić. Próba odszukania ojca w Chichesterze nie miała sensu. Mogłem się obijać, aż znowu zacznę przyjmować wiadomości, i spróbować ustalić, czy wie cokolwiek o fałszywej tożsamości Peitersena i jego nagłym zniknięciu. Takie postępowanie byłoby rozsądne. Jednak czułem potrzebę zrobienia czegoś więcej, przymus zrobienia czegoś natychmiast. Nie mogłem znieść

czekania. Postanowiłem więc pojechać do Lepe i zobaczyć, czego mogę dowiedzieć się sam. Ucałowałem Suzanne i kazałem jej nie mówić nikomu, dokąd pojechałem. Co oznaczało: „Nie mów ojcu, jeśli zadzwoni”. Peitersen i mój ojciec byli jedynymi ludźmi, dla których moje przybycie do stoczni miałoby jakieś znaczenie. A Jack Peitersen wyjechał.

Był piękny kwietniowy poranek. Wyruszyłem, żując kawałek tosta i pijąc kawę z termosu, którą Suzanne dla mnie przygotowała, kiedy brałem prysznic. Cały ruch kierował się ku miastu, w kierunku przeciwnym niż ten, w którym zmierzałem. Włączyłem radio, usłyszałem pierwsze takty piosenki Prefab Sproutsów *Kiedy miłość się kończy* i prawie sparzyłem się kawą, kiedy stalowy kubek podskoczył w mojej dłoni ku wardze. Wyłączyłem radio. Może piosenkę włączono do samplingu? Takie rzeczy często zdarzają się ze starymi płytami. Albo wykorzystali ją w ścieżce dźwiękowej przebojowego filmu lub stała się piosenką przewodnią przebojowego serialu telewizyjnego. To możliwe. A na dodatek mogła zostać wydana na singlu. Nieważne, zapadła cisza, w której szybko mi się jechało. Kiedy dotarłem do warsztatu skutniczego, powinni już tam pracować ludzie. Nie przybyłem tak wcześnie, by uprzedzić poranną zmianę. A jednak nie zastałem nikogo. Nawet przy bramie nikt nie strzegł terenu przed wandalami czy złodziejaskami sprzętu elektronicznego z łodzi i cennych narzędzi skutniczych.

W szopie z zużłobetonowych pustaków i blachy falistej, służącej Peitersenowi za biuro, nie znalazłem żadnych wskazówek co do miejsca jego pobytu. Na podkładce na biurku widniały jakieś obliczenia kosztów tego czy owego. Obok kolumn cyfr widniał szkic techniczny jakiegoś typu łączenia drewna. Sporządzono go wyjątkowo starannie. Ale kunszt kreślarski Peitersena był w tej chwili nieistotny. W szafce na dokumenty jedyną zajętą szufladę wypełniono fakturami i kwitami dotyczącymi bieżących prac. Nie było jednak żadnego komputera, w którym mógłbym przetrząsnąć pliki. Nie widziałem nawet telefonu. W takich miejscach zawsze na ścianach wiszą tandetne kalendarze z łagodnym porno. To podstawowy element ich wystroju. Ale tutaj tego nie było. Przyklejono natomiast blu-tackiem do betonu diagram wykonywania prac przy łodzi mego ojca.

Nie było popielniczki pełnej petów ani kosza z opakowaniami po snickersach, ani nawet jednej pustej puszki po piwie. Nie pozostawiono szalika ani zimowego swetra na hakach na płaszcze przy drzwiach. Nie było rękawic roboczych ani ochraniaczy na buty. Nie pozostała ani jedna osobista rzecz. Ludzie,

kiedy coś odnawiają, robią zdjęcia. Robią je przedtem i potem, by szczyć się nimi i pokazywać je innym ludziom. To część ludzkiej natury.

Przyklejają je na ścianach albo ustawiają na biurkach. Ale tu zdjęć nie było. Wykonywał swą pracę z pedantycznością mnicha, a potem zniknął przed jej zakończeniem. I nie zostawił żadnej wiadomości. A wiadomość, oczywiście, była tym, czego przede wszystkim szukałem w jego biurze.

W doku nie było ani śladu „Mrocznego Echa”. By chronić jacht przed złą pogodą wciągnięto go na szynach do wielkiego hangaru w stoczni. Chociaż nie było wtedy pogody, przed którą trzeba by się chronić. Dzień był pogodny, a woda za dokiem gładko połyskiwała szmaragdem. Ciemniejące morze ciągnęło się do wyspy Wight i przystani Coves. Nabrałem powietrza. Często mnie przerażało to, jak bardzo śmierdzi zastały kraniec morza pokryty przyniesionymi przyplływem, gnijącymi odpadkami. Ale tego konkretnego dnia morze pachniało świeżo. Nie wiał wiatr ani nie padał deszcz, który by kalał połysk cennego ojcowskiego nabytku. Niemniej łódź stała w hangarze. Jakby Peitersen skończył swą pracę, milcząco demonstrując schludność i zapobiegliwość, pomyślałem, podchodząc do budynku. Zakończył skromnym gestem dobrego rzemieślnika.

Odryglowałem i odciągnąłem oba skrzydła wrót, wpuszczając do hangaru jasne wiosenne światło poranka. Łódź wyglądała zachwycająco. To jej kształt przemawia do człowieka, tak mówił mój ojciec, kiedy była tylko ponurym wrakiem na morskim złomowisku Bullena i Clore'a. A teraz widziałem, co go wtedy tak uderzyło. Nawet kiedy nie pływała, łuk jej kadłuba sprawiał, że „Andromeda” kapitana Strauba wydawała się pozbawiona gustu i konserwatywna. Były tego samego rodzaju, lecz z różnych pokoleń - pulchna matrona z Clyde, ubrana w żałobne szaty, i nowoczesna panna -dziedziczka błyszcząca na przyjęciu Geralda Murphy'ego na Riwierze

Tylko że ona nie tyle błyszczała, ile lśniła. „Mroczne Echo” było smukłe i wspaniałe w lśnieniu farby i połysku polerowanego mosiądzu. Wszedłem na pokład. W hangarze panowała cisza. Niejasno zdawałem sobie sprawę, że szumią niewielkie fale załamujące się na brzegu, a wszechobecne na niebie mewy krzyczą nad wodą. Ale w hangarze i umieszczonej w nim łodzi panowała absolutna cisza. Deski pokładu spasowano tak idealnie, że pod moim ciężarem tek nawet nie zatrzeszczał. Przesunąłem lekko ręką po lewym relingu w pobliżu rufy i poczułem, że „Mroczne Echo” gotowe, napięte i żywe czeka na swoją chwilę. Nie było to uczucie złowrogie. Nie miało w sobie niczego groźnego ani złowróżbne-

go. To była euforia, obietnica splendoru i chwały. Uczucie przede wszystkim uwodzicielskie.

Wśród złomu i rdzewiejących gigantycznych artefaktów inżynierii morskiej na przystani Bullena i Clore'a, a potem w stoczni Hadleya, na wałach chroniących przed sztormami, miałem świadomość żywiołowej głębi, a czasami wściekłości morza. Wysoka stała fala podczas podróży do Baltrum i podmuchy arktycznego wichru jedynie wzmocniły moją rezerwę do pomysłu oceanicznej wyprawy. Ale „Mroczne Echo” miało duszę i styl. Miało klasę. Ze swym wdziękiem i siłą wydawało się nie dość że odpowiednie do tego kuszącego zadania, ale również do niego chętne.

Ojciec twierdził, że nie ma czegoś takiego jak pechowa łódź. Są tylko pechowi właściciele. Na jego połyskliwej zdobyczy, w hangarze w Lepe, tamtego łaskawego i łagodnego kwietniowego dnia uwierzyć w to było łatwiej, niż się wydawało.

Wiele wskazywało na to, że okrucieństwa popełnione przez Załogę Jerycho sprowadziły potępienie na wszystkich jej członków. Dwóch z nich, których los prześledziła Suzanne, przez jakiś czas władało tą łodzią. Przynajmniej jeden, a może nawet trzech, zginęło na jej pokładzie. Ale innych gwałtowna, przedwczesna śmierć dopadła na lądzie. Sam Spalding szczył w nowojorskim pokoju hotelowym - rozciągnięty w poprzek łóżka, miał żyły pełne whisky cutty sark i lufę pistoletu przy skroni. Łódź tkwiła w lodzie na przystani, prawie dwa kilometry dalej, i z pewnością nie ponosiła winy za jego śmierć. Kapelan Załogi Jerycho zginął pierwszy we francuskiej stodole. Z pozostałych jedynie Tencha i może Waltrowów spotkała zguba na pokładzie „Mrocznego Echa”. A ponieważ los Waltrowów pozostawał zagadką, Tench był jedynym człowiekiem, który na pewno zginął na tym jachcie.

To Załoga Jerycho była przeklęta. Coś zrobili, zawarli diabelski pakt, aby zapewnić sobie nietykalność w walce, i zapłacili ogromną i przerażającą cenę, kiedy na świecie zapanował pokój. Bawili się w czarną magię, której Spalding nauczył się w młodości od rodziców zajmujących się okultyzmem. Zabawiali się mrocznymi okropnościami. Nie miało to nic wspólnego z jachtem. Miało związek z wojną i z diaboliczną rolą jaką w niej odegrali. Wypadki u Hadleya były nieszczęśliwe, ale to tylko wypadki. Wyrzucony na brzeg delfin, krwawy obraz będący dziełem pobudzonej wyobraźni Hadleya, był - jak mówił mój ojciec - zagubionym i zdezorientowanym zwierzęciem, które napotkało łopatkę śruby i stało się nieszczęśliwą ofiarą najbardziej ożywionego ruchu wodnego na świecie.



Peitersen - zagadka Peitersena i nadzieja jej rozwiązania - stanowił jedyną przyczynę mojej wizyty w stoczni w Lepe. Ale oczywiście chciałem znów zobaczyć „Mroczne Echo”. Kiedy ostatnio odwiedziłem stocznię z Suzanne, postęp prac na łodzi zrobił na mnie wielkie wrażenie. Byłem ciekaw, czy teraz remont doszedł do etapu, w którym do reszty rozwieje zagrożenie, jakie czułem, kiedy po raz pierwszy wszedłem na pokład. Przyznaję, że ta złowroga, przerażająca wizja z czasem trochę zbladła.

Miałem naturalną skłonność do powiązania jej z wagnerowską zimą dręczącą stocznię biednego Franka Hadleya. Ale opowiadanie Suzanne o stodole, wykorzystywanej jako francuska baza Załogi Jerycho, spowodowało, że groza wróciła. I chciałem zobaczyć, jak poczuję się na pokładzie „Mrocznego Echa” po podróży na podobnym statku, który według słów właściciela naprawdę był niewiedzony.

Zszedłem po schodni w tylnej części jachtu. Za schodami znajdowała się kajuta kapitana. Zaczerpnąłem głęboko powietrza i zacząłem uważnie oglądać drzwi przyszłej kwatery mego ojca. Wyłożono je wielkim panelem z wypolerowanego orzecha. W jego bogatych i złożonych sękach można było rozróżnić fantazyjne wzory i motywy. Ale drewno pozostaje drewnem, bez względu na to, jak dokładnie je przycinano i obrabiano. Pachniało, jakby ktoś pokrył je politurą. W dotyku, pod pieczętą moich palców, przypominało aksamit i szkło połączone za pomocą jakiejś sprytnej alchemii

Obróciłem wypolerowaną mosiężną gałkę u drzwi. Nie były zamknięte na klucz. Wziąłem następny, głębszy oddech. Byłem bardziej zdenerwowany niż podczas ostatniej wizyty. Teraz przemiana „Mrocznego Echa” nie stanowiła już dla mnie tak miłej nowości jak wtedy. No i była przy mnie Suzanne. Teraz byłem sam. Byłem świadomy krwi pulsującej mi w uszach w rytmie przyśpieszonego bicia serca. Ściśle mówiąc, nie byłem przerażony. Byłem daleki od stanu grozy, od której włosy stają dęba, grozy, jaką czułem, kiedy pierwszy raz postawiłem stopę na jachcie. Ale bałem się. Łatwiej było uwierzyć w klątwę rzuconą na właścicieli niż na łódź. Zwłaszcza teraz, kiedy remont zmienił jacht prawie nie do poznania. Ale po wszystkim, co usłyszałem i czego doświadczyłem, po zniknięciu oszusta podającego się za Jacka Peitersena, byłbym głupcem, gdybym nie odczuwał niepokoju.

Drzwi otwierały się na wspaniałe pomieszczenie. Myślałem, że kajuta kapitana Strauba jest przytulna. W porównaniu z kajutą ojca wydawała się brudna i nędzna. Na ścianach wisiały obrazy Legera, Bonnarda i Delaunaya. Stał tu regał

z pierwszymi wydaniem Hemingwaya, Sinclaira Lewisa, Scotta Fitzgeralda i Gertrudy Stein. Na okazałym dębowym biurku ojca, wśród zwiniętych map i diagramów nawigacyjnych, stała oprawiona oryginalna fotografia przedstawiająca „Mroczne Echo” wygrywające regaty. Widziałem ją wcześniej w encyklopedii Artura Mee. Umieszczono też tutaj piękny teleskop o trzech wysuwanych członach i tekowy humidor do cygar. Nie zapomniano o nagrodach bokerskich ojca, tych tanich i pokrytych nalotem przedmiotach z cynkowej i srebrnej blachy. Ustawiono je w szklanej gablocie. Szkło lekko podbarwiono po to, jak przypuszczam, by nadać trofeom połysk, którego nigdy nie miały w chropawym ubóstwie życia.

Do tylnej ściany przyśrubowano kasetę z bronią. Nie była to gablota wystawowa, raczej roboczy wieszak na karabiny i śrutówki. Mój ojciec umiał się posługiwać obydwoma rodzajami broni. Przed masakrą w Dun-blane i zmianami w prawie, które nastąpiły w jej wyniku, posiadał również kolekcję pistoletów. Broń palna wabiła go zabójczym splendorem. Kiedyś, w moje urodziny, zabrał Suzanne i mnie do Las Vegas na walkę Ricky'ego Hattona o tytuł mistrza świata. Poranek po walce spędziliśmy na strzelnicy na pustyni. Mój tata wystrzelił parę pocisków z M16 i kałasznikowa i uśmiechał się jak dziecko, kiedy mosiężne łuski dźwięczały wokół jego stóp, a nieodległy tekturowy cel w kształcie mężczyzny został unicestwiony. Suzanne nauczyła się ładować i strzelać z pistoletu, i okazała się doskonałym strzelcem. Ja miałem kaca po przyjęciu, jakie wydano po walce, i się nudziłem. Ojciec powiadomił mnie o swych zamiarach zabrania na pokład jednej lub kilku sztuk broni. Wspomniał, co kilka lat temu przydarzyło się wielkiemu australijskiemu żeglarzowi Peterowi Blake'owi na Amazonce. Nie mieliśmy w planach Amazonki, ale w ostatnich latach piractwo powróciło na Atlantyk. Najwyraźniej swoje słowa potraktował poważnie. W kasecie nie było jeszcze broni, ale gdy na nią patrzyłem, miałem pewność, że kiedy wsiądziemy na jacht, broń tam będzie. Wydawało się to dość uczciwe. Ojciec wydał na „Mroczne Echo” fortunę. Kiedy opuścimy ląd, żaglowiec będzie domeną ojca. Najwyraźniej czuł, że ma prawo do jego obrony.

Usłyszałem hałas, a potem tupot, który w ciszy wnętrza łodzi brzmiał głośno jak wybuch, a jednocześnie ukradkowo i agresywnie, i na ten odgłos niemal nie wyskoczyłem ze skóry. Uznałem, że dochodzi z kubryku. Oczywiście mógł to być jedynie szczur. Ten dźwięk ocucił moją czujność, wróciłem do podejrzeń, że na łodzi panowała nadnaturalna cisza, zanim rozległ się ten tupot. Gdzie, do cholery, podziała się ochrona stoczni? W porządku, to mały warsztat wynajęty do

remontu jednego statku. Ale ta część wybrzeża nie jest wolna od przestępstw, a „Mroczne Echo” to cholernie cenny łup. Złodziej minimalista mógłby pójść na emeryturę po sprzedaniu na czarnym rynku samych tylko dzieł sztuki z tego statku. I gdzie się podział pieprzony Peitersen? Odwalił kawał dobrej roboty. Czy choć dostał to, co mu się należało, zanim dał drapaka?

Znowu usłyszałem szczura. Był wielki, i Bóg jeden wie, jakie szkody wyrządzał w nieskazitelnym drewnie i stalowym wyposażeniu lśniącego nowego kubryku. Nie bałem się szczurów. Ale nie chciałem, by ugryzł mnie jakiś wielki, podróżujący po morzach osobnik. Rozejrzałem się za czymś, czym mógłbym go zabić. W gablocie na ścianie kajuty ojca wyłożono noże. Teraz pełniły raczej funkcję ozdoby. Piękne przedmioty: trzonki wykonane z kości zwykłej i słonowej, stalowe ostrza, a na nich wygrawerowane symbole. Kiedyś były narzędziami i wydawały się ostre. Jednak nie chciałem zmywać podrobów gryzonia z podłogi kubryku. Zakląłem pod nosem i usłyszałem znowu śmiałego i hałaśliwego popaprańca tuż za drzwiami kapitańskiej kajuty. Rozejrzałem się. Zobaczyłem pałkę z wypolerowanego mahoniu wiszącą na ścianie, a nie zamkniętą za szkłem. Przypominała złośliwą broń, za pomocą której w początkach XIX wieku werbownicy ze Spice Island w Pompey - czyli w Portsmouth - nakłaniali opornych żeglarzy, by wstąpili do floty królewskiej. Miała około trzydziestu centymetrów długości, uchwyt owinięty szpagatem, a na końcu jej przekrój puchł do rozmiarów mniej więcej piłki tenisowej. Wyjąłem maczugę z uchwytów i podniosłem. Wściekle dobrze wyważona. Kiedy uderzyłem końcem pałki w otwartą dłoń, poczułem ukąszenie bólu i zastanawiałem się, jak werbowani żeglarze dochodzili do siebie po takim uderzeniu. Moja staroświecka broń wydawała się idealna do załatwienia gryzonia. Muszę go tym po prostu trafić.

Wykradłem się z kajuty, dałem nura do kubryku, zamknąłem drzwi i zapaliłem światło. Na szczęście akumulator był naładowany i pamiętałem położenie przełączników. Popatrzyłem na jasne, wypolerowane powierzchnie. Pusto. Podniosłem maczugę. Spojrzałem na podłogę i blaty, szukając charakterystycznych szczurzych odchodów. Wszędzie idealnie czysto. Teraz panowała również absolutna cisza. Nie dochodziły nawet zwykłe odgłosy otoczenia. Mewy umilkły. Morze się cofnęło. Podniosłem maczugę, przykucnąłem i przeszukałem kredens, kuchenkę i lodówkę. Ale niczego w nich nie było. Przeszukałem również górne szafki wiszące nad błyszczącymi stojakami na miedziane patelnie i stalowe garnki. Zbyt sterylne środowisko dla szczura. Na „Mrocznym Echu” nie znalazłby ani okruszyny jedzenia. Gdyby któryś z robotników zostawił w kubryku niedojedzo-

na kanapkę, zobaczyłbym folię spożywczą lub papier śniadaniowy, w który ją owinięto. I poczułbym jej zatechłą woń. Nie czułem nic prócz woskowej pasty i słabego, cytrynowego powiewu środków dezynfekujących. Miejsce było nieskazitelne. Ale słyszałem, co słyszałem.

Przeszedłem przez całą długość łodzi do mojej kajuty. W porównaniu z kajutą ojca była skromna, ale i tak lepiej wyposażona niż wszystkie kajuty, jakie kiedykolwiek widziałem na jachtach. Ojciec kazał powiększyć i oprawić w ramkę z różanego drewna zdjęcie moje z Suzanne. Powieszono je na ścianie, na którą będę patrzył, ilekroć usiądę przy biurku, które mi kupił. Zdjęcie zrobił podczas jednego z letnich pikników. Meble miały miękką tapicerkę ze skóry koloru wina. Uśmiechnąłem się na myśl, że - nim na nich usiądę - aby w dostatecznym stopniu stać się macho, będę musiał zapaść wąsy i stosować silnie pachnący płyn po goleniu. W kajucie stała miniwieża, obok leżał stos płyt kompaktowych. Muzyka była dobrana pod mój gust. Płyty wybrał ojciec, czy, co bardziej prawdopodobne, pani Simms - wiedzieli, że lubię muzykę tego typu. Na biurku stał ostatni model laptopa Apple'a, olśniewający bielą. Nie było tylko czmychającego gryzonia, któremu za chwilę przetrącę kark pożyczoną pałką.

Pomyślałem o magazynie żagli. Ale jeszcze nie było tam nic, co szczur mógłby sobie pożuć. Żagle miały przybyć w połowie maja, za całe dwa tygodnie. Mogły za to leżeć fragmenty olinowania. Ale liny robi się teraz z nylonu, a nie z konopi. Chyba że jesteś na pokładzie „Andromedy”. Jedyne typ szczura, o którym cokolwiek wiedziałem, to rodzaj opisywany przez tabloidy. Te potwory wielkości kota mogły rzekomo przegryźć się przez wszystko. Ale, myślałem, nawet szczur z tabloidów nie zechce gryźć liny utkanej z jakiegoś wyprodukowanego z nafty syntetycznego składnika. W nylonie nie ma pożywienia.

Zatem nie sprawdziłem magazynu na żagle. Sprawdziłem kabinę prysznicową i ubikację - znajdowały się po obu stronach krótkiego korytarzyka przy mojej kajucie. Przystanąłem i uważnie nadśluchiwałem przez całą minutę. Ale nie sprawdziłem magazynu żagli, bo nie widziałem w tym sensu. Uznałem, że mój szczurzy pasażer na gapę uniknął konfrontacji, czmychając przez otwarty iluminator. Bo kilka z nich było otwartych; zauważyłem to, kiedy wycofywałem się na pokład. Kiedy przechodziłem, zamknąłem je wszystkie. Taka akcja nie przeszkodzi zdeterminowanemu złodziejowi, ale może przeszkodzić żadnemu przygód szczurowi w dostaniu się na łódź i nadgryzaniu ojcowskich obrazów. Na końcu, zanim wyszedłem, zatrzasnąłem maczugę w mosiężnych uchwytych.



Zeskoczyłem z pokładu „Mrocznego Echa” na deski hangaru, oburzony z powodu sposobu, w jaki łódź najwyraźniej porzucono. Był co najmniej absurdalny. Odrestaurowano ją według specyfikacji, której mógłby się domagać arabski szejk. A jednak tu stała, zdana na łaskę jakiegoś lokalnego wandalę, uzbrojonego w puszkę farby do graffiti. Takie pozostawienie jej bez nadzoru było więcej niż absurdalne. Było cholernie dziwne.

Kiedy szedłem do miejsca, gdzie zaparkowałem samochód, przy bramie dostrzegłem człowieka. Miał na sobie niebieskie spodnie i niebieską bawełniano-poliestrową koszulę z naszywką „Ochrona” nad kieszenią na piersiach. Kiedy zobaczył, że się zbliżam, oparł dłonie na biodrach, zmrużył oczy i zakołysał się. Efekt byłby mocniejszy, gdyby nosił również czapkę i kurtkę mundurową ale one poddały się gorącemu kwietniowemu słońcu i leżały udrapowane na krześle strażnika przy posterunku obok bramy. Był ochroniarzem z pośredniaka, nie typem butnego bramkarza z nocnego klubu, który do stawki pięciu funtów dorabia sobie dilerką. Było mi go trochę żal. Widziałem, że jest w złej kondycji i po niewłaściwej stronie czterdziestki. Miał zbyt ciasne spodnie - świeciły się, wytarte przy kieszeniach i w kroku. Z takim ochroniarzem wyszczekane podrostki ganiają się po supermarketach.

- Co pan tu robi?

Nie kradłem, to było widać. Nie niosłem niczego, nawet komórki, którą zostawiłem w samochodzie, w schowku na rękawiczki. W końcu sam to pojął - zorientowałem się po sposobie, w jaki odprężyły mu się ramiona, kiedy do niego podszedłem.

- Mój starszy jest właścicielem tej łodzi. - Spojrzałem na zegarek. Było nieco przed dziesiątą rano. - Gdzie pan był?

Wyglądał na zażenowanego i zmieszanego. Ale odpowiedział:

- Przyszedłem za wcześnie. Przed dziesiątą nie jestem właściwie na służbie.

Więc to jego nadgodziny. Albo podgodziny, jeśli istnieje taki termin.

- Powinien tu być Prendergast - wyjaśnił.

- Jak się pan nazywa?

- Chesney.

- Gdzie jest Pendergast?

Chesney nie odpowiedział. Patrzył na swoje tandetne buty, na miejsce, gdzie załamywał się na nich mankiet poliestrowych spodni.



- Mój ojciec jest hojnym człowiekiem, panie Chesney. Docenia sumiennych pracowników. Ale nade wszystko mój ojciec ceni i nagradza lojalność. Gdzie jest Prendergast?

- On nie lubi pracować po nocach - powiedział z akcentem zdecydowanie miejscowym. - Nikt nie lubi. Więc rzucaliśmy monetą. Prendergast przegrał i dostał tydzień nocnych dyżurów. Gdy pan Peitersen był tu przez cały czas, to by na pewno człowieka przyłapał. Ale kiedy nie ma Peitersena, kto by chciał samotnie siedzieć w ciemnościach, no nie?

- Tak więc pan by postępował tak samo?

Chesney zachowywał się teraz gburowato. Szurał nogą po żwirze, jak dzieciak przyłapany na jakimś przedszkolnym przestępstwie. Teraz mniej mu współczułem. Głupota i fochy to okropna kombinacja.

- To te hałasy, panie Stallard.

- Stannard. Wskazał głową hangar.

- Szczury?

- Głosy. Śmiech. One się niosą, rozumie pan. Znoszę to, bo muszę wyżywić rodzinę. Ale wcale nie lubię nocy, tak samo jak Mickey Prendergast.

Kiwnąłem głową. Wydawało się, że nie mam nic do powiedzenia, przynajmniej do powiedzenia Chesneyowi. Dał mi jednak materiał do przemyśleń.

- Czy to śmiech sardoniczny? Mam na myśli ton.

Spojrzał na mnie, jakbym właśnie otworzył usta i powiedział coś po marjańsku. Wyjąłem portfel. Zawsze miałem przy sobie gotówkę. Ten zwyczaj wpoił mi ojciec, który zawsze nosił gotówkę, gdyż nie mógł zapomnieć czasów, gdy gotówki nie miał w ogóle. Odwinałem trzy dwudziestki, wepchnąłem do kieszeni Chesneya, minąłem go i poszedłem do samochodu. Wspomniałem o nagrodzie, kiedy poprosiłem go, by powiedział prawdę. Powiedział ją. Miałem zamiar spowodować, że wyrzucą go z pracy, a, jak mówił, ma rodzinę do wyżywienia. Sześćdziesiąt funciaków nie wydawało mi się zbyt wygórowaną rekompensatą.

Na mojej komórce nie było żadnych wiadomości. Próbowałem zadzwonić na BlackBerry ojca, bezskutecznie. Zirytowany cisnąłem komórkę na tylne siedzenie. Nie lubiłem swych nieciekawych wad bardziej niż inni. Snobizm intelektualny zawsze wybijał się na długiej liście moich nieprzyjemnych cech charakteru. Zlekceważyłem Chesneya, nieśmiałego wartownika, jako pierwotniaka, ponieważ nie spodobało mi się to, co mówił. Ale czy podobało mi się to, czy nie, należało to rozważyć. Następnie odwiedziłem wiejski hotel, gdzie mój ojciec umieścił Peitersena. Tam, oczywiście, również go nie było. Ale istniała możliwość, że

zostawił w hotelu list z wyjaśnieniem, którego nie zostawił ani w swoim biurze, ani na „Mrocznym Echu”.

Sardoniczny śmiech. Sam go usłyszałem podczas swojej pierwszej przerażającej eksploracji łodzi, podczas wagnerowskiej pogody, w pechowym doku Franka Hadleya. Ale później, w czasie dwóch wizyt w Lepe, czułem się zupełnie inaczej. Chociaż niezupełnie dlatego, że złowroga groźba zanikła. To raczej samo „Mroczne Echo” uwiiodło mnie, i zignorowałem wszelkie niebezpieczeństwa. Suzanne tak zaniepokoiła nasza wizyta na pokładzie - jej pierwsza, a moja druga - że skłamała mi i pojechała do Francji, by odsłonić tajemnice człowieka, który kazał zbudować jacht. A jednak ja po tej samej wizycie poczułem ulgę i nabrałem otuchy.

Natomiast podczas dzisiejszej wizyty zostałem przez jacht olśniony. Słyszałem ten głośny i skryty tupot na pokładzie i nie tylko go zracjonalizowałem, ale strywializowałem. I to pomimo faktu, że nie znalazłem ani śladu gryzonia, który - jak podpowiadał mi zdrowy rozsądek - tak hałasował. Wydawało się, że to sama łódź ukołysała mnie w jakiejś kojącej radości. Na jej pokładzie moje zmysły były błogo otepiałe.

Nie przywabiła mnie do siebie. Zatrucie nie rozprzestrzeniło się aż tak bardzo. Z daleka nie odczuwałem do niej wielkiej tęsknoty. Ale kiedy stawiałem stopę na „Mrocznym Echu”, chyba dostawałem się pod wpływ jego silnego, zmysłowego czaru.

To spóźnione, głębsze zrozumienie zawdzięczałem Chesneyowi, wartownikowi w śmiesznym, wyświeconym mundurze. Z tą mało pocieszającą refleksją zatrzymałem się przed malowniczym wiejskim hotelem Peitersena.

A potem przyszła następna myśl. A co, jeśli zajrzałym do magazynu żagli? Nagle ogarnęła mnie mocna i intuicyjna pewność, że znalazłbym tam nie gryzonia, lecz Toby'ego, ulubionego mastifa Spaldinga, śmierdzącego, martwego i pełnego robaków. Sapałby i oczekiwał w groteskowej parodii psiego życia na powrót swego dawno utraconego pana. Pies ukrywał się w magazynie żagli w spokoju i ciszy gryzł tam linę kiedy z powodu pogody i fal na pokładzie było niebezpiecznie. Nagle mnie olśniło. Wiedziałem to z tak absolutną pewnością, jak wiem, że po nocy następuje dzień.

Z dostępem do pokoju Peitersena nie miałem w ogóle trudności. Na podstawie prawa jazdy ustalono moje nazwisko. I nie pomylili go, tak jak Chesney. Nazwisko Stannarda było źródłem gwarantowanych dochodów podczas pobytu Peitersena w hotelu, gdyż mój ojciec umieścił go w najlepszym pokoju. Posiłki i

pokój zostały opłacone z góry do końca czerwca. Ojciec szczerze uwzględnił wyższe ceny wielkanocne i sezonowe, z początku lata. Nie zaskoczyły mnie więc uśmiechy, otwarte wszędzie drzwi i ogólna służalczość. W skali mikrokosmicznej to streszczenie całego mojego życia.

Dla kontrastu, lustracja pokoju niczego nie wniosła. Przygnębiające okna z szybkami oprawionymi w ołów. Ściany ozdobione sielankowymi scenami z życia wsi. Belkowany sufit wisiał tak nisko, że pomieszczenie, choć szerokie i długie, wydawało się ciasne. W autentycznym kominku ułożono kłody, ale kora na nich zwijała się pod warstwą kurzu. Poklepałem kapę łóżka i powąchałem położone poduszki. Pościel oczywiście ostatnio zmieniano, ale łóżko miało wygląd zimny, jakby nikt w nim nie sypiał. Powoli poznawałem inne szczegóły. Telewizor z odtwarzaczem DVD, umieszczony dyskretnie i stanowczo, nie pochodził z okresu, kiedy dziedzice przeciągali się nad cynowymi dzbanami z porterem po ciężkim dniu polowania z psami. Do pokoju przylegała łazienka z prysznicem i masażem wodnym. Była niewielka, a na ogrzewanych poręczach rozwieszono białe jak śnieg puszyste ręczniki. Na półce pod lustrem stały buteleczki z wytłoczonym wzorem, z kremami i płynami, z rodzaju tych, jakie goście hotelowi na ogół kradną, by złagodzić ból płacenia rachunków.

Peitersen rachunków nie płacił. I z jakiegoś powodu byłem pewien, że również niczego nie ukradł. Byłem przekonany, że nigdy nie odkręcił zakrętki na żadnej z buteleczek na półce w łazience. I nigdy nie oglądał DVD ani nie uciechył się drinkiem z minibarku, wciśniętego przy ścianie obok telewizora. Jego okno na pierwszym piętrze wychodziło na stateczny kasztanowiec o pączkujących liściach, a za nim na stok porośnięty bujną murawą. Wątpiłem, czy Peitersen zauważył ten widok. Byłem coraz bardziej przekonany, że nigdy nie spał w tym łóżku.

Pedantyczność mnicha.

I tutaj szukałem jakiejś notatki, ale niczego nie znalazłem.

Siedziałem na fotelu przy oknie w zagraconym hotelowym holu i piłem kawę. Otaczały mnie wazony polnych kwiatów, brązowe ozdoby upręży i obrazy w ciężkich ramach. Słońce wpadające przez okno grzało mi plecy. Dziewczyna za ladą recepcji, Polka o ładnych oczach, poprawiała sobie włosy. Było południe. Moja komórka ciągle leżała na tylnym siedzeniu samochodu, gdzie wcześniej cisnąłem ją zirytowany. Z zewnątrz dobiegał warkot silnika kosiarki. Wszystko wydawało się idealnie zwyczajne, ale wiedziałem, że tak nie jest. Zastanawiałem się, czy ojciec nadal pozostaje poza zasięgiem w Chichesterze. Pomyślałem o ob-

razku, który oprawił dla mnie i kazał powiesić w mojej kajucie, i chciałem paść na kolana i pomodlić się o jego bezpieczeństwo. Zamiast tego dopiłem kawę i poszedłem do recepcji, gdzie do Polki dołączyła koleżanka, na tyle do niej podobna, że mogły być siostrami.

Tak, znały gościa, którego im opisałem. Recepcjonistka o frapujących oczach miała na imię Magda. Druga dziewczyna, jej kuzynka Marzena, codziennie sprzątała pokój pana Peitersena. Angielszczyzna Marzeny, choć o niebo lepsza od mojej polszczyzny, nie umywała się do angielszczyzny Magdy. Chciałem zabrać Marzenę na spacer wokół hotelu, na pogawędkę, która zachęca ludzi do przypominania sobie pewnych drobnych szczegółów, które mogą okazać się ważne. Ale Magda - która oczywiście znała finansowe warunki pobytu Peitersena - wcale nie powstrzymywała kuzynki.

I oczywiście potrzebowałem pomocy przy tłumaczeniu.

Wyglądało na to, że Peitersen miał swoje dziwactwa. Większość gości, w średnim wieku i dobrze sytuowanych, stanowili żeglarze, gracze w golfa lub pary cieszące się z romantycznej przerwy w codziennej rutynie. Hotel słynął z dobrej kuchni. Były tu też dwie inne restauracje, jedna włoska, a droga, która nazywała się chyba Kundan, na Hamble. Hotel chętnie je rekomendował. Peitersen nigdy nie jadł w żadnej z nich. Nigdy też nie poszedł do oddalonego o półtora kilometra baru.

- I nie jadł też w pokoju - powiedziała Marzena.

- Musiał coś jeść.

Marzena popatrzyła na podłogę i powiedziała coś niezrozumiałego. Spojrzałem na Magdę.

- Moja kuzynka mówi, że pan Peitersen się głodził.

- Przestrzegał diety?

Pokręciła głową. Zmrużyła oczy, próbując sobie przypomnieć angielskie słowo.

- Pościł - oznajmiła wreszcie.

Kiedy wróciłem do samochodu, na telefonie migotał symbol nadchodzącej wiadomości.

- Martinie, próbowałaś się do mnie dodzwonić. Jako że nie są to moje urodziny i nie zmieniłem testamentu, jestem zaskoczony twoją atencją. Czego chcesz?

W jego głosie brzmiało zadowolenie. Chichester mu służyło. Teraz miałem przekazać wiadomości, które popsują mu dobry humor. Skąd wiem, że Peitersen

zniknął? Wiem, ponieważ Suzanne mi to wczoraj powiedziała. A skąd wiem, że to wcale nie był Peitersen? Wiem to, ponieważ Suzanne trochę poszperała, nie konsultując się wcale z moim ojcem. Co bym mu powiedział? Nieretuszowaną prawdę. Zabijanie posłańca było niesprawiedliwością, którą ojciec zwykle się delectował. A mógł uważać śledztwo Suzanne za rodzaj zdrady. Ale kłamanie mu nie miało sensu. Ona działała z troski o mnie. Moim motywem była troska o niego. Może być wściekły, mściwy, kapryśny i okrutny. Może stroić gorsze fochy niż czteroletnie dziecko i być próżny, że aż zapiera dech, ale nie jest głupi. Przetrwam burzę, poczekam, aż powróci cisza, a potem przedyskutujemy tajemnice oszukańczego skutnika, ocenimy konsekwencje i spróbujemy razem znaleźć wyjście z sytuacji.

Kluczem do wszystkiego był oczywiście motyw. Wiedziałem, co motywuje Suzanne i mnie. Ale motywy Peitersena były niejasne i zagadkowe. Po rozmowie z polskimi dziewczętami liczba pytań wzrosła, ale też otrzymałem kilka wskazówek. Spojrzałem przez szybę saaba na okno pokoju, który zajmował Peitersen. Nie mogłem zajrzeć do wnętrza. Słońce odbijało się od szyb łaciatą zielenią kasztanowca na tle czystego niebieskiego nieba. Wzięłem głęboki oddech i wcisnąłem guzik telefonu.

Spotkał się ze mną tego wieczoru na londyńskim West Endzie w restauracji Sheekeya, po przedstawieniu w Covent Garden. Jego metafora dotycząca stoczni Hadleya i Wagnera nie była czystą retoryką. Ojciec kochał operę, a zwłaszcza ciężkie, nabrzmiałe mitami germańskie dzieła. Mnóstwo ich słuchał w domu, na swoim sprzęcie hi-fi, który kosztował ze trzy razy więcej niż kaucja za moje mieszkanie w Lambeth. Ale tak naprawdę nie mogłem brać mu za złe luksusów, na które sobie zapracował.

Przy kolacji wyglądał na zmęczonego, jakby uleciała część jego blasku. Może jego stara-nowa flama wymęczyła go w łóżku. Pomyślałem, że chodzi tu o coś więcej. Jednak nie starałem się łagodzić tego, co miałem do powiedzenia. Powiedziałem wszystko. Na samym końcu przekazałem to, czego dowiedziałem się od polskich dziewcząt, zwłaszcza od Marzeny.

- Powinna była pukać, ale tego nie robiła. Prawie nigdy go nie było. Nie sądzi, by kiedyś spał w łóżku w tym pokoju. Po prostu miał pościel od czasu do czasu, dla zachowania pozorów. Powinna była zapukać. Ale otworzyła drzwi i go zaskoczyła.

- Siebie też.



- Leżał krzyżem na podłodze z różańcem w ręku. Jej kuzynka mówi, że mruczał jakieś zaklęcia. Tak to przynajmniej przetłumaczyła.

Ojciec uśmiechnął się do mnie

- Ameryka to naród, który ma więcej pobożnych chrześcijan, niżby wypadło statystycznie.

- Miał na sobie włosienicę, na miłość boską!

- A czasami ich pobożność nie zna granic.

- Magda znalazła jego paszport.

- To rozczarowuje. Myślałem, że Polacy są uczciwi.

- Traktowali go podejrzliwie. Mieli obowiązek dbania o innych gości. Kierownik nocnej zmiany kazał jej to zrobić. Paszport wydano na nazwisko Cardoz. Nie bardziej autentyczne niż Peitersen.

Opowiedziałem mu o Cardoza Associates i o firmie Martens i Degrué. Wydawał się nieco zaintrygowany. Jego wulkaniczny charakter nie wygenerował spodziewanego wybuchu. Cokolwiek mu mówiłem, nie byłem w stanie wytrącić go ze stanu dziwnej obojętności. W końcu straciłem cierpliwość.

- Nie wystarczy Chris kurewski Bonington, by to wytłumaczyć, tato. A my, kurwa, nawet nie wsiedliśmy na jacht.

- Byłbym wdzięczny, gdybyś w rozmowie ze mną nie używał takiego języka.

- Ty go używasz w rozmowach ze mną. Cały czas.

- Zasada starszeństwa Martinie. Etykieta.

- Tak jest, kapitanie.

Byłem sfrustrowany i wściekły. Myślę, że to widział. Podniósł wzrok, by poprosić o rachunek i, jak to zwykle bywało w jego przypadku, to wystarczyło. Podniesienie brwi we wrzawie i zamęcie zatłoczonej restauracji i rachunek natchmiast nadchodził.

- Ja go ureguluję, tato. Położył rękę na mojej dłoni.

- Nie bądź głuptasem.

Lubiłem, gdy mnie dotykał. Zdarzało się to jednak zbyt rzadko. Poczułem, że mój gniew zaczyna się rozpraszać. Wiedziałem, że wycieknie ze mnie pod wpływem niespodziewanej ojcowskiej czułości. Ale nie mogłem sobie na to pozwolić. Niebezpieczeństwo wydawało się zbyt bliskie, a zapowiedzi nieszczęścia zbyt wyraźne.

- Jutro, Martinie - powiedział i ścisnął moją dłoń. - Jutro dopuszczę cię do wstydlwego sekretu. I spodziewam się, że przyniesie to spokój twemu wzburzonemu umysłowi.

Zabrałem ojca o dziewiątej rano. Nie było wiatru, a niebo, jeśli nie liczyć przecinających się smug zostawionych przez samoloty, było nieskazitelnie niebieskie. Idealna pogoda dla helikoptera. Tak więc, dokądkolwiek byśmy lecieli, czułem, że w drodze powrotnej musi być ze mną, w fotelu obok. Rankiem ma się zawsze lepszy nastrój, więc czekając na niego, pomyślałem, że zażartuję, obciążając go za przejechane kilometry albo mówiąc, że coraz bardziej lubi skandy-nawskie samochody. Ale kiedy zobaczyłem jego twarz, zrezygnowałem z takich żartów. Wyglądał, jakby płakał. W ten jasny poranek wydawał się udręczony żalem. Po raz pierwszy w życiu pomyślałem, że mój ojciec, jak na swój wiek, wygląda staro.

Rzucił torbę i płaszcz na tylne siedzenie i wsiadł. Potem zamknął drzwi od swojej strony, pociągnął nosem i spytał:

- Dobrze spałeś?

- Zaskakująco dobrze.

Zapiął pas, wziął głęboki oddech, który uwiązał mu w klatce piersiowej.

- Dobrze się czujesz, tato?

- Bardzo kochałem twoją matkę.

Choć to prawdziwe stwierdzenie, nie musiałem ani nie chciałem go słyszeć. Istniały inne naglące sprawy. Wspominanie matki i jej przedwczesnej śmierci było trudne do zniesienia. Przez długi czas, kosztem własnych uczuć, asystowałem w przedłużającej się żałobie ojca i jego niezaspokojonej tęsknocie za uczuciowym wsparciem i pocieszeniem. Ale teraz z pewnością był odpowiedni czas, by mówić, w jaki sposób zabrano nam mamę. Nie czas na to!

Znowu pociągnął nosem.

- Trafisz do Southend?

Zwolniłem ręczny hamulec, wcisnąłem sprzęgło.

- Jeśli tam właśnie chcesz się dostać. Odwrócił się do mnie.

- Nie bądź bezduszny, synu. Wiem, że młodym taka postawa przychodzi bez wysiłku. Ale proszę cię, nie bądź bezduszny. Dzisiejszy dzień i tak będzie dość trudny.

Bezduszny. W swoim życiu zawodowym zachowywał się tak, jakby miał na to słowo monopol. „Wyciąć leni” było jego mantrą. Czasami niszczył w ten spo-

sób czyją reputację i środki utrzymania. Myślał, że mam miękkie serce, i niewykluczone, że się nie mylił. Sądził, że to cecha pożądana u kapłana, ale w handlowych potyczkach katastrofalna i być może miał rację. Ale w tej chwili, kiedy odjeżdżałem od krawężnika, uważałem, że nazywanie mnie bezdusznym to pieprzona bezczelność. A mówienie o mamie uznałem za tanią i niewybaczalną taktykę uniku.

Moją mamę zabił rak płuc. Myślałem o niej cały czas w drodze do Southend. Nie mogłem myśleć o jej życiu, nie myśląc o jej śmierci. Umierała w taki sposób, że wszystko, co było wcześniej, zmieniło się w żalną kpinę. Zbyt późno postawiono diagnozę i nie można było zastosować skutecznej terapii. Jej stan gwałtownie się pogarszał. Leżała otępiona morfiną, niezbędną, by złagodzić nieznośny ból fizyczny. Wymizierowana i rzadko przytomna, odchodziła od nas na całe tygodnie, gdy przebywała w hospicjum. Tuż przed jej śmiercią choroba uczyniła z niej osobę kruchą i obcą. Mama nigdy nie paliła. Nigdy nie kaszlała. Zanim wykryto u niej raka, jedynym symptomem było ciągle zmęczenie. Była pisarką i niekiedy prezenterką radiową. Straciła energię do pisania i kiedy występowała w radiu po raz ostatni, momentami brakowało jej tchu.

Moja matka była piękną Amerykanką z San Francisco, która wypełniła nasze życie światłem, a zakończyła swoje w dezorientującym mroku. Nie było czasu, by uporządkować jej sprawy, by pogodzić ze śmiercią ją samą i bliskie jej osoby. Choroba czyniła postępy z oszałamiającą szybkością. Kiedy myślę o mamie, myślę o jej śmiechu, czułości i wdzięku. A potem myślę o jej śmierci. Kiedy nadeszła śmierć, w pośpiechu odzierając ją z wszelkich strzępów godności, mama miała czterdzieści cztery lata.

Niebieska zapowiedź londyńskiego poranka rozwiała się na drodze A13, około dwudziestu kilometrów od naszego celu, którym okazał się nie Southend, ale Westcliff-on-Sea, malownicze miasteczko tuż na zachód od swego krzykliwego sąsiada na wybrzeżu. Nadciągnęły obłoki, obniżyły się, a potem deszcz spuszczał z szumem wielkie krople, rozbryzgujące się na przedniej szybie saaba. Mój ojciec przez całą podróż coś rozpamiętywał. Nie mówiliśmy wiele. Wydukał, że tak naprawdę jedziemy do West-cliff i to wszystko. Darowaliśmy sobie żartobliwe uwagi. Ojciec wydawał się tak samo pogrążony w myślach jak ja. Zachmurzone niebo i deszcz lepiej niż jasne słońce pasowały do nastroju panującego w samochodzie. Pomyślałem o włączeniu radia, ale nie bardzo chciało mi się ryzykować, że usłyszę Paddy'ego McAloona, śpiewającego, co się dzieje, kiedy miłość odchodzi.

Ojciec pilotował mnie po ślicznych uliczkach Westcliff. Zatrzymaliśmy się przed pustą działką w połowie rzędu podmiejskich willi o zadbanym ogrodach. Precyzyjnie wystrzyżone żywopłoty i przycięte krzaki ociekały wodą w uporczywym deszczu. Luka w szeregu dobrze utrzymanych małych siedzib robiła dziwne wrażenie. Tworzyła niespodziewaną i nieco melancholijną nieobecność.

- Martinie, czy słyszałeś kiedyś o Victorze Draperze?

Ojciec patrzył na przerwę między domami, na ziemię i gruzy. Błyszczały się tam kałuże, w które bił deszcz.

- Nazwisko mętnie mi coś przypomina.

- Medium. Był medium, człowiekiem, który utrzymywał, że ma dar jasnowidzenia. Mniej więcej wtedy, gdy umarła twoja matka odnosił wielkie sukcesy. Pisano o nim w tabloidach. Czasami pokazywał się w telewizji. Ale nie był jednym z tych świrów z telewizji śniadaniowej. Był lepszy od tej całej papki. Był przekonujący i godny szacunku. Jeśli dobrze pamiętam, występował nawet raz w programie *Omnibus* w BBC.

Pamiętałem go. Nazwisko znane jakieś dziesięć lat temu. Miał przyzwoitą twarz i elokwentnie opowiadał o zjawiskach paranormalnych. Jego książki reklamowano na tylnych stronach niedzielnych dodatków do gazet. Wystarczająco popularny, by na jego występach był komplet widzów. A potem zniknął. Wydawało mi się, że się wycofał.

Ojciec odchrząknął.

- Kiedy twoja matka nas opuściła, nie mogłem się z tym pogodzić. Moja wiara powinna być wystarczająco silna, by pomóc mi to znieść. Ale, niech Bóg mi wybaczy, nie była.

- Poszedłeś do Viktora Drapera?

- On do mnie przyszedł. Był bardzo przekonujący, a ja oszalały z bólu po stracie.

Naszej stracie, pomyślałem. Jej śmierć nie dotknęła tylko ojca. To była nasza strata. A ona sama straciła więcej niż wszyscy.

Na siedzeniu obok mnie, w moim samochodzie, na deszczu, ojciec dygotał. Sytuacja była dla niego trudna. Przedstawiał się synowi jako głupiec.

- Kiedy się zorientowałeś?

- Po paru miesiącach. I czterdziestu tysiącach funtów.

- Co go zdradziło?

- Och, był bardzo dobry. Zrobił wstępne badania. Miał doskonałą pamięć do drobiazgów. I był niezwykle utalentowanym naśladowcą. Świetnie naśladował

głos twojej matki. Naprawdę sądziłem, że to jej słowa wydobywają się z jego ust, kiedy udawał trans.

- Ale popełnił błąd.

- Tak - powiedział ojciec. - Popełnił błąd.

Wyłączyłem wycieraczki, kiedy zaczął mówić, ponieważ ich hałas mi przeszkadzał. Teraz deszcz zamazał przednią szybę. Na szosie nie było ruchu. Żaden pieszy nie walczył z ulewą. Słyszałem, jak deszcz bębni o dach samochodu. Byłem zasmucony i bałem się tego, co za chwilę usłyszę.

- Nie byłeś jedynakiem, Martinie. Miałeś młodszą siostrę. Urodziła się tuż przed twoimi drugimi urodzinami i przyszła na świat o wiele za wcześnie. Przeżyła tylko kilka dni.

Skinałem powoli głową. Nie oczekiwałem tego. Nie byłem przygotowany na tego rodzaju rewelację.

- Dlaczego mi o tym nie powiedzieliście?

- Nigdy nie miałem siły, żeby w ogóle mówić o twojej siostrze. A twoja mama zachowywała na ten temat milczenie, by, jak sądzę, oszczędzić mi przeżyć związanych z taką rozmową.

- Jak miała na imię moja siostra?

- Catherine Ann. Ann po twojej matce.

- A Victor Draper tego nie wiedział?

- Mieszkał tutaj - powiedział ojciec, pokazując puste miejsce między willami po swojej lewej stronie. - Kazałem grupie prywatnych detektywów zdemaskować go jako oszusta. Kiedy został zrujnowany, chyba czmychnął do Australii. A kiedy został zmuszony do sprzedaży swego domu, kupiłem go i zrównałem z ziemią.

- Dlaczego teraz mi o tym opowiedziałeś?

- Nie zatrzymałem się na Draperze, Martinie. Próbowałem skomunikować się z twoją matką przez inne media, równie sławne jak Draper. Wszystkie okazały się szarlatanami. Mówię ci to, ponieważ gdyby nawiązanie kontaktu z twoją matką było możliwe, udałoby mi się to. Nie ma takich rzeczy jak duchy. Istnieje Bóg...

- A więc istnieje i Szatan.

- Być może. Ale nie ma widma Harry'ego Spaldinga, które krąży po łodzi niegdyś należącej do niego. Martwi nie mieszają się z żywymi. Żyją jak żyli tylko w naszych wspomnieniach. Powinienem być mieć dosyć zdrowego rozsądku i odwagi, by pozwolić twojej matce spoczywać w spokoju.



Catherine Ann. Było nas czworo.

- To właśnie dlatego zawsze palisz cztery świece po mszy. Nie odpowiedział. Nie musiał.

Catherine Ann. Teraz miałyby trzydzieści czy trzydzieści jeden **lat**. Mniej więcej rówieśniczka Suzanne.

- A co z Peitersenem?

Ojciec uśmiechnął się ponuro. Ta spowiedź go wyczerpała.

- Świr, tak jak podpowiedział mi instynkt już w chwili, kiedy Hadley pokazał mi ten list. To jakiś entuzjasta żeglarstwa, który przeczytał reportaż niezależnego dziennikarza o aukcji „Mrocznego Echa”, prawdopodobnie w Internecie. Pamiętasz, podczas sprzedaży udzieliłem wywiadu jakiemuś reporterowi. Praca nad remontem tak poważnym była prawdopodobnie marzeniem człowieka, który nazywał siebie Jackiem Peitersenem. Mieliśmy po prostu szczęście, że okazał się równie kompetentny, co chętny.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Dziś nocuję na jachcie, Martinie. Dlatego właśnie zapakowałem torbę podrózną. Będę wdzięczny, jeśli mógłbyś teraz zawieźć nas do Lepe. Później, jeśli sobie życzysz, możesz wrócić do Londynu. A jeśli Suzanne się zgodzi, możesz zostać ze mną na jachcie. Albo możesz spędzić noc w hotelu. Jest wygodny pokój w dobrze utrzymanym hotelu, z którym się ostatnio zapoznałeś, opłacony do czerwca.

- Szkoda, że wcześniej nie powiedziałaś mi o siostrze.

- Zorganizowałem małą ceremonię. Jutro w stoczni. Dobrze by było, gdybyś w niej uczestniczył. Zdasz przyjechać na nią z Londynu, bo rozpocznie się dopiero koło południa. Ale byłoby mniej dla ciebie uciążliwe, mam na myśli podróż, gdybyś zanocewał w okolicy.

- Szkoda, że nie powiedziałaś mi nic o siostrze, tato.

- Też żałuję, synu. Żałuję z całego serca.

Tę noc spędziliśmy na pokładzie „Mrocznego Echa”. Najpierw zjedliśmy kolację w hotelu Peitersena. Podczas posiłku cały czas piłem. Tamtejsza kuchnia bez wątpienia zasługiwała na swoją wspaniałą reputację. Ale jedzenie, po wcześniejszych rewelacjach ojca, smakowało jak popiół. Byłem też zmęczony. Przejechanie dwustu pięćdziesięciu kilku kilometrów z Westcliff do Lepe zajęło mi prawie trzy godziny. W sumie tego dnia spędziłem za kierownicą pięć godzin. Po kolacji nie byłem w stanie prowadzić samochodu, więc zostawiliśmy samochód i wzięliśmy taksówkę. Myślę, że mój ojciec także za dużo wypił. Alkohol nie jest

idealnym anestetykiem. Zostawia cię z bolącą głową, suchymi ustami i przygnębieniem. Ale jest łatwo dostępny i nie kryje przykrych niespodzianek. W ciągu dnia miałem wiele przykrych niespodzianek, więc łaknąłem wyluzowanego alkoholowego odretwienia i pozwoliłem sobie na nie w czasie kolacji.

Zapomniałem, co zamówiłem, kiedy tylko skończyłem składać zamówienie, i zwróciłem menu uśmiechniętemu kelnerowi. Nasza rozmowa przy kolacji była niewyraźną niespójną plamą. Ojciec paplał o systemach nawigacyjnych i łączności oraz sieciach telekomunikacyjnych. Mówił o poziomach dostępu, nielegalnych podłączeniach do sieci i innych tajemnicach łączności. Ja myślałem o pokoju dzieciennym, który moi rodzice ozdobiliby i umeblowali dla mojej utraconej siostry, Catherine Ann. Myślałem o jej malowanej kołysce. Wyobrażałem sobie zabawki, które by kupili. Malutkie ubranka. I marzenia, które musieli wspólnie pielęgnować. Zastanawiałem się, w jakim stopniu utrzymywanie jej śmierci w sekrecie wpłynęło na raka, który wyrósł i rozkwitł w piersi mojej matki i ją zabił. Myśląc o przejmującej skrytości moich rodziców na temat Catherine Ann, chyba zrozumiałem coś, co doprowadziło matkę do przedwczesnej śmierci. I chyba zrozumiałem również coś z tego, co napędzało ojca w jego późniejszym życiu. Ale może ta przenikliwość wynikała jedynie ze złudnej jasności wywołanej alkoholem.

Tamtej nocy w mojej kajucie na łodzi ojca nie miałem żadnych snów. A jeśli miałem, to ich nie pamiętam. Spałem zdrowo na koi tak wygodnej, że prawie luksusowej. Warunki na „Andromedzie” to osobliwy żart w porównaniu z moją kajutą na „Mrocznym Echu”. Pamiętam, że obudziłem się raz tylko po to, by łyknąć wody Hildon, którą wycygałem w hotelu i postawiłem przy koi. Wzięliśmy butelki wody, szczoteczki do zębów i świeże ręczniki. Obsługa hotelu traktowała mojego ojca w sposób, w jaki zawsze go traktowano: jak wizytującego potentata. I rankiem, kiedy zapukałem do jego kajuty i mnie wpuścił, na takiego właśnie wyglądał. Wytworny, tryskał energią. Odzyskał siły. Poczulem świeży napływ żalu po siostrze, której nigdy nie poznałem, i, stojąc w jego kajucie na pokładzie jego jachtu, wiedziałem, że w rozmowie ze mną ojciec już nigdy nie poruszy dobrowolnie tematu swej córki.

Mniej więcej za kwadrans ósma pojechaliśmy do hotelu na śniadanie. Kiedy wsiadaliśmy do samochodu, za bramą zobaczyliśmy dwa samochody dostawcze. Jeden, w kolorze niebieskim, miał z boku nazwę firmy ochroniarskiej wypisaną żółtymi literami, a pod spodem logo z kratą zwieńczoną drutem kolczastym. Wysiadło z niej trzech mężczyzn, dwóch z kabiny, a jeden z tyłu z owczarkiem nie-

mieckim na krótkim łańcuchu. Wszyscy dobrze zbudowani, bez uśmiechów, ubrani w eleganckie czarne kurtki.

- Twoja opowieść o Chesneyu mnie zaniepokoiła - wyjaśnił ojciec. - Przedsięwzięciem środki ostrożności.

Drugim autem przyjechało sześciu mężczyzn ubranych w kombinezony lub dzinsy, w pikowanych kamizelkach. Jeden z nich, chyba brygadzysta, pokazywał jakieś papiery pierwszej grupie. Stali trochę niespokojnie, kiedy psu pozwolono każdego obwąchać i nauczyć się jego zapachu. Otworzono im bramę, a oni, niosąc narzędzia, poszli do hangaru z łodzią.

- Musimy tu wrócić przed południem - powiedział ojciec. Mieliśmy więc dużo czasu. - Od tej chwili, Martinie, jedyny sardoniczny śmiech, jaki usłyszysz w pobliżu „Mrocznego Echa”, to będzie mój śmiech.

Podczas śniadania do naszego stolika przyniesiono list. Przyniosła go Marzena na srebrnej tacy i wręczając ją ojcu, lekko skłoniła głowę. Była to zapieczętowana szara koperta formatu A5 ze starannie wypisanym nazwiskiem ojca i nazwą hotelu. Charakter pisma przypominał mi kolumny liczb, które widziałem w notatniku na biurku Peitersena. Niektóre litery wyglądały tak samo, jakby napisane stalówką tego samego pióra. Ojciec wziął list, podziękował dziewczynie, a potem podał mi go nad stołem.

- Otwórz, Martinie.

Wykorzystałem mój nóż stołowy. Wcześniej przyjrzałem się znaczкови. Był nieco zamazany i niewyraźny, ale list przeszedł przez sortownię w wielkim centralnym urzędzie pocztowym przy Mount Pleasant w Londynie. Kiedy rozciąłem kopertę, na obrus wysypały się przekazy bankowe. Wiedziałem, co to jest. Miesięczne wypłaty, które mój ojciec przekazywał Peitersenowi. Pozostały niezrealizowane. Ze specjalnego rachunku dokonywał wypłat dla pozostałych ludzi i zakupu materiałów - widziałem faktury w stoczni. Ale nie wziął nic dla siebie. Otworzyłem kopertę kciukiem i zobaczyłem, że w środku jest list, nadal przyklejony do kleju na skrzydełku. Oderwałem go, rozłożyłem i głośno odczytałem.

„Jest gotowy, Magnusie. Można by przy nim majstrować wieczność, ale jest gotowy. Otakluj żagle, kiedy nadejdą. To praca, którą właściciel jachtu powinien wykonać sam. Wypróbuj go przez tydzień na morzu przy atlantyckim wybrzeżu Szkocji, albo zabierz przez Morze Irlandzkie do Dublina i z powrotem. Potrzebny jest taki rejs, by się przekonać, czy jesteście z chłopcem na niego gotowi. Ale on jest gotowy na ciebie, Magnusie. Niech Cię Bóg prowadzi na jego pokładzie”.

List nie był podpisany. Ojciec uniósł brwi, wziął go ode mnie i przeczytał. Potem złożył i schował do kieszeni. Sięgnął po przekazy bankowe, ułożył je równo, tasując, a potem przedarł na pół i rzucił na stół. Wytarł usta serwetką i podniesieniem się z krzesła zasygnalizował, że nadszedł czas, byśmy stąd wyszli.

Kiedy dotarliśmy do stoczni, czekał tam już jego helikopter. Wylądował na twardym piasku, z którego cofnął się odpływ. Obok, w okularach lotniczych, stał Tom, stały pilot ojca, i palił krótkie cygaro. Nie musiałem długo się zastanawiać, dlaczego tu przybył. Na samym brzegu morza stał monsignore Delaunay w orna- cie i patrzył przez Solent ku Cowes. Jego jaskrawa stuła powiewała na wietrze. Biret przytrzymał sobie palcem uniesionej ręki. Minęło ponad dziesięć lat od chwili, kiedy ostatni raz widziałem mojego ulubionego jezuitę, ale natychmiast rozpoznałem potężny kark, osobliwą moc jego majestatycznych ramion i pleców. Musiał wyczuć, że przybyliśmy, bo odwrócił się i do nas podszedł. Zobaczyłem, że Bóg lub Opatrzność, był łaskawy dla niego przez minione lata. Może trochę posiwiał na skroniach i miał większy podbródek, ale tak naprawdę prawie się nie postarzał.

- Martin! - wykrzyknął, rozłożył ramiona i uniósł mnie z piasku. - Przyjecha-łem, by pobłogosławić jacht twego ojca - wyjaśnił.

Tyle zdołałem odgadnąć sam.

- Czy widział już go pan, monsignore?

- Tak, Martinie. To dzieło sztuki.

- Nawiasem mówiąc, jest tam jeden z obrazów pańskiego przodka.

Zaśmiał się. Naprawdę cieszyłem się, że go widzę. Wiele z moich dzie- więtnastu miesięcy w Northumberland było dla mnie czyśćcem. Wszystkie moje najlepsze wspomnienia z tamtego czasu wiązały się z tym postawnym kapłanem.

- Twierdzenie, że łączy mnie pokrewieństwo z tym akurat Delauna-ym oparte jest na nieco wątplych podstawach - stwierdził.

Pobłogosławił łódź. Proste nabożeństwo przeszło bez incydentów. Cicho wypowiedział liturgiczne słowa i zamachem kropidła spryskał łódź święconą wodą. Pomagałem mu, trzymając święte naczynie, w którym zanurzał kropidło. Zrobił wszystko starannie. Nawet magazyn żagli został skropiony. Kiedy go otworzyłem, nie było w nim robaczywego, psiego zapachu, żadnego śladu wid- mowego psa Spaldinga. Potem poszedł do budynku - w myślach nadal nazywa-łem to miejsce biurem Peitersena -i przebrał się w garnitur, w którym musiał przyjechać z seminarium. Wynurzył się ze staroświecką płócienną torbą w rękę. Zawierała jego strój i butelkę wody święconej. Do seminarium było daleko i

choć ojciec miał dar przekonywania, nie spodziewałem się, że Delaunay przystanie na jego propozycję. Byłem pod wrażeniem.

Ojciec zaproponował pub na wybrzeżu, gdzie dostaliśmy wysmienity obiad. Mieli tam też szeroki, nawet osobliwie szeroki wybór wysokogatunkowej whisky. Ojciec pamiętał, że monsignore Delaunay lubi ten trunk. Za kilka minut powinniśmy startować, oznajmił. To będzie idealne przygotowanie do powrotnej lotu, monsignore. Potem odmaszerował przez piasek, by powiedzieć coś Tomowi, którego obiad leżał w torbie-lodówce w helikopterze.

- Bardzo miło cię widzieć, Martinie.

- Wspaniale, że się widzimy, monsignore.

Obserwował mnie uważnie. Wciąż się uśmiechał, ale znał mnie, wiedział, jak funkcjonuje mój umysł i moje sumienie. Przez półtora roku był moim spowiednikiem. Wątpię, czy istniała osoba - jeśli nie liczyć ojca i Suzanne - która znała mnie lepiej. A wgląd mego ojca w mój charakter był prawdopodobnie nieco przyćmiony moimi ciągłymi wysiłkami, by zrobić na nim wrażenie. Ze wszystkich znanych mi mężczyzn chyba właśnie monsignore Delaunay najlepiej znał moją prawdziwą naturę.

Wskazał gestem hangar dla łodzi.

- Kiedy wrócisz z tej przygody, mógłbyś pomyśleć o małżeństwie i rodzinie, mój chłopcze.

Zaczerwieniłem się. Żyłem w grzechu. Najwidoczniej wiedział o tym.

- To przyczyni się do twoich sukcesów. Pozwoli się zrealizować kobiecie, którą kochasz. A twojemu ojcu sprawi ogromną przyjemność, gdy już zakończy tę swoją conradowską przygodę i przestanie o niej myśleć.

Nic nie odpowiedziałem. Spojrzałem w dół, na schnący piasek. Wiatr łagodnie zwiewał z plaży wzór odpływu. Po chwili podniosłem wzrok. Monsignore nadal się uśmiechał. Bezlitosne światło ujawniło herbaciane plamy na jego zębach. Przez godzinę w pubie odgrywał dla mego ojca rolę kapłana pijaka. Ale tak naprawdę pił herbatę. Tak naprawdę dbał tylko o wiarę, pokutę i nawrócenie. Nigdy w życiu nie przytulał w mrokach nocy kobiety, szukając pocieszenia. I nigdy tego nie robi.

- Ten jacht jest łagodny, Martinie. To olśniewająca zabawka z drewna, mosiądzu i stali. Ekstrawagancja, kaprys bogacza. Ale twój ojciec to wielki i współczujący ofiarodawca. Dał dużo pieniędzy na szlachetne cele. Jacht to tylko jacht. Zachował wystarczającą wiarę, by wiedzieć, że takich wytworów przekląć nie



można. Czerp radość z towarzystwa ojca. Będę się modlił za wasz bezpieczny powrót.

Tylko tyle mógł powiedzieć. Mieliśmy zamiar przepłynąć Atlantyk jachtem zbudowanym dziewięćdziesiąt lat temu. Nie mógł gwarantować naszego sukcesu ani bezpieczeństwa. Na wodnym pustkowiu, na łasce burzy odpowiedzialność i wybór należą do Boga. Delaunay powiedział, że będzie się za nas modlił. Obiecał to.

Teraz się zastanawiam, czy w jakiegokolwiek sprawie mówił mi prawdę.

Żagle firmy Lee z Hongkongu nadeszły w następnym tygodniu. Uszyto je z japońskiego dakronu. Moglibyśmy przyjąć podejście purystyczne, jak to zrobiono na „Andromedzie”, i otaklować łódź autentycznym płótnem. Ale płótno drze się podczas sztormów i jeśli nie masz na pokładzie nikogo, kto potrafi naprawiać żagle, nie warto ryzykować. Nowoczesne zamienniki są łatwiejsze w manewrowaniu, mocniejsze i szybciej schną.

W kwestii żagli z dakronu ojciec nie przeżywał cierpień purysty, takich jak przy kwestii silnika. Ale żagle zamówiono później i sędzę, że w miarę zbliżania się daty naszej wyprawy dochodził do głosu jego wrodzony pragmatyzm. Był ryzykantem, ale nie ryzykantem obsesyjnym. Wymagania i wyzwania związane z rejsiem były wystarczająco poważne. Nie było też dyskusji nad oprzyrządowaniem automatycznego sterowania. Było komputerowe i jego inteligencja zależała od elektronicznych elementów scalonych. Wykreślałeś kurs i łódź nim płynęła. W przypadku silnych prądów czy zmian wiatru urządzenie wprowadzało autoprawki. Oznaczało to, że mogliśmy obydwaj spać w nocy, przynajmniej przez kilka godzin. I razem jadać kolacje. Alternatywą było to, że jeden z nas będzie stałym niewolnikiem koła sterowego. Kapitan Straub mógłby się krzywić na zastosowanie takiej techniki. Ale kiedy jego szkuner wyruszał w morze, załoga liczyła co najmniej sześć osób, a nie dwie.

Nadal czułem niepokój, gdy myślałem o Peitersenie. Kiedy jacht bezpiecznie cumował, szef takielarzy zjechał na linie z wierzchołka głównego masztu, żeby mi powiedzieć, że to najlepszy przykład drobiazgowej restauracji, z jakim się spotkał. Nie miałem podstaw, by dyskutować z jego oceną. Ale dręczyło mnie, że Peitersen nie wziął za swoją pracę pieniędzy. Niezależnie od jego fałszywej tożsamości, jeśli remont przeprowadzono tak uczciwie, to z pewnością zasługiwał na nagrodę za tak dobre wykonanie. Odmowa przyjęcia zapłaty przez Jacka Peitersena wydawała mi się tak samo symboliczna, jak przesądna odmowa Franka

Hadleya wymówienia głośno nazwy „Mrocznego Echa”. Nie wiedziałem, jakie to ma znaczenie. Dręczyło mnie jednak niepokojące uczucie, że pewnego dnia mogę się tego dowiedzieć.

Nasz rejs, w zamierzeniu do Dublina i z powrotem, okazał się sukcesem. Wy płynęliśmy na Morze Irlandzkie, kiedy było w nastroju łagodnym i spokojnym. Rejs przebiegł bez niespodzianek, i kiedy rzuciliśmy kotwicę w porcie Dun Laoghaire, ojciec ambitnie zasugerował dalszą podróż.

O świcie następnego dnia wypłynęliśmy na północ i wzięliśmy kurs północno-wschodni. Trzymaliśmy się brzegów Irlandii aż do Kanału Północnego i ruszyliśmy dalej na północ, aż minęliśmy wyspę Rathlin i wypłynęliśmy na Atlantyk, na szerokości geograficzne, na których często zdarzają się burze. Kiedy dotarliśmy dostatecznie daleko, skręciliśmy na zachód ku przylądkowi Erris Head, a potem płynęliśmy kursem południowym, wzdłuż całego zachodniego wybrzeża Irlandii, zawracając do domu dopiero wtedy, kiedy dotarliśmy do przylądka Mizen Head i wyspy Clear.

Zajął nam to pięć dni, zamiast pierwotnie planowanych dwóch. Zadzwoiłem do Suzanne, by zawiadomić ją o zmianie planu. Ciłós miała dziwny, inny niż zwykle. Może to zakłócenie atmosferyczne wpływające na komórkę? Raczej nie. Myślę, że to frustracja. Wiedziałem, że zaczęła nienawidzić całego tego przedsięwzięcia z „Mrocznym Echem”.

Najbardziej godna uwagi rzecz, jaka mi się przytrafiła podczas tego dziewięciodniowego rejsu, to sen, który przyśnił mi się na jachcie. Kiedy zacumowaliśmy w Dun Laoghaire, wyszedłem na brzeg i poszedłem do Sondycove, by popływać w nadchodzącej szarówce. Ojciec został na jachcie. On i matka spędzili miodowy miesiąc w Dublinie i sądzę, że zejście na brzeg przywołałoby zbyt żywe wspomnienia i wpędziłoby go w melancholię.

Śniłem o Harrym Spaldingu i Michaelu Collinsie. Obydwaj byli w mundurach, wyglądali olśniewająco, stali na skałach o wschodzie słońca nad Forty Foot. Światło odbite od wody poniżej głazu, na którym stali, migotało na mosiężnych guzikach, sprzączkach przy pasach i pieściło wypolerowaną skórę ich butów. Żaden z nich nie korzystał z sekundantów. Nie było również arbitra prowadzącego spotkanie ani doktora z czarną torbą lekarską. Ale wiedziałem, że mają się pojedynkować. Wiedziałem, że protokół będzie ściśle przestrzegany. Collins pogwizdywał z nonszalanckim spokojem, kiedy składał swoje parabellum. Spalding uśmiechał się do niego, ładując wielkiego colta, którego nosił w kaburze przy pasie oficerskim. Byli gotowi. Wycelowali broń. Widziałem w mroźnym powietrzu

ich parujące oddechy, kiedy stali do mnie profilem, a twarzami do siebie. W moim śnie o Forty Foot znowu panowała zima. I duchy oddychały powietrzem jak żywi. Huk wystrzałów zbudził mnie, zanim zobaczyłem, kto uzyskał satysfakcję, czyj honor zwyciężył w tej dziwnej parodii konfliktu.

Suzanne kategorycznie odrzuciła moją sugestię romantycznej kolacji w dobrej restauracji w wigilię naszego wypłynięcia do Ameryki. Powiedziała, że to pożegnanie zbyt formalne i mogłoby przynieść rejsowi pecha. Lepiej po prostu wstąpić do Wiatraka na drinka po naszej zwykłej kolacji, powiedziała. I to mnie zaskoczyło. Nie zdawałem sobie sprawy, że naprawdę wierzy w szczęście czy pecha. Zakładałem, że w ogóle nie jest przesądna. Zawsze odbierałem ją jako osobę czerni i bieli, lubiącą rzeczy pewne, czującą odrazę do wszelkich dwuznaczności. Ale przecież nikt nie zna nikogo tak dobrze, jak mu się wydaje. Zakładanie, że zna się doskonale jakąś osobę, to jedna z ludzkich słabości. Daje nam pewność i poczucie bezpieczeństwa w obcowaniu z daną osobą czego oczywiście pragniemy. I sądzę, że im bardziej cenimy sobie obecność takiej osoby w naszym życiu, tym bardziej jesteśmy skłonni do tego korupcyjnego grzeszku samooszustwa.

W każdym razie poszliśmy do Wiatraka, gdzie rozmawialiśmy sztywno i formalnie, a nasze milczenie nabrzmiało emocjami. Myślę, że chciała mi coś powiedzieć, ale cokolwiek to było, pozostało niewypowiedziane. Trzymaliśmy się dodających otuchy komunałów. Pogratulowałem jej serialu o Collinsie. Do tego czasu pokazano dwa odcinki. Reakcja krytyki była pozytywna. Ale może źle, że o tym wspomniałem, ponieważ jej kontrakt wolnego strzelca w BBC kończył się za kilka tygodni i właśnie ją zawiadomiono, że nie zostanie odnowiony. Producent serialu o Collinsie był człowiekiem bezwzględny, jeśli żywił do kogoś urazę. W regularnej trzymiesięcznej ocenie Suzanne zawarł bardzo złośliwe uwagi, co przesądziło o końcowym wyniku.

Tego wieczoru głównie siedzieliśmy w milczeniu, od czasu do czasu popijaliśmy drinki i słuchaliśmy Marvin'a Gaye'a, Billy'ego Paula i im podobnych, śpiewających ckliwe ballady w stylu soul. Szukałem natchnienia, by powiedzieć coś pocieszającego, przypuszczam, że Suzanne tęskniła do papierosowej pociechy.

Nie kochaliśmy się tamtej nocy. I bardzo tego żałuję. Zawsze podniecało mnie drżenie sprężyn materaca, kiedy Suzanne wsuwała pod kołdrę swe gibkie, śliczne ciało. Ta noc nie była wyjątkiem. Jednak wydawało się, że między nami jest jakaś przeszkoda, skomplikowana i trudna do pokonania. To wstyd, wiem, że

zawiodłem, ale udawałem, że śpię, aż sen wreszcie nadszedł. Na szczęście musiałem się rano śpieszyć i ledwie miałem czas na pocałunek przed wyjazdem. A przecież tak bardzo ją kochałem. Przecież nadal ją Kocham i umrę zakochany.

Wyruszyliśmy z ojcem na pokładzie „Mrocznego Echa” z przystani w Southampton. Nie było fanfar. Nie było łąkań na nabrzeżu i nie powiewały żadne chusteczki, kiedy wciągnęliśmy kotwicę i odbiliśmy od brzegu. Przyszło mi na myśl, że lepszym punktem startowym byłoby Plymouth, jako że ojciec kiedyś porównał siebie do Drake'a. Plymouth leżało bliżej naszego celu. Ale to porównanie nie było poważne. Obserwowałem oddalający się brzeg, kiedy ojciec stał przy sterze, a silnik prowadził nas przez ruch w marinie ku otwartym wodom. Nagle wydało mi się, że ktoś nas obserwuje. Była to malejąca samotna postać o bladej nieruchomej twarzy pod czupryną z rozwiewanych wiatrem, rudawych loków. Ojca nadal całkowicie pochłaniało sterowanie. Nachmurzony poszedłem do jego kajuty i wziąłem z biurka teleskop. Tupiąc, wszedłem po schodni, wyciągnąłem teleskop i ustawiłem na nieruchomą figurkę na nadbrzeżu. A ona podniosła głowę, jakby patrzyła wprost na mnie. To był mężczyzna, którego nazywaliśmy Peitersen. Ponad czernią sutanny bielą koloratka, a nieprzykryte wełnianą marynarską czapką włosy rozwiewał wiatr.

Powiadają, że istoty ludzkie nie posiadają pamięci bólu. Przypuszczam, że nie mamy też pamięci strachu. Mój strach przed „Mrocznym Echem” oddalił się, kiedy wyruszyliśmy w nasz transatlantycki rejs. Wydawało mi się, że strach ma coś wspólnego z zimą. A gdy wreszcie odbiliśmy od brzegu i zostawiliśmy za sobą ląd, było lato. W świecie to pora światła i ciepła. Nadal pojawiały się znaki, że nie wszystko jest w porządku z jachtem i z naszymi żeglarskimi ambicjami. Istniała zagadka Peitersena oraz podejrzenia i wrogość Suzanne. Ale, jak powiedziałem, moja pamięć wzdraga się przed wspomnieniem strachu, tak jak przed wspomnieniem bólu. Pozbywamy się obaw i nie dbamy o nasze bezpieczeństwo czy zdrowie psychiczne, kiedy przepełnia nas żądza życia i chęć napawania się przygodą.

W dniu, kiedy Martin i jego ojciec wypłynęli z przystani w Portsmouth, Suzanne na poważnie rozpoczęła swoją pogoń. „W moim życiu nie ma miejsca na



duchy", powiedziała Martinowi przed swą tajemną podróżą w kwietniu na francuską farmę. Ale nawet wtedy, wiosną, było to kłamstwo. Suzanne musiała w swoim życiu zrobić miejsce dla ducha. Została zmuszona do przyjęcia jednego z nich. Właśnie dlatego uwierzyła w ich istnienie. Martin mylił się w tej sprawie. Wierzyła, zanim po raz pierwszy zobaczyła farmę Pierre'a Duvala. Właśnie dlatego obawiała się, że niebezpieczeństwo grożące Martinowi i jego ojcu jest takie realne.

Po powrocie z Irlandii opowiedziała Martinowi o tym, jak otarła się o sprawy tamtego świata w pokoju ze świetlikiem domu kryjówki w Dublinie. Opowiedziała o tym natychmiast. Ale wtedy to był dopiero początek. A to, co nastąpiło potem, zatrzymała dla siebie. Jej osobisty duch nawiedził ją w odosobnieniu małego gabinetu w mieszkaniu w Lambeth pewnego wilgotnego wieczoru, kilka dni później. Deszcz szumiał za szybą. Ale oczywiście w ten zimny wieczór okno było zamknięte. Gdy więc uświadomiła sobie, że czuje mieszankę zapachów, wiedziała, że nie mogą pochodzić z zewnątrz. W każdym razie pachniały ciepło. Pachniały, jakby wytworzono je w cieple, a także, jak pomyślała Suzanne, w cieplej i odległej serdecznej atmosferze.

Suzanne wyczuwała mieszaninę irlandzkiego portera i słodkiego, mocnego tytoniu. Czasami czuło się także domieszkę oparów pasty do butów lub pasty polerskiej, a poza tym woń skóry i wody kolońskiej. Czasami był to ostry zapach schnącej mokrej wełny, jakby ktoś wszedł z gwarnych ulic Dublina i usiadł w ciepłe kominka lub pieca. Ale zapach przeważnie składał się z guinnessa, wydychanego dymu papierosów Sweet Afton i ubrań kogoś, kto nie siedzi zbyt daleko i być może ją obserwuje. Nie przerażało jej to. Ale to, że jest obserwowana przez widmo, sprawiało, że czuła się nieco skrepowana. Zapachy nadpływały, a potem znikwały. Obecność stawała się słabo wyczuwalna, a potem jakby się rozplywała.

Po tej pierwszej wizycie przychodził dość często. Nigdy go nie widziała, ale bardzo dobrze wiedziała, kto to taki. Nie wiedziała, dlaczego przychodzi, i nie próbowała z nim rozmawiać. Co dziwne, była jednak przekonana, że ma prawo przychodzić i uważnie się jej przyglądać. Ona też go badała. Po pierwszej wizycie przyszło jej na myśl, że jego słynne życie wkrótce jeszcze raz ma być poddane oślepijącemu światłu publicznej analizy. A ona ma wpływ na to, o jakich szczegółach z jego życia ludzie się dowiedzą, co zobaczą i usłyszą. Podczas zbierania materiałów rozwinęła w sobie głęboki podziw dla jego charakteru i osiągnięć. Choć nie wiedziała, dlaczego przychodzi do niej w odwiedzinie, nie bała się jego ducha. Nie czuła zimna ani zagrożenia z za grobu. Wiedziała, że ten pe-



łen wad, próżny, czasami bezlitosny człowiek w głębi swego szczodrego serca jest dobry, tak samo jak Harry Spalding był zły.

Po raz ostatni przyszedł do niej wieczorem, w najbardziej nieszczęśliwym dniu jej życia zawodowego. Był to dzień po wyjeździe Martina i utuliła się płaczem do snu, zanim zbudziła ją jego obecność. Czowała, że ma usta lepkie i suche od papierosów i wina. Oczy ją piekły. I czowała, jak jego cicha, cierpliwa, bliska obecność ją obserwuje.

W pracy wyszło na jaw, co robiła. Ktoś z archiwów absolwentów uniwersytetu Yale odpowiedział na jej telefon i zostawił wiadomość dotyczącą Spaldinga. Zawiadomiono producenta serialu o Collinsie. Podczas okresu wymówienia płacono jej z uszczuplonego budżetu serialu. Miała odpowiadać na telefony i e-maile zainteresowanych widzów, naukowców i dziennikarzy, dotyczące też wysuniętych w serialu o Collinsie. Jej zadanie polegało na sprawdzaniu tych tez. Pracując dla BBC, nie powinna zajmować się niczym więcej. A z pewnością nie powinna wykonywać prywatnych prac w czasie należącym do BBC, powołując się na status BBC i korzystając z zasobów firmy.

Odebrali jej przepustki i akredytację, po czym zawlekli do biura szefa. Zamknął drzwi i wypuścił uzbieraną przez trzy miesiące żółć, frustrację i pogardę. Nie miała ochrony przyzwoitki z wydziału kadr. Była wolnym strzelcem i dlatego nie miała do niczego prawa.

Jest niechlujem, powiadomił ją. Jest leniwa, głupia i pracuje po amatorsku, a ponieważ nie dostanie żadnych referencji, będzie miała ogromne szczęście, jeśli znajdzie gdzieś pracę. Jest także nieuczciwa. Nadużycie zasobów finansowanych przez abonentów to zwykła kradzież. Zajmując się prywatnymi sprawami w czasie opłacanym przez firmę, okradła społeczeństwo. Uznając te fakty, w ramach kary zostanie pozbawiona wynagrodzenia za ostatni miesiąc. I może uważać się za szczęściarę, że na tym się skończy. Przy nowym zarządzie BBC, oświadczył, w takich przypadkach zdarzały się precedensy, że zawiadamiano policję. To powiedziawszy, kazał jej opuścić budynek, choć tak naprawdę użył słów: „Spieprzaj i żebym cię tu więcej nie widział”.

Duch przysunął się bliżej. Poczowała znajomy, ciepły koktajl zapachów, który ze sobą przyniósł. Po raz pierwszy usłyszała jego głos.

Ale wybrał sobie chwilę, pomyślała, leżąc w mroku. W swoim oddechu czowała zwęglony tytoń. Miała niedobory w budżecie. Bankrut bez pracy okryty hańbą. Martin był w niebezpieczeństwie, czowała to z ponurą pewnością a ona nie miała

środków, by mu pomóc. A jej duch przemawiał do niej przy łóżku w mieszkaniu w Lambeth z łagodnym zaśpiewem hrabstwa Cork.

- Miałaś oczywiście rację. Miałaś rację, a ten facet całkowicie się mylił. Nigdy nie byłem pedałem.

Wiedziała, kto to jest. Ale nie wiedziała naprawdę. Teraz już tak. I wiedziała, że nigdy już nie będzie postrzegała świata w ten sam sposób. Świat był znacznie większy i nie wyobrażała sobie, gdzie leżą jego granice.

Z małego pokoiku zmienił się w rozległą salę o ścianach wyłożonych lustrami.

- Nie żebym miał coś przeciw nim, wiesz. Było kilku bardzo dzielnych i szlachetnych pedałów. Na przykład Casement. I Pearse.

- Pearse był radosnym gejem?

- Nie powiedziałem, że był radosny. Wprost przeciwnie. Był dokładnie przeciwieństwem osoby radosnej. Ludzie skazani na męczeństwo nie są z natury radośni. Nie widziałem, by facet kiedykolwiek błysnął uśmiechem. I powiedziałem, że był pedziem, owszem.

Słyszała w jego głosie nutę humoru. W materiałach zebranych do serialu nie uwypukliła tego wątku. Ludzkie poczucie humoru. Ale słyszała coś jeszcze. To był jakiś dźwięk w tle.

- Ten facet robi ci te wszystkie kłopoty. Smark? Śmieć?

- Smythe - odpowiedziała.

- Właśnie. Nie powinien pić i prowadzić samochodu. Nie powinien przedstawiać nadmuchanych sprawozdań finansowych. Nie powinien zabawiać się z tamtą królową nocy.

Ktoś powinien mu o tym powiedzieć, pomyślała Suzanne.

- Ja to zrobiłem - oznajmił duch. - Sam mu to powiedziałem niecałe pół godziny temu. Okropnie gościa przestraszyłem. Zgłoś się do pracy jutro rano, Suzanne. Możesz na mnie polegać. Smythe nie będzie ci już sprawiał kłopotów.

Wiedziała, co to za dźwięk. To krople krwi z rany po kuli, która go zabiła, spadały na podłogę sypialni. W powietrzu unosił się słaby, miedziany posmak krwi. Ale rankiem na dywanie sypialni plam krwi nie będzie.

- Po tym nie mogę ci już pomagać - powiedział duch. - Bądź ostrożna z tym Spaldingiem. Wkładasz rękę do wiadra z węzami.

- Dlaczego mnie odwiedziłeś? Nie chodzi o dzisiejszy wieczór. Jestem bardzo wdzięczna za pomoc... Ale dlaczego w ogóle się pojawiłeś?

Duch roześmiał się cicho.

-Nie mogłem się powstrzymać. Miło jest na ciebie patrzeć, Suzanne. I w pewnym sensie to ty pierwsza mnie odwiedziłaś. Pomyślałem sobie, że odwzajemnię się tym samym. Pomyślałem, że mogę złożyć ci wyrazy uszanowania. I teraz to zrobiłem.

I już go nie było.

Gerald Smythe, producent serialu *Michael Collins* i wielki ważniak w BBC, miał cerę koloru ścian w jego biurze, gdy następnego ranka wezwał ją z recepcji na górę. Zwrócono jej laminowaną przepustkę. Zwrócono kartę biblioteczną. Czekala na nią wiadomość z działu informatyki, że odtworzono jej wszystkie kody dostępu do komputerów. Smythe poinformował ją, że dostała wyższą grupę zaszeregowania i powinna się do niego zgłosić, ale nie musi tego robić przez najbliższy miesiąc. Pieniądze na podróże, które odbędzie w celu zbierania materiałów, może podjąć w wydziale drobnych wydatków. Oczywiście będzie miło, jeśli przedłoży rachunki. - Oczywiście.

Przylapała go, jak patrzył na nią przenikliwie, kiedy chowała do torebki przepustki i karty. Jego spojrzenie było dziwną mieszaniną ciekawości i dojmującej trwogi. Przeprosił i poszedł do toalety, żeby zwymiotować. Jak usłyszała później, zaraz potem poszedł do domu.

Usiadła przy biurku, które opróżniła poprzedniego dnia. Przyciągnęła kilka ciekawych spojrzeń sąsiadów. Co do trzech rzeczy miała pewność. Nikt nigdy się nie dowie, jak bardzo Smythe ją maltretował i rzucał oszczerstwa przez ostatnich kilka miesięcy. Nikt nigdy nie pozna prawdziwych przyczyn, z jakich wróciła do pracy. I nigdy nie usłyszy ordynarnych słów, jakie Smythe wypowiedział w jej obecności. A gdy o tym myślała, była jeszcze pewna czwartej rzeczy. Była przekonana, że ostatnio oszukiwał co do swoich wydatków.

Włączyła komputer. Był tam dla niej e-mail z archiwum absolwentów Yale. Przeczytała go. Harry Spalding nie uzyskał dyplomu. Pod koniec drugiego roku poproszono go, by opuścił uczelnię. Wyróżniał się na boisku i na seminariach, ale czuli, że trzeba się go pozbyć. Chodziło o jego „przynależność do organizacji, której samo istnienie jest sprzeczne z etosem i naczelnymi zasadami tego uniwersytetu i tego wielkiego narodu, a także jest obrazą Boga Wszechmogącego”. Niemile widziana organizacja była nazywana Klubem Jerycho. Tak więc, właściwie przez przypadek, poznała tajemnicę. Wiedziała już, do jakiej organizacji należeli ludzie z tak zwanego członkostwa z Rhode Island. To był Klub Jerycho. Musiała to być filia Société Jérico w Nowym Świecie. Był to dowód, że nie wszystko, co wysyłała Francja do wspaniałej nowej Ameryki, było tak dobro-

czynne jak de Tocqueville czy Lafayette. Spalding zabrał swoje zasady na wojnę, gdzie, jak przypuszczała Suzanne, uczynił ze swych ludzi konwertytów. Z wyjątkiem Derry'ego Conwaya. Jego Spalding nie nawrócił.

Żałowała, że dziennik pokładowy „Mrocznego Echa” został zniszczony. Zapisano tam coś kompromitującego. Dziennik zawierał jakieś informacje, których ukrycie przed światem uważano za konieczne. Biorąc pod uwagę fakt, że reputacja Spaldinga i tak była zszargana, Suzanne nie mogła sobie wyobrazić, co takiego chciał ukryć. Za życia człowiek ten w ogóle nie znał wstydu ani wyrzutów sumienia. Ale w dzienniku coś było, jakiś szczegół, który mógł go zranić.

Poszuka Klubu Jerycho w Internecie. Nie była optymistką i nie sądziła, że w ten sposób znajdzie coś interesującego. Jej zdaniem, wyznawców okultyzmu można podzielić na dwie grupy: w jednej znajdują się bardzo poważni i bardzo dyskretni praktykujący, a w drugiej legion świrów. Ludzie, którzy dyskutowali na ten temat w cyberprzestrzeni, należeli na ogół do tej drugiej kategorii. Musiała jednak spróbować. Zanim wklepała odpowiednie słowa, wyjęła z torebki notes i spisała listę tematów, które musi zbadać najpilniej. Kiedy odczytała, co zapisała w notatniku, słowo na czele listy brzmiało „Peitersen”.

Wiedziała od Martina o paszporcie Peitersena wystawionym na nazwisko Cardoz. Doszła donikąd, próbując znaleźć cokolwiek o Cardoza Associates. Powody, dla których wzięli udział w licytacji, pozostawały tajemnicą. Ale podczas ich ostatniego, żałosnego wieczoru w Wiatraku Martin powiedział jej o pobłogosławieniu „Mrocznego Echa”. Zastanawiała się, czy monsignore Delaunay udzielił jej audiencji tylko z powodu swojej oczywistej sympatii dla rodziny Stannardów. Może nic jej nie powie. A może coś mu się wymknie. Suzanne żywiła jednak silne przekonanie, że jezuici i sekrety pasują do siebie jak dziwki i wysokie obcasy czy jak herbata i biszkopty. Trudno myśleć o jednym bez drugiego. Warto było spróbować choćby dlatego, że nie miała innych tropów.

Spojrzała na zegarek. Dziesiąta. Kiedy wyjmowała notes z torebki, wpadł jej w oko czerwony róg pudełka. A potem pomyślała o herbacie i biszkoptach. Nie miała ochoty na biszkopta, ale chciała kupić w automacie kubek herbaty, wynieść go na zewnątrz i popijać, paląc papierosa. Wstała. A potem znowu usiadła. Czyż nie w ten sposób działa uzależnienie? Wkręca się powoli. Nie pozwalała sobie na zapalenie pierwszego papierosa przed południem, a była dopiero dziesiąta. Będzie silna.

- Pieprzyć to - powiedziała głośno. Wstała i wzięła torebkę. Zredukuje papierosy, kiedy Martin i jego ojciec wrócą. Od rozmowy z duchem Michaela Col-



linsa minęło dwanaście godzin. Rzuciłaby palenie na dobre, gdyby wiedziała, że obaj Stannardowie są bezpieczni. Ale teraz nie czas na próby ograniczenia palenia. Akurat w tej chwili nie było to realistyczne postanowienie.

Delaunaya nie było w seminarium w Northumberland. Wyjechał do ustronia jezuitów w Barmouth z grupą wyświęconych księży i nowicjuszy. Powiadomiono ją, że jej prośba o spotkanie zostanie mu przekazana. Reguły obowiązujące w ustroniu nie były ścisłe, chyba że ktoś sam je sobie narzucił. Delaunay może wędrować z grupą na Cader Idris. Może pływać. Może się modlić, ale o tej porze dnia to mało prawdopodobne. Nie zaproponowano jej podania numeru komórki, którą jak była przekonana, jezuita nosi przy sobie. Ale zapewniono ją, że monsignore oddzwoni, prawdopodobnie w ciągu godziny.

Przeprowadziła poszukiwania komputerowe Klubu Jerycho, jak to przewidziała, bez rezultatu. Potem zaczęła się zastanawiać nad ostrzeżeniem, które zeszłego wieczoru wypowiedział jej widmowy gość. Wiedział coś o charakterze Spaldinga. Ale nie rozumiała, co ci dwaj mężczyźni mogli mieć ze sobą wspólnego. Collins późnym latem 1922 roku był martwy. Spalding przybył z Ameryki do Europy dopiero rok później i rozpoczął rozrzutne życie playboya, aby roztrwonić nieograniczone zasoby ojcowskiej gotówki.

Zastanowiła się głębiej nad znalezieniem łączącego ich ogniwa. Rodzina Spaldinga zgromadziła swe bogactwa, prowadząc interesy bankowe w Nowym Jorku. Pod koniec pierwszej wojny światowej Ameryka była najbogatszym krajem świata i największym na świecie wierzycielem. W roku 1919 prezydent Irlandii, Eamon de Valera, wyznaczył Michaela Collinsa na ministra finansów. Uzasadnienie tego kroku było podwójne. Jak na bojownika partyzantki, Collins był zaskakująco dobrym administratorem. Miał również nieskazitelną reputację buntownika, dzięki czemu doskonale nadawał się do zdobywania pożyczek na sfinansowanie narodzin nowego narodu, do szukania pieniędzy w Ameryce, kraju ideologicznie sprzeciwiającym się imperializmowi, kraju, który był naturalnym przyjacielem i orędownikiem każdej nowo powstałej demokracji.

Podniecona Suzanne wklepała te dwa nazwiska i rozpoczęła poszukiwania. Ale niczego nie znalazła. Niezniechęcona, zaczęła szukać zdjęć. Była po dwudziestu stronach i już chciała dać sobie spokój, kiedy pojawiła się stara fotografia. Zrobiono ją we wnętrzu. Ukazywała mężczyzn w ciemnych garniturach i sztywnych kołnierzykach przedstawianych solidnej i charyzmatycznej postaci, z którą w ostatnich miesiącach bardzo się zaznajomiła. Wiedziała, gdzie to jest. Rozpoznała bogaty wystrój jednej z sal recepcyjnych Mansion House w Dubli-



nie. Jeden z mężczyzn stojących w rzędzie był szczupłym blondynem, niezwykle wysokim. Nie musiała czytać podpisu pod zdjęciem, by wiedzieć, kto to jest.

Na fotografii widniał jeszcze ktoś, kto przykuwał uwagę na równi z Collinsem. I nie tylko dlatego, że była to jedyna kobieta w kadrze. Siedziała przy wielkiej maszynie do pisania. Bankierzy stali na lewo od Collinsa. Ona znajdowała się nieco z tyłu i po prawej. Collins uśmiechał się uprzejmie. Kobieta patrzyła prosto w obiektyw. A wysoki blondyn stojący w rzędzie bankierów gapił się pożądliwie na maszynistkę.

Jak na maszynistkę ta kobieta miała zbyt pogardliwe spojrzenie. Jej ciemne włosy lśniły. Pod grzywką oczy wydawały się nieco skośne, jak oczy kota. Miała wydatne kości policzkowe i usta, które próbowały się nie uśmiechać w jakimś tajemnym buntowniczym rozbawieniu. Mój Boże, ona rzeczywiście wyglądała tak jak ja, pomyślała Susanne, która wiedziała, że jej uroda częściej onieśmiela mężczyzn, niż ich przyciąga. Wreszcie jednak w roli rycerza pojawił się Martin w lśniącej zbroi, z mieczem dzwoniącym w pochwie, kiedy znalazła się w niebezpieczeństwie w metrze na linii East London.

Przeczytała podpis. Zaczynał się od słów: „Wczoraj w Mansion House w Dublinie minister finansów pan M. Collins spotkał się z szefami finansów z Nowego Jorku, by pozyskać fundusze dla nowego Wolnego Państwa Irlandzkiego”.

Podano nazwiska wszystkich obecnych. Harry nazywał się wtedy jeszcze Harry Spalding Jr. Jeszcze nie narzucił światu swej osobowości playboya. Nie był wtedy tą wyluzowaną, wytworną postacią ze straconego pokolenia, którą sam stworzył i w którą się wcielił. Był chudy, wysoki i nieco niezręczny. Dziecię zrobiono, zanim Harry dojrzał podczas swego rejsu na pokładzie „Mrocznego Echa” z Ameryki na Riwierę. Na tym zdjęciu był młodym reprezentantem nowojorskiej dynastii bankierskiej, czeladnikiem w biznesie, mającym wybitne osiągnięcia wojenne. Z powodzeniem pozbył się wyglądu szczwanego członka Załogi Jerycho. Ale jeszcze niezupełnie wyrósł. Musiał się jeszcze bardziej opalić. I nie było w nim niczego podejrzanego ani cygańskiego. Stał, dyskretnie ubrany w to, co w nowoczesnym narzeczu lekceważąco określa się jako „garnitur”.

A co z kobietą w kolorze sepii? Co z lustrzanym odbiciem Suzanne? Adjustator układający podpis przypominał sobie o niej dopiero po chwili zastanowienia. Ale w tych wielkich czasach, gdy w drukarniach lał się gorący metal, a w ciągu dnia schodziło z prasy pięć czy sześć wydań, redaktorzy byli bardzo drobiazgowi.

„Również na zdjęciu, na końcu z prawej, panna Jane Boyte”.

Jane miała na sobie białą, zapiętą pod szyją bluzkę z rękawami trzy czwarte, które odsłaniały zegarek na przegubie. Suzanne pomyślała, że w tamtych czasach zegarek na ręku kobiety to raczej rzecz niezwykła, uznano by to za męską afekcję. W następnej dekadzie osoba w rodzaju Amelii Earhart mogła sobie na to pozwolić, a i ona pod koniec lat dwudziestych ubiegłego wieku należała do wyjątków. A tu był nadal rok 1919. Po damach nie oczekiwano, że będą dokładnie trzymały się czasu. A Jane była damą, nie jakąś urzędniczą służącą. Jej ojciec był zamożnym skutnikiem z własną stoczną w przystani w Liverpoolu. O statusie Jane świadczyły wyraźnie modna fryzura, sznur czarnych pereł wokół wysokiego kołnierzyka szytej na miarę bluzki i wyniosła postawa. Cieszył widok wielkiej popielniczki na jej biurku, z czarnego szkła, z blankami niczym zamkowa wieża, myślała Suzanne. Jej własna popielniczka to mała miseczka z aluminium stojąca na parapecie gabinetu. Jej popielniczka przepraszała. Popielniczka Jane wyrażała siłę woli. To też stanowiło wyzwanie dla konwencji. Damy w 1919 roku paliły, ale rzadko robiły to publicznie.

Najważniejszą wskazówką co do pozycji Jane w machinie rządowej Wolnej Republiki Irlandzkiej był fakt, że w ogóle znalazła się na tym zdjęciu. Ponieważ nie należała do głównych bohaterów wydarzeń i znajdowała się dosłownie na krawędzi zdjęcia, logicznym posunięciem ze strony redaktora byłoby wyretuszowanie jej. Jane przeżyła ze względu na swój status. A jej obecność na fotografii tego statusu dowodziła. Jej oczywiste i zuchwałe publiczne zaangażowanie się w sprawę irlandzką wyjaśniało nieco Suzanne zagadkę późniejszego aresztowania Jane w Liverpoolu. Ale najważniejsze było to, że stanowiła ona ogniwo łączące Harry'ego Spaldinga z Michaeiern Collinsem.

Suzanne właśnie miała wprowadzić nazwisko Jane Boyte do wyszukiwarki, kiedy zadzwonił telefon. To monsignore Delaunay, kapłan jezuita, którego nigdy nie spotkała, a o którym Martin mówił często i z sympatią. Martin opisywał go jako człowieka pogodnego, rodzaj wesołego kapłana giganta. Chociaż teraz nie mówił żartobliwie. Był ostrożny i podejrzliwy. Ale przynajmniej oddzwonił. Podziękowała mu za to. Przeprosiła za to, że zakłóca mu spokój, za przerwanie mu wycieczki po górach czy kąpieli w morzu.

- Wszystko w porządku - odpowiedział tonem, który sugerował, że nic nie jest w porządku. - Spodziewałem się, że pani zadzwoni.

- Naprawdę?

- Zdecydowałem, że jeśli pani tego nie zrobi, spotkam się z panią. Jest pani zaniepokojona sprawą Peitersena. Jest pani zmartwiona jego oszustwem. Boi się pani, że to oszustwo może narazić na niebezpieczeństwo Martina i jego ojca.

- A może?

Na drugim końcu linii zapadło milczenie.

- Nie, bezpośrednio nie może - odpowiedział wreszcie ksiądz. - Ale Magnusowi Stannardowi należy się wyjaśnienie dotyczące steku kłamstw Peitersena. Wam trojgu, ponieważ wszyscy troje zostaliście oszukani.

- Nie pozwoliłam się oszukiwać zbyt długo - oznajmiła Suzanne.

- Niemniej jednak należy się pani wyjaśnienie i chyba również przeprosiny. I chciałbym to zrobić osobiście.

Po zakończeniu rozmowy z Delaunayem Suzanne poszukała materiałów na temat Jane Boyte. Nie znalazła niczego. Ale natrafiła na kolejną fotografię. Znajdowała się w archiwum i była własnością Rady Metropolitalnej Okręgu Sefton, a podjednostką klasyfikacyjną była Turystyka w Southport (Dziedzictwo). Pokazywała dwóch mężczyzn w skórzanych płaszczach i rękawicach stojących obok dwupłatowca na ubitym piasku. Jeden z nich miał czapkę z goglami zsuniętymi nad daszek. Zdjęcie zrobiono w słoneczny, wietrzny dzień. Szczegóły wyszły dobrze, kontrasty były bardzo ostre. Pomiedzy uśmiechającymi się szeroko pilotami stała Jane Boyte. Od czasu dublińskiego zdjęcia dojrzała. Jej starannie ostrzyżone gęste, kruczoczarne włosy rozwiewał wiatr. Nosila skórzaną kurtkę, ciasno przewiazaną paskiem, buty do połowy łydek pod płóciennymi bryczesami, z przodu zapinane na guziki. Uśmiechała się, ukazując bardzo białe zęby.

Suzanne gwizdnęła. To przypominało nieco odkrycie, że w poprzednim życiu było się gwiazdą filmową. Podobieństwo było tak niezaprzeczalnie duże, że omal głośno się nie roześmiała. Naprawdę się zarumieniła. Różnica polegała na uroku. Jane Boyte była obdarzona butnym seksualnym urokiem, którego osoby zbierające materiały do programów, zatrudnione na kontrakcie wolnego strzelca w BBC w początkach XXI wieku były na ogół - z oczywistych przyczyn - pozbawione. Poczula ukłucie w żołądku, i założywszy, że to głód, spojrzala na zegarek. Było nieco po wpół do pierwszej. Po chwili zdała sobie sprawę, że to nie skurcz głodu. To zawiść.

Podpis brzmiał: „Bracia Giroud na swym lądowisku na plaży w Southport, razem z lotniczką z Birkdale, panną Jane Boyte. Francuscy Kanadyjczycy, weterani ostatniego konfliktu na froncie zachodnim, bracia Giroud, zebrali imponują-

cą i różnorodną kolekcję maszyn latających, które można oglądać, gdy latają regularnie nad głównym kurortem Północnego Zachodu".

Suzanne uznała, że to trochę nie fair, że braciom Giroud odmówiono imion w podpisie. Prawdopodobnie dyskryminowano ich dlatego, że byli francuskimi Kanadyjczykami. Panna Boyte pochodziła z Birkdale, więc była miejscowa. Suzanne szukała dalej. Wklepała „Mroczne Echo, Boyte”. Tym razem coś znalazła. Był to artykuł z „Liverpool Daily Post” z dwudziestego kwietnia 1927 roku. Brzmiał następująco:

„Doskonały amerykański żeglarz Harry Spalding przyprowadził swój uszkodzony przez burzę jacht „Mroczne Echo” do przystani liverpoolskiej wczoraj wczesnym rankiem. Ten żeglarski wyczyn zmusza weteranów żeglarstwa do uchylenia w podziwie kapeluszy.

Spalding po wyruszeniu z przystani w Hoeth został zaskoczony u wybrzeży Irlandii przez nagły i gwałtowny sztorm. Spalding płynął do Szkocji na tygodniowe polowanie i wędkowanie ale został zrzucony z kursu przez silny wiatr jak utrzymują meteorolodzy osiągający w porywach od 80 do 90 mil na godzinę.

Szanowny Patrick Boyte szkutnik z Mersey podejmie się naprawy uszkodzonego jachtu który tak często triumfował w regatach u wybrzeży Zjednoczonego Królestwa w innych miejscach.

Przedstawia to zadanie jako zaszczyt i mówi że całkowicie ufa iż po dwóch miesiącach pracy „Mroczne Echo” zostanie doprowadzone do stanu używalności i wyglądu co uraduje dziarskiego sportsmana milionera który zasłużył sobie przy sterze jachtu na tak wysoką żeglarską ocenę".

Notatka sprawia wrażenie podyktowanego telegramu, pomyślała Suzanne. Ale nie chodziło jedynie o brakujące przecinki. Notatka była sucha, bez warstwy anegdotycznej. Najważniejsze, że nie cytowano Spaldinga. Opisano go jako dziarskiego, ale notatkę napisano w okresie, kiedy milionerzy byli dziarscy z definicji. Co pominięto? Nie było żadnej wzmianki o załodze. Nawet Harry Spalding nie mógł żeglować w pojedynkę w czasie sztormu takiego, jaki opisano. „Liverpool Daily Post” na pewno by nie przesadzał, informując o sile sztormu. Jego czytelnicy w tamtym okresie, a przynajmniej wielu z nich, również żeglowali, a akcjonariusze posiadali akcje linii okrętowych. Miasto portowe prosperowało dzięki morzu. Przesada w opisie morskich niebezpieczeństw nie leżała w

interesie poważnej gazety służącej miastu. Burza była tak gwałtowna, jak pisano. Czy Spalding na „Mrocznym Echu” stracił załogę? Intrygujące pytanie.

Bardziej intrygujące było jednak to, co robił w czasie, gdy na jego łodzi prowadzono prace remontowe.

Suzanne westchnęła. Poklepała blat biurka. Teraz naprawdę była głodna. Chodzi o to, że słowo „intrygujące” nie było właściwe. Intuicyjnie czuła, że między Collinsem a Spaldingiem musi istnieć jakieś powiązanie.

I udowodniła sobie, że istniało - Jane Boyte. Jane była z obydwoma mężczyznami w parlamencie w 1919 roku. Osiem lat później „Mroczne Echo” wczółgało się do stoczni w Mersey, która należała do jej ojca, Patricka Boyte'a. To były czasy, kiedy prosperujący biznesmeni z Liverpoolu budowali swoje wielkie domy w eleganckim miasteczku Southport na wybrzeżu, trzydzieści kilometrów od mrocznego, spowitego sadzą i parą miasta, z którego czerpali zyski. Jane Boyte była dziewczyną z Southport, z szykownego przedmieścia Birkdale. Harry Spalding spędził lato w Southport dokładnie w tych miejscach, gdzie Jane mogła prowadzić życie towarzyskie. A mimo feniańskich powiązań Jane nie była ponurym politycznym aparaczykiem. Była pionierem lotnictwa, a na dodatek olśniewała urodą. Samotna kobieta, prowadząca życie towarzyskie... Ponowne spotkanie playboya Spaldinga na jakimś przyjęciu było nieuniknione.

Ale co z tego? Czego to dowodzi? Jedynie tego, że Suzanne ma dryg do zbierania informacji. Potwierdziło to jej przekonanie, że doskonale robi to, z czego się utrzymuje. To nie pomaga Martinowi ani jego ojcu i nie zmniejsza ani odrobinę niebezpieczeństwa, które - czuła to instynktownie - grozi im na pokładzie jachtu Spaldinga przemierzającego bezkresne wody północnego Atlantyku.

Powinna skoncentrować się na Peitersenie, jedynym prawdziwym tropie, i zaplanowanym na jutro spotkaniu z Delaunayem w Northumberland. Seminarium było cholernie daleko, ale czuła, że nie ma innego wyboru, jak tam pojechać i porozmawiać z księdzem. Niepokój, który czuła po wyjeździe Martina, od tamtego czasu się wzmógł. Zarówno on, jak i jego ojciec byli kompetentnymi żeglarzami. Mieli na pokładzie rozmaite zaawansowane technicznie wihajstry, by w przypadku kłopotów wezwać pomoc. Ajacht był niewiarygodnie solidny, nadawał się do pływania po morzu. Współczesne jachty regatowe, z obsesją na punkcie ciężaru i oporu były, w porównaniu z „Echem”, absurdalnie tandetne. Ale jednak się niepokoiła, a jej niepokój wzrastał. Powinna więc pojechać, spotkać się z Delaunayem i zobaczyć, czy uzyska u niego jakąś pomoc albo chociaż uspokojenie.



Poszła na obiad. Po południu, jako że nie chciała iść do domu, by gryźć panokocie i chodzić w kółko po pokoju, spróbowała znaleźć coś więcej na temat burzy, która zaatakowała Morze Irlandzkie wczesnym rankiem szesnastego kwietnia 1927 roku.

Burza zatopiła trawlerzy, które wypłynęły z Holyhead i z Dublina. Wyrzuciła na brzeg koło Douglas na wyspie Man okręt wojenny. Wyrządziła szkody na północy, aż po Bangor i Carrickfergus na wybrzeżu irlandzkim i Whitehaven w Anglii. Oceniano, że zginęło dwudziestu jeden marynarzy. Bardzo gwałtowna burza trwała trzy dni. A Harry Spalding przeżył ją na jachcie wycieczkowym. Już ten fakt mówi coś o „Mrocznym Echu”. Ale nie dodawało to otuchy. Złe przeczucia Suzanne zaczęły się we francuskiej stodole, która w ogóle na stodołę nie wyglądała. Od tamtego czasu tylko narastały.

Wykorzystała konto BBC, aby zapłacić drobną sumę, która zapewniała dostęp do archiwum „Liverpool Daily Post”. Szukała artykułów dotyczących Spaldinga w tygodniach po sztormie. I w wydaniu z datą drugi maja odkryła następujący fragment:

„Po zejściu w hotelu Adelphi w Liverpoolu, incydencie opisanym przez zarząd hotelu jako żart, który wymknął się spod kontroli, pan Harry Spalding został poproszony o natychmiastowe opuszczenie swych hotelowych apartamentów.

Oczekuje się, że pan Spalding przeniesie się do hotelu Palace w South-port, by mieszkać bliżej pola golfowego w Birkdale, gdzie ten zapalony gracz golfa gra regularnie z imponująco niskim handicapem. Uważa się również, że jest zainteresowany wynajęciem samolotu w miejscowym klubie lotniczym, należącym do braci Giroud, by obejrzeć z lotu ptaka teren, gdzie zamierza spędzić tegoroczne lato.

- Incydent był burzą w szklance wody - oznajmił pan Spalding „Postowi”. - A ja jestem autorytetem od burz. Cieszę się na pobyt w South-port. Czekam niecierpliwie, by wydać nieco pieniędzy na Lord Street.

Po nieudanym żarcie, poparzona pokojówka z Adelphi została opatrzona w szpitalu Speke. Zatrzymano ją na noc, ale wypuszczono do domu następnego dnia. Komisarz liverpoolskiej policji odebrał zeznania zarówno od rannej kobiety, jak i od pana Terence'a Scaleya, odpowiedzialnego w hotelu za nocną zmianę. Uważa się także, że rozmawiał on z panem Spaldingiem, ale „Post” poinformowano, że prawdopodobnie nie zostaną wniesione żadne oskarżenia związane z tym incydentem”.

Zatem Spalding miał poczucie humoru lub przynajmniej poczucie ironii. Sam incydent musiał być bardzo poważny, skoro w czasach czapkowania i niskich ukłonów wezwano policję i poproszono gościa - milionera -by spakował walizki. Wynikało jasno z tego, że pokojówce zapłacono. Suzanne zakładała, że dziewczyna została poważnie zraniona. W 1927 roku, dwadzieścia jeden lat przed wprowadzeniem Narodowej Służby Zdrowia, pokojówka w hotelu nie kwalifikowała się do leczenia szpitalnego, chyba że było to absolutnie niezbędne.

Suzanne zastanawiała się nad stosunkiem Harry'ego Spaldinga do tego, co wtedy nazywano „płcią piękną”. Wiedziała, że kiedy przybył do Europy, w Marsylii, Rimini czy gdzieś tam, porzuciła go dziewczyna. Teraz zastanawiała się, czy to przypadkiem nie on sam wrzucił ją do morza przy przystani. Jako przesłankę miała tylko jego drapieżne spojrzenie, kiedy patrzył na Jane Boyte, gdy stał wśród amerykańskich bankierów zaproszonych do Irlandii przez rząd de Valéry. Czy to był powód spieć między Spaldingiem i Collinsem? Czy Spalding brutalnie dobierał się do Jane albo stała się ona ofiarą jednego z jego żartów? Collins był znany z rycerskości i chętny do obrony każdej kobiety, którą uznał za obrażoną. Zanotowano pięć czy sześć wypadków, kiedy to rzucił się na pomoc kobiecie. Najstłynniejszy to ten, kiedy o mało nie uderzył lorda Birkenheada na kolacji w Londynie, podczas negocjacji w sprawie układu w 1922 roku, za to, co uznał za obelgę dla swej gospodyni, Hazel Lavery.

Ale to nie miało znaczenia, prawda? Nie było związane z niesieniem pomocy Martinowi i jego ojcu, jeśli na morzu groziło im niebezpieczeństwo. Suzanne wydawało się, że czyni postępy w zdobywaniu informacji na temat Harry'ego Spaldinga. Kumulowały się zebrane szczegóły, wyłaniał się jego wizerunek. Ale czuła, że na dalsze, istotne wyjaśnienia będzie musiała poczekać do następnego późnego popołudnia, do spotkania z jezuitą w Northumberland.

Poszukiwania przyniosły tylko jeszcze jedną wzmiankę o Spaldingu w gazecie „Post”. Brzmiała następująco:

„Amerykański playboy wynajął na lato rezydencję na prestiżowej Rotten Row w Birkdale. Ekstrawagancki milioner pan Spalding mieszkał uprzednio w luksusowym apartamencie w pobliskim hotelu Palace”.

To interesujące, że w ciągu niewielu tygodni z bohaterskiego żeglarza o legendarnej sportowej sprawności stał się zaledwie playboyem. Czy jego zachowanie było aż tak niewłaściwe? Pogarda aż skapywała z tekstu. Odnosiło się wrażenie, że pisze to człowiek, który z trudem nad sobą panuje.

Na końcu wyszukała fragment „Posta”, który znalazła jako pierwszy i przed kilkoma miesiącami pokazała Martinowi. Sprawozdanie ze zwolnienia z aresztu Jane Boyte. Wydrukowała je i porównała z fotografią Jane na plaży, stojącej między braćmi Giroud. Na tym drugim zdjęciu była radosna, sfotografowana w przyjemnych okolicznościach. Pierwsze, przeciwnie, uchwyciło moment załamania. Nadal wyglądała efektownie, była doskonale ubrana i porażająco piękna, ale z jej twarzy zniknęła radość. Suzanne czuła, że ten brak zadziorności, tak charakterystyczny na innych zdjęciach, musiał być spowodowany przez coś więcej niż przeżycia w areszcie. Kobieta, która poruszała się po orbicie politycznej Michaela Collinsa, to nie osoba, którą załamuje dwudziestoczworogodzinny pobyt w celi aresztu liverpoolskiej policji. Jane była na to za twarda. Była odporna niczym stal. Ale coś jej się przydarzyło. Beztroska poszukiwaczka przygód, stojąca na piasku w stroju pilota, przeszła jakąś straszną próbę. A jej rezultat był ponury i przygnębiający.

Na pokładzie „Mrocznego Echa”

Pierwszego dnia po wypłynięciu z Southampton utrzymywaliśmy niezłą prędkość. O zachodzie słońca znacznie oddaliliśmy się na zachód od wybrzeży Irlandii. Ostatni fragment lądu, jaki zobaczymy przed Ameryką, stał się cofającą plamą na połyskującym za rufą morzu. Stałem przy sterze. Ojciec siedział obok mnie na pokładzie i w gasnącym świetle studiował mapę. Obciążył ją monetami, syczorykiem i mosiężnym kieszonkowym kompasem i zapomniał o bożym świecie. Ja natomiast pilnie na wszystko uważałem. Luminescencyjna poświata zachodzącego słońca igrała niczym światło lampy łukowej na jego twarzy starzejącego się filmowego gwiazdora. Ojciec wyglądał wspaniale w żeglarskim swetrze, z włosami rozwianymi na wietrze. Jego oczy miały ten sam jasnoszmaragdowy kolor co stula Delaunaya na ceremonii poświęcenia łodzi.

Wygląd nie do końca odzwierciedlał stan jego zdrowia. Może właśnie dlatego przyglądałem się mu z taką uwagą. Przed wyruszeniem w podróż obaj musieliśmy przejść badania lekarskie. Sądzę, że moje były tylko formalnością. W przypadku mojego ojca była to konieczność. Bogaci ludzie mogą ryzykować, ale ryzyko, jeśli jest dobrowolne, przez firmy ubezpieczeniowe jest traktowane niechętnie. Ja przeszedłem badania śpiewając, prawdopodobnie dzięki ojcu. Jeśli zajmujesz się boksem i pozwalasz sobie na utratę kondycji, doprowadzasz do te-

go, że niemal na pewno na ringu dostaniesz ciągi. Nigdy nie chciałem dostać ciągów. Już od dawna nie boksuje, ale zwyczaj utrzymywania kondycji pozostał i nadal trenuję dość ciężko i bardzo regularnie. Byłem zdrowy i w formie.

Ojcu badania nie poszły tak dobrze. A dlaczego miały pójść? Miał pięćdziesiąt pięć lat, a ja trzydzieści dwa. Harował, by zbudować swoje imperium, zgromadzić fortunę. Przecierpiał przedwczesną śmierć żony i zawiódł się na synu, który po prostu okazał się rozczarowaniem. A jak odkryłem bardzo niedawno, przeżył także stratę córki - niemowlaka. I zachowywał tę stratę w sekrecie. Wszystko to pogarszało wysokie ciśnienie krwi. Miał również początki cukrzycy. Do inwalidztwa sporo mu brakowało, ale bez leczenia męczył się łatwo i zagrażał mu atak serca.

Od czasu badań i diagnozy posłusznie brał przepisane lekarstwo regulujące ciśnienie. Pił mniej whisky i porto i nawet, do pewnego stopnia, odstawił cygara. Lecz choć tutaj, w rozjaśnionym oceanicznym zmroku, przypominał jakiegoś filmowego boga, mimo całej swej charyzmy i doskonałego wyglądu był tylko omylnym, szybko starzejącym się mężczyzną, stojącym przed ogromnym i nieznanym wyzwaniem.

- O czyni myślisz, Martinie? - spytał, nie podnosząc wzroku. - Zastanawiasz się jak długo staruszek pociągnie? Zastanawiasz się, kiedy w końcu wszystko odziedziczysz?

Zaśmiałem się. W pewnym sensie nie mylił się tak bardzo, choć o pieniądzach akurat nie myślałem.

- Myślałem o Chichesterze, tato. Zachodzę w głowę, dlaczego uważasz to miejsce za tak... kuszące.

Wstał, składając mapę. Zachodzące słońce oświetlało jego zaczerwienioną twarz. Ale jestem pewien, że rumieniec powodowało jedynie oświetlenie. Był zbyt bezwstydnym, by się rumienić.

- To miłe miejsce. Bardzo malownicze.

- Myślałem, tato, że jest dla ciebie odrobinę zbyt stateczne i staroświeckie.

- Nie jest ani stateczne, ani staroświeckie. Jest bardzo ładne.

- Trochę stary i parafialny ten Chichester, prawda? Pretensjonalny i coś... ponury?

Zrolował mapę i popatrzył na mnie zmrużonymi oczyma.

- Piękno jest w oczach patrzącego, Martinie. Ja akurat myślę, że czar Chichesteru jest rozkoszny. Lubię też Edynburg i uważam, że Bath również nie jest pozbawione uroku.

- Teraz się przechwalasz.

- Jestem na emeryturze. Muszę się czymś zająć. Gdybyś poślubił tę wspaniałą dziewczynę, z niewiadomego powodu tak ci oddaną, i założył rodzinę, mógłbym robić, co robią godni szacunku mężczyźni w moim wieku.

- Czyli?

- Hołubić wnuki.

Odwrócił się w stronę luku i zszedł na dół. Nigdy wcześniej nie wspomniał o założeniu przez siebie rodziny. Może jego wyznanie na temat Catherine Ann przesunęło tę myśl na pierwszy plan? Mówił poważnie. Dlatego właśnie poszedł tam, gdzie nie mogłem go już obserwować. Jeśli chodzi o schadzki w Chichesterze, był szczerze bezwstydnym, ale był również naprawdę zakłopotany swoim nagłym wyznaniem, że pragnie wnuka, by go rozpieszczać i kochać.

Włączyłem automatycznego sternika i zszedłem za nim na dół, trochę oszłomiony tym, co właśnie powiedział. I wydawało mi się, że słyszę warczenie dobiegające od strony magazynu żagli. Brzmiało to trochę jak pomruki wielkiego i rozdrażnionego psa. Przypomniałem sobie psa Spaldinga i nasłuchiwałem, stojąc przez chwilę bez ruchu. Wabił się Toby. Był bulmastifem i miał wredny charakter. Z drżeniem wspominałem dziwne przeżycie w hangarze w Lepe. Nasłuchiwałem, ale usłyszałem tylko kłębiącą się pod kadłubem wodę, uderzenia niewielkich fal o dziób, westchnienia i trzeszczenie naciąganego olinowania. Uśmiechałem się do siebie. Psy nie dożywają dziewięćdziesiątki. To musiał być warkot rozkręcanego łańcucha kotwicznego czy coś w tym rodzaju. Stare żaglowce z definicji hałasują.

Zatrzymałem się przed drzwiami kajuty ojca. Chciałbym kontynuować tę rozmowę. Czułem się pochlebiony, że chciał, bym powiększył rodzinę, że ojciec ma w sobie fundusz miłości, czekający, by szczerze wydać go na mojego syna lub córkę. Oznaczało to, że ostatecznie i zdecydowanie przeszedł do porządku dziennego nad moim nieudanym powołaniem. I chciał, aby Suzanne została matką jego wnuków. Wiedziałem, że ją lubi. Zdałem sobie sprawę, że prawdopodobnie ją kocha. Jest miła, zdolna, zabawna, inteligentna i uszczęśliwia jego jedynego syna. Przyszło mi również na myśl, że jest w tym samym wieku, w jakim byłaby teraz jego utracona córka. Zastanawiałem się, jak często przychodziło mu to na myśl, gdy patrzył na Suzanne.

Zza jego drzwi słyszałem muzykę operową - oczywiście jakiś germański kawalek - heldentenor lamentował donośnie o nimfie wodnej czy kimś takim, bez wątpienia trzymając w ręku dzidę i mając na głowie hełm z rogami. Mocny tors



na pewno miałby odziany w workowe, grube płótno, przepasane pasem z mieczem. Pokręciłem z uśmiechem głową i opuściłem rękę, którą miałem zapukać do drzwi. Postanowiłem pozwolić mu posłuchać muzyki. Będziemy mieli mnóstwo okazji do rozmów o sprawach osobistych, ważnych intymnych sprawach życiowych. Nie ma pośpiechu. Na pokładzie łodzi nie mogliśmy przez dłuższy czas unikać swojego towarzystwa. Może to był powód, dla którego ojciec mnie zaprosił, albo jeden z powodów. Byliśmy sobie bliscy. Byłem mu bliski, ponieważ postanowiłem z nim nie rywalizować. Ale w swoim życiu zawodowym - choć hojny we wszystkich innych dziedzinach - jeśli chodzi o czas, był skąpcem. Teraz mieliśmy spędzić razem sporo czasu i to mnie cieszyło. Ale nie było pośpiechu, więc zostawiłem go Wagnerowi i wróciłem na pokład.

Było niemal zupełnie ciemno, a powietrze bardzo przejrzyste. Nie widziałem światła innych statków, ale spojrzawszy w górę, dostrzegłem słabe migotanie pierwszych gwiazd. W normalnych warunkach przemierzanie otwartego morza wymagało mniejszych umiejętności żeglarskich niż żeglowanie wokół wybrzeży Irlandii. Płynąc wzdłuż linii wybrzeża, napotykało się prądy, fale pływowe, mielizny i rafy. Mgła była niebezpieczna i ruch na morzu intensywniejszy. Trzeba było omijać trawlerzy wracające do portów po nocnych połowach w szarości świtu. Jednak żeglowanie przez ocean, gdy bezpieczeństwo łądu jest poza zasięgiem, sam łąd niewidoczny, a ty sam jesteś świadomy odosobnienia oraz głębi pod sobą, stanowi obciążenie psychiczne, które często bierze górę nad aspektami praktycznymi.

Kiedy zapadała ciemność, ogarniał mnie strach, ale miałem też poczucie wolności, jaką daje łódź. Była to jednak wolność bardzo ekskluzywna. Miałem bogatego ojca, który zapewnił mi ten przywilej. Może to ironia losu, że te okoliczności łączyły mnie z Harrym Spaldingiem. Spalding, każąc zbudować tę łódź, sam sobie zapewnił tę wolność, przyzwolenie na żeglowanie po oceanach, na wędrowanie po świecie bez podawania powodów, na zajmowanie pozycji bogatego cudzoziemca w najbardziej odległych portach i przystaniach. Ciekawe, co nim powodowało. Przecież nie umiłowanie morza, prawda? Co Spalding zrobił z całą tą wolnością?

Zadrzałem. Gdy zaszło słońce, zrobiło się chłodno. A odpowiedź na pytanie, które właśnie sobie zadałem, brzmiała: nigdy się tego nie dowiemy. Dziennik pokładowy „Mrocznego Echa” został zniszczony. A wraz z nim zniknęła wszelka nadzieja na odkrycie sekretów Spaldinga. Znowu zadrzałem i to nie tylko z powodu wiatru i chłodu ciągnącego od ciemnego morza. Nie chciałem odkrywać

tajemnic Spaldinga. Informacje, które zdobyłem, sugerowały, że te sekrety to sadyzm i szaleństwo. Łódź była lepszym dziedzictwem, niż zasługiwał jej pierwszy właściciel. Ojciec i ja z pewnością wykorzystamy wolność, jaką nam dała, w sposób bardziej niewinny niż on. Jeśli nie zasłużyliśmy sobie na koje na tym pokładzie, to na pewno w najbliższych dniach na nie zapracujemy.

Wtedy znowu usłyszałem hałas, rodzaj lamentującego wycia, brzmiącego jak wycie psa. Próbowałem sobie wmówić, że to wieloryb. W tych wodach żyją wieloryby. Żyją też inne wodne ssaki potrafiące szczekać i krzyczeć, a te odgłosy, zniekształcone, wiatr mógłby nieść przez mile. Są foki i morświny. Ale dźwięk wydawał się wydobywać spod pokładu, od strony magazynu żagli.

Włączyłem automatycznego sternika i zszedłem na dół. W kajucie miałem nóż, więc wpadłem tam i go wziąłem. Nie usłyszałem szczura. Ale to, co usłyszałem, nie brzmiało przyjacielsko ani życzliwie. Otworzyłem więc luk do magazynu żagli nożem trzymanym w prawej ręce. Włączyłem rząd świateł w drucianych kloszach w długim pomieszczeniu o niskim suficie. Nie zobaczyłem psa. Nie zauważyłem żadnego ruchu. Widziałem tylko blade zwoje dakronu, pętle starannie zwiniętych lin i wielokrażki zwisające z haków przyśrubowanych do grodzi. Ale był też zapach. Kwaśny i brutalny. I według mnie psi. Przywodził na myśl zagrodę dla wilków z zoo w Regent's Park, niedaleko boisk futbolowych, zanim ją zlikwidowano. Przy pewnym kierunku wiatru zapach z zagrody dla wilków snuł się nad boiskami. Rozejrzałem się. Wielki pies zostawiłby sierść i nitki śliny, prawda? Nie było nic. Zgasilem światło i zaryglowałem luk. To tylko moja wyobraźnia.

Ale trochę się przestraszyłem. Kiedy odłożyłem nóż, zapukałem do drzwi kajuty ojca. Pretekstem będzie późna kolacja. Powiem, że coś ugotuję, zapytam go, co chciałby przegryźć, zanim pójdzie spać.

Muzyka grała bardzo głośno. Ojciec nalał sobie wielką porcję whisky. Cygaro dymiło w popielniczce i powietrze w kajucie było żółte od dymnego zaduchu. Ojciec powyjmował z gablot broń i rozłożył ją na biurku. Czyścił i ładował, sztuka po sztuce. Karabin półautomatyczny leżał rozłożony na części na kawałku tłustej szmaty. Amunicja - pociski i naboje - była zwinięta w grubych pasach i wylewała się z białych kartonowych pudeł. Ojciec łąpał na mnie przez celownik karabinu, który trzymał w jednej ręce, i zaciągał się hawaną. Nie wyglądał zbyt dziadkowato.

- Szykujesz się do trzeciej wojny światowej, tatusiu?

- Trzeba być przygotowanym, Martinie - odparł. - Jesteśmy w środowisku, które może okazać się wrogiem.

- Raz kozie śmierć - mruknąłem. Wydawało mi się, że bardziej użyteczna byłaby tratwa.

- Siadaj, synu.

Na policzkach i czole miał wypieki.

- Wziąłeś lekarstwo, tato?

Zbył pytanie machnięciem ręki, a dym z cygara popłynął leniwym piruetem. Ktoś w operowym chórze zaśpiewał wysoką, płaczącą nutę. Chyba że był to skowyt psa Spaldinga, tęskniącego za swoim panem. Uderzyła w nas solidniejsza fala, łodzią zatrzęsło i musiałem złapać się brzegu biurka, by nie stracić równowagi. Jedno z pudełek amunicji wywróciło się, wysypując na blat kule w mosiężnych łuskach. Niektóre potoczyły się aż na podłogę.

- Powiedziałem, siadaj.

Przysunąłem sobie posłusznie krzesło i usiadłem.

- Cała ta wcześniejsza rozmowa o Chichesterze...

- To żart, tato. Osobista wycieczka z podtekstem. Nie chciałem, by zabrzmiało to sarkastycznie. Wydawało mi się, że przyjąłeś to dość dobrze.

- Musisz coś wiedzieć.

Miał zamiar mi coś wyznać. A ja nie chciałem tego słuchać. Rewelacja o Catherine Ann była wystarczająco nieprzyjemna. Nie otrząsnąłem się jeszcze z szoku po tamtym i akurat teraz nie chciałem niczego więcej z ojcowskiego ukrytego zapasu rodzinnych tajemnic.

- Nigdy nie byłem niewiernym mężem. Nigdy. Ani razu. Nigdy w myślach ani czynach nie oddaliłem się od niej ani jej nie zdradziłem.

W oczach miał łzy. Spoglądał na palący się koniuszek cygara, jak gdyby jego jasne żarzenie mogło dostarczyć mu pociechy. Zaciągnął się, po czym zgasił cygaro w szklanej popielniczce stojącej obok broni.

- Moje życie uczuciowe może ci się wydawać jakimś rodzajem dorosłego infantylizmu, tak jak, przyznaję, czasami wydaje się mnie. Ale nigdy nie romanowałem, kiedy żyła twoja matka, i sądzę, że to ważne, żebyś o tym wiedział.

Mój ojciec, który nigdy nie wydawał się mi infantylny, ale zawsze godny podziwu, płakał. Wstałem, okrążyłem biurko z leżącymi na nim morderczymi śmieciami, pomogłem mu wstać, i go uściskałem. A on w moich objęciach szlochał z żalu za utraconą żoną i zmarłą córeczką.

**Seminarium** - rozległe neogotyckie gmazyszko z granitu - stało na szczycie klifów tuż nad morzem. Kiedy Suzanne jechała wynajętym samochodem po krętej, wznoszącej się drodze, uznała to miejsce za złowrogię. Reflektory auta oświetlały białe widmowe krzaki i piargi. Całość wydawała się tak zaaranżowana, by umniejszyć skalę wszystkiego, co jest zaledwie ludzkie. Niebo nad wieżyczkami budynku zasnuły gniewne chmury. Pomyślała, że krótkotrwałe powołanie Martina na początku musiało być bardzo silne. Było to najmniej gościnne miejsce ze wszystkich, jakie kiedykolwiek odwiedziła. Jedynie człowiek zdeterminowany w swym wyborze drogi życiowej mógł pomyśleć o zamieszkaniu tutaj.

Samochody kierowano na parking z widokiem na morze przy lewej flance seminarium. Ziemię tu wyrównano i pokryto żużlem. Suzanne wysiadła i podeszła na skraj klifu. Na wzburzonym, smaganym wiatrem morzu złowróźbne białe bałwany z drzeniem pojawiały się, a potem cofały z poślizgiem w nicość na powierzchni czarnej wody. Obok auta Suzanne nie parkowały żadne zwykłe samochody. Trzy inne pojazdy na parkingu - starego jeepa i dwa land-rovery - wykorzystywano do rozmaitych prac. Przejeździły już wiele mil. Jeden z roverów miał przyczepę z naciągniętym brezentem.

Suzanne już z oddali widziała światła pstrzące budynek. Jednak większość okien pozostawała ciemna w gęstniejącym mroku. Niektóre światła migotały, jakby pochodziły od płomieni świec. Większość była żółta. Ale całość sprawiała wrażenie raczej dystansu niż przytulności, światła w wąskich łukach i szczelinach okiennych nie oświetlały ani nawet nie rozjaśniały tego ogromnego kamiennego labiryntu. Suzanne spojrzała na zegarek. Tuż przed piątą. Przyjechała punktualnie. Zbliża się najdłuższy dzień w roku i nie ściemni się jeszcze przez prawie pięć godzin. Ale wydawało się, że to zmierzch. A kiedy dotarła do głównego wejścia, zaczął padać zimny deszcz o ciężkich kroplach.

Delaunay przyjął ją w swoim gabinecie. Urządzony był mniej surowo, niż oczekiwała, kiedy prowadzono ją ponurymi korytarzami i kamiennymi klatkami schodowymi. Gdyby nie przydzielono jej przewodnika, lecz dano tylko ustne wskazówki, nigdy nie dotarłaby na miejsce. Seminarium było labiryntem. W tych chłodnych sklepionych salach wydawało jej się, że lepiej rozumie kilka aspektów

charakteru Martina, które w czasie całego okresu ich znajomości pozostawały dla niej zagadką. Miejsce przyciągnęło tę stronę jego osobowości, która skłaniała się ku melancholii i ciszy. I ku tajemniczości. Ten niedostępny dla niej Martin mógł widzieć coś pociągającego w tym wielkim katolickim grobowcu wyciosanym dla żywych.

Ale w gabinecie Delaunaya była drewniana boazeria i wygodne meble. Obrazy na ścianach oprawiono zbyt pięknie, by były zaledwie reprodukcjami. Okładki licznych książek na regałach pachniały intensywnie skórą. Na środku biurka stał laptop, z boku drukarka laserowa i telefon. Jednak dominowało wrażenie przeszłości. Wizerunki ukrzyżowanego Chrystusa, umierającego pod cieniową koroną, niegdyś spotykano powszechnie w świecie chrześcijańskim, na początku XXI wieku już nie. Ale w miejscu pracy Delaunaya - i, jak przypuszczała Suzanne, w miejscu jego modlitwy i kontemplacji - znajdowało się kilka takich surowych przypomnień o tym, że Bóg poświęcił swego syna dla ludzkości. Podsumowując, gabinet wyglądał, jakby pochodził z czasów, kiedy ludzie byli bardziej pobożni.

Delaunay podziękował blademu nowicjuszowi, który ją doprowadził, a potem uścisnął jej dłoń. Jak mówił Martin, jezuita był ogromny. Dłoń Suzanne całkowicie znikła w uścisku jego dłoni, a ramiona pod sutanną miał równie szerokie i chyba umięśnione jak ramiona ciężarowca czy miotacza kulą. Nie dorobił się takich mięśni w sali gimnastycznej. Była tego pewna. To jeden z tych mężczyzn, którzy rodzą się silni, a przyszła moc ich mięśni jest już ustalona, gdy wyrastają małego ziarenka w brzuchu matki. Słowo określające fizyczność jezuitę jest niemal archaiczne, pomyślała Suzanne. To „moc”. Monsignore Delaunay był mocny. Jednak uścisk jego dłoni był delikatny. Ksiądz wydawał się niemal zawstydzony. Na przeciwległym do biurka krańcu pokoju stała skórzana sofa. Tam właśnie ją poprowadził. Wziął od niej płaszcz i powiesił na wieszaku w rogu. Gestem zaprosił ją by usiadła. Sam jednak tego nie zrobił. zaproponował, że przyniosą kawy lub herbaty, ale Suzanne odmówiła. Oferował wodę, a kiedy skinięciem głowy wyraziła zgodę, nalał jej szklanekę z karafki stojącej na okrągłym stoliku. Potem stanął naprzeciw niej z dłońmi złączonymi za plecami. Upiła łyk wody. Była bardzo zimna. Suzanne zastanawiała się, czy pochodzi ze studni - mogą tu mieć studnię. Nie leżakowała tygodniami w butelce, czekając, aż ktoś ją wypije.

- Dziękuję, że zgodził się ojciec ze mną spotkać.



- Kiedy powiem pani to, co muszę, zgodzi się pani ze mną że to najdrobniejsza z rzeczy, jakie mogłem zrobić.

Piła wodę, zastanawiając się, jak źle ksiądz ma wiadomości. Zostawiła papierosy w samochodzie, ale przecież nie można palić w kościele. A ona nie знаła zasad. Wszystko tutaj może być kościołem w takim samym sensie, w jakim ambasady mają statut niezależnych państw.

- Czy mogę zwracać się do pani Suzanne?

- Oczywiście, że tak, ojciec. Chciałabym, żeby ojciec tak robił. I chciałabym, by powiedział mi ojciec prawdę o człowieku, który podawał się za Peitersena.

- To jeden z nas, Suzanne.

- Przedstawiciel Kościoła katolickiego?

- Ksiądz.

- Nie wyglądał na księdza.

- Bo nie miał wyglądać.

- Naprawdę zna się na łodziach.

- Owszem, zna się.

- Może jednak napiję się kawy.

- Nie krępuj się, pal.

- Jezu... Chciałam powiedzieć „rany gościa”. Zostawiłam papierosy w samochodzie.

Delaunay się uśmiechnął.

- Może zaszokuje cię wiadomość, Suzanne, że niektórzy kapłani ulegają temu nałogowi, więc prawdopodobnie zdołam wycygnąć dla ciebie paczkę marlboro lights.

Peitersen, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Sean McIntyre, był Irlandczykiem z Bostonu, i nigdy nie był szczególnie religijny, póki nie skończył czterdziestu pięciu lat. Jego rodzinne przedsiębiorstwo budowało łodzie rybackie. Zajmowali się tym od pięciu pokoleń. Zerwał z tą tradycją i zaczął budować jachty regatowe, bo ścigał się na takim jachcie jako nastolatek i zdał sobie sprawę, że dzięki prostym ulepszeniom podstawowej konstrukcji jachtu jego łodzie są znacznie szybsze i łatwiejsze w obsłudze.

Marina McIntyrów kwitła. By uczcić dwie dekady sukcesów firmy, Sean zbudował jacht motorowy jako prezent na swoje czterdzieste urodziny. Zatonął tydzień później na rafie przy Bahamach. Na pokładzie była żona Seana i jego czternastoletni syn. Sean stał przy sterze po wypiciu około pół litra białego rumu. Jego żona i chłopak utonęli. Seana wyłowiono żywego. Był w wodzie osiemna-

ście godzin i majaczył, ale do tego czasu wytrzeźwiał. Przygotowania do kapłaństwa rozpoczął tydzień później.

- Dlaczego udawał Peitersena? - chciała wiedzieć Suzanne.

- Ponieważ powiedzieliśmy mu, że tak powinien zrobić - odparł De-launay, nadal patrząc jej w oczy, choć wydawało się, że czyni to z wielkim wysiłkiem. - Ponieważ powiedzieliśmy mu, że powinien tak zrobić. Jako pokutę.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli ojciec mi to wyjaśni.

Delaunay stał przy łukowo sklepionym oknie o szybach z dużą zawartością ołowiu. Nie wpuszczało wiele światła. Było jednym z czterech okien zdobiących ścianę gabinetu. Nawet wszystkie razem dawały mało światła. Ale z drugiej strony, pogoda była paskudna. Choć okna szczelnie zamknięto, Suzanne słyszała deszcz bębniący o szyby.

- Wczesną zimą tysiąc dziewięćset osiemnastego roku kapitan piechoty o nazwisku Harry Spalding ukradł z katedry w Rouen coś bardzo wartościowego. Wiemy o tym, gdyż jeden z ludzi, których zadaniem była ochrona tego obiektu, przeżył napad.

- Co zabrał?

- Coś przywiezionego z Palestyny w czasie pierwszej krucjaty. Obiekt zabrany do Francji, żeby Rzym nie mógł go sprzedać, by zyskać wpływ na królów podczas wielkiej schizmy zachodniej. Ten artefakt to jedna z najważniejszych relikwii w całej historii Kościoła. I Spaldingowi udało się go ukraść.

- Dla zysku?

- Dla władzy. Dla przewagi, którą jego zbezczeszczenie mogło mu dać w stosunku do wielkiego przeciwnika, z którym konfrontacja trwa od jego upadku. Właśnie dlatego to ukradł.

- I pomyśleliście, że McIntyre, jako Peitersen, może to znaleźć na „Mrocznym Echu”?

Delaunay się uśmiechnął.

- Jesteś bardzo bystra, Suzanne.

- Nie, nie jestem. Ponieważ tak naprawdę jestem bardzo zdezorientowana. Jeżeli przedmiot jest tak dla was cenny, to Cardoza Associates mogła wygrać z Magnusem Stannardem tę główną rywalizację u Bullena i Clore'a.

Delaunay odwrócił się w stronę okna i deszczu.

- Przepraszam, monsignore. Przepraszam za ten wulgaryzm. Odezwał się, odwrócony do niej plecami. Głos miał poważny.

- Wygraliśmy tę główną rywalizację. Z całym szacunkiem dla Magnusa Stannarda, Watykan ma olbrzymie zasoby. Ale licytator był niekompetentny albo pijany. I młotek spadł za wcześnie.

- Kto to są Martens & Degrue?

- Słyszała pani o Klubie Jerycho?

- Owszem, ostatnio.

- Oni kontynuują tradycję Klubu Jerycho, ale innymi metodami. Lub może, mówiąc ściślej, są kontynuacją pod inną nazwą, ponieważ metody pozostają te same.

- Dlaczego właśnie teraz ojciec mi o tym opowiada? Odwrócił się do niej.

- Nie wiedziałem nic o tych sprawach aż do pewnej chwili kilka dni temu. Absolutnie nic. Martin powiedział mi o Peitersenie przy obiedzie w dniu, w którym na prośbę Magnusa Stannarda błogosławiłem „Mroczne Echo”. Magnus był przekonany, że to tylko jakiś świr. Potem Martin wspomniał Spaldinga i przypomniałem sobie tylko, że z tym nazwiskiem wiążą się jakieś mętne, nieprzyjemne skojarzenia. Zadałem kilka pytań poinformowanym ludziom w Rzymie i powiedziano mi to, co teraz powiedziałem pani.

- Czy nie jest ojciec zobowiązany do dochowania tajemnicy? Suzanne była przekonana, że tego rodzaju pytań nie można traktować poważnie. Myliła się.

- Zostałem zobowiązany do zachowania milczenia na ten temat. Postanowiłem jednak tego zobowiązania nie dotrzymać.

- Dlaczego?

- Ojciec McIntyre nie znalazł na łodzi Harry'ego Spaldinga tego, czego szukał. Jest przekonany, że tego tam nie ma. Ale Martens i Degrue mogą myśleć, że jest. Ci ludzie mogą się dopuścić aktów piractwa.

Suzanne pomyślała o tym, co usłyszała.

- Ojczy, kiedy błogosławił ojciec łódź, czy sądził, że jest ona przyjazna?

Delaunay uśmiechnął się, patrząc w dół. Potem podniósł wzrok na Suzanne. Knykciami postukał w okno. Miał olbrzymią pięść. Uderzenia głucho zadudniły w ciszy komnaty.

- Morze, tam na dole, na zewnątrz naszego schronienia, jest czasem przyjazne. A czasami szaleje. Jego potęga wzrasta i zanika. W czasie, kiedy byłem na pokładzie jachtu, „Mroczne Echo” nie zagrażało nikomu.

- Nie mogę uwierzyć, że pozwolił im ojciec odpłynąć.

- O wszystkich tych rzeczach dowiedziałem się, gdy już wyruszyli. Martina nie widziałem dziesięć lat. Magnus wezwał mnie ni z tego, ni z owego.

Suzanne uśmiechnęła się.

- Ależ, ojczy, czy ktokolwiek kiedykolwiek naprawdę robi coś ni z tego, ni z owego?

- Nie pora na debatę teologiczną - uciął Delaunay. - Nie jesteśmy tutaj, by dyskutować o przeznaczeniu. Złamałem śluby, by powiedzieć ci to, co powiedziałem.

- Ponieważ do ojca zadzwoniłam. Ni z tego, ni z owego.

- Niepokoiłem się o nich, kiedy odpływali. A ten niepokój jeszcze wzrósł po tym, czego dowiedziałem się od tamtego czasu. Zadzwoniłbym do ciebie, Suzanne. Byłem zdecydowany to zrobić. Zadzwoniłbym do ciebie, gdybyś ty wcześniej się nie odezwała.

W to akurat uwierzyła.

Szybko obliczyła w pamięci. Są w tej chwili trzysta, może czterysta mil za zachodnim wybrzeżem Irlandii i będą kierowali się dokładnie na zachód, jeśli płyną wyznaczonym kursem. I Delaunay nie powiedział jej nic, co zmusiłoby Magnusa Stannarda do zawrócenia. Wprost przeciwnie, skoro już McIntyre ustalił, że zbezczeszczona relikwia nie znajduje się na „Mrocznym Echu”. „Powodzenia”, tak według Suzanne mógłby powiedzieć Magnus, ostrzeżony o groźbie piractwa ze strony Martensa i Degrué'a. Martin powiedział, że mają na statku broń. A Magnus to ekspert od jej wykorzystania, człowiek wojowniczy i prawdopodobnie z rozkoszą by działał, gdyby piraci próbowali wejść na pokład.

Wstała, by wyjść.

- Robisz nierozsądnie, wyjeżdżając dziś wieczorem.

- Czy może tu przenocować gość płci żeńskiej?

- Możemy przenocować każdego gościa, którego zaprosimy.

Suzanne spojrzała na zegarek. Było po siódmej. Z ponurego, zaciągniętego chmurami nieba lał deszcz. Zarezerwowała pokój w gospodzie koło wsi Holburn. Musiałaby przejechać około trzynastu kilometrów. Gospoda na fotografiach w Internecie wyglądała bardzo przytulnie. Dostanie się tutaj zajęło jej większość dnia. Chciała wcześniej pójść spać i wcześniej wstać.

- Dlaczego ojciec sądzi, że mój wyjazd stąd byłby nierozsądny?

- Intuicja - odparł Delaunay. - Zrobisz lepiej, jeśli poczekaś do rana. Będzie ci tu wygodnie.

- Zaryzykuję - odparła.

- Jak sobie życzysz.

Zdjął z wieszaka jej płaszcz i pomógł go włożyć. Potem wyprowadził ją z budynku tą samą drogą która przysła. Podczas marszu przez mroczne, wyłożone kamiennymi płytami korytarze i klatki schodowe milczeli. Ale przynajmniej dla Suzanne milczenie to było wygodne. Powiedzieli już sobie wszystko, co niezbędne. Polubiła Delaunaya, choć z jego słów wynikały niepokojące wnioski. Złamał śluby, by podzielić się z nią informacją. Wybrał grzech powodowany przyjaźnią, lojalnością i instynktem opiekuńczym. Podejrzewała, że jezuita kocha Martina. Pomyślała, że gdyby nie stan kapłański, byłby zupełnie innym typem ojca niż Magnus Stannard. Jego siła i moc to klucz do jego zachowania. Jest potężny, więc może okazać czułość i nie zostać uznany za słabeusza. Oczywiście, kapłanowi powinno być obojętne, czy cechy jego charakteru robią wrażenie na ludziach. Ale podejrzewała, że tak nie było. Jego wielką słabością była próżność.

Wybiegła przez bramę seminarium. Nad głową trzymała płaszcz niczym kaptur. Na parkingu deszcz wyśpiewywał ostre nuty na żwirze. Na szczycie otwartego ku morzu klifu pogoda przypominała raczej październikową, a nie czerwcową. Kiedy otwierała samochód, zadrżała. Furia morza wrząca na skałach poniżej przypominała jej o kapryśnej naturze tego żywiołu. I znów zaczęła się zastanawiać, jak radzą sobie na jachcie Martin i jego ojciec. Nie uważała „Mrocznego Echa” za łódź z natury złą. Ale jej pierwszy właściciel był zły. Harry Spalding był zły, zdeprawowany i od dzieciństwa uprawiał czarną magię. Czy zło jest zaraźliwe? Czy wrogość może przeniknąć stary statek regatowy?

Suzanne nie sądziła, żeby to było możliwe, choć wiedziała o zagadkowych losach braci Waltrowów oraz o śmierci Gubby'ego Techa. Ale niebezpieczeństwo istniało. Czula je w stodole, we Francji. Została o nim uprzedzona przez ducha. Stojąc przy otwartym samochodzie i patrząc na kępki trawy na krawędzi klifu, zdała sobie sprawę, do jakiego wniosku prowadzi to rozumowanie. Złowrogi wpływ Harry'ego Spaldinga trwa, gdyż skradziona relikwia pozostaje obiektem profanacji.

Kiedy obróciła kluczyk w stacyjce, było dwadzieścia po siódmej. W Anglii w czerwcowy wieczór to nadal wczesna pora, ale na wybrzeżu Northumberland było tak ponuro i mroczno, że Suzanne postanowiła włączyć światła. Prowadziła ostrożnie, ale nie widziała żadnych pojazdów jadących z przeciwka na drodze prowadzącej do wsi i do gorącego spotkania z daniem z jagnięciny oraz szklanką cabernet sauvignon. W pewnej chwili droga skręca w głąb lądu i po obu jej stro-



nach pojawiły się drzewa. Wiatr szumiał w gałęziach i strącał krople deszczu z drzew na przednią szybę. Suzanne odruchowo włączyła wycieraczki. I radio.

Nastawione było tak głośno, że śpiewana półgłosem przez Paddy'ego McAlloona piosenka *Kiedy miłość się kończy* ryknęła z głośników. Suzanne pochyliła się w pasach bezpieczeństwa, by wyłączyć radio, gdy przednia szyba implodowała żadłącymi kawałkami bezodpryskowego szkła. Samochód stanął, a dach wygiął do wewnątrz. Suzanne spojrzała w górę na gruby powalony pień, który uwiązał w cienkiej blasze dachu. Słyszała zgrzyt naprężonego metalu i wiedziała, że zaraz zostanie zmiądzona i umrze.

Odpięła pasy i ześlizgnęła się pod siedzenie, a wewnątrz samochodu nadal się zmniejszało pod ciężarem miażdżącego je pnia. Nagle po stronie pasażera usłyszała zgrzyt metalu. Zobaczyła, jak dwie ogromne dłonie, złapawszy za dolną krawędź okna, ciągną zablokowane drzwi. Ciemna krew ściekała po wewnętrznej stronie drzwi, kiedy w dłonie wgrzyły się kawałki szkła, które tkwiło jeszcze w wybitym oknie. Grube palce pobielaly z wysiłku. Drzwi zostały wyrwane z zamka i zawiasów, a na ich miejscu pojawiła się głowa Delaunaya. Jezuita wyciągnął do niej rękę i wyszarpnął ją z samochodu jak lalkę. Samochód złożył się pod brzemieniem powalonego drzewa niczym gumowa zabawka, z której uszło powietrze.

Delaunay na wpół ciągnął, na wpół niósł Suzanne drogą. Wreszcie posadził ją na siedzeniu pasażera swojego land-rovera. Suzanne próbowała odzyskać oddech i panowanie nad sobą. Jezuita odkręcił korek piersiówki i podał ją Suzanne. Trzymał butelkę koniuszkami palców, by nie zabrudzić jej krwią kapiącą z dłoni. Suzanne wzięła butelkę i wypila. Whisky. Z radością przyjęła jej siłę i ciepło.

- Jechał ojciec za mną.

- Środek ostrożności. - Jego wzrok powędrował na drogę, gdzie kabina jej wynajętego samochodu spłaszczyła się aż do osi pod ciężarem zwałonego drzewa. Jedna z tylnych opon została przebita. Z pojazdu wyciekał olej czy benzyna, tworząc tęczową plamę na drodze. Kolory były przygaszone z powodu nieobecności prawdziwego letniego światła.

- Próbował mnie ojciec ostrzec.

- Intuicja.

- Myślę, że Harry Spalding nie umarł.

Delaunay zamilkł. Wziął z tylnego siedzenia kawałek materiału, podarł go na paski, a teraz bandażował sobie dłonie. Nachylił się do przodu, wyjął piersiówkę z jej rąk, potężnie kilka razy pociągnął i jej oddał.

Na sutannie miał nieprzemakalny skafander z kapturem. Zdjął kaptur. Do ociekającej wodą głowy przylepiły się włosy. Kiedy przez gałęzie i liście zwalnego drzewa wciskał tę głowę do samochodu, skojarzył jej się z pogańskim szyldem pubu, przedstawiającym Zielonego Człowieka. Myślała wcześniej, że to demon, nie kapłan.

-Zawdzięczam ojcu życie.

Mówiła to, co czuła. Opowiedziała mu wszystko, co wiedziała. I wiedziała, że robi to, bo jest w szoku. Jezuita tylko kiwał głową i mrugał. Usiadł za kierownicą land-rovera i zawrócił ku seminarium, rozbryzgując wodę na drodze.

Ponieważ starała się nie wyciągać wniosków z tego, co się przed chwilą zdarzyło, podczas krótkiej jazdy zastanawiała się, jak będą wyglądały wygody w seminarium, przeznaczone dla wszelkich gości. Przecież dla kobiet powinny być inne niż dla mężczyzn. Wyobraziła sobie sypialnię przeznaczoną dla jednej z tych prerafaelickich piękności z malowideł Millaisa czy Artura Hughesa. Powinny być gobeliny, witraże, a nad łóżkiem z pewnością wisi ciężki baldachim. W srebrnym kielichu będzie miała wodę ze studni. Jeśli zechce posłuchać muzyki, będzie musiała nauczyć się grać na harfie i wykorzystać tę, która stoi w rogu. Może również zdjąć ze ściany lutnię.

Szok i spowodowane nim oszołomienie opuściły Suzanne dopiero, gdy zjadła naprawdę doskonałą wołowinę z warzywami, którą przyniesiono jej do kwatery - wygodnie umeblowanego, samodzielnego mieszkania. Do posiłku podano wino i chleb tak dobry, że chyba upieczono go tego ranka w seminaryjnej kuchni. W salonie miała telewizję satelitarną i komputer z dostępem do Internetu. Tylko jeden obiekt wskazywał na prawdziwą lokalizację mieszkania: na ścianie salonu wisiał wielki krucyfiks. Brązowy Chrystus wił się, przybity za ręce i stopy do krzyża z twardego drewna.

Ale była z tego zadowolona. Spokój i normalność powróciły, cieszyła się, że jest właśnie tutaj i że wysoko na ścianie wisi znak, który jej o tym przypomina. Kiedy zgasi światło i pójdzie spać, fakt, że otacza ją święta forteca, będzie źródłem otuchy.

- Nic nie stracisz, wyjeżdżając rankiem, w świetle dnia - powiedział jej wcześniej Delaunay.

- Zawdzięczam ojcu życie - powtórzyła.

- Życie zawdzięczasz Bogu - odparł. - Ale, w każdym razie, dziękuję, Suzanne. Jestem dostatecznie próżny, by przyjąć komplementy.

Roześmiała się. Znała go już od tej strony.

- Dokąd zamierzasz się udać? Tropem Spaldinga, prawda? Nie zraziłaś się. Suzanne pokiwała głową.

- Próbowałem do nich zatelefonować. Próbowałem zaapelować do ich zdrowego rozsądku i skłonić ich do powrotu.

- Nie posłuchają-odpowiedziała.

- Nie mogłem się dodzwonić. Mamy telefon satelitarny, ale tym również nie mogłem się przebić.

- Jadę do Southport, ojciec Delaunay. Spalding osiedlił się tam na pewien czas. Musiał mieć jakiś powód. Tak jak ojciec, mam czasami przeczucia. Ma ojciec rację, ścigam go. Nie mogę po prostu siedzieć beczynnym. Oszalałabym.

- Więc, na miłość boską, pojedź pociągiem. Zaśmiała się.

- Nie mam wyboru. Mój wynajęty samochód nie nadaje się do podróży.

Delaunay odegnał machnięciem ręki wyimaginowane źródło irytacji. Nadal miał zabandażowane ręce, a na bandażu plamy i bryłki zakrzepłej krwi.

- Porozmawiam z ludźmi z agencji wynajmu samochodów. Księdzu uwierzą. Mogą do ciebie zadzwonić po potwierdzenie i wysłać papiery do podpisania, ale załatwię to tutaj. A rano poproszę któregoś z chłopaków, by odwiózł cię na stację.

- Moja torba podróżna nadal jest w bagażniku. Mam w niej laptopa.

- Każę jednemu z chłopaków pojechać i ją zabrać. Nowicjusze tylko czekają na okazję, żeby spełnić dobry uczynek. - Mrugnął.

Uściskała go. Nie wiedziała, że chce to zrobić, dopóki tego nie zrobiła.

- No właśnie - westchnęła.

Ujął jej głowę w dłonie i pocałował ją w czoło.

- No właśnie - powtórzył.

W seminaryjnym mieszkaniu, już senna przed pójściem do łóżka, włączyła komputer. Zalogowała się do sieci, wywołała witrynę wiadomości BBC i zobaczyła artykuł o sztormach szalejących na północnym wschodzie Anglii. Dopiero wtedy zaskoczona zdała sobie sprawę, że nawet przez chwilę ani ona, ani Delaunay nie uważali tego, co jej się przytrafiło, za wypadek. Ale przecież drzewa padają podczas burzy, prawda? I niektóre z nich przygniatają samochody. Ona, oczywiście, słyszała w radiu piosenkę bezpośrednio przed uderzeniem. Ale on nie. Wyłączyła radio na ułamek sekundy przed wypadkiem.

Sprawdziła pocztę. Nie było nieprzeczytanych wiadomości. Wypisała adres Martina i wklepała zdanie: „Zbieram materiały o Harrym Spaldingu”.

Już trzy pełne dni byliśmy na morzu. Od wyjścia z Southampton przepłynęliśmy około dziewięćset mil ze średnią prędkością dwunastu węzłów. Znajdowaliśmy się pośrodku północnego Atlantyku, na morzu pojawiły się wysokie fale, wiatr wiał z szybkością dochodzącą do trzydziestu węzłów. Co czwarta, piąta fala przewalała się przez dziób. Słońce zachodziło i tam, gdzie ostatnie promienie migotały i gasły, ocean był krzykliwym spienionym szkarłatem. Marzłem i byłem mokry. Potrzebowałem przerwy i czegoś gorącego do picia, a wyglądało na to, że ojciec nie zamierza wyjść na pokład. Nie widziałem go chyba od kilku godzin.

Przez ostatnie dwa dni więcej czasu spędzałem w kajucie. Uważałem to za dość rozsądne. Żeglowanie staje się harówką jeśli nie ma na czym zatrzymać wzroku i jest tylko bezkres wzburzonego morza. Miał kajutę ciepłą, suchą i pięknie urządzone, a jeśli chciał się tam kryć, kiedy nie stał przy sterze czy przy kuchence w kubryku, był to jego kapitański przywilej. Podejrzewałem, że zamknął drzwi na klucz. A kiedy nadśluchiwałem pod drzwiami, słyszałem jeszcze coś prócz jęku pokładu pode mną, dźwięku naprężonych lin i łopotu żagli. Jeśli słuchał opery, to cicho, jako tła. Ponad muzyką słyszałem mego ojca rozmawiającego spokojnie i poważnie z samym sobą.

Całkowicie przemoczony i nieźle wkurzony włączyłem automatyczne sterowanie, zszedłem na dół, zdjąłem mokry sztormiak, wytarłem się i poszedłem zrobić sobie kubek kakao. Zabrałem go do kajuty. I zobaczyłem, że dostałem nową wiadomość, a jej nadawcą jest Suzanne.

Połączenie e-mailowe na małym białym laptopie czasami funkcjonowało, czasami nie. Powinno funkcjonować, ale wydawało się, że pośrodku oceanu znajdują się próżnie albo czarne dziury, gdzie nie ma zasięgu. Może ma to coś wspólnego z polami elektromagnetycznymi czy czymś tam. Może to skutek warunków atmosferycznych albo rozmyślne zakłócanie, zagłuszanie z łodzi podwodnej czy okrętu wojennego gdzieś w pobliżu. Zimna wojna oczywiście dawno się skończyła, ale poza własnymi granicami mocarstwa nadal prowadziły rozgrywki psychologiczne. Nie stanowiło to sekretu dla nikogo.

Usiadłem przy biurku i popijałem kakao. Dopiero co wysłała tego e-maila. Powinna być jeszcze zalogowana, pomyślałem. Otworzyłem wiadomość, która zawierała jedno zdanie:

„Zbieram materiały o Harrym Spaldingu”.

Moje palce zawisły nad klawiaturą. Na zewnątrz słyszałem szum wiatru. To będzie wyczerpująca noc, znacznie cięższa niż wszystkie dotychczasowe.

„Och? I co znalazłaś?”

Nacisnąłem „wyślij” i czekałem przez chwilę. Moje kakao nie okazało się tak dobre, jak wyobrażałem sobie przez pół godziny, kiedy zastanawiałem się, czy odejść od steru i je zrobić. Drink nigdy tak bardzo nie smakuje, kiedy musisz sam go sobie przygotować. Nigdy nie jest tak dobry jak wtedy, gdy ktoś go dla ciebie sporządza.

„Spędził lato 1927 roku w Anglii. Wynajął rezydencję przy Rotten Row w Southport, kiedy naprawiano w Liverpoolu jego jacht. Zapisał się do klubu lotniczego prowadzonego na piaskach Southport przez pilota, weterana wojennego. Grał w golfa w Birkdale. I dużo imprezował”.

Suzanne miała bardzo wysokie kwalifikacje zawodowe. Była bystra i wytrwała. Ale nikt nie zapłaci jej za to zbieranie materiałów. Zastanawiałem się, dlaczego poświęca temu czas.

„Wygląda na anglofilskiego Jaya Gatsby'ego”.

Nacisnąłem „wyślij”. Po chwili przyszła odpowiedź.

„Niezupełnie. Gatsby był tylko przemytnikiem. Harry Spalding to wcielony szatan”.

I wtedy ekran laptopa pociemniał. Wyłączyłem zasilanie i dopiłem kakao. Co, do diabła, porabia mój ojciec? Podszedłem do jego drzwi i uniosłem rękę, by zapukać. I zawahałem się. Słyszałem cichą muzykę. Zrobiło mi się zimno i nie wierzyłem własnym uszom, gdy rozpoznałem melodię *Kiedy miłość się kończy*.

- Wejść!

Ale przecież nie pukalem. Moja ręka nadal wisiała kilka centymetrów przed orzechową wykładziną jego drzwi.

- Powiedziałem, wejdź, Martinie.

Siedział przy biurku odwrócony do mnie tyłem. Poczulem dziwny zapach. Jednak nie była to bogata woń hawańskiego cygara ojca. Był to cienki, mocny zapach tureckiego tytoniu. Muzyka przestała grać. Do kajuty ojca odgłosy morza dobiegały, brzmiały słabo, jakby z bardzo daleka. W mgielce dymu przedmioty wydawały się lekko falować, subtelnie nieostre. Lufy śrutówek i strzelb lśniących w gablocie były jakby rozdęte, na-puchnięte i wojownicze. Rękojeści noży w gablocie na przeciwległej ścianie wyglądały żółtawo. Zrobiono je z bladej kości i kości słoniowej - teraz wydawały się pokryte plamami nikotynowymi. Nie chciałem, by ojciec się odwracał. Przez chwilę miałem bardzo silne poczucie, że nie



chcę widzieć wyrazu jego twarzy. Potem to uczucie trwogi minęło, a on się odwrócił. Wyglądał na zdenerwowanego, niespokojnego, jakby został wbrew swej woli wywleczony ze schronienia, w którym wolałby pozostać.

- Czego chcesz, Martinie?

- Co robisz, tato?

- Układam list, którego nigdy nie napiszę i nie wyślę.

- Do mojej matki?

- Nie, tym razem nie do twojej matki, nie. Ten jest do twojej siostry. Do Catherine Ann.

Skinałem głową. Nie zaskoczyło mnie to. Psychicznie był człowiekiem żyjącym wśród umarłych. Odwróciłem się i zamknąłem za sobą drzwi. W swojej kajucie przebrałem się w suche ubranie i poszedłem na górę, na pokład, zając miejsce przy sterze, we wzbierającej wściekłości nocnego sztormu.

Przez dziewięć godzin nieprzerwanie walczyłem z morzem. Kiedy niebo się rozjaśniło i powrócił spokój, słońce stało już wysoko. Wziąłem namiary. Byliśmy tysiąc dwieście mil od domu. Sztorm pchnął nas na dzikie obszary Atlantyku. Pozostałem przy sterze, oszołomiony zmęczeniem. Sól wysychała w kryształkach na szczecinie na mojej brodzie, wzrok zaczął mnie zawodzić - skutek tego, że wszystko, na czym próbował się skupić, znajdowało się w niespokojnym ruchu. Zwymiotowałem, nie z powodu morskiej choroby, ale z wyczerpania. W moim żołądku nie było już nic prócz żółci. Zastanawiałem się, co Suzanne myślała podczas naszej krótkiej e-mailowej konwersacji. Oczyma duszy zobaczyłem Harry'ego Spaldinga tego cudownego lata w Southport. Jediną rzeczą, jaką wiedziałem o Southport, była historia o dawno rozebrany hotelu Pałace. Wielkie, neogotyckie gmaszysko, wybudowane przy piaskach Birkdale, nawiedzane przez duchy, jak mówiono. Ludzie, którzy hotel rozbierali, twierdzili, że słyszeli wjeżdżające i zjeżdżające windy na długo po wyłączeniu napędzającej je elektryczności. Czy Spalding jadał w hotelu Pałace? Czy popijał koktajle na jednym z zalanych słońcem tarasów? Prawdopodobnie tańczył w wielkiej sali balowej, ubrany we frak, czarował miejscowe piękności morderczym uśmiechem. Na pewno tak spędzał czas tamtego lata w Southport.

Ocknąłem się ze snu nad kołem sterowym. Drzemałem, co było niebezpieczne. Gdzie jest ojciec? Czy nadal rozpamiętuje pod pokładem pogrążony w żalu, spowity w stare melodie i gorzki dym tytoniowy? Włączyłem autosterowanie. Rozpaczliwie pragnąłem snu, ze zmęczenia prawie majaczyłem. Co sprawiło, że się ocknąłem? Ze wszystkich dźwięków moją czujność wzbudziło coś,

co brzmiało jak płacz niemowlaka. To mewa, pomyślałem. Ale kiedy spojrzałem w górę, niebo było puste. I żadna mewa nie siedziała na relingu czy olinowaniu. Pod pokładem zatrzymałem się pod drzwiami kajuty ojca. Znów mówił do siebie. Brzmiało to jak ponury i nieprzyjazny monolog. W jego głosie brakowało czułości. Nie komunikuje się już, pomyślałem, ze swoją straconą najdroższą córeczką. Moje zmęczenie przeszło wszelkie granice. Pokuśtykałem do swej kajuty. W umyśle prowadziłem niemrawą debatę nad tym, co jest bardziej niepokojące - wycie upiornego psa czy płacz widmowego niemowlaka. Uznałem, że niemowlak. To było cierpiące, niewidzialne dziecko. Nie byłem wielkim miłośnikiem psów i pomyślałem, że płaczące niemowlę może być moją siostrzyczką przeniesioną czarami między nas. Była to myśl ponura i niepokojąca. Po krótkiej szarpaninie wyzwoliłem się z ubrania, po czym dotarłem do koi i zapomnienia.

## 9

Przybyła do Southport o czwartej po południu następnego dnia. Apokaliptyczna pogoda została za ekspresem pędzącym z turkotem przez kraj na południowy zachód. Późnym rankiem pola złote od pszenicy i jaskra-woźółte od rzepaku przypominały jej, że to czerwiec. Musiała przesiadać się dwa razy. Southport nie było już takim kurortem, jak w czasach wiktoriańskich, kiedy pociągi pełne wycieczkowiczów wiernie podróżowały tam każdego lata ze Szkocji, z przemysłowych miast Lancashire i Yorkshire oraz z zanieczyszczonych rejonów środkowej Anglii. Przestało być też kiczowatym, nadbrzeżnym hołdem oddanym bogactwu, jak w latach dwudziestych ubiegłego wieku. Zniknął wielki aquapark w stylu art déco, zastąpiony przez smaganą wiatrem galerię handlową z mnóstwem przecenionych towarów. Dawno już rozebrano wspinały i - jak niektórzy twierdzili - nawiedzany przez duchy hotel Palace. Nawet Lord Street, wielki, obsadzony drzewami bulwar, pełen eleganckich sklepów, popadał w ruinę. W podpartym żeliwnymi słupami dachu, który osłaniał prawie półtora kilometra chodnika, brakowało wielu szyb. A przed kilkoma co bardziej okazałymi sklepami jubilerskimi przechadzali się strażnicy.

Suzanne wiedziała o tym wszystkim, zanim zobaczyła to na własne oczy. Wydrukowała informacje o Southport w seminaryjnym mieszkaniu dla gości. Najbardziej krytyczne twierdzenia o ekonomicznym i estetycznym upadku mia-

sta wyrażał miejski wydział turystyki. Miasto było pięknie zaplanowane i utrzymywane do wczesnych lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy przestało być miastem niezależnym i zostało podporządkowane Seftońskiej Radzie Metropolitalnej. Od tamtego czasu systematycznie je niszczone. Zdaje się, że rządy Sefton charakteryzowały złośliwość, zawiść, obojętność i chciwość. Jeśli kiedykolwiek istniała kura znosząca złote jajka, Sefton ją zarznęło. Pierwsza poważna decyzja była symptomatyczna dla kolejnych decyzji. Autobusy w Southport, we wspaniałej złoto-czerwonej szacie, ozdobione miejskim herbem, przemalowano na seftońską burawę, utylitarną zieleń. Narzucono ponurą surowość, zupełnie niepasującą do radości, jakiej oczekiwali turyści. Następne decyzje były równie prostackie i znacznie bardziej szkodliwe. Sprzedano budowlącom piasek z plaży, wydmy, na których bawiły się i piknikowały całe pokolenia rodzin. Żółte połażowane piaskowe wzgórza zniknęły z końca Weld Road w Birkdale i dalej na południe, aż do rezerwatu przyrody w Formby. Sefton zmuszono do pozostawienia rezerwatu przyrody w stanie nienaruszonym. To było ułaskawienie we Formby. Southport nie potraktowano równie łaskawie.

Dawne Southport, które znał Harry Spalding, było miejscem wspaniałym - miłym, słonecznym, rozrywkowym. Było lepsze niż położone bardziej na północ Blackpool i Morecambe, i świadome tego. Były tu kasyna, luksusowe kina, teatry i sale koncertowe. Marmury, lastryko, parkiety. I pieniądze. Na wybrzeżu szkolono konie czystej krwi do wyścigów w Aintree. Pole golfowe w Birkdale uważano za najlepsze w Anglii. Bracia Giroud prowadzili swój aeroklub na twardym, gładkim pasie piachu między wydmami a morzem. Gwiazdy estrady wabiono na sezon do Floral Hall, a letni pokaz kwiatów w Victoria Park co najmniej dorównywał podobnym pokazom w Chelsea. Lord Street w tamtym okresie szczyciła się sklepami, które rywalizowały z ofertą Paryża czy Mediolanu.

Suzanne wyszła ze stacji na Chapel Street. Zeszłego wieczoru zarezerwowała przez Internet pokój w Birkdale, w hoteliku, który wydawał się miły i niezbyt drogi. Jak sądziła, znalazła go tak łatwo, gdyż kurort upadał. Kiedyś wszystkie hotele i gospody były całkowicie zapełnione od końca maja do początku września. Ale to się skończyło. Z tego, co przeczytała, wynikało jasno, że miasteczko widzi swoją przyszłość bardziej jako miejsce konferencji niż jako ośrodek, gdzie ludzie spędzają wakacje.

Miała świadomość, że wydaje pieniądze BBC na coś, co nie ma związku z firmą. Ale w ciągu pięciu miesięcy spędzonych w BBC widziała, jak trwoni się tam mnóstwo pieniędzy.

Chapel Street zamknięto dla ruchu. Ludzie, robiący zakupy późnym popołudniem, oglądali witryny niemarkowych sklepów lub sączyli kawę przy stolikach w Cafe Nero. Para ulicznych artystów w średnim wieku stała pośrodku ulicy z elektrycznymi gitarami i grała stary przebój zespołu Dire Straits. Suzanne poczuła ukłucie rozczarowania. Nie dlatego, że miasteczko wyglądało bardziej ponuro niż inne. Tak mogło wyglądać miasteczko gdziekolwiek w Anglii. Pociągnęła nosem i spojrzała na niebo. Poczowała ozon i sól w świeżej letniej bryzie wiejącej od morza i zobaczyła migotliwe, wielowarstwowe błękitne światło, jakie ma tylko niebo na wybrzeżu, kiedy zalewa je słońce i światło odbija się od morza.

Chapel Street biegła równolegle do Lord Street. Lub, mówiąc ściśle, do części Lord Street, która była znacznie dłuższa od Chapel Street. Suzanne przeszła przez krytą arkadę, łączącą obie ulice, i znalazła się na szerokiej alei z wysokimi drzewami i fontannami. Wiedziała, że po lewej znajdzie główną bibliotekę miejską, a naprzeciwko głównego wejścia do biblioteki - biuro informacji turystycznej. Podniosła torbę z rzeczami osobistymi. Jej rozpakowanie może poczekać. Tutaj są tajemnice do rozwiązania.

Ale żadnej z tych tajemnic podczas swej pierwszej wizyty w głównej miejskiej bibliotece publicznej nie rozwiązała. Bibliotekę Atkinsona umieszczono w wielkim budynku ufundowanym przez filantropa, któremu zawdzięczał swą nazwę. Inne części kompleksu gościły Galerię Sztuki Atkinsona. W epoce Spaldinga centrum sztuki było teatrem wystawiającym błyskotliwe premiery i przedstawienia słynne z ekstrawagancji. Jednak Suzanne była świadoma, że żyje w epoce bardziej pragmatycznej. I po dopełnieniu formalności związanych z tymczasowym członkostwem odkryła, że biblioteka podręczna jest doskonała. Zawiera bogate i barwne archiwum przedstawiające historię i rozwój miasta. Znajdowało się tu mnóstwo informacji o wielkiej katastrofie morskiej, do której doszło, gdy załoga szalupy z Southport niosła pomoc poszkodowanemu statkowi „Mexico”. W bibliotece nie mieli absolutnie niczego o Jane Boyte.

Po mniej więcej godzinie bezskutecznych poszukiwań Suzanne postanowiła pójść na kawę. Przeszła na drugą, zachodnią stronę Lord Street, z szeregiem sklepów, potem skręciła w prawo i minawszy przecznicę, doszła do kawiarni sieci Costa Coffe. Costa palił kawę w lokalu przy Old Paradise Street, przecznicy ulicy Lambeth, przy której mieszkała z Martinem. Kiedy wiał stamtąd wiatr, do mieszkania docierał znajomy, domowy zapach. Znajdowała się teraz kawał drogi od domu. Zamówiła kawę i zauważyła, że na ścianie umieszczono nawet fotogra-



fię Old Paradise Street w kolorze sepii. To też było miłe i znajome. Ale kiedy czerwcowe cienie powoli zaczęły się wydłużać ku zmierzchowi, poczuła się naprawdę daleko od domu.

A jeśli Martin nigdy nie wróci? Ta rozpaczliwa myśl, której Suzanne starała się unikać, nieustannie krążyła na jakimś głębszym i mniej zdyscyplinowanym poziomie podświadomości. A jeśli już nigdy nie zasiądą z drinkami przy swoim stole w rogu Wiatraka, przy akompaniamencie łzawej muzyki soul, puszczonej przez właściciela lokalu? Już nie wybiorą się na zaimprovizowany piknik do Archbishop's Park, nie zagrają w rześki wieczór w tenisa, nie wybiorą się na zakupy na straganach z owocami i starociami w Lower Marsh, nie będzie szperania w tamtejszych sklepach z książkami i płytami. A jeśli dzielili łóżko po raz ostatni, wymienili ostatnie intymne pieszczoty? Rozejrzała się, próbując pozbyć się tych myśli. Spojrzała na stada młodych dziewcząt, gęgających z północnym akcentem, ze zbyt ostrym makijażem, jak na tę porę dnia, i ogólnie ubranych zbyt skąpo. A jeśli już nigdy nie usłyszy znajomego dźwięku klucza w zamku? Jeśli jego ubrania będą po prostu zwisały bez życia w garderobie, a jego zapach wywietrzeje z poduszki? Właśnie dlatego tutaj przyjechała, prawda? Właśnie dlatego znalazła się w tym nieznanym miejscu. Zrobi wszystko, co w jej mocy, by wrócił bezpiecznie. Zrobi, co tylko będzie trzeba.

Wypiła kawę. Spojrzała na miłą mimo wszystko aleję, przy której siedziała, i spróbowała wyobrazić sobie Harry'ego Spaldinga. Mówił, że z przyjemnością wybierze się na zakupy przy Lord Street. Wyobraziła go sobie wystrojonego w letni garnitur i kapelusz. Nie będzie to jednak marszczona bawełna i kapelusz słomkowy. Spalding był zeuropeizowany. Pił koktajle ze Scottem i boksował się z Hemingwayem w Paryżu. Może udzieliła mu audiencji Gertruda Stein lub szalony modernista Ezra Pound? Z pewnością on i mroczny magik Aleister Crowley pozdrawiali się na ulicy. Nie, nie dla niego marszczone bawełny i słomkowe kapelusze. Raczej bureta, jasna fedora i trzcinka, którą wywijał podczas spacerów wzdłuż skrzących się okien wystawowych, szukając diamentowej spinki do krawata lub srebrnej papierośnicy z wygrawerowanym monogramem. Mogła go sobie doskonale wyobrazić. Nie brakowało żadnych szczegółów. Ale kiedy widziała, jak spaceruje, nie kroczył, lecz poruszał się po chodniku susami drapieźnika.

Następnego ranka nie miała innych pomysłów, więc wróciła do biblioteki. Pokój hotelowy w Birkdale okazał się dość wygodny. Jedząc śniadanie, zastanawiała się, czy zwiedzić miejscowość, w której najwyraźniej niewiele się zmieniło, co było obiecujące. Suzanne miała stary adres Jane, ale wiedziała, że kiedy



zapuka do drzwi, nie znajdzie tam córki Jane, wiarygodnej osiemdziesięciolatki, z przyjemnością oddającej się wspomnieniom. Jane Boyte zmarła w 1971 roku. Nie zostawiła potomków. Internet i moda na genealogię w telewizji sprawiały, że takie poszukiwania były bardzo łatwe do przeprowadzenia. Właśnie dla programu o genealogii zbierała materiały na temat potomków komika z tego właśnie regionu, знаła więc stare nazwiska w Southport. Znalezienie istotnych szczegółów zajęło Suzanne piętnaście minut. Życie Jane kończyło się w ślepej uliczce. Spotkała w nim wielkiego człowieka, Michaela Collinsa, i złego człowieka o nazwisku Harry Spalding. Jak dobrze ich znała, należało ustalić. Ale jej życie skończyło się raczej skomleniem niż hukami. Taki jest los większości ludzi. Splendor nie jest czymś, co trwa samoistnie, chyba że jesteś Marleną Dietrich. Chyba że nazywałeś się Pablo Picasso.

W bibliotece w Southport znowu do niczego nie doszła. Po dwóch godzinach jałowego kopania w starociach poszła napić się kawy. Siedziała w cieniu parasola przy stoliku na Lord Street i zastanawiała się nad następnym krokiem. Może powinna pojechać do Liverpoolu i zbadać archiwum morskie w tamtejszej bibliotece? A jeśli, tak jak przypuszczała, „Mroczne Echo” generowało wypadki w warsztacie Patricka Boyte'a, tak jak w stoczni biednego Franka Hadleya? Może tam coś jest?

Westchnęła. Popijała cappuccino. Obserwowała ruch na ulicy, samochody przeważnie w kolorze srebrnometalicznym, jakie obecnie spotyka się wszędzie, i obracała paczkę marlboro, nie otwierając jej i nie zapalając papierosa. Czego dowodziłaby wypadkowość w stoczni w Liverpoolu przed osiemdziesięcioma laty? Wiedziała, że Martin i jego ojciec są w niebezpieczeństwie. Jako dowodu nie potrzebowała kroniki wypadków sprzed lat. Już to wiedziała. Potrzebowała czegoś niedefiniowalnego, w poszukiwaniu czego jej instynkt zmusił ją do podróży. Nie było zbiegiem okoliczności, że jej praca polega na tym, co właśnie robi. Popijając kawę i opierając się chęci zapalenia papierosa, musiała teraz zrobić, co się da, by głębokie i potężne poczucie beznadziejności nie zagarnęło jej niczym przyływ.

- Czy masz coś przeciwko temu, że się przysiędę, kochanie?

Suzanne uśmiechnęła się pod światło, na którego tle rysowała się sylwetka mówiącej. Uczciwa odpowiedź brzmiałaby: „Oczywiście, że mam”. W obecności starych ludzi ryzykuje się rozmowę. Dotyczy to zwłaszcza północy, gdzie zupełnie obce osoby narzucają ci pogawędkę w sposób, w jaki w Londynie robi to tylko zorganizowana przez lokalną społeczność opieka nad osobami wykluczonymi.

I wiek nie miał tu nic do rzeczy. Młodzi ludzie tutaj też to robili. Była to powszechna przywara.

Przed laty, przy pewnej okazji, Martin ją przed tym ostrzegł. Magnus Stan-  
nard miał taki nawyk. Magnus był z Manchesteru. Cały czas rozmawiał z obcy-  
mi. Zagajał pogawędkę z ludźmi, których nie znał i nigdy nie spotkał. Suzanne  
kilka razy widziała taką sytuację.

- Co jest z twoim tatą?

- O co ci chodzi?

- Nałogowe pragnienie zwracania na siebie uwagi.

- On chce zwracać na siebie uwagę. Ale to nie nałóg.

- Z każdym rozmawia. A Martin się roześmiał.

- Jest z Manchesteru, Suzanne. I może to straszny pozer. Bóg mi świadkiem,  
ma swoje wady. Ale mój ojciec nigdy się nie sady.

- Co takiego?

- Nieważne.

W końcu to zrozumiała. Dlatego właśnie się uśmiechnęła - jak miała nadzie-  
ję - ciepło i zapraszająco do starszej damy, która wprosiła się do jej stolika przy  
kawiarni Costa Coffe na Lord Street w Southport na północy Anglii, gdzie ludzie  
zwykle rozmawiają z obcymi i nigdy się nie sady. Ukradkiem spojrzała w prawo  
i w lewo.

- Wszystkie zajęte, kochanie.

I była to prawda. Wszystkie stoliki były zajęte przez rodziny, ekspedientki  
mające przerwę, tłustych mężczyzn pocących się w garniturach i zaciągających  
się wściekle wyjętymi spod prawa papierosami.

- Naprawdę mi przykro - powiedziała Suzanne. I było jej przykro. Uniosła  
się lekko i wyciągnęła rękę. - Mam na imię Suzanne. Bardzo się cieszę, że panią  
poznałam.

Stara kobieta uśmiechnęła się. Kelner - z Europy Wschodniej - przyniósł jej  
mrożoną kawę. Tak więc jest stałym klientem. Oczywiście, że jest. Suzanne była  
zaskoczona wyborem napoju i przeklęła się za snobizm. To był rodzaj nietole-  
rancji. To była zaściankowość.

Harry Spalding nie był zaściankowy.

- Wyglądasz na nieco zagubioną, kochanie, jeśli nie masz mi za złe, że to  
mówię.

Dawno temu kobieta była blondynką. Siwe teraz włosy związała z tyłu, jej  
czoło pokrywała siatka drobnych zmarszczek. Włosy miała delikatne, puszyste i

nadal gęste. Okulary słoneczne marki Ray-Ban - staromodne, z zielonymi szklami w szylkretowej oprawce - zdjęła i położyła na stoliku. Oparła łokcie na stole i splotła palce. Suzanne zobaczyła, że nosi zegarek cartier tank i pierścionek z ogromnym rubinem. To tyle, jeśli chodzi o opiekę społeczną.

- Nazywam się Alice Daunt. Kusi mnie, by spytać, dlaczego ktoś tak piękny wygląda na osobę tak przybitą. A ty jesteś piękna, wiesz kochanie? Jesteś wyjątkowo piękna.

- Dziękuję.

- Ale nie zapytam. Suzanne kiwnęła głową.

- Po prostu pozwolę, żebyś mi to powiedziała. Wtedy i tylko wtedy, jeśli zechcesz.

Suzanne westchnęła.

- Zbieram materiały na temat kobiety z Southport. Mieszkała w Birk-dale. Nazywała się Jane Boyte.

- Znałam ją. - Alice Daunt upiła łyk kawy. Na szklance skropliła się para wodna. Dłoń ze szklanką nie drżała. - Cóż, powiedziałam, że ją znałam. Tak naprawdę to nie. Ale znała ją moja matka.

- Próbuję zebrać materiały na temat jej życia.

- Och? W jaki sposób?

- Po drugiej stronie, w bibliotece. - Suzanne machnęła ręką. Alice Daunt parsknęła.

- Jane Boyte była dziewczyną z Birkdale.

- Wiem. Wiem, że tam właśnie mieszkała.

- W Birkdale była biblioteka, kochanie. Teraz przepadła, jak przepadło wszystko, co było doskonale w tym mieście. Zniszczone, wyprzedane przez Sefton. Mieszkania, biura... Zeszpecili.

- Jaka była?

Alice Daunt uśmiechnęła się. Uśmiechem przebiegłym, skrytym.

- Bardzo podobna do ciebie, Suzanne. Może dlatego się zatrzymałam. Szłam Lord Street i zostałam przeniesiona o osiemdziesiąt lat wstecz. Przez chwilę myślałam, że zobaczyłam ducha.

Suzanne odpowiedziała uśmiechem, a przynajmniej spróbowała.

- Nie boisz się duchów, Alice? Alice Daunt napiła się kawy.

- Oczywiście, że się boję. Ale człowiek, którego opinię bardzo szanuję, dawno temu powiedział mi, że powinniśmy stawiać czoło naszym lękom.

Suzanne zauważyła, że Alice użyła czasu przeszłego.

- Twój mąż?
- Mój syn - odparła Alice Daunt.
- Tak mi przykro.

- Jesteś bardzo miła. - Odstawiła szklanę i wzięła ze stolika okulary słoneczne. - Mogłam mieć wtedy z siedem, osiem lat. Ale jeśli zechcesz mnie spotkać tu jutro o tej samej porze, Suzanne, powiem ci, co pamiętam o tej raczej niešťęśliwej osobie, którą tak przypominasz.

Przez chwilę po odejściu Alice Daunt Suzanne obserwowała, jak lód osuwa się na dno jej szklanki z kawą. W Southport było wielu starszych ludzi, którzy mieszkali tu przez całe życie. To demograficzna osobliwość, ale tak przedstawiały się fakty. Wśród ich kurczącej się liczby była szczypta dziewięćdziesięciolatków lub nawet stulatków. Ale ilu z nich znało Jane Boyte? Czy spotkanie właśnie teraz Alice Daunt to zbieg okoliczności, czy zrządzenie losu? Nagle zatęskniła za ojcem Delaunayem. Jego siła i pewność dawały otuchę i pocieszenie. Czuła się samotna i wyizolowana. Zadrzała, mimo ciepła, i postanowiła, że spędzi popołudnie, zwiedzając części miasta mające związek z jej śledztwem, które właśnie utknęło w martwym punkcie.

Poszła na południe ku Birkdale i Weld Road. Sklepów było coraz mniej i w końcu droga biegła jedynie wśród wielkich ogrodów i olbrzymich, wspaniałych domów. Wiele z nich przerobiono na domy opieki, kliniki dentystyczne lub siedziby tak szacownych profesji, jak biegli księgowi, architekci, prawnicy czy rzeczoznawcy budowlani. Widziała świadczące o tym tablice na trawnikach i miedziane tabliczki na bramach. Jednak wiele ze wspaniałych domów nie zmieniło charakteru. Kupcy, którzy dorobili się na interesach w Lancashire i Merseyside, przybywali, by tu mieszkać zamożnymi stadami. Takie było Southport podczas wspaniałego lata, gdy gościł tu Harry Spalding.

W końcu dotarła do Birkdale i skrzyła w prawo w Weld Road. Na jej końcu, po jakimś kilometrze, ulica wspaniała się na łagodny wzgórek, za którym, jak wiedziała Suzanne, są plaże. Domy po obu stronach ulicy były jeszcze wspanialsze. Nie było dwóch takich samych. Prócz olbrzymich rozmiarów, miały również inne cechy wspólne - wieże, wieżyczki i blanki. Uśmiechnęła się, wspominając swoje wyobrażenia dotyczące kwater gościnnych dla kobiet w seminarium w Northumberland. Tutaj panował pseudogotyck. Za tymi wysokimi wrotami, z nabijanego ćwiekami dębu i z wbudowanymi witrażami, łatwo było wyobrazić sobie mroczne salony wypełnione meblami w stylu Williama Morrisa. Ten motyw podejmował w przesadny sposób hotel Palace, który stał niegdyś na lewo od Su-

zanne, na zboczu pagórka, tuż nad morzem. Można zgadnąć, co myślał o tym samozwańczy modernista Harry Spalding. Palace bardziej odpowiadał stylowi Tennysona niż T.S. Eliota. Ale z drugiej strony, hotel był nawiedzony przez duchy. Mogło to stanowić atrakcję, a nawet zachwycać sardonicznego gościa z Ameryki. Tylko jedna rzecz ocalała z hotelu Palace i służyła teraz jako miejsce publiczne. Był to pub na Weld Road o nazwie Odpoczynek Rybaka. Z początku wybudowany jako powozownia, później przekształcony w bar dla osób niemieszkających w hotelu. To właśnie tutaj przyniesiono w grudniową noc 1886 roku czternastu ludzi z szalupy, którzy utonęli, próbując dotrzeć do „Mexico”. Bar stał się zaimprovizowaną kostnicą, kiedy ciała wyłożono do identyfikacji.

TLR



To właśnie w sąsiednim hotelu koroner pospiesznie wszczął śledztwo. Suzanne zamówiła guinnessa i dotknęła jednej z czternastu małych mosiężnych rusalek podtrzymujących poręcz baru. Zostały umieszczone tu w hołdzie poległym załogantom szalupy. Zadrżała, wyobrażając sobie śmierć na morzu, płuca wypełnione słoną wodą, topielca wyrzuconego na brzeg, wodę obmywającą szare, obojętne ciało. Wyniosła piwo na zewnątrz, by wypić je w blasku słońca na jednej z ławek przymocowanych do wystawionych tam stołów.

Palace otworzono w listopadzie 1866 roku. Powstał według projektu manchesterskich architektów Cuffieya, Hortona i Bridgeforda. W najlepszym okresie szczylił się tysiącem pokoi i miał własną stację kolejową na Cheshire Lines, która dla wygody gości miała bezpośrednie połączenie z torami wyścigowymi w Aintree. Ale gości nie było nigdy dosyć. I w roku 1881 do budynku dodano zakład wodoleczniczy, by hotel mógł służyć niedomagającym ofiarom przemysłu ciężkiego. Za czasów Spaldinga hotel miał nawet własny nas startowy. Wśród ważnych gości w późniejszych latach można wymienić Clarka Gable'a i Franka Sinatrę. Ale pogłoski o duchach trapiły hotel niemal od otwarcia. Dwie siostry zginęły tam w samobójczym duecie. Ostatni i najsmutniejszy wypadek w makabrycznej historii hotelu miał miejsce 1961 roku, kiedy pod jednym z łóżek znaleziono ciało uprowadzonego dziecka. Dziewczynka została porwana przez kuchennego tragarza, którego później powieszono. Hotel nigdy nie podniósł się po tym dotkliwym dla jego reputacji ciosie. Został rozebrany w 1969 roku. Robotników wyprowadzały z równowagi i przerażały windy, które startowały z jękiem, mimo iż nie było prądu i działały nieprzerwanie, upiornie szczękając. Na miejscu, gdzie znajdował się hotel Palace, nie mogła znaleźć nic związanego z Harrym Spaldingiem. Suzanne dopiła piwo i postanowiła przejść Weld Road i iść na północ Rotten Row, do centrum miasteczka. Spalding opuścił hotel i wynajął dom przy Rotten Row. Chociaż stąd nie było widać domów. Stały na szczycie stromego trawiastego zbocza, powyżej muru z kamieni, po jej prawej stronie. Na lewo rozciągały się klomby i wysokie żywopłoty Victoria Park.

- Jasna cholera - zaklęła Suzanne. Po Rotten Row przechadzali się spacerowicze. Ogrodnicy pielęgnowali klomby na terenie parku, a ulicą sunęła jasna procesja samochodów. Ale musiała zobaczyć. Przeszła przez mur i wspięła się na wał, aż do płotów zasłaniających rezydencje przy Rotten Row przed wścibskimi oczami. Zbocze było strome, ziemia zbyt ubita, by dawać oparcie dla nóg, a przycięta trawa, która je pokrywała, sucha i niedająca tarcia. Suzanne znowu miała na nogach buty nieodpowiednie do zadania. Ale tego nie planowała. Dzia-

łała spontanicznie. Z powodu złego planowania straciła we Francji parę butów. Tutaj mogła stracić jedynie równowagę i godność, jeśli poślizgnie się na skórzanych podszewkach, upadnie na tylną część ciała i zjedzie ze wzgórza.

Gdy tylko zobaczyła ten budynek, wiedziała, że to dom Harry'ego Spaldinga. Wiedziała, ponieważ gdy patrzyła na kępy bluszczu i czarne, ślepe okna, gapiące się na nią, w jej piersi zebrał się chłód i ścisnął jej serce. Na długiej murawie i w kępie karłowatych ozdobnych drzew, ocieniających ścieżkę wijącą się od ganku na przedzie rezydencji do altany, panował dziwny bezruch. Dziesięć metrów pod górę od miejsca, gdzie stała, w ziemi wycięto stopnie, by można było skorzystać z zamkniętej na rygiel furtki. Patrzyła na stare cegły i terakotę i wiedziała, że Harry Spalding szedł po tych schodach swym wilczym krokiem. Z trzcinką zaciśniętą w rękę i uśmiechem na twarzy wracał do domu. Wzdrygnęła się, gdy jej wzrok przyciągnął sam dom - przez chwilę wyczuła jakiś kształt w jednym z górnych okien. Sprzątaczką, pomyślała. Nawet do Southport Polacy i Filipińczycy przyjeżdżają polerować i szorować. Dom z tak prestiżowym adresem nie stałby pusty przez osiemdziesiąt lat, czekając na powrót widma. On wynajął dom tylko na lato. Był tutaj tylko przez jeden sezon. Nie ma go tu teraz. Ale, na Boga, myślała Suzanne, drżąc z zimna w czerwcowym upale, pozostawił w tym miejscu swój złowrogi ślad.

Ponieważ nie wiedziała, co robić, wróciła na Lord Street i do biblioteki w Southport. A potem, późnym popołudniem, jako że znalazła się w ślepej uliczce, opuściła bibliotekę i poszła Nevill Street na promenadę i molo. Nevill Street ucieleśniała wszystkie złe cechy Southport jako nowoczesnego centrum turystyki. Obłoki oleju do smażenia ryb i hamburgerów wypełniały wonią chodniki. Różowa wata cukrowa. Twarde cukierki w pasiastych laseczkach, jabłka w polewie, a wszystko to w napuchniętych celofanowych torebkach, przypiętych do drewnianych wieszaków i szeleszczących na wietrze. Mężczyźni w towarzystwie cierpiących w milczeniu żon spoglądali znad dużych piw przez okna smutnych, zmodernizowanych barów.

Przeszła przez całe molo, nad Marine Lake, nad skrajem plaży w Southport i w końcu nad wodą, gdzie były o brzeg płytkie, ociążałe falki Morza Irlandzkiego. W drodze na koniec mola wyprzedził ją tramwaj, pełen uśmiechniętych wycieczkowiczów. Pomachała małemu dziecku, które machało do niej zza tylnego okna. Zerknęła nad poręczą z prawej strony. Widziała niewyraźnie - przez rozedrgane gorące powietrze nad słonymi bagnami - wieżę w Blackpool, wznoszącą się nad półwyspem prawie pięćdziesiąt kilometrów dalej.

Na końcu molo weszła do nowoczesnego i jej zdaniem absurdalnie nie-dorzecznego centrum informacji turystycznej ze stali i szkła, z wielką ekspozycją poświęconą dzikiemu ptactwu na Fylde Coast. Na lewo znajdował się kawiarniany ogródek z widokiem na pozbawione charakterystycznych cech pustkowie morza i piasku. Na prawo stały starodawne maszyny, które zebrano chyba ze starych pasaży rozrywkowych w kurorcie. Można było zmienić nowe funty na stare pensy i zagrać. Otrzymywało się dziesięć starych pensów za funt, co, jak wiedziała Suzanne, miało coś wspólnego z rabunkiem, a nie z kursem wymiany. Pomyślała jednak, że może się rozerwać albo przynajmniej poprawić sobie trochę nastrój. Rozmieniła więc parę funtów.

Po wydaniu mniej więcej połowy oglądała pozostałe pensy, patrząc na daty. Dotarła do ostatniego. Na jednej stronie widniał brodaty profil Jerzego V, stoicki, arystokratyczny i przypominający raczej zamordowanego cara, z którym oczywiście król był spokrewniony. Odwróciła monetę. Pod Brytanią, siedzącą z dzidą i tarczą, na rewersie widniał rok: 1927.

Tak, jak się spodziewała. Podskoczyła. Jakieś dziecko włożyło pensa w szczelinę, uruchamiając śmiejącego się żeglarza, i wewnątrz swego szklanego pudła ten ponury relikw kołysał się i sapał w napadzie wesołości, w zatechłej, poplamionej koszulce w białe i niebieskie paski. Obok stała maszyna wróżka. Wrzucałeś pieniądze, a twój charakter i los pojawiały się starannie wydrukowane małymi literkami na tekturowym prostokątku. Suzanne pomacała płaskie, wygładzone od używania brzegi swego pensa. Podniosła go do nosa i poczuła kwaśny, miedziany zapach. Czy Spalding miał go w ręku? Czy rzucił go niedbale - nowego i błyszczącego, wraz z innymi monetami - na kontuar baru w Pałace jako napiwek? Wsunęła pensa do kieszeni. Nie chciała znać swojego losu. Uważała, że jej los jest z góry przesądzony. Wiedziała, z kim się on wiąże, nawet jeśli nie była pewna, z czym, i nie wiedziała dokładnie kiedy.

Dalej z prawej, za starymi maszynami, na ekranie zamocowanym na ścianie wyświetlano film o historii Southport. Obrazy, jednocześnie szare i słoneczne, pokazywały dni chwały basenu na otwartym powietrzu, wystawy kwiatów i estradę obok monumentalnego pomnika-grobowca z dostojnego portlandzkiego kamienia. W tym monochromatycznym świecie sprzed lat woda skrzyła się i kwitły róże. Suzanne zeszywniała, gdy zobaczyła scenę z lat dwudziestych ubiegłego wieku. Czarne sedany krążyły po Lord Street, smukłe niczym pantery. Kobiety w futrach i hełmowatych kapeluszach spacerowały pod ramię i wskazując natrętną kamerę, uśmiechały się do niej. Nie widziała Harry'ego Spaldinga. Nie

rozpoznała żadnej z tych kobiet jako Jane Boyte. Suzanne, dotykając bezwiednie starego pensa w kieszeni, usiadła na krześle przed ekranem i czekała, aż film się skończy i znowu wyświetli jego pierwszą część.

Na pokładzie „Mrocznego Echa”

Obudziłem się już po zapadnięciu nocy. Spojrzałem na zegarek. Datownik powiedział mi, że spałem całe dwadzieścia cztery godziny. Ubrałem się w pełnym niedowierzaniu pośpiechu i wyszedłem na pokład. Mgła opadła i morze było niemrawe niczym staw. W szkwałe poprzedniego wieczoru musiałem zredukować do zera liczbę rozpiętych żagli. Wszystkie zostały spuszczone. Teraz, ku swej irytacji i rozczarowaniu, zobaczyłem, że nic nie zrobiono od tamtego czasu, by je podnieść. Nie było wiatru. Każdy centymetr żagli powinien być wciągnięty, żebyśmy poruszali się, choć leniwie, po wyznaczonym kursie. Wtedy zorientowałem się, że płyniemy. Nie wykorzystywaliśmy silnika, ale płynęliśmy. „Mroczne Echo” poruszało się, jakby holowane z szybkością wystarczającą by zostawiać za rufą kilwater spienionej wody. Robiliśmy około dziesięciu węzłów. Podeszedłem do koła sterowego. Oczywiście włączony był sternik automatyczny. Wziąłem namiary z szafki kompasowej przy sterze. Niemożliwe: bez wiatru, bez silnika i ze zwiniętymi żaglami robiliśmy około dziesięciu węzłów na kursie południowo--wschodnim. Wydawało się, że porwał nas prąd. I nadal, ponad tysiąc mil od wybrzeży Ameryki, płynęliśmy szybko w kierunku, z którego przybyliśmy.

Ojciec musiał zrobić coś z autosterem, pomyślałem. Ale nawet jeśli tak, w dalszym ciągu nie rozumiałem, jak „Mroczne Echo” jest napędzane. Łódź waży siedemdziesiąt ton. Jakaż dziwaczna siła pod przykryciem mgły zmusza ją do płynięcia z taką szybkością? Musiałem zebrać myśli. Moje niedawne żeglarskie szkolenie ani trochę nie przygotowało mnie na coś równie dziwnego. Automatyczny sternik się zepsuł. To było jasne. Może się da naprawić, a może nie, ale w tej chwili nie było takiej możliwości. Muszę go wyłączyć. Muszę stanąć przy sterze. Muszę jak najszybciej zawrócić, podnieść żagle i przeczekać mgłę, a jeśli to niezbędne, noc. Północny Atlantyk to wielka przestrzeń wodna. Na jachcie mieliśmy spore zapasy żywności i wody, jednak nie możemy sobie pozwolić na utratę prędkości. Musimy posuwać się naprzód. Statki żaglowe muszą to robić. Jeśli ci się nie udaje, nie tylko jesteś unieruchomiony, ale w dodatku bezradny i ryzykujesz katastrofę i tragedię.



Zdałem sobie sprawę z dręczącego mnie głodu. Nie jadłem nic od ponad dwudziestu czterech godzin. Gdzie jest ojciec? Co robi? Czułem, jakbym stanął wobec tego złowrogiego kryzysu zupełnie sam. Nie miałem pojęcia, co się dzieje z łodzią, nadal dziarsko mknącą w złym kierunku po spowitym mgłą morzu. Z głośnym przekleństwem zablokowałem koło sterowe. Muszę coś zjeść. Muszę obudzić ojca. Mogę się zmagać ze sterowaniem łodzią, ale nie mogę tego robić bez pokrzepienia. Mógłby mi zrobić kubek zupy. Przynajmniej tyle.

Z jego kajuty dochodziły głosy. Wiedziałem, że jest tam w środku jedyną osobą. Ale czytał oraz recytował różne rzeczy i robił to pięknie. Stałem pod drzwiami i słuchałem. Była tam poezja z gatunku imagizmu i ku-bizmu. Trochę Wyndhama Lewisa i fragmenty T.S. Eliota, i coś, co chyba rozpoznałem jako E.E. Cummingsa, a także część opowiadania Forda Maddoksa Forda. Wszystko było w jednym stylu, naprawdę, wszystko z tej samej dekady i większość stworzyli ekspatrianci w Paryżu. Zaczął recytować zdanie z noweli Hemingwaya, to, które zaczyna się od słów: „Na jesieni wojna wciąż trwała, ale my już na nianie poszliśmy”<sup>1</sup>.

Wiedziałem, że to pierwszy wiersz noweli *W innej krainie*. Znałem ją - ojciec zawsze mawiał, że to najpiękniejszy akapit napisany po angielsku w XX wieku. A ja bym się z nim nie sprzeczał. Był obrazowy, miał melancholijne tempo, naprawdę bardzo piękny. Ale za drzwiami kajuty ojciec recytował to w kółko niczym mantrę. I tak jak w mantrze z każdym powtórzeniem słowa wydawały się tracić znaczenie i stawały się abstrakcyjną, błahą zbieraniną dźwięków.

„Na jesieni wojna wciąż trwała, ale my już na nianie poszliśmy”.

Zza drzwi dobiegł śmiech. Śmiech sardoniczny, niemal chichot. W wysokim, zmijowatym rejestrze, wcale nie brzmiał jak dudniący, znajomy śmiech ojca. I pomyślałem sobie, że być może za tymi drzwiami znajduje się Harry Spalding, siedzi z ojcem przy biurku, dzieląc się żartami, przeglądając z rozsądnym znanstwem zawartość ojcowskiej szafki z bronią, a w głowie nadal ma postrzępioną dziurę po samobójczym strzale, z której płynie krew.

Wtedy omal się nie spoliczkowałem. Wydawało się, że ojciec traci zmysły. Jeśli pójdę za jego przykładem, obydwaj będziemy zgubieni. Bardzo się bałem. Słuchałem dobiegających zza drzwi nonsensownych urywków. Ich dobór, podyktowany jakąś dziwną logiką, nie był całkowicie przypadkowy. Ojciec prze-

---

<sup>1</sup> \* Przekład Bronisława Zielińskiego.



bywał w latach dwudziestych ubiegłego wieku. W dekadzie Lindbergha, Dempsey, Carpentiera, Bricktop i Ala Capone'a.

I oczywiście Harry'ego Spaldinga. O którym Suzanne mówiła, że jest samym diabłem.

Jeśli teraz poddam się panice, nie będę w stanie ocalić ojca. Wydawało mi się, że łódź pode mną nabiera prędkości. Poszedłem do kubryku, zmuszony sam przygotować sobie jedzenie. Musiałem coś zjeść, bo czułem, że zemdleję. Choć, oczywiście, straciłem apetyt.

- Martin?

Nie odpowiedziałem.

- Martin? Dlaczego nie dołączysz do naszego małego salonu. Mamy wieczorek kulturalny. - Śmiech, tym razem przyciszony, jakby wesołość stłumiono dłonią. - Mamy bardzo serdeczną, nieformalną atmosferę. Jesteś naprawdę mile widziany.

Czy tak właśnie mówią ludzie, kiedy wariują? Czy dzielę tę upartą, nieposłuszną łódź z szaleńcem? Kiedy dotarłem do kubryku, uświadomiłem sobie, że łkam. Łzy skapywały mi z twarzy na blat, który nadal cechował połysk nowości. Przebywamy na morzu od niecałego tygodnia i już jesteśmy ofiarami katastrofy. Beznadziejna sytuacja. Beznadziejna. Ale nie łkałem ze strachu ani nie użalałem się nad sobą. To był żal po moim ojcu, którego uważałem za zgubionego.

Przy sterze we mgle zjadłem bulion z kurczaka i soczewicy z kawałkiem rozmrożonego chleba. Wypiłem też trochę rumu. Wniosłem rum na jacht w ramach ironicznej kpiny z morskiej tradycji. Ale bardzo potrzebowałem drinka, rozgrzewał mi żołądek i pocieszał mnie, kiedy „Mroczne Echo” sunęło gładko i niepowstrzymanie po wodzie swym łajdackim kursem. Myślę, że alkohol dodał mi odwagi. Zdałem sobie sprawę, że będę musiał stanąć twarzą w twarz z ojcem. W jego kajucie była broń. Jego obecny irracjonalny stan zgrażał jemu i stanowił obciążenie dla nas obu. Może będę zmuszony go związać. Może będę musiał to zrobić, a potem wyrzucić te pukawki za burtę. Nie mogłem ignorować tego, co się dzieje. To odwrócenie naszych zwykłych ról, ale moim obowiązkiem było dbanie o tatę. Ponadto było jeszcze coś: jeśli sprawię, że ojciec ocknie się z urojenia, w jakim trwa, będzie mógł mi pomóc przy jachcie. Jego umiejętności żeglarskie przewyższały moje. Może majstrował przy autosterze, a może nie. Wszystko jedno, powaga sytuacji i ram podpowiedziały mi, że nie mam innego wyjścia, jak stawić mu czoło.

Zapukałem.

- Wejść!

Kajuta wyglądała normalnie. Nie było ostrego zapachu tytoniu, a lampy świeciły jasno, nie pozostawiając miejsca na dwuznaczności. Zerknąłem na broń w szafce. Nie miała w sobie odrobiny wojowniczności. Strzelby i pistolety wyglądały jak śmiercionośne narzędzia, jakimi bez wątpienia były, ale roztaczały atmosferę neutralności, której wcześniejszy brak niepokoił. Ojciec wydawał się zadbany i opanowany. Musiał też coś jeść, pomyślałem. Z całą pewnością zdobył się na tyle przytomności umysłu, by wziąć prysznic i się ogolić. Pod nami czułem „Mroczne Echo”, gładko sunące swym buntowniczym kursem. Z jakichś powodów we mgle jacht płynął szybciej. Nie potrafiłem tego wyjaśnić.

- Płyniemy w kierunku domu, tato.

- Wiem.

- Dlaczego?

- Jesteś dobrym żeglarzem, Martinie. Obserwowałem cię. Jesteś skrupulatny i nie brak ci wytrzymałości. - Uśmiechnął się, ale był to skażony, dwuznaczny uśmiech. - Przyznaję, byłem z ciebie dumny. Ale nie mam nic wspólnego z tym, co robi „Mroczne Echo”, żeby odpowiedzieć na twoje niezadane pytanie. Robi to, co robi. Nie ja to sprawiłem.

Opadłem na fotel przy biurku naprzeciw ojca.

- Żaden z naszych systemów łączności nie działa. Ani telefony satelitarne, ani komórki, ani radio. Nie mamy sonaru, a poczta elektroniczna działa tak sporadycznie, że praktycznie biorąc jest bezużyteczna. Silnik jest zupełnie martwy. Jedynym instrumentem, który nadal działa, jest kompas szafkowy. I latarnia awaryjna, której i tak nikt nie widzi we mgle. Wiemy, w jakim kierunku płyniemy, ale nie jesteśmy w stanie określić naszej pozycji. A nawet gdybyśmy mogli, nie możemy wejść na częstotliwości awaryjne, by wezwać pomoc. Jesteśmy zdani na siebie. Czy sądzisz, że wpakowaliśmy się na obszar, gdzie przeprowadzają jakieś eksperymenty?

Uśmiechnął się.

- Pytasz mnie, czy ma to coś wspólnego z wojskiem? Nie sądzę, Martinie. Ty też tak nie myślisz. Już od dawna postać, która wyczarowała tę mgłę, z wojskiem nie ma nic wspólnego. - Sięgnął po oprawiony w ramki wizerunek jachtu, ten sam, który zobaczył jako dziecko. Trzymał obrazek w dłoniach. - Bardzo dobrze pamiętam chwilę, kiedy pierwszy raz zobaczyłem tę fotografię. Tom, który ją zawierał, leżał otwarty na tej stronie. Leżał w plamie słońca na szafce nocnej,

przy której siadywałem, by odrobić lekcje. Moja matka zaklinała się, że go tam nie położyła. Nie mieliśmy w tamtych czasach służby, Martinie. A ja sam nie wziąłem tego tomu z półki i go tam nie położyłem. Czy myślisz, że to przeznaczenie? Czy był to jakiś wszechmocny projekt, dyktujący mi dążenia, kształtujący materię moich marzeń?

Odłożył obrazek. Podniósł dłonie do twarzy i przetarł oczy.

- To staje się trudne, kiedy jest się po czterdziestce.

- Co staje się trudne?

- Tracisz elastyczność. Tracisz dynamikę. Jest mnóstwo sposobów, by kontynuować złudzenie młodości. Ale to się zmienia. Staje się złudzeniem. A to zamienia się, czy chcesz tego, czy nie, w pamięć. Stajesz się zmęczony. A zmęczenie czyni człowieka podatnym na zranienia.

Uczciwie przyznaję, że nie bardzo przejmowałem się tym, co mówił. Czuję po prostu ulgę, że znowu mówi jak mój ojciec. Znowu słyszałem tę mieszalinę pompatyczności, uzalania się nad sobą i zdrowego rozsądku, którą z czułością identyfikowałem jako jego własną. Nadal jednak mieliśmy problem z niesterowalnym jachtem. Nazwałbym go młodocianym przestępcą, ale miał dziewięćdziesiątkę. Czuję, że przebywają na niej siły bardziej niepokojące niż przestępczość młodocianych. To było raczej opętanie.

Właśnie wtedy zauważyłem lustro. Małe, oprawione w mosiądz zwierciadło, w którym złapałem odbicie Spaldinga podczas mojej pierwszej okropnej wizyty na łodzi. Wisiało znów tam, gdzie je wtedy widziałem. Zostało zamocowane na swoim oryginalnym miejscu, na ścianie kajuty ojca.

- Potrzebuję cię na pokładzie, tato. Musimy spróbować zawrócić. Musimy odzyskać kontrolę nad jachtem. Albo jesteś panem tego statku, albo nie. Wierzę, że jesteś.

- I jestem, na Boga. - Walnął w stół. Wysunął szczękę. Patrzył mi pewnie w twarz. Jego głos potwierdzał, że rzeczywiście ma to na myśli. Czyżby udało mi się znów rozpalić dumę, która w nim pozostała? To mimo wszystko było jego hołubione marzenie, które zamieniło się w zmorę na jawie. Może wspomniał błogosławieństwo ojca Delaunaya? Cokolwiek to było, wyszliśmy na pokład z nadzieją i wolą walki.

Mgła zgęstniała. Wydawało się, że „Mroczne Echo” nabrało szybkości. Mocowałem się z kołem sterowym, ale łódź chytrze i uparcie powracała na ten sam kurs. Podnieśliśmy żagle, starając się do zmiany kursu zaprząć wiatr. Tak właśnie robi się na pokładzie żaglowca. Ale nie wiał wiatr, który dałby się zaprząć.

Żagle zwisały w bezwietrznej mgielce niby całuny. Opuściliśmy kotwicę, po prostu próbując spowolnić statek, zatrzymać jego pęd. Łańcuch kotwiczny tylko się naprężył i pojękiwał przy kabestanie, a szybkość jachtu na spokojnej wodzie nadal wzrastała.

- Tak, jakbyśmy tylko prowokowali ten jacht - zauważyłem.

- To jego prowokujemy - odparł ojciec. Stał przy kompasie pokładowym. - Jeśli nadal będziemy płynęli tym kursem, za cztery czy pięć dni dotrzemy do brzegów Irlandii. I tam zatoniemy. Jeśli nie zdołamy zatrzymać jachtu, to płynąc obecnym kursem, albo osiadzie na mieliźnie, albo rozbije się o skały u wybrzeży hrabstwa Clare.

Widziałem oczyma duszy jacht roztrzaskany na kawałki w kipiącym przyboju, pod wielkimi, obojętnymi szczytami klifów Moher. Czy taki los ma nas spotkać?

Staliśmy ramie przy ramieniu na pokładzie, mgielka szczypała nas w skórę, sól wnikała w płuca. Staliśmy w zupełnej ciszy, jeśli nie liczyć bulgotania wody za rufą siedemdziesięciu ton drewna i żelaza, na których pokładzie byliśmy co najwyżej zakładnikami. Lub więźniami. Mimo zagadkowych uwag ojca o Spaldingu, nie czułem, by jego duch nam towarzyszył. Miałem raczej wrażenie, że ojciec i ja jesteśmy jedynymi ludźmi, jacy pozostali na tym świecie. A poczucie izolacji i bezradności było okropne.

- Schodzę pod pokład, Martinie. Nie mogę tu nic zrobić.

- Tam też nie możesz nic zrobić.

- Mogę się upić - odparł ojciec. Nie odpowiedziałem.

- Schodzę pod pokład.

Też zszedłem pod pokład, Włączyłem komputer, ale poczta nie działała. Zacząłem więc pisać - co stało się dla mnie niemal przymusem - i, jak mi się wydawało, mogło dostarczyć w tej chwili większego wsparcia niż butelka, w której mój ojciec zamierzał szukać pocieszenia.

Zacząłem pisać tę relację wieczorem przed kilkoma miesiącami, tego dnia, kiedy ojciec kupił łódź u Bullena i Clore'a. Od tego czasu systematycznie prowadziłem zapiski. Zabrałem je na „Mroczne Echo” na płycie. I przeniosłem plik do mojego małego białego laptopa. Kiedy je pisałem, a relacja puchła, zastanawiałem się, po co to robię. Przypominały trochę dziennik, trochę kronikę, a trochę spowiedź. Kiedy czytam je ponownie, czasami ton wydaje mi się nieco napuszony lub histeryczny. Ale ogromną zaletą jest autentyczność. Każde słowo, które napisałem - i które piszę teraz - dokładnie opisuje autentyczność zdarzenia. A te-

raz przynajmniej wiem, jaką ta relacja ma pełnić rolę. Zakładając, że dopisze mi odrobina szczęścia lub będzie nade mną czuwała opatrność. Nie jestem pewien tego założenia. Szczęście na pokładzie „Mrocznego Echa” jest bardzo rzadkim towarem.

Przerwał mi ryk w kajucie ojca. Mógł to być okrzyk zarówno bólu, jak i triumfu. Ale cokolwiek to było, spowodowane zostało czymś mocniejszym niż alkohol. Wstałem z fotela, poszedłem na rufę i mocno zapukałem do drzwi.

- Wejź, Martinie!

Na środku biurka leżała marynarska skrzynka. Była stara, okuta żelazem i poplamiona wodą. A ojcu brakło tchu, tak się zmęczył, stawiając ją tutaj. Rozejrzałem się po kajucie. Usunął panel boazerii na prawej ścianie, mniej więcej na wysokości pasa. W mroku powstałej luki mogłem rozróżnić rozporki i nity wzmacniające ściankę działową.

- Usłyszałem łomot - wyjaśnił ojciec. - Postanowiłem to zbadać. To musiało należeć do Harry'ego Spaldinga.

Albo do braci Waltrowów, pomyślałem. Przełknąłem ślinę. Lub Gubby'ego Tencha. Ale nie mogło przecież należeć do żadnego z nich. Człowiek, który podawał się za Jacka Peitersena, na pewno by to znalazł podczas remontu. A to był tylko ostatni z licznych remontów łodzi. Z pewnością to pudło nie mogło tam leżeć nieodkryte przez osiemdziesiąt lat. Ojciec najwyraźniej sądził, że leżało. Tak jak wydawało mu się, że usłyszał łomot w ciasnej dziurze, kiedy łódź płynie po wodzie gładkiej jak szkło.

- W magazynie żagli jest pudło z narzędziami, Martinie. Skinąłem głową. Wiedziałem, że tam jest.

- Przynieś jakiś łom.

Kłódkę na skrzynce zrobiono z mosiądzu. Oczywiście zmatowiał. Ale nie skorodował. Przyniosłem łom i wyłamałem zamek. Podniosłem wieko skrzynki. Buchnął smród morskiej zgnilizny. Ten zatechły odór nie mógł się zgromadzić w ciągu kilku tygodni. Od czasu, gdy skrzynka była otwarta na światło i powietrze, minęły całe dziesięciolecia.

Z obawy, że zakrztuszę się i zwymiotuję, musiałem odejść i poczekać, aż smród się rozproszy. Woń był mdląco silna. Kiedy nieco osłabła i rozproszyła się po kajucie, znowu podszedłem i zajrzałem do skrzynki. Zawierała bardzo zniszczoną prostopadłościenną drewnianą szkatułkę. Wokół szkatułki ułożono wykładzinę, teraz zgniłą wstrętną czarną pastę. To ona tak okropnie śmierdziała.

- Co to jest?



- To staromodna maszyna do szycia - odpowiedziałem. Widziałem je w sklepach ze starociami, nawet w domach ludzi, którzy gromadzili tandetę i ciekawostki.

Ale myliłem się. Kiedy wyjąłem ciężkie pudło ze skrzynki, postawiłem na biurku i zdjąłem wieczko, okazało się, że to nie maszyna do szycia. Był to fonograf-jedno z tych prymitywnych urządzeń, które odtwarzają nagrania wycięte w woskowych walcach. W pudle leżały trzy takie walce, starannie ułożone na aksamitnej podkładce, którą odpowiednio wyprofilowano. Zorientowałem się, że również cylindry sprawiają, że ten wstrętny zapach nadal rozchodził się po kajucie. Wosk się zepsuł i przerażająco cuchnął.

- Załóż któryś walec - powiedział ojciec. - Posłuchajmy, co tu mamy.

Jego głos brzmiał rozsądnie i spokojnie. Mówił całkiem poważnie. Natknął się na zagadkę i teraz chciał ją zbadać.

- Nie będą grały - powiedziałem. - Wosk stał się za miękki, czujesz, jak się rozkłada. Czym, według ciebie, jest ten przykry smród?

- Załóż któryś z nich.

- Ta maszyna od dawna nie działa, tato. Nie możesz oczekiwać, że będzie grała.

- Więc sam założę - oznajmił.

Odepchnął mnie. Jego dłoń zawisła nad walcami i wybrał jeden. Światła w kajucie zamigotały i przygasły. Spojrzałem na jeden z iluminatorów. Mgła miała kolor siniaków. Nie można było stwierdzić, czy jest dzień czy noc. Ojciec włożył walec w kołyskę na szczycie maszyny, opuścił igłę i zaczął kręcić rączką. Kiedy opuścił igłę na wosk, wiedziałem, co się wydarzy, zanim rączka się obróciła. Igła zeszła w dół tak gładko, jakby maszynę dopiero wczoraj wyczyszczono i naoliwiono. Kajutę wypełnił szum sprzed osiemdziesięciu lat. A potem odezwał się głos, przenikliwy, wysoki i okrutny.

- Magnusie, staruszkule. Chciałbym powitać cię na pokładzie. Chciałbym powitać też Martina. Mam nadzieję, że dobrze się bawicie.

Rozległ się również śmiech. Śmiech sardoniczny, dosięgający nas przez dziesięciolecia. Na dźwięk tego głosu włosy stanęły mi dęba. Nie był ludzki. Nie wydawał go też ktoś o zdrowych zmysłach.

- Magnusie, pomyślałem, że opowiem ci o Załodze Jerycho. Usiądź wygodnie, kolego. Usiądź, klapnij sobie, czemu nie? Nie kłopotuj się o maszynę. Będzie nadal działała.

Ojciec skinął głową i puścił rączkę. Usiadł i w roztargnieniu sięgnął po szklanekę z whisky. Na jego twarzy malowało się nabożne skupienie. Nie zwracał na mnie uwagi.

- Znalezione dwunastu apostołów z dokładnie dobraną kombinacją cech zajęło mi tygodnie, Magnusie. Potrzebowałem chytrych i niezdyscyplinowanych, dzikusów i egoistów. Potrzebowałem ludzi, którzy są jednocześnie przebiegli i głupi. A to niezwykła mieszanka cech. Szczypta tchórzostwa również była zależą. Chciałem ludzi, którzy zrobią prawie wszystko, by zapewnić sobie przetrwanie na wojnie. Widzisz, musieli chcieć się poddać niezbędnym ceremoniom. Było też coś, co można określić jako pewne zobowiązania kontraktowe. Pomagało, jeśli ponad wszystko cenili sobie własną skórę. Dzięki temu sprawy toczyły się gładko.

Na początku było okropnie, Magnusie. Zebrano dla mnie dzielnych i szlachetnych. Wśród sił amerykańskich we Francji, jesienią tysiąc dziewięćset siedemnastego roku było dużo dzielności i szlachetności. – Głos się zaśmiał. - W szeregach te cechy były tak powszechne jak czekolada i guma do żucia. I wszyscy byli na swój sposób doskonali. Ale dla mnie byli nieprzydatni, nie nadawali się do sposobu, w jaki ja chciałem walczyć w tej wojnie. Dzielność i szlachetność byłyby... jak to powiedzieć? Pomóż mi to określić, Magnusie. Kierowałeś ludźmi.

- Byłyby niepraktyczne - odpowiedział ojciec.

- Właśnie - zgodził się Spalding. - Wiedziałem, że to zrozumiesz, kolego. Wybieranie zespołu wiernych akolitów zajęło mi dwa tygodnie. Jednego z nich wyciągnąłem z celi prowizorycznego wojskowego więzienia. Popelnia błąd, kto gwałci osobę cywilną, należącą do naszych sojuszników. To głupie, jeśli osoba jest nieletnia. Następni dwaj to dezercerzy, porwani sprzed plutonu egzekucyjnego, z już zawiązanymi opaskami na oczach. Ja, oczywiście, dopiero zaczynałem. Byłem zupełnie zielony, Magnusie, surowy nowicjusz w robocie zabijania. Ale myślę, że, jak dowiodła historia, miałem talent przywódczy. I miałem apetyt na tę pracę.

Ojciec skinął głową. Nie bawiło go to, ale musiał tego słuchać.

- Nadal mam, Magnusie. Nadal mam ten apetyt, wiesz? I jeśli się zmienił, to powiedziałbym, że wzrósł.

Ojciec ukrył twarz w dłoniach.

- Będzie nam odpowiadała służba na jednym statku - oświadczył Spalding. - Będziesz musiał oczywiście zaakceptować swoją podrzędną rolę. Ale będziesz

trzymał chłopaka w ryzach, więc nie znajdziesz się na samym dnie. - Jego głos stał się stalowy. -I będę chciał, żeby chłopak był trzymany w ryzach, Magnusie. Rządę żelazną ręką. Nie będę tolerował niesubordynacji. Bracia Waltrowowie odkryli to i za to zapłacili. Również inni załoganci w ciągu tych wszystkich lat. Na dalekich morzach nie można zrezygnować z dyscypliny.

Jego głos wzniósł się do wysokiego, gniewnego wrzasku.

- Dlaczego Załoga Jerycho? - spytałem. Nastąpiła przerwa.

- Masz się do mnie zwracać „kapitanie”, chłopcze.

- Dlaczego Załoga Jerycho, kapitanie?

-Nazwa wzięła się od Towarzystwa Jerycho, do którego wprowadzałem moich ludzi. Zakończyliśmy ważną misję w katedralnym mieście Rouen. Dostaliśmy się na barkę przycumowaną we mgle. Staliśmy się załogą tej barki. To był żart kaprała Tencha. Ale nazwa przyłgnęła. Zostaliśmy Załogą Jerycho.

- Rouen zawsze było w rękach aliantów. Śmiech.

- Studiujesz konflikty, co chłopcze? Zrobię ci wykład o wojnie. Czekam na to z przyjemnością, Martinie.

Głos stał się cichszy i znowu bardziej przyjacielski.

-Pozwól mi opowiedzieć o naszej bazie we Francji, Magnusie. Potraktuj z pobłażaniem wspomnienia dumnego, starego żołnierza. Pozwól sobie opowiedzieć, jak doszliśmy do zbudowania własnej Kalwarii przy stodole, na farmie w pobliżu miasta Bethune.

Ale ja już wiedziałem o ich Kalwarii. Wiedziałem od Suzanne, która dowiedziała się tego od Pierre'a Duvala. I nie życzyłem sobie słuchać dłużej głosu Harry'ego Spaldinga, tego, jak się przechwalał. Odwróciłem się, wyszedłem z kajuty ojca i wróciłem do swojej. Musiałem zakończyć pisanie.

Kiedy przechodziłem przez kubryk, zobaczyłem szczura. On jednak dostrzegł mnie pierwszy i próbował wślizgnąć się do szafy, którą częściowo otworzył. Kiedy trenowałem boks, miałem szybkie ręce. Zachowałem tę szybkość i refleks i byłem dla niego za szybki. Złapałem go za ogon, podniosłem i rozbiłem o krawędź zlewu brutalnym zamachem. Krew upstrzyła metal. Odkręciłem motylki mocujące iluminator, otworzyłem go i wrzuciłem martwego gryzonia do morza. Szczur był wielki. Jego ogon, gruby i szorstki, przypominał w dotyku linę wspinaczkową. Był wystarczająco wielki, bym usłyszał plusk, gdy uderzył o fale. Starłem plamę ze zlewu papierowym ręcznikiem, który również wyrzuciłem przez iluminator.

A teraz natychmiastowa zmiana czasów gramatycznych. Siedzę po raz ostatni i wklepuję litery tworzące każde wymęczone słowo tej relacji, tego, co będzie moim ostatnim zapisem.

Wszystko to zdarzyło się już wcześniej. W moim sercu wiedziałem to już dawno temu, w zimie, kiedy zdolna Suzanne znalazła w archiwum tę stronę gazety „Liverpool Daily Post”. Wtedy najbardziej zajmowało mnie podobieństwo między Jane Boyte ze zdjęcia, piękną kobietą, podejrzaną o przestępstwo, a Suzanne. Podobieństwo było niesamowite. Ale to nieistotne. Istotne były niepokój i zmęczenie malujące się na twarzy jej ojca, Patricka Boyte'a. Widziałem ten sam wyraz na twarzy Franka Hadleya, kiedy „Mroczne Echo” stało w jego doku i kiedy jego ludzi w stoczni dotknęła tragedia. Spalding właśnie teraz, swoim bezcielesnym głosem wspominał o zobowiązaniach kontraktowych. Wydaje mi się, że wymagano także ofiar. I sądzę, że ta myśl wpadła do głowy zarówno Patrickowi Boyte'owi, jak i Frankowi Hadleyowi, w czasie, gdy to właśnie ich pracowników składano w ofierze. Suzanne mówiła to samo. To wszystko już się wydarzyło, powiedziała. Jezu, szkoda, że nie słuchałem. Za chwilę do niej napiszę. Może to być ostatnia okazja, a Suzanne może nigdy nie otrzymać tej wiadomości. Ale i tak to zrobię. To jej się należy.

Wczoraj nazwałem to trochę dziennikiem, trochę kroniką i trochę spowiedzią. I jedno z tych słów podpowiedziało mi, do kogo mam to wysłać. Sądzę, że prawdopodobnie będzie to ostatnia wiadomość ode mnie. I jako taką ją sobie cenię. Czy czyniąc tak, popełniam grzech pychy? Przypuszczam, że tak. Ale to mały grzech w układzie wszechrzeczy. I chcę, by ta historia była ostrzeżeniem. Ponieważ wierzę, że to wszystko zdarzyło się już wcześniej. I nie chcę, by to, co dzieje się teraz z moim ojcem i ze mną, kiedykolwiek przydarzyło się komuś jeszcze.

Czy czytasz to, ojcze Delaunay? Mam wielką nadzieję, że tak. I przykro mi, że obciążylem tym ciebie, ojcze. Ale jesteś teraz niemal przy końcu sprawozdania. Muszę przerwać, by napisać pożegnanie dla Suzanne. Nazwałeś, ojcze, „Mroczne Echo” przyjaznym. Nazwałeś je cudowną zabawką. Myliłeś się, ojcze, rozpaczliwie. Ale Spalding zajmował się tą swoją grą przez długi czas. Jacht pływał pod wieloma przebraniami, a jej właściciel pod wieloma pseudonimami, jestem tego pewien. Ale zawsze był to ten sam jacht, ta sama gra, ta sama upiorna podróz.

Znowu słyszę płacz niemowlaka. To nie mewa. Płacz dochodzi zza drzwi kajuty i obawiam się, że to moja utracona siostra, Catherine Ann. Spalding przywiódł nam z powrotem jej mękę.

Niech cię Bóg błogosławi, ojciec Delaunay.

I niech Bóg nam dopomoże.

Martin.

## 10

Następnego ranka Suzanne czekała na Alice Daunt przy stoliku przed kawiarnią. Miała kaca. Poprzedniego wieczoru wypła za dużo wina. Szukała w pićiu otepienia, ponieważ czuła się samotna, sfrustrowana brakiem postępów, i bała się o Martina. Miała dość mocną głowę, ale była drobnej budowy. Nie miała wiele ciała, a obecnie, jak czuła, większość zapełniał merlot wypity poprzedniego wieczoru. Wzdrygnęła się na widok złożonych parasoli w firmowych krwawych fioletach Costa Coffe. W mocnym świetle słońca wydawały się tak jasne i jadowite jak żagle pirackie.

Wszystko na ulicy miało ten sam siny, ponury odcień. Na chodniku cienie były czarne i brykały, kiedy ludzie nieświadomie przechodzili.

Alice Daunt usiadła, punktualna co do minuty. Suzanne spojrzała na nią i próbowała ukryć ziewanie, ale nie zdołała. Alice uśmiechnęła się nad jej głową do polskiego kelnera. Zdjęła swoje ray bany i położyła na stole torebkę. Bardzo luksusową, z krokodylej skóry, z zameczkiem o połysku matowego złota.

- O jeden za dużo, kochanie? Suzanne uśmiechnęła się smętnie.

- Nie wiem, pani Alice. Straciłam rachubę przy szóstym.

I po prawie całej paczce marlboro. Mogłaby załatwić dublińską popielniczkę Jane Boyte. Wypełniłaby ją.

- Kobieta, na której temat zbierasz materiały, miała bardzo buntowniczą naturę - zaczęła Alice Daunt. - Popierała sufrażystki od czasu, kiedy nauczyła się czytać. Nie rozumiała ich, ale doceniała gesty. Rzucanie cegłami w okna. Strajki głodowe. Siedzenie w Whitehall, by zatrzymać ruch. Takie rzeczy ją podniecały.

Suzanne kiwnęła głową.



- Nawiasem mówiąc, to nie jest moja opinia. Taką opinię słyszałam. Ale usłyszałam ją od mojej matki, która była dobrą kobietą i bezstronnym sędzią.

- Niech pani mówi dalej.

- Jane Boyte rozczarował ruch sufrażystek, kiedy Jane Pankhurst w przededniu wybuchu wielkiej wojny zaczęła wygłaszać mowy patriotyczne.

- Mogła być wtedy najwyżej nastolatką.

- Rozczarowaną nastolatką. Ale jej następna wielka sprawa nie czekała długo. W tysiąc dziewięćset siedemnastym roku powstanie wielkanocne zniszczyło znaczną część śródmieścia Dublina. Mogę dodać, że stało się to ku wielkiemu obrzydzeniu przeważającej większości mieszkańców Dublina. Ale panna Boyte dostała następny porzecz do wywijania.

- Została fenianką - podsunęła Suzanne.

- Rzeczywiście. Kiedy miała dziewiętnaście czy dwadzieścia lat, spotkała Michaela Collinsa. Chyba dla niego pracowała. Opowiadano o ich romansie, ale o tym facecie zawsze tak mówiono, kiedy chodziło o jakąś kobietę z jego otoczenia.

Suzanne znowu pokiwała głową.

- Według mnie to kompensacja poczucia niższości - stwierdziła Alice Daunt.

- Prawdopodobnie próbował ukryć swój początkowy pociąg do mężczyzn.

- Nie sądzę - mruknęła Suzanne.

- Och?

- To tylko opinia z drugiej ręki, pani Alice. Ale z doskonałego źródła. On naprawdę wolał dziewczęta.

- Cóż... Jane Boyte była z pewnością jedną z nich. Nie będę się kłóciła na ten temat.

- Czy taka lojalność nie postawiła rodziny w trudnym położeniu?

- Raczej nie. Z pewnością nie po zakończeniu wojny, kiedy wszyscy o tym wiedzieli. Sprawa feniańska zawsze miała poparcie w Liverpoolu i okolicach, kiedy już zyskała popularność w Dublinie. W tamtych dniach w Liverpoolu było wielu katolików irlandzkiego pochodzenia. Nawet więcej niż obecnie. Patrick Boyte, ojciec Jane, był jednym z nich. A Collins zawsze cieszył się w Anglii popularnością. Kiedy przybywał do Londynu na negocjacje w sprawie traktatu, na stacji witały go tłumy.

Suzanne знаła te fakty.

- Co jeszcze może mi pani o niej powiedzieć? Alice Daunt bawiła się szklanką z kawą.

- Nic. Po śmierci Collinsa, po bratobójczej krwawej łaźni irlandzkiej wojny domowej, rozczarowała się również do tego ruchu.

- Napomknęła pani wczoraj, że jest coś jeszcze. Starsza dama poruszyła się na krześle.

- Napomknęłam?

- Tak.

Suzanne wydawało się przez chwilę, że Alice nic więcej nie doda. Wtedy Alice powiedziała niemal niesłyszalnie:

- To chyba nie może ranić, prawda? Nie po osiemdziesięciu latach. Mówiła do siebie. To siebie próbowała przekonać. Spojrzała na Suzanne i Suzanne wiedziała, że jej wysiłek nie poszedł na marne.

- Były pewne kłopoty z policją. Jane Boyte postawiła bardzo poważny zarzut wybitnemu i bogatemu cudzoziemcowi.

- Harry'emu Spaldingowi?

Czyżby Alicja Daunt zadrżała na wspomnienie jego nazwiska?

- Jemu. Tak. Postawiła zarzut właśnie jemu.

- Czy wie pani, co mu zarzuciła?

- Nie wiem. Byłam wtedy małą dziewczynką. Nigdy mi nie powiedziano. Musi pani znaleźć to sama.

- Próbowałam - westchnęła Suzanne. Wskazała bibliotekę. - Niczego nie odkryłam. Wszystko poszło, jak pani mówiła, pod spychacz, kiedy burzono bibliotekę w Birkdale.

Alice Daunt sączyła resztki kawy. Lód ślizgał się i klekotał o jej protezy. Opuściła szklanę.

- Jest jeszcze jedno miejsce, w którym możesz spróbować. W South-port jest muzeum przy Ogrodzie Botanicznym w Churchtown. Jeśli Jane Boyte miała coś do powiedzenia, a jestem pewna, że miała, mogła złożyć tam papiery w depozycie. Warto spróbować.

- Co się z nią stało, pani Alice?

- Załamała się - stwierdziła po prostu Alice. - Ta sprawa z Amerykaninem zupełnie ją załamała.

- Nie wypowie pani jego nazwiska, prawda?

Alice Daunt uśmiechnęła się, zaciskając wargi. Założyła okulary słoneczne i wzięła torebkę.

- Nigdy go nie wypowiedziałam, kochanie. I nie wypowiem, jak długo żyję.

- Powinniśmy stawiać czoło naszym lękom - powiedziała Suzanne.

- Mój syn miał na imię David. Był wspaniałym chłopcem i wspaniałym mężczyzną. I, mimo skutków guza, był mądry niemal do ostatniej chwili. Ale kiedy to mówił, kochanie, chyba mówił o naszych ziemskich lękach.

Alice uśmiechnęła się po raz ostatni, odwróciła i odeszła, przecinając snopy słonecznego światła naprzemienne z cieniami drzew i markiz sklepowych po obu stronach ulicy. Suzanne obserwowała jej sztywne, stateczne odejście, aż jej jasny płaszcz znikł w tłumie turystów i zakupowiczów. Potem wstała, przeszła przez ulicę i w centrum informacji zapytała o godziny otwarcia Muzeum Ogrodu Botanicznego. Centrum informacji wyglądało jak gigantyczna oranżeria postawiona na pustym kawałku chodnika. Pomogli jej. Informatorka nie знаła godzin otwarcia muzeum, musiała je sprawdzić, co zasugerowało Suzanne, że jest to jedna z mniej znanych atrakcji kurortu. Pomyślała, że to dobrze. Pomyślała o nowych, interaktywnych, przyjaznych muzeach, zarazem strasznych, jak i praktycznie rzecz biorąc bezużytecznych. Skarbnice przeszłości, według niej, nie powinny takie być. Zaopatrzone ją w mapę. Trzeba iść na północ Lord Street, a potem na wschód długą drogą o nazwie Roe Lane. Spytała, czy można tam dojść piechotą. Dziewczyna podniosła wzrok, namyślając się. Odległość wynosiła pięć czy sześć kilometrów. Suzanne postanowiła się przejść. Ćwiczenie fizyczne ukarze ją za picie i może równocześnie wyleczy z kaca.

Maszerując do Churchtown, nie myślała o Jane Boyte ani o tym, co może tam odkryć. Nie myślała też o Harrym Spaldingu, a przynajmniej sobie tego nie uświadamiała. Myślała o Martinie, jego miłości, czułości i odwadze, jaką wykazał, zanim go poznała. Jego dzielność uważała za niezwykłą i imponującą. Nie sądziła, by jego ojciec miał najmniejsze pojęcie o tej cesze synowskiego charakteru.

Była w wagonie linii East London londyńskiego metra. Przejeżdżali przez tunel Brunela pod Tamizą. Zbierała materiały o tym wielkim inżynierze do serialu o technice wiktoriańskiej. Miała ze sobą laptopa. Do wagonu wtargnęło trzech żuli. Jeden z nich wywijał nożem - wielkim, z otwartym ostrzem, czymś pomiędzy finką a maczetą. Miał zastraszyć. Miał także ranić. Kiedy bandzior z nożem złapał jej laptopa, ona trzymała go kurczowo. A on opuścił nóż, by pociąć jej twarz.

Martin przyjął cios. Zjawił się znikąd, wyciągnął ramię, by ochronić ją przed oszpecceniem, a ostrze spadło z całą siłą i wcięło się głęboko w jego przedramię. Bandzior tymczasem stracił broń, kiedy Martin wyrwał nóż z rany i cisnął go na podłogę wagonu. A potem uśmiechnął się szeroko i zadał kilka ciosów. Serię

brutalnych uderzeń z niewiarygodną celnością i szybkością. Po prostu pobił całą trójkę do nieprzytomności, kiedy reszta pasażerów odwracała wzrok i udawała, że nic się nie dzieje.

Ocalił ją przed oszpecceniem. Zrobił to instynktownie, nie zważając na związany z tym ból ani konsekwencje. Kiedy zwolnili go z aresztu i opatrzyli, okazało się, że ma przecięte ścięgno. Walczenie z przeciętym ścięgnem pogorszyło sprawę. Pełne wyzdrowienie wymagało operacji i czterech miesięcy fizjoterapii. Na całe życie pozostaną mu blizny i po nożu, i po operacji.

Kiedy próbowała mu podziękować, po jego reakcji zorientowała się, że dla niego jest oczywiste, iż nie zrobił niczego niezwykłego. Uważał, że każdy w tych okolicznościach zachowałby się dokładnie tak jak on. Istniały właściwe i niewłaściwe sposoby załatwiania spraw i on załatwił ją właściwie, bo, cóż, tak się po prostu robi. To była jedna z rzeczy, które jej się w nim podobały. Ale nie to podobało jej się w nim najbardziej, tylko odwaga wykorzystywana w szlachetnym celu. To bardzo pociągająca cecha. Żartowała z tego, obydwójce żartowali, mówili o rycerzach w lśniącej zbroi, damach w niebezpieczeństwie i tak dalej. Ale była to u mężczyzny cecha pociągająca. Uważała również, że to cecha rzadka.

Churchtown objawiło się grupą małych domków. Niektóre z nich pokryto strzechą. Brzydkie i małe, pochodziły - Suzanne o tym wiedziała - z początków XIX wieku. Była to najstarsza część osiedla Southport. Sąsiednie sioła - Hundred End i wieś Ormskirk - były o wiele starsze. Ich historia sięgała czasów pierwszej inwazji wikingów. Ale Churchtown było najstarsze w Southport i dlatego stanowiło odpowiednie miejsce na miejskie muzeum.

Niektóre domki zamieniono w sklepy sprzedające ręcznie malowane zabawki dla dzieci, zestawy do haftowania, akwarele i antyki. Uliczki były bardzo wąskie, a sklepiki urokliwe. Efekt jednak psuły olbrzymie ciężarówki sunące w upale w śmierdzącej spalinami procesji. Wydawało się, że ulice Churchtown wykorzystywano do omijania korków na głównej drodze.

Sam ogród botaniczny, cichy i odosobniony, znajdował się daleko od dźwięków i smrodów ruchu. Ale nie wyglądał witalnie. Wszystko sprawiało wrażenie zarośniętego mchem i pokrytego pleśnią. Był staw, zielony od szlamu i zatkany pływającymi liśćmi grzybieni. Na jego powierzchni unosiło się kilka obłączonych kaczek. Nad stawem wyginał się drewniany mostek. Farba na nim obłaziła, a jego deszczułki przesiąkły wodą i Suzanne nie ufałaby, że utrzyma jej ciężar. Muzeum znajdowało się nieco po lewej, w budynku o klasycznym portyku obok starej oranżerii, którą zamieniono na sklep z pamiątkami i kawiarnię. Suzanne pa-

trzyła na to, myśląc, że takie widoki nie wydawałyby się dziwaczne pięćdziesiąt czy nawet osiemdziesiąt lat temu, w roku 1927. Wspięła się po schodach do drzwi i weszła do środka. Większość parteru zajmował wóz poławiacza krewetek, z wyciągniętymi sieciami i figurą poławiacza naturalnych rozmiarów. Poławiacz, ubrany w sztormiaki wpatrywał się szklanymi oczyma w miejsce, gdzie w morzu przemykałby jego połów. Stał tam też wiktoriański wóz strażacki i starodawny motocykl. Wiernie odtworzono salon z rozkwitu epoki wiktoriańskiej. Wszystko bardzo obrazowe i interesujące. Ale książek nie było. Suzanne nie dodało to otuchy. Nie widziała też żadnego personelu. Słyszała dochodzące skądś niewyraźnie dźwięki radia, ale w pobliżu nie było nikogo. Weszła po schodach. Wystawa na pierwszym piętrze składała się z dwóch dużych pokoi. Jeden z nich poświęcono głównie katastrofie „Mexico” i jej następstwom. Drugi wypełniały wypchane dzikie zwierzęta z Fylde Coast. Wypychacz wykonał wspaniałą pracę; zwierzęta wyglądały jak żywe, lepiej nie można było tego zrobić. Jednak Suzanne zaczynało ogarniać poczucie, że Alice Daunt z pewnością niepotrzebnie skierowała ją do tej przypadkowej zbieraniny lokalnych relikwów i osobliwości. Chciała książek. Albo mikrofilmów lub łatwo dostępnej komputerowej bazy danych. Chciała faktów i rewelacji, nie kurzu i starych fotografii.

Poszła za blaszonym dźwiękiem radia. Grało *Kiedy miłość się kończy*. Suzanne pomyślała, że nigdy nie zdarzyło jej się aż tak nie lubić jakiejś piosenki. Ale nasłuchiwała, próbując wyśledzić jej źródło. Melodia dochodziła z dołu, z parteru. Suzanne zeszła po schodach. Muzyka stała się trochę głośniejsza. Słuchano jej ukradkiem, niemal w ciszy. Rozejrzała się. Coś kryło się w cieniach z prawej strony wiktoriańskiego salonu. Był to mrok w mroku, dodany wymiar, sugestia cienia lub otworu. Poszła ku niemu. Piosenka stała się głośniejsza, ale dźwięk pozostał ubogi. Był piskiem dokładnie takim, jak dźwięk odtwarzany przez radio kieszonkowe z lat sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Suzanne pomyślała, że nie można mieć przyjemności ze słuchania tak zubożonej melodii. W przypadku piosenki, którą się lubi, to jeszcze gorsze.

Był to rodzaj szary bez drzwi. Oczy jej dostosowały się do mroku i zobaczyła siedzącego mężczyznę. Podniósł na nią wzrok i podskoczył. Miał sweter w barwach miasta, mundurowe spodnie. Należał do personelu muzeum i jeśli to nie była przerwa, najwyraźniej się obijał. Wyłączył radio.

- Mogę w czymś pomóc?

Wstał, przeczesał włosy, zakłopotany tym, że go przyłapano.



- Zbieram materiały na temat rezydenta Southport, Jane Boyte. - Suzanne wyjęła swoją akredytację BBC i pokazała mężczyźnie.

- Ludzie na ogół umawiają się, to znaczy wysyłają najpierw e-mail lub dzwonią, chyba że są po prostu przypadkowymi gośćmi.

- Jak pan widzi, nie jestem przypadkowym gościem. Ale, oczywiście, nie jestem z Southport. Nie wiedziałam o tym muzeum, o tych zbiorach.

Mężczyzna otrząsnął się z zaskoczenia. Chyba spodobało mu się pochlebstwo zawarte w nazwaniu jego miejsca pracy „zbiorami” przez kogoś z laminowaną przepustką. Unikanie pracy, pomyślała Suzanne, spoglądając na radio stojące na jego ławce. Było srebrne, prostopadłościennie i trzymało się dzięki taśmie klejącej.

- Zasadniczo mamy dwa osobne archiwa - powiedział mężczyzna. - Archiwum fotograficzne jest skatalogowane zarówno ze względu na datę, jak i na przedmiot. Archiwum pism nie jest skatalogowane w ogóle. Mniej więcej przed trzema laty miano przydzielić nam archiwistę, który zaprowadzi tam jakiś porządek, ale cięcia budżetowe położyły kres tym planom.

Suzanne pokiwała głową. To była znajoma skarga.

- Serdecznie zapraszamy, proszę rzucić okiem. Wszystko jest na półkach, ustawione mniej więcej alfabetycznie według autorów, w pomieszczeniu w naszym podziemiu. - Rozpoczął poszukiwanie klucza w pęku na kółku przy pasku. - Musi pani pójść ze mną i obejść budynek. Wejście do pomieszczenia jest na tyłach. Są tam drzwi i trzeba zejść po schodach. Ma pani komórkę?

- Tak.

- Więc niech pani wprowadzi do niej mój numer. Będę musiał za panią zamknąć drzwi na klucz. To nic osobistego, ale musimy to stosować jako środek bezpieczeństwa. To jedna z naszych zasad.

- Doskonale - odparła Suzanne. Poczłapał obok niej.

- Mam nadzieję, że nie ma pani jakiejś alergii?

- Co takiego?

- Konkretnie, mam nadzieję, że nie jest pani uczulona na kurz.

Suzanne oczekiwała pleśni. Spodziewała się poplamionych stron i lepkich grzbietów. Ale kiedy pracownik muzeum włączył światła w podziemnym pomieszczeniu, Suzanne usłyszała, że w kącie mruczy odwilżacz. Wszystko wyglądało na suche, stosunkowo czyste i uporządkowane. Lampy rzucały olśniewające białe światło. Suzanne zobaczyła, że okulary pracownika są dwuogniskowe i na-

dają jego oczom wyraz chciwca. Zorientowała się, że uwaga na temat kurzu była tylko żartem.

- Powodzenia.

- Dziękuję.

- Zamykamy o piątej. Byłbym wdzięczny, gdyby najpóźniej za piętnaście piąta pani mnie wezwała, żebym przyszedł i panią wypuścił.

Suzanne spojrzała na zegarek. Dochodziła pierwsza. Nie jadła śniadania, ale był to jeden z tych dni, kiedy obiad może poczekać. Uświadomiła sobie teraz, że spacer po Roe Lane do Churchtown był dokładnie tym, czego potrzebowała, by wyleczyć kaca. Znikł bez śladu. Czuła się bystra i świeża. Ekscytowało ją to archiwum, dobrze utrzymane, do którego prawie nikt nie zaglądał. Tu mogą się znajdować sekrety przelane na papier przez Jane Boyte, zanim zdeptano jej instynkt buntownika. Kiedy klucz obrócił się w zamku, Suzanne wyobraziła sobie Jane Boyte na piasku, w słońcu, ubraną w skóry pilota, stojącą między braćmi Giroud. Kocią i zachwycającą, o równo obciętych kruczoczarnych włosach oraz uśmiechu figlarnym i pełnym życia.

W ciągu kwadransa znalazła to, czego szukała. Fotografia prasowa delegacji w parlamencie irlandzkim sugerowała, że można było oczekiwać czegoś napisanego na maszynie, a nie ręcznie. I było napisane na maszynie, z podwójną interlinią. Osiemdziesiąt profesjonalnie oprawionych stron. Niebieska tekturowa okładka z płóciennym grzbietem. Suzanne przypuszczała, że pierwotnie okładka była kobaltowobłękitna, ale kolor przez lata wyblakł. Na okładce nic nie wskazywało, co jest w środku. Ale na wąskim grzbiecie tomu wydrukowano słowa: Jane Elizabeth Boyte. Moja relacja, sierpień 1927.

W rogu muzealnej piwnicy znajdowało się biurko. Suzanne podeszła do niego, przysunęła sobie krzesło i usiadła. Nie miała rękawic, by chronić stronice przed szkodliwą wilgocią. Instynkt podpowiadał jej jednak wyraźnie, że jest pierwszą osobą od osiemdziesięciu lat, która otwiera to, co właśnie trzyma w ręku. I pomyślała, że dokument przeżyje to doświadczenie. Otworzyła tom i przekartkowała stronice. Były grubsze niż przebitka, grubsze niż papier drukarski. Miały grubość gdzieś między papierem drukarskim a papierem do drukarek komputerowych i na wałku maszyny do pisania Jane, royala czy remingtona, spoczywały sztywno. Litery, składające się na słowa, miały jednakową barwę atramentu i wszystkie były jednakowo mocno odbite. Jane Boyte była fachową maszynistką, szybką, pewną siebie i dokładną. W ogóle nie robiła błędów. Jak Suzanne zorientowała się po datach na początku każdego wpisu, jej relacja była

w gruncie rzeczy dziennikiem. Przynajmniej zachowano chronologię. Relacja obejmowała okres od dziesiątego maja do ósmego sierpnia. I rzeczywiście opisywała jedynie to, co wydarzyło się w dniach, tygodniach i miesiącach między tymi datami w jednym roku 1927.

Całe zeznanie Jane zostało napisane podczas letniego pobytu w South-port Harry'ego Spaldinga.

Był tam wstęp. Jane podpisała go wiecznym piórem, umieściła pełne nazwisko. W całym tym staromodnym ćwiczeniu czuło się pewną ciekawą, ponurą skłonność do formalności. Suzanne była pewna, że w środku opisano tajemnice. Podniosła dokument i powąchała go. Pachniał lekko starym tytoniem i drogimi perfumami. Suzanne była pewna, że perfumy, których używała wtedy Jane, to Shalimar. Była protofeministką, uprzywilejowaną rewolucjonistką, która pilotowała samolot i publicznie paliła papierosy. Była zdolna. Była słynną pięknością. Kiedy miała dziewiętnaście czy dwadzieścia lat, mogła dzielić łóżko z Michael'em Collins'em.

Suzanne zaczęła czytać wstęp.

„Każde słowo tutaj napisane jest szczerze. Ty, czytelniku, możesz wyciągnąć własne wnioski, co do ich prawdziwości. Ale nie było korekt, żadnego majstrowania przy sprawozdaniu, żadnej retrospektywnej redakcji dokumentu. Opisałam zdarzenia tak, jak przebiegały. Moje wnioski zostały oparte na istotnych dowodach. Dowody mają charakter poszlakowy, ale kiedy przeczytasz ten dokument, może przyznasz, że ten niefortunny fakt nie wynika z braku mej determinacji, by to zmienić. Naprawdę próbowałam. Lecz bogactwo jest istotniejszym nakazem od prawdy, nawet w naszych nowoczesnych czasach. A waga opinii kobiety i jej uzasadnione podejrzenia ciągle nie są równoważne opiniom i podejrzeniom mężczyzny. Przenika mnie ciekawość, czy kiedyś się to zmieni.

Jeśli to przeczytałeś, możesz odczuć uzasadnioną ciekawość, tyczącą się autora. Cóż mogłabym ci uczciwie odpowiedzieć? Jestem łatwowierna i impulsywna. Moja moralność może ci się wydać nie do zaakceptowania.

Jestem zamożna. Mam niezależnego ducha i, do niedawna, trwoga była mi obca. Zobaczyłam prawdziwą i podniecającą wielkość w pewnej istocie ludzkiej. Poznałam tego człowieka bardzo blisko i ta wiedza nie zaszkodziła ani w żaden sposób nie zmniejszyła mego przekonania o tej wielkości.

Ale, czytelniku, poznałam również diabła we własnej osobie. I właśnie temu spotkaniu poświęcony jest niniejszy opis".

Suzanne zadzwoniła pod numer podany jej przez pracownika obiboka. Nie chciała czytać zeznania Jane w tym jałowym, jaskrawo oświetlonym, wypełnionym książkami pomieszczeniu. Z powodu braku konkretnych informacji o Harrym Spaldingu i jego przekłetej łodzi pojechała, kierowana intuicją, do Southport. Teraz czuła, że miała rację. Ale chciała przeczytać to, co odkryła, w takim czasie i takiej przestrzeni, jakie sama wybierze. Sprawa była pilna. Czuła jednak, że więcej dowie się z tej relacji, gdy przeczytają z dala od miejsca, w którym ją odkryła. Weźmie teczkę - jeśli to dozwolone - i przeczyta przy jednym ze stołów przed Odpoczynkiem Rybaka. Nie miała żadnych wątpliwości co do tożsamości diabła, o którym wspomniała Jane. Odpoczynek Rybaka był przybudówką dawno zburzonego hotelu Pałace. I stał tylko kilkaset metrów od rezydencji skrytej na Rotten Row, gdzie mieszkał diabeł Jane. Tam przeczyta jej relację, kiedy popołudnie zmieni się w wieczór. Jak najbliżej śladów Harry'ego Spaldinga.

- Halo?

- Znalazłam to, po co tu przyszłam.

Znowu miał włączone radio. Zespół Coldplay brzmiał w tle słabo, prawie anorektycznie. Mężczyzna znów chował się w swojej szafie.

- Gratulacje.

- Czy mogę to zabrać ze sobą? Nastąpiła cisza.

- Wykluczone.

- Dlaczego?

- To cenna rzecz.

Jego akcent z Southport był nieco bezbarwny. Nie był nosowy jak manchesterski, za to wolniejszy i bardziej miarowy niż liverpoolski. Słowa w nim wypowiedziane miały w sobie coś ostatecznego. Ale Suzanne nie dała się zastraszyć.

- Nie rozmawiamy tutaj o Magna Carta.

- Więc niech pani zrobi odbitkę.

- To nie to samo. Dwadzieścia cztery godziny? Ale muzealny obibok okopał się na swej pozycji.

- Nie.

- Zostawię panu depozyt. Pięćdziesiąt funciaków. Niezwracalny. Dwadzieścia cztery godziny.

Nastąpiła chwila milczenia.

- Straciłbym pracę.

Suzanne pomyślała, że ta chwila milczenia jest znacząca.

- Stówa?
- Załatwione.

Opuściła muzeum z tekstem Jane Boyte w torbie. Po drodze do Roe Lane przez Churchtown zatrzymała się w malowniczym pubie o nazwie Hesketh Arms. Stoliki stały też na zewnątrz. Nie czytała. Jadła. Było po wpół do trzeciej i była bardzo głodna. Zniszczony blat stolika, przy którym siedziała, nagrzewało słońce. Na białych ścianach pubu zielenił się bluszcz. Kwiaty w skrzynkach na oknach, świeżo podlane, słodko pachniały. Zamówiła sałatkę serową i okazała się bardzo dobra: świeży, chrupiący chleb, kruszący się ser lancashirski i mięsiste pomidory. Dopiero co zebrano je na jednej z farm na równinie Południowego Lancashire. Scena byłaby idylliczna, gdyby widoku nie zakłócały sunące obok ciężarówki wydalające drżące w letnim świetle spaliny.

Suzanne wracała piechotą tą samą drogą. W Southport nie mieli taksówek, które można by złapać na ulicy. Mieli tylko taksówki na zamówienie. Było ich mnóstwo, ale żadna się nie zatrzymała, kiedy w poprzednich dniach Suzanne próbowała je przywołać. Przypuszczała, że zatrzymują się tylko na wyznaczonych postojach, by zwiększyć opłaty za przejazd. Ale ona nie wiedziała, gdzie są takie postoje. Można też było po nie zadzwonić, ale nie знаła numerów. Oczywiście mogłaby uzyskać informację w Hesketh Mars, ale pogoda była taka piękna, a nieznanym ulice malownicze i zupełnie różne od tego, do czego przywykła. Southport było głównie wiktoriańskie i miejscowa architektura się zachowała. Suzanne cieszył wysiłek na świeżym powietrzu. Cieszyło ją oczekiwanie. Więc poszła piechotą.

Zbliżała się czwarta, kiedy doszła na Rotten Row, do miejsca, gdzie, jak wiedziała, nad wzniesieniem kryje się rezydencja Spaldinga. Spojrzała na torbę. Relacja Jane mieściła się w wielkiej kopercie z bąbelkami. Dostarczył ją facet z muzeum, by ochronić okładki przed słońcem. To była spóźniona próba okazania profesjonalizmu i sumienności, spóźniona akcja, by zaprezentować się jako osoba kompetentna. Suzanne paliła się do poznania zawartości koperty, jednak urok domu stojącego nad stromym trawiastym zboczem okazał się niewytłumaczalnie silny. Chciała jeszcze raz rzucić na niego okiem. Po prostu zerknąć na to miejsce. Przecież nic się nie stanie, jeśli jeszcze raz zobaczy dom w jasnym słońcu, gdy uczennice idą z raketami na cementowe korty w Victoria Park.

Tym razem zrobiła to bardziej bezczelnie. Wspięła się po kamiennych schodach wyłożonych gładkimi płytkami z terakoty. Otworzyła rygiel drewnianej furki, zaczerpnęła tchu i weszła do ogrodu. I natychmiast poczuła uderzenie.



Uderzenie jak arktyczna zmiana pogody albo potężny cios w żołądek. Tu wszystko było inne, a nic nie było w porządku. Zaczęła drżeć i jednocześnie się pocić, zmarznięta, ale lepka od potu na czole i skroniach. Z każdym krokiem zrobionym w stronę domu uczucie stawało się coraz bardziej nieprzyjemne. Ota-  
czała ją cisza, a głębokie, złowrogie przeczucie mówiło, że w każdej chwili ta  
cisza może zostać przerwana wrzaskiem, do którego Suzanne się dołączy. Roz-  
poznała to uczucie. Pamiętała je. To była ta sama nieziemską trwoga, jaka opa-  
nowała ją w stodole Duvala, zanim dotarła do drzwi i zanim Duval wyszedł jej  
naprzeciw, dodając otuchy opryskliwą gburowatością, bezpiecznie trzymając śru-  
tówkę.

Co ona tutaj robi? Odwróciła się. Musiała. Nie mogła się zmusić do zrobie-  
nia następnego kroku. Czowała, że grunt pod jej stopami się rozkłada. Nad ziemią  
wisiła skaza śmierci. Pobiegnęła do furtki i uciekła, zeszła po ceglanych stopniach  
ku rozsądkowi, do uśmiechniętych przechodniów, grupy jeźdźców na koniach,  
do samochodów w blasku słońca, jadących wolno Rotten Row, omijających  
jeźdźców szerokim łukiem, do miło zapowiadającego się, barwnego czerwcowe-  
go popołudnia.

Na pokładzie „Mrocznego Echa”

Wydaje się, że pisanie to nałóg trudny do pokonania. A piszę to odręcznie w  
jednym z pięknie oprawnych w marokin zeszytów, które w zamierzeniu ojca  
miały służyć jako jego dziennik pokładowy. Baterie laptopa zawiodły. Jako że  
nie mamy już na statku elektryczności, piszę to przy świetle lampy naftowej. A  
narzędziem w moim ręku jest ojcowskie wieczne pióro. Właściciel „Andromedy”  
w tej chwili nie mógłby mnie przewyższyć w prostocie czy wierności tradycji.  
Kapitan Straub nie byłby jednak ze mnie dumny. Przekazał mi ostrzeżenie, które  
powinienem wziąć pod uwagę, ale ja wolałem je zignorować. Ściśle mówiąc, nie  
byłem już pod jego dowództwem, kiedy mi je przekazywał. Ale powinienem go  
słuchać. Byłby rozczarowany, gdyby wiedział o moim obecnym kłopotliwym po-  
łożeniu. I miałby rację, myśląc, że za to wszystko mogę winić jedynie siebie.

Jestem w swojej kajucie, piszę to, siedząc przy biurku za zamkniętymi na  
klucz drzwiami. Ojciec leży nieprzytomny na mojej koi. Od czasu do czasu ja-  
kieś rzeczy ślizgają się po schodni na zewnątrz. Słysząc warczenie psa albo kwi-  
lenie dziecka. Rzadziej - i dlatego bardziej to szokuje - słysząc nagły, głośny, hi-  
steryczny wrzask kobiety. Dochodzi z kajuty ojca, która oczywiście jest napraw-

dę kajutą Spaldinga. Często słychać śmiech, ale kajuta pozostaje ciemna. Słychać szeptane prośby, na które odpowiada cisza. I są zapachy. Bardziej zróżnicowane niż hałasy. Czasami gryzące, a czasami subtelne. Czasami to ślad perfum, Arpège lub Mitsouko, kwiatowych i ciężkich. Innym razem to woń mocnego tytoniu. Czasami w powietrzu wisi melasowy aromat rumu. Kilka razy czułem kordyt, ostry i mocny, jakby z lufy pistoletu, który właśnie wystrzelił w bliskim sąsiedztwie. Czuć też często miedziany zapach świeżo rozlanej krwi. Co najgorsze, od czasu do czasu rozchodzi się dominujący smród pośmiertnego gnicia, który promieniował od samobójczego trupa Gubby'ego Tencha, kiedy jego resztki warzyły się w upale Zatoki Hawańskiej.

Te rozmaite, zdarzające się losowo dźwięki i zapach to wspomnienia łodzi. Nasilają się, gdy zbliżamy się do spotkania z jedynym prawdziwym właścicielem jachtu. Harry Spalding nawiedza łódź. Ale robi to w sposób paradoksalny, gdyż wierzę, że Harry Spalding nawiedza „Mroczne Echo”, nie będąc wcale duchem.

Pamiętam, że Suzanne spotkała ducha w Dublinie, w styczniu. Jej duch był dobrotliwy. Przypuszczam, że spotkała go znowu i nigdy mi o tym nie powiedziała. Jej duch, gdy żył, zwracał uwagę na damy. Wtedy dość dobrze go sobie obejrzała. Prawdopodobnie sądził, że jest usprawiedliwiony, jeśli i on ją sobie obejrzy. Czy znowu go poczuła, czy nie, nie miał na myśli nic złego. I jako zmarły nie mógł też wyrządzić żadnej szkody. Nie wierzę, że umarły może fizycznie ranić żywych.

W Spaldingu nie było niczego dobrotliwego. Doszedłem do tego wniosku po wysiłkach wysłania mojego sprawozdania z przebiegu wypadków do księdza De-launaya, kiedy ojciec był coraz bardziej pijany, a łódź sunęła bez wytchnienia, tak jak teraz, swoim własnym kursem. Wykorzystał swą wiedzę okultystyczną, by podczas wojny trzymać śmierć z daleka od siebie. Praktykował barbarzyńskie i bluźniercze rytuały, by zagwarantować sobie przetrwanie. Składał ofiary i nadal je składa. Podejrzewam, że kobieta, która jakoby rzuciła go w Rimini, była jego pierwszą ofiarą złożoną w czasie pokoju. Ale Tench i bracia Waltrowowie przecież też zostali złożeni w ofierze. Ostatnia ofiara została złożona dopiero niedawno - to mężczyzna, który wykrwawił się na śmierć wskutek tamtego nieprawdopodobnego wypadku w stoczni Franka Hadleya. Podejrzewam, że utracony dziennik pokładowy „Mrocznego Echa” udokumentowałby znacznie więcej śmierci w ciągu lat i dekad rozdzielających śmierć Gubby'ego Tencha i robotnika od Hadleya. Spalding zakończył życie w roku 1929. Dlaczego człowiek, który zmarł tak dawno, musi ciągle płacić diabłu cenę za swą nieśmiertelność? Nie ist-

niała żadna przyczyna. Nie musiał tego robić. Jaki więc pojawia się oczywisty wniosek? Takie rozumowanie zmusiło mnie do wiary, że Harry Spalding nie umarł.

Światelko „wyślij” w dalszym ciągu słabo migalo na ekranie komputera. Przeznaczenie zdecyduje, czy Delaunay kiedyś dostanie mój e-mailowy testament. Był teraz poza koniuszkami mych palców, w cyberprzestrzeni, poza moimi rękami. Wstałem i poszedłem stawić czoło ojcu. Chciałem go zapytać o dziennik pokładowy. Kiedyś mówił, że go przeczytał. Myślę, że twierdził tak niefrasobliwie, powiedział nieprawdę, po prostu, żeby mnie uciszyć, kiedy w stocznicy Hadleya „Mroczne Echo” naprawdę wydawało się przeklęte. Ale możliwe, że rzeczywiście go przeczytał. Był żarłocznym czytelnikiem i człowiekiem o intelekcie pełnym ciekawości, a jacht był jego upragnioną zdobyczą.

Kiedy jednak do niego dotarłem, nie nadawał się do przesłuchania. Leżał wyciągnięty na podłodze. Z początku przestraszyłem się, że dostał ataku serca. Ale jego rysy miały znajomą symetrię i w jego leżącej postaci nie było nic sztywnego. Oddychał ciężko, ale regularnie. Nachyliłem się, by posłuchać serca. Biło miarowo i silnie. Słuchać było płacz niemowlęcia - może specjalnie, by ojca torturować. Miałem tępą pewność, że to nie moja siostra, ale jakieś inne niemowlę, ofiara krwawej historii łodzi. Ale mój ojciec wierzył, że to Catherine Ann wróciła, by karać go za jakiś grzech, którego nigdy nie popełnił.

Ojciec uciekł w stan głębokiego szoku. Byłem sam. Wziąłem go w ramiona, zaniósłem do mojej kajuty i ułożyłem na koi. Pocałowałem tatę w policzek i podciągnąłem mu koc pod brodę. Przygładziłem jego potargane włosy, by przywrócić mu nieco godności. Zmówiłem za niego pacierz. Zamknąłem drzwi do kajuty na klucz i wróciłem do kajuty kapitana. Maszyna, która odtwarzała woskowy walec, wyglądała jak wtedy, gdy wyjąłem ją z gnijącego pudła. Wyglądała tak, jakby już nigdy nie miała wydać dźwięku. Wyjąłem cylinder, którego wcześniej słuchaliśmy, z przeznaczonej dla niego kołyski, i włożyłem inny. Śmierdział i ślizgał się między palcami, ociekając tłustą zgnilizną.

- Dlaczego zaaranżował pan swoje samobójstwo? Igła opadła na cylinder, który zaczął się obracać.

- Masz mnie nazywać kapitanem - rozkazał głos Spaldinga - albo mówić do mnie „sir”. Nie cierpię niesubordynacji, kolego. Boleśnie się o tym przekonasz.

- Dlaczego, sir, zaaranżował pan swoje samobójstwo?

Nastąpiła długa chwila milczenia. Słyszałem mulisty dźwięk igły na wosku. To, co słyszałem, przeczyło prawom fizyki. Ale Harry Spalding zbudował ponurą ścieżkę biegnącą przez racjonalny świat. Zaprzął do tego magię.

- Moi rodzice wyznawali wiarę, na którą krzywo patrzono w kraju ludzi dzielnych i wolnych. Nasza wiara była prześladowana, wyjęta spod prawa. Człowiek z Biura Federalnego o nazwisku Gray nadzorował zniszczenie naszego miejsca kultu. Moi rodzice modlili się o odwet.

Na kim? - zastanawiałem się. Ale znałem odpowiedź.

- Grey miał córkę. Miała zostać tancerką. Spotykałem się z nią, zalecałem do niej, Martinie, stary chłopie. Wziąłem ją do Europy, pielęgnując marzenia o scenie, owacjach i wieńcach. I zarznąłem ją nożem do krajania kości, po czym wyrzuciłem jej ciało w obciążonych kawałkach na przystani w Rimini.

- A jej ojciec się dowiedział?

- Jej ojciec już wtedy nie żył. Jednak przez lata kolegował się w Biurze z lojalnym i zajadłym partnerem o nazwisku Gianfranco Ganelli. Cała rodzina Ganellego to sycylijskie bandziory. On był białą owcą w stadzie. Ale utrzymywał dobre stosunki z ludźmi po obu stronach. W ciągu lat po zdarzeniu, w Rimini dla starego Harry'ego Spaldinga zrobiło się trochę za gorąco. Harry nie siedział w miejscu, ale ludzie Genellego byli zawsze o krok za nim. To raczej ograniczało swobodę mych poczynań. Wreszcie, trochę ekstrawagancko, Harry musiał powiedzieć adieu.

Co, jak przypuszczałem, nie było trudno zrealizować w Nowym Jorku w 1929 roku. Zwłaszcza dla człowieka tak niewiarygodnie bogatego jak Spalding. Zwłaszcza po krachu, kiedy musiało się wydawać, że wielki kryzys będzie się już tylko pogłębiał.

- Tak więc uszło to panu na sucho.

- Co takiego?

- Morderstwo.

- Wszystko uchodziło mi na sucho.

- Gdzie teraz jesteś, Spalding?

- Dowiesz się wkrótce, kolego. I masz do mnie mówić „kapitanie” lub „sir”. Boksowałem się z Hemingwayem, wiesz? I byłem od niego lepszy. Piłem ze Scottem Fitzgeraldem i to on wpadł pod stół.

- I oferowałeś Bricktop sto patyków, żeby się z tobą przesłała, a ona pokazała ci figę, ty pieprzona kreaturo.

Nastąpiła jękliwa, rozmazana cisza.

- Wkrótce się zobaczymy, jachtowy współtowarzyszu. Nie mogę się doczekać - odezwała się po chwili maszyna.

Dzielności wystarczyło mi tylko na tyle. Wycofałem się do ciemnego, niespokojnego schronienia mojej kajuty i do niedomagającego ojca. Na łodzi nic się nie wydarzy. Nic się nie wydarzy do chwili, aż dopłyniemy do lądu. Do tej pory nie jesteśmy w prawdziwym niebezpieczeństwie. Kiedy osiągniemy ląd, będziemy w pobliżu Harry'ego Spaldinga, który nigdy nie umarł. Wejdzie na jacht i obejmie dowództwo. Rozpoczniemy prawdziwą podróż. „Mroczne Echo” zacznie służyć swemu prawdziwemu celowi. A co się wtedy stanie... trudno snuć przypuszczenia.

11

Southport, 10 maja 1927 r.

**Mimo** wszystko spotkam go. Rimmerowie urządzą przyjęcie w ogrodzie i już wieki temu przyjąłem zaproszenie, a dziś rano odkryłam, że ten facet, o którym wszyscy mówią „ten okropny Amerykanin, Jane”, jest również na liście gości. Tommy Rimmer dzwonił dziś rano i bardzo mnie za to wszystko przeproszał, uważa, że tamten zaproszenia nie przyjmie. Ma widocznie opinię kogoś, kto nie zwykł stawiać się na imprezy. Prawdopodobnie podtrzymuje własny obraz osoby nieprzewidywalnej, woli, by uważano go za interesującego, a nie za prostaka. Myślę jednak, że przyjdzie. Spotkanie z nim jest nieuniknione, tak uznałam, gdy jego zniszczony szkuner regatowy przykuśtykał do Liverpoolu, do stoczni mojego ojca. On wie, że tam będę. To jakiś upiorny zbieg okoliczności, że jego łódź akurat tam zawinęła na remont. Jestem pewna, że mój ojciec nie miał powodów, by mu o mnie wspominać, a ja miałam mnóstwo powodów, żeby mojemu ojcu nigdy nie wspominać o nim.

Muszę iść do Rimmerów. Odmowa byłaby niegrzeczna. Nie pozwolę, żeby moje życie przebiegało pod dyktando jakiegoś mężczyzny. Zwłaszcza tego. Nie dopuszczę, żeby zmuszał mnie do działania ze strachu. Czy się go boję? Przypuszczam, że tak. Nawet po ośmiu latach zdobywania doświadczeń, dojrzewania,



nabierania odporności, co wpłynęło na zmianę mojego charakteru, nadal boję się Harry'ego Spaldinga.

To jednak byłby absurd, gdybym z tego powodu zrezygnowała z przyjęcia u Rimmerów.

Może mnie nie pamięta? Nie będę mu się przypominała, jeśli moja twarz i nazwisko umknęły mu z pamięci. Zawsze stawałam oko w oko ze swoimi lękami, ale to inny przypadek. Jeśli Spalding mnie nie pamięta, zachowam się pragmatycznie. Jak mówi powiedzenie, którego nie znoszę, odwaga powinna iść w parze z rozwagą.

Ale on o mnie nie zapomniał. Inaczej, jaki sens miałyby nasze spotkanie? Mówiłam już, że według mnie ta konfrontacja naznaczona jest nie-uniknionością losu. Oczywiście, że mnie pamięta. Mam tylko nadzieję, że dojrzał na tyle, żeby czuć wstyd i wyrzuty sumienia, których nie miał po tamtym wydarzeniu.

Harry Spalding próbował mnie zgwałcić. Sforsował drzwi mojego pokoju w hotelu Shelbourne i próbował wziąć mnie siłą. Broniłam się, ale on był nadzwyczaj silny jak na mężczyznę tak drobnej budowy. Wydał się niewyobrażalnie silny. Może była to siła szaleńca. Gdy wtargnął, przebierałam się do kolacji. Zdarł ze mnie sukienkę, pchnął mnie na łóżko i przytrzymał za ramiona. Ugryzłam go dość mocno, aż pocięła krew. To go musiało jeszcze bardziej podniecić. Wrzasnęłam chyba, bo do pokoju wszedł Boland z pistoletem. Wetknął Spaldingowi koniec lufy pod brodę i powiedział bardzo spokojnie, że jeśli mnie nie puści, odstrzeli mu głowę. Przysięgam, że z twarzy Spaldinga nie schodził uśmiech. Zastygły grymas, jak na masce pośmiertnej. Groteskowo rozciągał mu twarz. Spalding cofnął się, ale Boland nadal trzymał pistolet przy jego głowie. Spalding nie wyglądał bezpiecznie. Jak już mówiłam, nie wyglądał na człowieka przy zdrowych zmysłach.

Wszedł Mick Collins. Musiał usłyszeć zamieszanie. Zdjął kurtkę, przykrył mnie nią i spytał, czy dobrze się czuję. Poprosił Bolanda, żeby zaprowadził mnie do jego pokoju i zarezerwował dla mnie inny pokój. Tu nie możesz zostać, powiedział. Usłyszałam odgłosy pierwszych ciosów, które dosięgły Spaldinga. Mick Collins był silny, wtedy w szczycie formy, w każdym calu zasługiwał na reputację walecznego żołnierza. Myślałam, że zbije Spaldinga na kwaśne jabłko. Miałam taką nadzieję. Jednak nie. Boland przyniósł mi brandy i zaraz do pokoju wszedł Mick. Poszedł do łazienki, odkręcił kran i czekał tak długo, że woda musiała chyba parzyć, a potem słyszałam, jak dokładnie się myje. Gdy się wyłonił,

zobaczyłam, że ręce ma potłuczone, knykcie wyraźnie opuchnięte, a pod okiem siniaka.

Później przelotnie dostrzegłam opuszczającego hotel Spaldinga, eskortowanego przez dwóch ludzi Micka. Miał rozciętą wargę, twarz napuchniętą i potłuczoną, ale wszystko się już goiło. Górną wargę z krzepnącą raną wykrzywił w lekkim uśmiechu.

„Łatwiej poszłoby mi z samym Lucyferem”, powiedział Mike, nalewając sobie brandy z butelki, którą przyniósł Boland. „Może powinienem go po prostu zastrzelić”, dodał.

„Nikogo nie zastrzelisz z mojego powodu”, powiedziałam.

„Bo to śmierdziel, jak wszyscy Jankesi”, powiedział Boland. „Jankesi to porządni ludzie”, stwierdził Mick.

„Nikogo nie zastrzelisz z mojego powodu”, powtórzyłam.

„Więc odeślemy drania pierwszym statkiem z Dublina”.

Boland ma to załatwić. Mick odstawił szklanekę i podszedł do mnie. Wciąż miałam na sobie jego kurtkę. Na kołnierzyku czułam jego zapach i było to dla mnie pocieszenie, gdy próbowałam opanować dreszcze. Uśmiechnął się i pogładził mnie po policzku. Dotyk jego poranionej dłoni był niezwykle delikatny.

I na tym koniec. W zasadzie nie myślałam później o Harrym Spaldingu. Nie myślałam o nim do chwili, gdy przechylony na bok żaglowiec wypłynął z trudem w górę Jersey, i przeczytałam w gazetach informację o sztormie.

12 maja, 1927 r.

Dziś Rimmerowie wydają przyjęcie. Ich dom jest jednym z najwspanialszych na Westbourne Road. Rozciąga się z niego widok na pole golfowe. Tam spotkali się Tommy i mój okropny Amerykanin. Trochę mnie to dziwi, że przyjęcie ma się odbyć zgodnie z planem. Ale to nie ma nic wspólnego ze Spaldingiem. Zniknęła pokojówka z hotelu Pałace. Dziewczyna pracowała kiedyś krótko u Rimmerów. Pomagała Norze w opiece nad najmłodszą córką, Bonnie, nim ta poszła do szkoły. Odeszła ze służby, bo - jak mówiła - pragnęła odmiany, chciała spróbować pracy w hotelu. Rozstanie odbyło się przyjaźnie po prawie rocznej pracy. I policja pisze w raportach, że podejrzewają przestępstwo. Bonnie bardzo ją lubiła. Wydaje mi się, że to trochę bezduszne urządzać przyjęcie, póki nie dotrze wiadomość, że dziewczyna znalazła się cała i zdrowa. Ale może to tylko moje fabiańskie fochy, jak to nazywa Tommy Rimmer. Fabiańskie albo so-

cjalistyczne. Nie przypuszczam, żeby człowiek w rodzaju Tommy'ego miał świadomość różnicy. Jeśli człowiek żyje tylko po to, żeby osiągnąć w golfie poziom zawodowca, jego umysł musi ucierpieć w konsekwencji takiego zaniedbania.

13 maja, 1927 r.

Przyjęcie przebiegło bez incydentów. Przynajmniej jeśli chodzi o Amerykanina. Spalding bardzo się zmienił. Nie jest już - jak w Dublinie 1919 roku - wychudłym facetem w prążkowym garniturze. Teraz to międzynarodowy playboy i sportowiec, uczestniczący w regatach. Jest bardzo opalony i trochę się zaokrąglił. Nie ma na nim tłuszczu, tylko mięśnie, które, jak przypuszczam, wyrobił sobie, wciągając żagle i podnosząc kotwice. Jego blond włosy tak wypłowiwały od słońca i słonej wody, że są prawie białe. Ubrał się nienagannie, przy kołnierzyku i mankietach miał perłowe spinki. Chyba nigdy nie znajdowałam się w towarzystwie mężczyzny tak w istocie bardzo nieatrakcyjnego.

Nie poznał mnie. A jeśli nawet mnie rozpoznał, to nie zdołał mnie zidentyfikować. Zorientowałabym się, bo przecież ludzie nie mają takich doskonałych zdolności aktorskich. A Spalding przez cały wieczór był rozluźniony i wylewny. Przed samozwańczą cyganerią z Southport rozwodził się na temat paryskiego życia. Sporo z tego słyszałam, stojąc z boku. Spalding ma coś ostrego w głosie, a samogłoski wymawia na sposób Nowej Anglii, a to przebija się ponad wrzawę czy na otwartym powietrzu, czy w pomieszczeniu. Zna Hemingwaya i Scotta Fitzgeralda. Zna Braque'a, Picassa i Delaunaya. Przynajmniej tak twierdzi. Kiedy przebywa na lądzie, jego świat to nocny klub Bricktop, wyścigi konne w Auteuil i arena na Montparnassie oraz mecze bokserskie Georges'a Carpentiera. Warto tylko zadać pytanie, co robi tutaj. Oczywiście znalazł się tu bardziej przypadkiem niż naumyślnie. W Brikda-le jest klub lotniczy i pole golfowe, w Aintree organizują wyścigi, więc ma chwilową rozrywkę, gdy tymczasem pracownicy mojego ojca trują się, żeby naprawić jego jacht i zdążyć na termin, który ojciec podał prasie.

Spalding lubi Dublin. Z czułością wyraża się o Irlandii. Myślałam, że manto, jakie dostał od Micka Collinsa i Harry'ego Bolanda w hotelu Shel-bourne, znieweczy wszelkie rodzące się uczucia do tego kraju - tego starego sukinsyna, jak się o nim wyraża. Mick i Boland od dawna nie żyją obaj zostali ważnymi przypisami w krwawej sadze irlandzkiej historii. Ale tylko przypisami, jeśli odejmiemy się

od tego sentymenty. Więc może Spalding śmiał się ostatni i może sobie pozwolić na odrobinę wspaniałomyślności, jeśli chodzi o Irlandię w ogóle, o Dublin w szczególności.

Nie sądzę, żeby moją ocenę Spaldinga jako człowieka odrażającego powszechnie podzielano. Jest bogatym cudzoziemcem, wysportowanym i światowym, a to dla wielu kobiet stanowi wystarczający zestaw atrakcyjnych cech. Otacza go krąg cyganerii w nadziei na nieco plotek ze stołu artystycznych tuzów. Kilka kobiet bez partnerów krążyło wokół niego podczas przyjęcia. Jednak mimo obecności Spaldinga czas upłynął mi przyjemnie. Pogoda była wspaniała, jedzenie cudowne, a Tommy Rimmer w nadzwyczajnej formie. Spalding był zaledwie jednym z ponad setki gości w domu Rimmerów. Przygrywał zespół jazzowy. Płatki róż i orchidei, rozrzucone na powierzchni basenu, tworzyły wspaniały dywan. Na stołach ustawiono misy z lodem ze wzgórkami połyskującego kawioru, a dwaj zawodowcy z Londynu rozegrali pokazowy mecz na korcie tenisowym, a potem mniej zaawansowanym gościom udzielali wskazówek, jak poprawić uderzenie. Wydarzył się jednak nieprzyjemny incydent, który nieco popsuł nastrój, przynajmniej mój.

Tommy Rimmer ma dryg do robienia pieniędzy. Odkrył to podczas wojny, gdy służył jako podporucznik. Przydzielono go do intendentury, ponieważ miał dar do szczegółów i lekką, niegroźną dolegliwość serca. Został zwolniony z przyczyn zdrowotnych po niecelnym niemieckim bombardowaniu. Zamiast trafić w pozycje bojowe na linii frontu, pociski wybuchły w magazynach Tommy'ego. Wyrzekał się z tego. Gdy leżał w szpitalu polowym, a potem w normalnym francuskim szpitalu, gdzie wysłano go na rehabilitację, opracował skuteczniejszy sposób zaopatrzenia armii niż obowiązujący dotychczas chaos, któremu musiał się podporządkować.

Miał rozum i nie próbował zastosować tego podczas trwającej wojny, która niemal kosztowała go życie. Gdy po zawieszeniu broni zwolniono go z wojska, udało mu się dotrzeć do osób w Ministerstwie Wojny i przedstawić im swój projekt. Zrobił na tyle duże wrażenie, że zatrudniono Tommy'ego jako doradcę do spraw zaopatrzenia w materiały wojenne. Jako wynagrodzenie miał dostawać szylinga od każdego zaoszczędzonego i udokumentowanego funta. Kontrakt podpisano i Tommy stanął na drodze do ogromnego bogactwa.

Przekonania polityczne Tommy'ego Rimmera są dla mnie zagadką. Sądzę, że są również zagadką dla Nory, jego żony, którą uwielbia. Ale istnieje sfera, gdzie okazuje się wielkim liberałem, mianowicie wychowanie dzieci. To one

rządzą w domu. Rimmerowie nie uznają zasady, że dzieci powinny być na widoku i siedzieć cicho.

Przynajmniej do dzisiejszego dnia.

Przyjęcie odbywało się w ogrodzie, więc dzieci oczywiście też się tam kręciły. W maju w Southport zmrok zapada późno. O dziewiątej wieczorem nadal było jasno, gdy trójkę zmęczonych, jak sędzę, dzieci zaprowadzono do łóżek i łóżeczek. Rodzice, pamiętając o własnych dzieciach, rozczulają się nad dziećmi przyjaciół. To cenny instynkt. Jedną z tych rzeczy, która czyni nas ludźmi. Ja, wcielona w rolę cioci Jane, pocałowałam każde z nich, nim zmęczone i posłuszne oddaliły się w krainę snu.

Jednak Bonnie pojawiła się znowu. Jej powrót zauważyłam z opóźnieniem - najpierw go usłyszałam, ponieważ ustały rozmowy, gdy goście dostrzegli, jak chwiejnym krokiem idzie przez ogród. Wszyscy na rauszu, z drinkami, papierosami lub cygarami w dłoniach, odwrócili się w jej stronę i obserwowali dziecko sunące niepewnie przez tłum. Zapadła cisza. Bonnie wyciągnęła rękę i obróciła się. A raczej mechanicznie zwróciła w jednym kierunku. I coś wskazywała. A przy tym wydała mrożący krew w żyłach krzyk.

Potem zemdląca. Ojciec troskliwie wziął ją w ramiona i zaniósł do łóżka. Przyjęcie było tak rozkręcone, że trwało nadal, mimo lunatycznej wizyty nieśczęsnego dziecka. Jednak u mnie chęć do zabawy, i tak już przygaszona z powodu obecności Spaldinga, zniknęła teraz całkowicie. Próbowałam nawiązać rozmowę z jednym z braci Giroud, który z entuzjazmem opowiadał o nowym owalnym kąpielisku. Zamierzano je wkrótce otworzyć przy plaży w Southport. Przeleciał nad ostatnimi wykonanymi instalacjami - zjeżdżalnią i wysokimi trampolinami - i uznał, że są *magnifique*. Jednak mój entuzjazm do plotek i sensacji zupełnie wyparował. Pożegnałam się i wyszłam, znajdując spokojny azyl w samochodzie, użyczonym mi na to przyjęcie przez ojca. Nie byłam pijana i mogłam pojechać swoim samochodem. Mogłam też pójść piechotą, ponieważ z domu Rimmerów do mojego mieszkania były ze dwa kilometry. Uznałam jednak samotny spacer z przyjęcia za zbyt ryzykowny, póki się nie upewnię co do reakcji Harry'ego Spaldinga na mój widok.

Gdy Bonnie krzyknęła, spojrzałam na niego. Zobaczyłam, że i on na mnie patrzy. Nie potrafiłam odczytać wyrazu jego twarzy. Nie było w nim nic oczywistego, żadnej sprośności czy wyraźnego zaciekawienia. Ale odniosłam wrażenie, że jest ślepy i głuchy na dziwne cierpienie dziewczynki. Wtedy podeszła do nie-



go kobieta w kolorowej etoli z piór i Spalding rozplątał się w uśmiechach, w czarujących uprzejmościach i chyba zupełnie o mnie zapomniał.

Postąpiłam głupio, opowiadając kilku osobom, że już kiedyś spotkałam tego człowieka. Wspomniałam o tym mimochodem, gdy w prasie pojawiła się informacja, że przeżył sztorm. Nie wyjaśniałam okoliczności naszego poprzedniego spotkania, mówiłam tylko, że uczestniczyliśmy razem w nieprzyjemnym wydaniu w Dublinie. Powinnam trzymać to w sekrecie. Choć Harry Spalding potrafi wytwornie rozmawiać o Hemingwayu i Picassie, w istocie jest zimny i niebezpieczny. Tak uważam. Szlifowanie wydobywa z kamienia wielościenny kształt, a jego powierzchni nadaje migotliwy blask. Nie zmniejsza jednak jego twardości ani podstawowych cech. Żałuję, że nie pozwoliłam Mickowi Collinsowi, by go zastrzelił. A tak naprawdę żałuję, że nie odebrałam Bolandowi pistoletu i że sama nie rozwaliłam Spaldingowi łba.

Suzanne podniosła wzrok znad czytanych stron i mrugając, spojrzała w niebo. Światło przygasało. Wieczór miał potrwać jeszcze długo, ale upał i intensywność dnia minęły. Była szósta po południu. Suzanne zdążyła polubić Jane Boyte. Bardzo jej współczuła. Jane nie dożyła nawet czasów, gdy mogła być świadkiem przywrócenia dobrej reputacji Michaelowi Collinsowi i docenienia jego osiągnięć. To stosunkowo niedawne wydarzenia. Wyrachowani irlandzcy politycy, których drażniło to, że znaleźli się w jego cieniu, przez dziesięciolecia po jego śmierci oczerniali Collinsa i podważali znaczenie jego dokonań. Gdy Jane Boyte zmarła w 1971 roku, nadal stanowił on przypis do historii Irlandii - tak jak pisała o tym w 1927 roku. Nie znalazła ukojenia swego żalu.

Suzanne przesunęła manuskrypt po stole, otworzyła torebkę, wyjęła paczkę marlboro i zapaliła papierosa. Zbyt pedantyczna, nie chciała dmuchać dymem na cenne kartki. Poczeka z czytaniem, aż dopali papierosa. Była jedynym klientem siedzącym na zewnątrz nawiedzanego przez duchy pubu. W środku znajdowało się jeszcze ze czterech gości. Po prawej stronie za asfaltem widziała betonowe wgłębienie na barbecue, upstrzone rdzawymi plamami. Z pewnością kiedyś tu pada, ale Suzanne miała teraz szczęście do pogody. Spojrzała w stronę, gdzie niegdyś stal hotel Pałace, wielki, wyniosły, o wysokich wimpergach i książących wieżyczkach. Teraz nic z tego nie zostało, nawet wrażenie, że kiedykolwiek był tam budynek z upiornymi windami i roziskrzonym tłumem gości oraz ponurą listą śmiertelnych wypadków, które nadal czekają na wyjaśnienie.

Za plecami Suzanne, jakieś sto metrów dalej, po drugiej stronie Weld Road, zaczynała się ulica Rotten Row. Wrażenie, że stoi tam dom Spaldinga i on sam się tam czai, silnie kontrastowało z otoczeniem. Suzanne poczuła między łopatkami dreszcz i swędzenie, ale nie mogła się podrapać. Zgasiła niedopałek w popielniczce i wypuściła dym w niebo, lekko przerażona tym, jak cudownie smakował papieros.

26 maja, 1927 r.

Dziś po raz pierwszy poszłam z grupą znajomych na basen na otwartym powietrzu. Przy wejściu stała barwna kolejka podekscytowanych ludzi. Myślałam, że trzeba będzie czekać całe wieki, ale zajęło to tylko około dziesięciu minut. Basen jest rzeczywiście olbrzymi. Wielkie owalne jezioro morskiej wody, otoczone kompozycjami skalnymi i amfiteatralnie ustawionymi ławkami. Od strony morza zbudowano olbrzymią kawiarnię z wielkim szklanym globusem na szczycie. Widziałam to z powietrza, gdy tydzień temu leciałam nad tym rejonem. Z ziemi jednak to miejsce wydaje się znacznie wspanialsze, bardziej efektowne. Przebieralnie, postawione na obu krańcach, mają kolumny i spadziste daszki jak świątynie. To mnie napawa dumą z mojego miasta. Obywatelska duma to coś dla mnie nowego. Dziesięć lat temu uznałabym ją za burżuazyjne fanaberie. Ale od tego czasu dorosłam. Ten wspaniały obiekt udostępnia się każdemu, kto może zapłacić dość umiarkowaną cenę za bilet. Cudowne miejsce: ma wysoką wieżę do skoków i metalową zjeżdżalnię. Ludzie na nie zasługują.

Nawet widok Harry'ego Spaldinga nie mógł zmniejszyć mojego entuzjazmu. Ubrany w strój kąpielowy, klęczał i nacierał olejkami plecy swojej towarzyszki. Rozpoznałam tę kobietę - na przyjęciu u Rimmerów miała na sobie etolę z piór. Spalding założył okulary słoneczne. Był jeszcze bardziej opalony. Jest niezwykle muskularny i w ostrym słońcu jego ciemne ciało przypominało skorupę jakiegoś dużego i śmiertelnie niebezpiecznego zwierzęcia. Zadrżałam. Ma coś w sobie z kraba albo modliszki.

Weszłyśmy do basenu z Helen Sykes i Vera Chadwick. Helen знаła przelotnie dziewczynę z Ormskirk, która zaginęła tydzień temu. Vera chodzi z inspektorem policji, który pracuje w wydziale zabójstw w Liverpoolu. Jakby sam romans z oficerem policji nie był wystarczająco zły, Vera cały czas mówi policyjnym językiem zbrodni i śledztw. Przysłuchiwałam się niechętnie, jak Vera opowiada Helen, że policja łączy ostatnie zaginięcie ze zniknięciem pokojówki z hotelu Pa-

lace. W porządku, że rozmawiają na ten temat, ponieważ Helen wykazuje zainteresowanie, a Vera ma poufne informacje. Ale temat wydaje się dość ponury w miejscu, gdzie wypoczywają rozleniwieni plażowicze, a zachwycone, wrzeszczące dzieci z pluskiem wpadają ze zjeżdżalni do wody.

Zapaliłam papierosa, starając się nie słuchać. Obserwowałam skoczków, którzy z akrobatycznym wdziękiem przygotowują się do skoku, a potem odbijają się od trampoliny, popisując się przed swoimi ukochanymi. W kolejce do trampoliny zobaczyłam Spaldinga. Na głowie miał gumowy czepek równie intensywnie niebieski jak jego oczy. Spalding oddał idealny skok w pozycji łamanej, wszedł w wodę tak czysto, że na powierzchni prawie nie powstała żadna zmarszczka. Pomyślałam wtedy, że właściwie powinien leżeć martwy na dnie dublińskiego doku, a nie kłaść nasze jasne miasteczko swoją mroczną obecnością.

Oczywiście miasto nie miało nic przeciwko niemu. Miasto z otwartymi ramionami witało jego styl i ekstrawagancje. Jego obecność wprowadza mrok tylko do mojej duszy.

„Można się założyć, że jest ich więcej, nie tylko dwie”, mówiła Vera do Helen. Tak jej powiedział znajomy detektyw. Jeśli zgłoszono dwa zaginięcia, to nastąpią zgłoszenia innych wypadków, które ludzie dotychczas próbowali wyjaśnić, nie chcąc się paniki.

„A według niego, jaki jest motyw?”, spytała Helen.

„Seksualny”, odparła Vera kategorycznym tonem. Ale ściszyła przy tym głos.

Zastanawiałam się, czy pójść popływać. Tymczasem zapaliłam papierosa. Dziewczyna, która pracowała dla Rimmerów, nie była piękną, a zdjęcie w gazecie dziewczyny z Ormskik ukazywało grubaskę o nijakiej urodzie. Nie wyglądały na kobiety, które mogą stać się celem przestępcy seksualnego. Rozejrzałam się. Od razu doszłam do wniosku, że w tej części kraju nie brakuje atrakcyjnych i zgrabnych przyszłych ofiar porwań. Nie były to myśli życzliwe, a kiedyś uznałabym podobne rozważania za zdradę siostrzanej solidarności. Przewidywanie niebezpiecznych zbrodni wymaga jednak jasnego myślenia, a nie ślepej lojalności w stosunku do własnej płci. Istnieje znacznie więcej kuszących obiektów niż tamte dwie dziewczyny. Może pokojówka z Palace po prostu spakowała manatki i wydała wszystkie swoje oszczędności na bilet na parowiec do Ameryki. Kobiety są zdolne do niezależnego myślenia. Ta dziewczyna należała do osób niespokojnych, skłonnych do działania i zmian.

Ale oczywiście pozostaje sprawa dziewczyny z Ormskirk.

Poszłam popływać. Przepłynęłam pięć długości basenu. Zanurzyłam się w cudownie chłodne głębiny basenu. Jest dopiero wiosna, ale do nas przyszła fala upałów. Potem położyłam się na wodzie, zamknęłam oczy i wystawiłam twarz do słońca. Woda pluskała przy mojej głowie, włosy unosiły się na powierzchni jak wodorosty. Mam nadzieję, że zaginiona dziewczyna jest bezpieczna. Mam nadzieję, że ten detektyw, znajomy Very, przesadzał w drastycznym opisie tylko po to, żeby zrobić na niej wrażenie. A jednak w to wątpię.

Potem poszliśmy promenadą na koniec molo. Zawsze zadziwia mnie to, że w ładną pogodę tyle się widzi kalek, mężczyzn z amputowanymi kończynami. Od wojny minęło prawie dziesięć lat, a jej ofiary ciągle są pośród nas, cierpią ból i biedę w kraju, który obiecał, że znajdzie odpowiednie miejsce dla powracających bohaterów. Przystanąłam i wrzuciłam pół korony do miski zebrzącego mężczyzny. Na jego szyi wisiała kartka z napisem: „Oślepiiony przez gaz”. Na twarzy miał postrzępioną przepaskę ukrywającą niewidzące oczy. To był prawdziwy weteran. Czasami ma się do czynienia z draniami, którzy podszywają się pod żołnierzy i zebrzą, ale u tego słyszałam gwizd i charkot w zniszczonych płucach, gdy pochyliłam się, by wrzucić monetę do miski. Moja półkoronówka dołączyła do zaśniedziałej trzypensówki. Wyjęłam z portmonetki gwineę i włożyłam mu ją w dłoń. Przyjął ją z wdzięcznością pobłogosławił mnie i zasalutował.

Wyda na alkohol, stwierdziła Vera Chadwick. Przez ten romans z oficerem śledczym stała się bezwzględna, uszło z niej całe naturalne współczucie, dzięki któremu kiedyś wydawała mi się atrakcyjną przyjaciółką.

„Mam nadzieję, że to zrobi”, odparłam.

Helen Sykes się zaśmiała.

„Mam nadzieję, że dzięki mojemu datkowi radośnie upije się wieczorem do nieprzytomności”, dodałam. „Powinniśmy zachować pokorę wobec odwagi i poświęcenia ludzi takich jak on”.

„Myślałam, że jesteś fenianką”, powiedziała Vera. Nic na to nie odrzekłam. Może ze swoim ukochanym rozmawiała o swojej przyjaciółce, zwolenniczce Fenian? Nie chcę, żeby ojciec miał przeze mnie kłopoty. Po śmierci Micka Collinsa moje serce odwróciło się od polityki buntowników. Prawdę mówiąc, nawet wcześniej, gdy obserwowałam bezsensowne zabijanie podczas wojny domowej.

Na końcu molo dawano przedstawienie z Punchem i Judy. To jedna z atrakcji wesołych miasteczek i nadbrzeżnych bulwarów, ale akurat ta wydaje mi się odrażająca. Przemoc mężczyzny wobec kobiety, choć pokazana karykaturalnie,

nie działa na moje poczucie humoru. Nie widzę nic śmiesznego w tym, jak Punch pałuje swożoną sekutnicę. To komedia z innej, bardziej rubasznej epoki. Prostacka i okrutna. Punch bije Judy dlatego, że jest brzydka. Gdy na to patrzyłam, czułam wyrzuty sumienia z powodu swoich wcześniejszych rozważań na temat urody zaginionych dziewczyn.

Występował też teatrzyk z Pierrotem oraz orkiestra dęta; muzycy dmuchali w ustniki wypolerowanych mosiężnych instrumentów, pocąc się w mundurach z serży. Niektórzy z nich byli bardzo młodzi, kilku miało czternaście, piętnaście lat. Podczas przerwy Vera Chadwick kupiła lody dla dzieciaków z orkiestry i pogratulowała im artystycznego zapału. Lubię ją taką rozpoznaję w niej dawną przyjaciółkę o ładnym uśmiechu, pełną życzliwości.

Potem poszliśmy na koktajl do hotelu Prince of Wales. Nie byliśmy odpowiednio ubrane, by siedzieć w restauracji, więc zajęliśmy stolik na balkonie cocktail-baru i zamówiliśmy kanapki i owoce. Dopadł nas głód po pływaniu i siedzeniu na słońcu. Potrafię sporo wypić, ale zaczęło mi się kręcić w głowie już po dwóch różowych ginach.

„Potrzebujesz balastu”, stwierdziła Helen i zamówiła miskę orzeszków pistacjowych i słone krakersy.

Słyszając słowo „balast”, poczułam niepokój. Nagle uświadomiłam sobie, dlaczego to żeglarskie określenie przywołało mi na myśl stocznię ojca i prace remontowe przy szkunerze Spaldinga, które miały się zakończyć w nierealnym, narzuconym przez samego ojca terminie. Teraz ten termin wydaje się jeszcze bardziej nierealny. Wczoraj na pokładzie „Mrocznego Echa” dwóch ludzi odniosło poważne obrażenia. Impregnowali fragment stępki jakimś środkiem, którego nie powinno się stosować w zamkniętych pomieszczeniach. Pracowali przy otwartym włazie, ale właz się zatrzasnął i zaciął. Z powodu upału toksyczne działanie substancji jeszcze się zwiększyło. Ojciec opowiadał, że w doku było gorąco i parno, trzydzieści dwa stopnie na otwartym powietrzu, a w lukach łodzi znacznie goręcej. Robotnik, który miał więcej szczęścia, wyszedł z tego z pęcherzami na skórze. Jest poparzony i okaleczony. Drugi mężczyzna leży nieprzytomny w szpitalu w Liverpoolu i nie ma nadziei, że odzyska przytomność.

Helen i Vera próbowały żartować na temat pieniędzy, które dałam tamtemu bohaterowi wojennemu. Droczyły się ze mną. Czy jestem splukana po tym odruchu serca? Czy zdołam za siebie zapłacić, gdy przyniosą rachunek? Czy jestem gotowa zmywać naczynia w hotelowej kuchni? Ale dopadł mnie ponury nastrój, którego nie dało się poprawić.



Tommy Rimmer powiedział mi któregoś dnia, że jego nowy partner do golfa, Harry Spalding, jest bohaterem wojennym. Dowodził jakoby specjalną jednostką o nazwie Załoga Jerycho. Wyznaczano im szczególnie niebezpieczne misje na tyłach wroga. Odnosili spore sukcesy i wzbudzali we wrogach wielki strach. Nie zaskoczyła mnie zbytnio ta informacja. Odwaga przejawia się na wiele sposobów. Jako szlachetna brawura, jak to niewątpliwie miało miejsce w wypadku Micka, albo jest wyrazem brutalności. Czy można zaprzeczyć, że wężowi brakuje odwagi, gdy na śmierć i życie walczy z mangustą? Spalding to zabójca. Wiem o tym od tamtego wieczoru, gdy dopiero pistolet Bolanda powstrzymał go przed gwałtem. Nie skończyłoby się na tym. Zabiłby mnie. Jakże musiał uwielbiać wojnę i związany z nią szal zabijania.

10 czerwca, 1927 r.

Zniknęła dziewczyna z farmy z Burscough. Dziś rano zadzwoniła do mnie Vera Chadwick, żeby mi to powiedzieć. Wieczorem urządzają wielki bal w hotelu Palace. Nie mam ochoty iść, gdy w okolicy czai się śmierć. Ten detektyw, wielbiciel Very, powiedział jej w tajemnicy, że żadna kobieta nie może czuć się bezpieczna. Trzy, czyli pięć. To doświadczony tropiciel zabójców, więc chyba należy się liczyć z jego opinią. Trzy, czyli pięć. Według jego teorii, jeśli policja wie o trzech przypadkach, to prawdopodobnie są jeszcze co najmniej dwa niezgłoszone.

Vera spytała go, dlaczego. A ja o to samo spytałam Vere.

Powodem jest wstyd. Rodziny podejrzewają, że ich dziewczynki uciekły. Nie chcą wzbudzić zainteresowania policji. Tym bardziej nie chciałyby się znaleźć w kręgu zainteresowania prasy. Co pomyślą sąsiedzi? Jak parafianie przyjmą tak niepokojącą wiadomość? Może dali dziewczynie powody do ucieczki z rodzinnego domu? Policjanci będą naciskali, a oni są ekspertami od dociekliwych przesłuchań.

Trzy, czyli pięć, powiedział detektyw Very. Skłonna jestem mu wierzyć. Podziwiam jego przenikliwość. Dotychczas w sprawach tych zbrodni nie wytypowano żadnych podejrzanych. Detektyw poradził Verze, żeby i ona, i jej znajome poruszały się tylko z eskortą, a najlepiej, żeby w ogóle nie wychodziły na ulicę i zamknęły drzwi domów na podwójne zamki. To mniej mi się podoba. Opłacamy policję z naszych podatków. Mamy prawo do ochrony. Siedzieć w zamknięciu w domu to niemiła perspektywa. Moje mieszkanie w Birkdale Village jest prze-

stronne i komfortowe. Mam wygodne meble i marmurową łazienkę oraz obraz Bonnarda na ścianie, ale nie chcę z mieszkania robić więzienia.

I nie zrobię. Mam pewną przewagę nad tymi biednymi dziewczętami: posiadam pistolet. Mausera, którego dał mi na pamiątkę Mick Collins lata temu. Przez cały ten czas traktowałam go bardziej jako cenną pamiątkę niż jako broń. Systematycznie go czyściłam choćby tylko z szacunku dla jego właściwej funkcji. Lubię różne urządzenia. Lubię je uruchamiać, zarówno trzymając drążek tiger motha, jak i kierownicę morgana roadstera. A oczywiście mauser to przede wszystkim działające urządzenie. Potężna broń. Mick też miał konkretny umysł. Mausera zostawił mi na pamiątkę. I również jako środek obrony w razie czego.

Pistolet jest naoliwiony i załadowany kulami kaliber 9 milimetrów. Nigdy nie miałam wybitnych wyników na strzelnicy w Parbold, gdy uczyłam się posługiwać bronią, ale też nie byłam najgorsza. Celowałam na tyle dobrze, by zawstydzić niektórych mężczyzn. Pamiętam rady, jakich udzielił mi Boland. Celuj pistoletem w środek obiektu, mówił. I naciskaj spust, aż w magazynku nie zostanie żaden nabój. Nigdy nie ufaj, że trafisz, ufaj w procent trafionych. Pozbaw życia tego, kogo chcesz zabić. Nie przestawaj, póki nie wystrzelisz ostatniej kuli.

Lubiłam Harry'ego Bolanda. Był dobrym, odważnym człowiekiem. Polubiłam go już wcześniej, przed incydem, gdy dzięki jego interwencji wyszłam cało z opresji. Mick nie miał racji, gdy się pokłócili, a zerwanie z nim stosunków bardzo go przygnębiło. To Boland nauczył mnie czegoś, co być może ocali mi życie. Jeśli tak się stanie, pójdę do kościoła Świętej Teresy w Birkdale, zapalę świeczkę i zmówię modlitwę w intencji jego duszy, żeby bezpiecznie dotarła do nieba. Czy to potrzebne? Wyobrażam sobie, że dusze ich obu bezpiecznie tam dotarły. Obaj byli dobrymi ludźmi. Byli najlepszymi ludźmi, tak twierdzą, którzy spotkali się z najgorszym.

Po telefonie Very czuję znużenie i przygnębienie. Nigdy jeszcze perspektywa pójścia na przyjęcie nie wydawała mi się tak odpychająca. Jednak pójdę. Teraz tak należy postępować. Tak jest nowocześnie. Przypuszczam, że w jakimś sensie w obecnej dobie tylko do tego jesteśmy stworzeni. W jednej z sal Galerii Atkinsona wisi obraz przedstawiający zwariowaną karuzele. Pasażerowie szaleją, śmieją się jak opętani, gdy dłonie o zbiegających kostkach z wariackim napięciem ściskają uchwyty. Nie pamiętam nazwiska malarza, ale to któryś z modernistów. Na swym metaforycznym obrazie sportretował nas. Nasze historie, gonitwę, nałogowe uganianie się za nowinkami i myślenie o przyszłości.

Suzanne jęknęła. Siedziała teraz w mroku, przed odpoczynkiem Rybaka. Wokół niej pełzały nocne cienie. W rękach miała dokument, z którego w jeden wieczór więcej się dowiedziała o charakterze Michaela Collinsa niż przez rok czytania innych znanych źródeł. A w tym materiale nawet nie chodziło o Collinsa. Szklanka Suzanne była pusta. Suzanne miała ochotę na kolejnego drinka. Została jej jeszcze jedna trzecia zeznania Jane Boyte.

- Boże, byłaś świetna - usłyszała zaskoczona swój własny głos. - Jane, miałaś osobowość. - Suzanne wytarła łzę, której nie mogła powstrzymać. - Byłaś dzielna i prawdomówna. - Pociągnęła nosem. Pochyliła się nad maszynopisem i kontynuowała lekturę.

15 czerwca, 1927 r.

Bal okazał się spektakularnym sukcesem. Salę balową w Pałace udekorowano balonami, taftą i jedwabnymi wstążkami we wszystkich kolorach, a na obrotowej scenie występowały dwa zespoły. Przez pół wieczoru grała orkiestra w pełnym składzie. Zmieniała się z jazz-bandem grającym szaloną nowoorleańską muzykę. Było parno i gorąco. Ktoś z hotelu wpadł na sprytny pomysł, żeby dla ochłody do sali wstawić lodowe rzeźby. Umieszczono je w dwóch końcach sali balowej. Jedna rzeźba przedstawiała niemal cały parowiec oceaniczny o czterech kominach, druga - wielki parowóz o aerodynamicznych kształtach. Ktoś mi powiedział, że lodowa lokomotywa jest modelem prototypowej konstrukcji, którą zbudowano w Yorku i która miała pobić światowy rekord szybkości na torach. Pod koniec balu na parkiecie z tych nietrwałych arcydzieł zostały kałuże. Prace wykonano starannie, chłodziły powietrze, dzięki czemu dało się oddychać w tłumie, w dymie cygar, pod jasnymi elektrycznymi kulami wielkiego żyrandola.

Na bal poszłam z ojcem, który był spięty i smutny. W stoczni wydarzył się kolejny nieszczęśliwy wypadek i ludzie zaczynają szeptać, że łódź Spal-dinga jest przeklęta. W porcie w Liverpoolu nie ma zbyt dużo pracy, więc nie doszło do bojkotu. Przynajmniej na razie. Ale ludzie związani z morzem są przesądni. Zlecenie, którego ojciec się podjął, źle wpływa na jego samopoczucie, a być może i na zdrowie. Myślę, że ojciec nie sypia dobrze. Albo w ogóle niewiele śpi. Zwykle przekomarza się ze mną, żartuje na temat uczesania i moich strojów, dokucza mi, że publicznie palę papierosy. Wszystko robi dobrodusznie. Stało się to pewnym rytuałem w naszych stosunkach. Tym razem chyba prawie nie zwrócił uwagi na mój wygląd.

Wydaje mi się, że jeśli chodzi o fart, to u Harry'ego Spaldinga nic złego się nie dzieje. Nie przyszedł na bal, ale gościł w hotelu. Już tu nie mieszka, ale wieczorami często zagląda do kasyna. Tamtego wieczoru wygrał pięć tysięcy funtów w blackjacka. To olbrzymia suma. Taka karta nie przychodzi komuś, kto żegluje pechową łodzią. Gdyby ta łódź rzeczywiście była pechowa, nie przetrwałaby najgorszego sztormu, jaki ludzie pamiętają. Na pewno by zatonała. Dotarły do mnie jednak okropne pogłoski o tym, jaki los spotkał załogę podczas tego sztormu. Spalding mówi, że żegluje samotnie. Kapitan portu w Dublinie utrzymuje, że na pokładzie było dwóch francuskich załogantów. Log powinien wszystko wyjaśnić, ale Spalding ociąga się z przedstawieniem logu. Może przeprowadzą dochodzenie, może nie. Prawdopodobnie nie. Jakiej jurysdykcji podlega los dwóch Francuzów na statku zarejestrowanym w Ameryce, pływającym po irlandzkim morzu?

Może Spalding mówi prawdę i płynął „Mrocznym Echem” samotnie? Jest wybitnym żeglarzem. Jednego jestem pewna, że mój ojciec będzie się cieszył, że pozbył się tej łodzi, gdy wreszcie zakończy się jej remont. Nie wierzę wprawdzie, że jest przeklęta, ale myślę, że ojciec w to wierzy.

Pierre Giroud posłał do naszego stołu butelkę szampana. Miły gest ze strony uroczego mężczyzny, który byłby zrozpaczony, gdyby usłyszał, że ktoś go tak określa. Nie chcę być protekcyjna. On jest uroczy. To również znakomity lotnik, wysoki i przystojny na swój galijski sposób. Ale Mick Collins potrafi rzucać długi cień. Romanse, które miałam od powrotu z Irlandii, były letnie. Moje serce się nie angażowało. Nie zawsze tak będzie i jestem w pełni świadoma, że szybkie samochody i samoloty to dla mnie kompensacja tych doznań, jakie ludzie przeżywają w łóżku. Nie zawsze tak będzie, ale tymczasem biedny, uroczy Pierre Giroud traci czas i trwoni pieniądze na szampana Moet & Chandon w nadziei, że uda mu się zdobyć akurat tę dziewczynę.

13 lipca. 19x7 r.

Specjalnie nie zaglądałam do tego dziennika przez cztery pełne tygodnie, bo przejrzałam go i obawiam się, że Harry Spalding stał się moją niezdrową obsesją. Dziś po południu wydarzyło się coś, co mną wstrząsnęło. Potwierdziło również niektóre moje najgorsze podejrzenia co do potwora, który spaceruje sobie ulicami Southport w wytwornym przebraniu cywilizowanego człowieka. Stało się to

na Lord Street, w pobliżu skrzyżowania z Nevill Street. Szłam z zachodu na wschód po odebraniu od jubilera zegarka, który był w naprawie. Omal na niego nie wpadłam. Zapinałam zegarek na nadgarstku i w zasadzie nie zwracałam uwagi, co się dzieje przede mną, gdy wkroczyłam na chodnik. Zatrzymałam się na widok szerokich pleców i jasnego filcowego kapelusza Spaldinga. Uderzał trzcinką obcas buta, wpatrzony w pomnik ku czci bohaterów wojennych. Za-uważyłam, że uświadomiwszy sobie moją obecność, zeszytywniał. Wolną ręką powoli uchylił kapelusza. Ale nie odwrócił się, a ja nie drgnęłam nawet o centymetr. Zaśmiał się krótko. I przemówił:

„Ten pomnik czci wielkie wydarzenia, Jane. Na pewno miały na mnie duży wpływ”.

Nie poruszyłam się. Nad nami świeciło bardzo jasne słońce. Biel kamiennego pomnika oślepiała, Spalding był blady i prawie niematerialny, w lnia-nym garniturze i kremowych skórzanych półbutach. Oczywiście nie miał racji. Pomnik niczego nie czcił. Był wyrazem uznania dla poświęcenia oraz upamięt-niał ofiary.

„Poświęcenie”, powiedział Spalding, jakby czytał mi w myślach. „Ale chy-ba nie ma sensu rozpamiętywać przeszłości, prawda?” Od niechcienia przerzucił trzcinkę do drugiej ręki. „Człowiek musi żyć terażniejszością”, stwierdził. „A mądry człowiek musi zabezpieczyć sobie przyszłość”.

Mówił zagadkami, które w ciepłym powietrzu niosły chłód złego przeczucia. Wszystko związane ze Spaldingiem dawało wrażenie grozy i brzmiało groźnie. Zadrżałam.

„Przykra sprawa z tym biednym Mickiem Collinsem”, powiedział. Ciągłe nie odwracał się do mnie twarzą. „Potrafił walczyć ten Collins”, powiedział Spalding. „Byłoby grubiaństwem tego nie przyznać. Potrafił walczyć. Ale czy potrafił kochać, Janey? Oto jest pytanie”.

Janey - tak zwracał się do mnie Mick tylko w najczulszych momentach.

I wtedy spostrzegłam, że Spalding nie rzuca na chodnik żadnego cienia.

Szybko odeszłam. Ale on wykonał jeszcze jedną sztuczkę. Zatrzymał mój zegarek. Później, tego samego dnia, zaniiosłam go znowu do Connar-dów. Ze-garmistrz odsłonił tył koperty, ale nie znalazł żadnego uszkodzenia. Dmuchał w mechanizm i wskazówki ruszyły, ku jego wielkiemu zdziwieniu. A więc sztuczka ta była tylko tymczasowa, co przyjąłam z ulgą. Magia okazała się nietrwałą pso-tą. Teraz jednak wiem, że Spalding naprawdę jest potworem. Cały czas wiedział,



kim jestem, i igrał ze mną. Jest zły, potężny i niepoczytalny. Czy to przypadek, że kiedy przebywa pośród nas, zaginęły trzy kobiety z naszych okolic?

Uważam, że podczas majowego przyjęcia u Tommy'ego i Nory dostaliśmy wskazówkę, ale ją zignorowaliśmy. Bonnie zeszła na dół, wskazywała coś i krzyczała. Tommy przeżył szok, ale oczywiście już dawno się z niego otrząsnął. A Bonnie na szczęście nie ma świadomych wspomnień z tego wydarzenia. Tommy żartuje sobie nawet na ten temat, mówi, że Bonnie wskazywała Blackpool Tower. Według niego to prostackie szkaradztwo zasłużyło na pogardę jego córki. Ma rację, że Bonnie wyciągała rękę w tamtym kierunku. Ale myślę, że pokazywała obiekt znacznie bliższy niż wieża po drugiej stronie zatoki w Blackpool. Latam nad miastem i znam położenie tego miejsca. Mogę zamknąć oczy i widzę mapę precyzyjnie wykreśloną w moim umyśle. I wiem, że tego wieczoru Bonnie wskazywała dokładnie w kierunku domu na Rotten Row, który na lato wynajął Harry Spalding. Jeśli narysuje się linię łączącą palec Bonnie i wieżę, to będzie ona przechodzić przez ogród Spaldinga. Zastanawiam się, jakie tajemnice ukrywa w swoim ogrodzie. Co spowodowało nieświadome oskarżenie i krzyk dziewczynki?

16 lipca, 1927 r.

Pokłóciłam się ostro z Verą Chadwick. Uważa, że moje dowody nie są na tyle przekonujące, żeby przedstawić je policji. Myśli, że jej liverpoolski detektyw parsknie mi śmiechem w twarz, gdy przedstawię mu swoje oskarżenia. Odparłam jej, że nie formułuję oskarżeń. Jedynie podnoszę wątpliwości. Przecież chyba policja powinna zbadać wszystkie wątki, jeśli chce rozwiązać zagadkę zniknięcia trzech dziewcząt?

„Nie możesz rzucać oskarżeń na słynnego, bogatego gościa”, twierdzi Vera. „Dowody po prostu nie istnieją. Wyjdiesz na szowinistyczną idiotkę, występując przeciwko obcemu człowiekowi tylko dlatego, że to obcy, który nie urodził się i nie wychował w Southport”. Narzeczony Very uważa, że prawdopodobnym winowajcą jest jakiś miejscowy mężczyzna. Tylko ktoś, kto dobrze zna teren, mógł podejść ofiary i wymknąć się bez świadków, nie zostawiając żadnych śladów. Pochodzi z Ainsdale lub z Crossens. Nie jest obcym w tej okolicy. Prawdopodobnie to ktoś nierzucający się w oczy, pozornie niczym się niewyróżniający. W porządku, to oczywiście są sensowne argumenty. Ale przecież niecałe dziesięć lat temu Spalding potrafił niepostrzeżenie przemknąć się przez linie wroga na

froncie zachodnim, dokonując spustoszenia i unikając złapania. Porwanie trzech kobiet to dziecinna zabawa dla mężczyzny mającego zabójcze umiejętności dra-  
pieznika.

Powinłam była zachować moje zdanie dla siebie. Miałam nadzieję, że w de-  
tektywie Very znajdę sprzymierzeńca, a przynajmniej uważnego słuchacza, jako  
osoba, która jest jedną z najbliższych przyjaciółek jego wybranki. Obawiam się,  
że dla Very poważniejszym problemem są moje dawne feniańskie powiązania niż  
problem z Harrym Spaldingiem. Zachowuje jednak lojalność i nadal jest moją  
przyjaciółką. Nie chce jednak, by o naszej przyjaźni wiedział jej policyjny detek-  
tyw. Może się obawia, że to by go skompromitowało? Jak powiedziałam, szkoda,  
że nie zachowałam wszystkiego dla siebie. Jest jednak coś konkretnego, co mogę  
zrobić sama.

I zamierzam to zrobić jutro. Vera ma rację w tej sprawie. Nie mam twardych do-  
wodów. Sądzę, że jutro będę w stanie je zdobyć.

Dziś, tuż po awanturze z Vera, poczyniłam przygotowania. Pojechałam mo-  
tocyklem do hangaru Girouda, gdzie Pierre w kombinezonie znów rozbierał tur-  
binę z sopwitha, którego kupili i z którym mają kłopoty. Uważa się, że sopwith  
to samolot łatwy w obsłudze. Ma opinię dość niezawodnej maszyny. Ale z ich  
egzemplarzem jest inaczej.

„Przyszłaś podziękować mi za szampana?“, spytał Pierre. Lepiej się prezen-  
tuje z plamami smaru na twarzy, w granatowym kombinezonie niż we fraku.  
Wygląda na człowieka czynu, bo oczywiście jest człowiekiem czynu. On i jego  
brat, obaj są ludźmi czynu.

Powiedziałam, że chcę sobie polatać jutro z samego rana.

„Oczywiście. Jak wcześniej?“

„O świcie“.

Złożył usta jakoś tak po francusku, co było odpowiednikiem naszego wzru-  
szenia ramionami. Skinął głową. „Tiger moth?“

Pokręciłam głową „Hawker siddeley“, powiedziałam. „Potrzebne mi pełne  
wyposażenie“.

Uśmiechnął się. „Chcesz, żebyśmy zamontowali karabin maszynowy?“

Prawie wszystkie ich samoloty należały kiedyś do Royal Flying Corps. Bra-  
cia Giroud zbili majątek na handlu nadwyżkami wojskowymi, kiedy jeszcze były  
tanie. Dziwię się, że nie kupili czołgu, żeby przeciągał samoloty przez miękki  
piasek plaży na pas startowy.

„Nieuzbrojony, Pierre. Ale w pełni wyposażony“.

„Oczywiście odparł. Jutro spotykamy się tu o wschodzie słońca. I siddeley będzie dla ciebie przygotowany”.

28 lipca, 1927 r.

Właśnie wróciłam z Liverpoolu. Chyba nigdy w życiu nie czułam się tak wyczerpana. Naczelnny komisarz Bell z policji liverpoolskiej przychylił się w końcu do mojej prośby i mnie przyjął. Może dzięki nagłówkom w gazeatch postanowił poświęcić mi pół godziny swego cennego czasu. Trzy dni temu zniknęła Helen Sykes. Jest czwartą kobietą z naszego małego rejonu południowego Lancashire, która zaginęła w ostatnim czasie. W przypadku pozostałych trzech nie uznano za stosowne przekazać informacji, dziewczyny były zbyt biedne i zbyt pospolite. Ale Helen jest bogata i piękna. Używam czasu teraźniejszego, mając nadzieję, że ona żyje. Jednak z każdym upływającym dniem staje się to coraz mniej prawdopodobne i nawet naczelnny komisarz Bell musiał to przyznać. Helen nie ma żadnego motywu, by sfingować swoje zniknięcie. I nie ma powodu, by nie zareagować na prośby o rozwianie niepokoju i pojawienie się. Apele te zamieszczane są w każdym wydaniu gazet „Post”, „Echo” i „Visitor”, które na ulicach reklamują wrzaskiem i sprzedają małe urwisy.

Bell ma wyższy stopień niż policjant Very. Gdy wprowadzono mnie do jego gabinetu, nie okazał w żaden sposób, że moje nazwisko jest mu znane. Kazał mi przedtem czekać, ale czekałam w przedpokoju, a nie w ogólnym pomieszczeniu recepcyjnym, gdzie na podłodze pokrytej zielonym linoleum wały się rozdeptane niedopałki i dominował odór spoconej desperacji. Przedpokój był jednak wystarczająco nieprzyjemny. Miał wielki mosiężny zamek w drzwiach, które hałasowały, wisząc ciężko w stalowej ramie. Dotykały szczelnie podłogi i nadproża. Zielone, pokryte płótnem krzesła, ciemnobrązowy lakier i panująca tam cisza sprawiały, że miało się wrażenie zamknięcia bardziej solidnego, niż gdyby się było za kratami i w kajdankach. Wyszłam stamtąd, gdy odeskortowano mnie do komisarza Bella.

Na wszystkich czterech ścianach jego gabinetu wisiało mnóstwo odznak przyznanych za osiągnięcia. Liverpool to miasto portowe, brutalne i niebezpieczne, a inspektor wyglądał na osobę twardą jak granit. Był szczupły i miał zimne spojrzenie, a spodziewałam się zobaczyć człowieka krępego i wojowniczego. Wstał zza biurka, uściśnął mi dłoń z żelazną siłą. „Proszę”, powiedział, wskazując krzesło ze sztywnym oparciem. To jedno słowo zdradziło nosowy akcent

niewykształconego liverpoolczyka. Spotkałam się z tym w stoczni ojca. Od razu się zorientowałam, że pan Bell zrobił karierę policyjną dzięki zasługom w pracy w terenie. Zauważyłam szklaną gablotę, w której umieszczono pałkę i policyjny hełm. Bez wątplenia należały do niego na początku kariery. Wyobrażałam go sobie, jak pod latarniami na Scotland Road, w godzinie zamykania pubów przywołuje do porządku agresywnych pijaków końcem swojej twardej drewnianej pałki.

Zaproponował mi herbatę lub kawę. Odmówiłam. Z karafki na biurku nalał wody do dwóch szklanek, dla mnie i dla siebie. Wylewnym gestem rozłożył ramiona. „Jestem oczywiście zaintrygowany pani twierdzeniem, że ma pani informacje na temat zaginionej kobiety”, powiedział.

„Helen Sykes to moja przyjaciółka”, wyjaśniłam.

„A nasi koledzy z Southport robią wszystko, żeby ją znaleźć”.

„Ale nie mają pana kompetencji i nie dysponują pana środkami. Nie zajmują stanowiska takiego jak pańskie. Chociaż dwie z zaginionych kobiet pochodzą z Southport, to dwie pozostałe są z innego rejonu. To wszystko podlega pana ogólnej jurysdykcji, prawda?”

Nie odpowiedział na pytanie. Patrzył tylko na mnie znad złożonych w piramidkę palców. „Niech mi pani powie, co pani wie, panno Boyte”.

W gabinecie było parno. Na szafce stał wiatrak, którego zakrzywione łopatki wyglądały jak śmigła sopwitha w miniaturze. Ale Bell go nie włączył. Przez otwarte okno wdzierał się nieustępliwy żar. Z okna rozciągał się fascynujący widok na stojący naprzeciwko budynek, poczerniały przez dziesięciolecia od sadzy buchającej z kominów przemysłowego Liverpoolu. Bell najwyraźniej nie czuł dyskomfortu z powodu upału. Miał na sobie garnitur z marynarką z ciężkiej gabardyny. Pod szyją mocno zawiązał krawat.

To było wyróżnienie, na które zasłużył, cywilne ubranie świadczące o zajmowanym stanowisku. Trochę letniego słońca nie mogło skłonić Bella do zdjęcia tego stroju.

Opowiedziałam mu o spotkaniu z Harrym Spaldingiem w Shelbourne siedem lat temu. Nie wspomniałam o Micku ani o Bolandzie. Nie starałam się wyjaśnić, co wtedy robiłam w Dublinie.

Ani na chwilę nie spuścił ze mnie wzroku. Gdy skończyłam, powiedział: „Siedem lat to szmat czasu”.

Otworzyłam teczkę, wyjęłam odbitkę i pokazałam mu.

„Co to jest?”

„To zdjęcie lotnicze ogrodu domu, który Spalding wynajął na lato przy Rotten Row. Zrobione tydzień temu. Wyraźnie widać ślady kopania w ziemi. On zakopuje ciała, panie komisarzu. Zakopuje kobiety w tym ogrodzie”.

Bell spojrział na fotografię, ale jej nie dotknął, co nie dodało mi otuchy.

„W jaki sposób zdobyła pani te fotografie?”

„Latam, panie komisarzu. Wypożyczyłam samolot używany podczas wojny do przeprowadzania rozpoznania z powietrza. Przeleciałam nad domem Spaldinga. W kadłubie jest zamontowana kamera”.

Oczy Bella cały czas patrzyły na zdjęcie.

„To nie przestępstwo kopać w ogrodzie”, stwierdził.

„On jest potworem”.

Wreszcie naczelny komisarz Bell na mnie spojrział. Nie było to spojrzenie przyjemne. Uśmiechnął się, i nie był to uśmiech obiecujący. „Parę tygodni temu pan Spalding wygrał w blackjacka pięć tysięcy funtów, powiedział. Wszystko co do pensa przeznaczył na cele charytatywne. Tutejszy sierociniec otrzymał w darze tysiąc funtów. Te pieniądze zmieniają życie dzieci. Umożliwią naprawę dachu w ochronce. Kupi się ubrania i książki. Koks do pieca na chłodną zimę. Rozumie pani? Jedzenie dla pozbawionych ojców dzieci, które nie otrzymywały przez całe swoje młode życie właściwego jedzenia”.

Zastanawiałam się, czy przypadkiem Bell nie jest sierotą.

„Proszę mnie wysłuchać, panie komisarzu”.

„Postawił tylko jeden warunek, żeby jego hojność nie została upubliczniona”.

„Proszę, panie komisarzu. Proszę mnie posłuchać”.

„Nie, panno Boyte. Niech pani mnie posłucha. Jest pani fenianką. Współpracowała pani z zabójcami i zdrajcami. Niektórzy mogliby pani przypisać romantyzm niezależności i buntu. Inni wskazaliby na zdradę i na ówczesne okoliczności i z przekonaniem utrzymywaliby, że miała pani piekielnie dużo szczęścia, że nie została pani powieszona”.

Trząśł się z wściekłości. Nigdy jeszcze nie obrzucono mnie obelgami. Powszechnie wiadomo, że w liverpoolskiej policji pracują oranżyści. Wszystko stało się aż nadto jasne. Dusza Bella była w Ulsterze, bez względu na to, gdzie robił karierę.

„Gównu wypływa na wierzch”, powiedziałam, wstając. „A pan, proszę pana, jest na to dowodem”.

Uśmiechnął się, przedarł moje zdjęcie na pół i cisnął je przez biurko.



„Nie wiem, jakie ma pani motywy, by szkalować hojnego i szacownego człowieka, powiedział. Powinna pani iść do domu i oddać się bardziej godziwym zajęciom niż szpiegowanie z powietrza niewinnych ludzi”.

Z siedziby policji ruszyłam do portu. Byłam odrętwiała. Szłam mrocznymi i parnymi ulicami Liverpoolu, po oślizłym od smaru bruku, aż zobaczyłam dźwigi i żurawie, i wspaniałą krzątanicę i znojny brud nabrzeża rzeki Mersey. Statki w dokach wystawiały wielkie kominy, słyszałam wycie syren holowników i widziałam, jak na naprężonych linach wędrują w górę konopne worki z ładunkiem. Czułam zapach parujących odchodów, zostawianych przez konie ciągnące liczne wózki z towarami, a pomruk silników spalinowych docierał do moich uszu z ciężarówką, jadących w ciepłych dudniących konwojach. Samo życie, te przejawy aktywności dodawały mi otuchy, ekscytowały. Przez całe życie czułam się uprzywilejowana, że dzięki zawodowi i statusowi ojca mam do tego wszystkiego dostęp. Ale nie dzisiaj. Dziś usiadłam na ławeczce za rzędem żelaznych pacholek, wzięłam moją cenną podartą fotografię i próbowałam ją złożyć niezdarnymi palcami. Miałam pewność, że Helen nie żyje. Nie żyje. Zabił ją ten potwór Spalding, szydercza bestia, którą widziałam przy pomniku w Southport. Zastanawiałam się, jaką część swoich ostatnich wspaniałomyślnych darów przekazał na fundusz dobroczynny policji liverpoolskiej. Dla naczelnego komisarza Bella to jednak nie miało żadnego znaczenia. Moja feniańska przeszłość pogrążyła mnie w jego oczach, zanim się w ogóle zobaczyliśmy.

Zrozpaczona, otarłam łzy. Były to chyba bardziej łzy frustracji niż uzalania się nad sobą czy smutku po nieszczęsnej Helen. Wszystko jedno. Wszystko jedno. Zamknęłam w teczce cenny zniszczony dowód i wstałam. I jak lunaticzka ruszyłam w stronę stoczni ojca.

Ojca nie zastałam. Pracownik biura powiedział mi, że wyjechał załatwić interesy z dostawcami drewna. Ale „Mroczne Echo” stało w suchym doku. Kadłub podtrzymywały wielkie drewniane podpory, nowy ster był zamontowany, a maszt już się wznosił. Jacht wyglądał jak gigantyczna zabawka i przypuszczam, że był zabawką piękną zabawką diabła. Mosiądze lśniły w słońcu, a elementy pomalowane i polakierowane wyglądały wspaniale. Był niemal gotowy do żeglowania. Wkrótce dok zostanie zalany wodą, ludzie wypłyną żaglowcem na łagodne wody ujścia rzeki i zobaczą, jaki jest wyważony, jak manewruje i jak się sprawuje. Nie wątpiłam, że będzie się sprawować dobrze. Mój ojciec znał swój fach.

Po trapie wkradłam się na pokład. Nikogo tam nie było. Remont został ukończony i łódź czekała tylko na ostatnie prace takielarza, które Spalding niewątpliwie zechce nadzorować osobiście. Stała cicho i spokojnie w świetle upalnego dnia. We mnie wszystko się gotowało po rozmowie z tym fanatykiem oranżystów, komisarzem Bellem. Na jachcie pysznił się tek, uwodzicielskie krzywizny, lekki zapach metalowej polerki oraz wosku, nie wyczuwało się żadnego zagrożenia, żadnego niebezpieczeństwa. Wokół krótkiego flagsztoka owijała się barwna amerykańska flaga. Łódź rzeczywiście była prawie gotowa.

Zeszłam pod pokład i wślizgnęłam się do kajuty kapitana. Z hangaru z powrotem przeniesiono tu wszystkie rzeczy i ustawiono do dyspozycji kapitana jachtu. Na półkach stały pierwsze wydania Eliota, Forda Maddoksa, Michaela Arlena i Pounda. Dostrzegłam egzemplarz powieści Hemingwaya *Słońce też wschodzi*. Również Scotta Fitzgeralda *Wielki Gatsby* oraz *Ulissesa*, zakazaną powieść Jamesa Joyce'a. Tomiki Pounda i Eliota były zniszczone. Spalding lubił poezję.

Obok w gablocie znajdowało się mnóstwo trofeów wojennych. Kilka lugerów, bagnety z ostrzami jak piły i parę granatów trzonkowych, używanych przez niemiecką piechotę. Barbarzyńskie noże i pałki, wykonane, jak przypuszczam, własnoręcznie przez ludzi Spaldinga z Załogi Jerycho. Nie wyglądały na uzbrojenie pochodzące z fabryk Kruppa, raczej jak relikty ze średniowiecznego pola bitwy. Co dziwne, był tam również krucyfiks. I co jeszcze dziwniejsze, umieszczono go do góry nogami, przymocowano na małym wzgórku z pomalowanego na czarno kitu i otoczono zardzewiałym drutem z okopów. Całość, pozbawiona smaku, miała chyba kojarzyć się z cierniową koroną Chrystusa. Miałam nadzieję, że cel był jednak inny, nie bluźnierczy. Szybko zapomniałam o tej zagadkowej kompozycji, ponieważ poczułam w kajucie Spaldinga zapach.

Początkowo słaby, ale, co dziwne, stawał się coraz bardziej intensywny. Gorzki zapach tureckich papierosów zmieszany z zapachem perfum, który częściowo wydał mi się znajomy. Te dwie wonie rywalizowały z czymś bardziej surowym i prymitywnym. Oceniałam, że to raczej wydzielina, a nie zapach stworzony sztucznie. Może pot? Coś silniejszego, bardziej gryzącego od zapachu potu, przypominającego zapach przestraszonego zwierzęcia.

Na biurku Spaldinga stało urządzenie do nagrywania. Woskowe walce, na których zapisuje się dźwięk za pomocą drgającej igły, leżały na pokrytej zamsem palecie. Miałam ochotę się uśmiechnąć. Urządzenie było symbolem jego

próżności. Oczywiście Spalding musiał uwielbiać brzmienie swego wysokiego, szorstkiego głosu. Wyobrażałam sobie, jak recytuje niezgłębione strofy Pounda. Innym objawem próżności było lustro w mosiężnej ramie przymocowane do ściany. Podeszłam i spojrzałam w nie. Czyżby szkło było brudne? Nie. Odbicie, zamglone papierosowym dymem, przejaśniło się. Zobaczyłam za sobą twarz Helen Sykes z ustami wykrzywionymi w grymasie przerażenia, z wybałuszonymi oczami i bladą twarzą. Odwróciłam się. Nikogo nie było. Uciekłam z łodzi i ze stoczni, mając świadomość, co to za zapach unosił się w kajucie kapitana. To zapach osoby umierającej ze śmiertelnego przerażenia. To woń nieszczęsnej Helen w ostatnich chwilach życia.

Biegłam po bruku, rozpaczliwie chcąc jak najszybciej się stąd wydostać. Udało mi się zatrzymać taksówkę. Powiedziałam kierowcy, żeby jechał do Southport. Musiałam opracować plan, by opanować szok i przerażenie. Ledwo kontrolowałam oddech. Pot strugami spływał mi po plecach. Trzymałam tłustą rączkę teczki, drżałam z zimna, gdy rozgrzane ulice dudniły pod twardym zawieszaniem taksówki. Pomówię z Seamusem Devlinem w Londynie. Zdobę materiały wybuchowe. Kupię dynamit, zmontuję bombę i wysadzę Harry'ego Spaldinga i jego łódź na cztery strony świata. Jeśli nie mogę posłużyć się prawem, sama stanę się prawem. Nie potrafię zbudować bomby. Ale Devlin potrafi. Zapłacę mu za robotę. Zapłacę bez względu na to, ile to będzie kosztowało.

4 sierpnia, 1927 r.

Poszłam dziś do stoczni po nieprzespanej nocy w hotelu Adelphi. W torbie niosłam śmiertcionośne urządzenie Devlina. Oczywiście nie zapowiedziałam mojej wizyty. Zastałam ojca. Niechlujny i zdenerwowany, miał brudny, przekrzywiony kołnierzyk i nieogolone policzki. Był roztrzęsiony. Zdziwił się, gdy mnie zobaczył, ale nie okazał radości na mój widok. Nie okazał też żadnych podejrzeń. Przypuszczam, że pogodził się z tym, że jestem nieprzewidywalna. Wiem, że mnie kocha na swój zrezygnowany sposób.

Łódź Spaldinga zniknęła. Minęłam się z nim o jakieś pół godziny. Spytałam ojca obojętnym tonem, w jakim kierunku popłynęła. „Nie mam pojęcia”, odparł. A potem coś wymamrotał.

„Co takiego?”

„Powiedziałem, że spodziewam się, iż wrócił do piekła, odparł ojciec. Stamtąd pochodzi i tam jest jego cholerne miejsce”.

Stałam w doku ze śmiercionośnym ładunkiem we wzorzystej torbie, teraz zbytecznym, kiwałam głową i w głębi duszy wiedziałam, że po pierwsze, ojciec powiedział prawdę, a po drugie, że nie udało mi się najważniejsze przedsięwzięcie, jakiego się w życiu podjęłam. Próbowałam. Ale zawiodłam.

## 12

Zapadły ciemności, gdy Suzanne dotarła do ostatniej strony maszynopisu Jane. Weszła do pubu, ponieważ poczuła chłód, mimo łagodnego ciepła letniej nocy. Zamówiła drinka przy barze, znalazła stolik, zadzwoniła do seminarium w Northumberland i poprosiła ojca Delaunaya.

- Ojczy, chyba wiem, gdzie się znajduje sprofanowana relikwia - powiedziała.

Zapadła długa cisza i Suzanne sądziła, że połączenie zostało przerwane. Po chwili ksiądz przemówił:

- Co za ulga, że jesteś bezpieczna. Czy podejmowano dalsze próby wyrządzenia ci krzywdy?

- Nie.

- Dzięki Bogu.

- Gdy zwrócę ojcu relikwie, musi ją ojciec natychmiast pobłogosławić, przywrócić jej świętość, albo odprawić nad nią egzorcyzmy. Musi ojciec zrobić, co w ojca mocy, żeby zniweczyć efekty profanacji.

- To święty obowiązek każdego księdza - odparł Delaunay.

To prawda, że nie próbowano już jej skrzywdzić. Żadne widma nie usiłowały złośliwie jej powstrzymać. I to wydawało się zagadkowe. Ale tę tajemnicę Suzanne sama sobie logicznie wyjaśniła, gdy wczesnym rankiem następnego dnia obudziła się w pokoju hotelowym na dzwonek telefonu.

- Pół godziny po naszej wieczornej rozmowie otrzymałem e-maila wysłanego z pokładu „Mrocznego Echa” - oznajmił Delaunay. - Miał długi tekstowy załącznik. Dopiero teraz skończyłem go czytać. Ostatnie kilkanaście stron poświęconych jest podróży. Musisz to zobaczyć.

- Magnus prowadzi dziennik pokładowy?

- To relacja Martina. Przesyłam ci te strony.

Przeczytała wszystko w pokoju hotelowym, siedząc przy otwartym oknie. Gdy skończyła, włączyła komputer. Martin przesłał jej wiadomość w tym samym czasie, gdy wysyłał testament księdzu. Laptop się ożywił. Notka dla niej była znacznie bardziej zwięzła.

„Kochałem cię. Miłość nie trwała wystarczająco długo, ale kochałem cię ze wszystkich sił. Umrę, kochając cię. Martin”

Spojrzała na zegarek. Za godzinę gtwierają Muzeum Ogrodów Botanicznych. Zamówiła w recepcji taksówkę. Pomyślała, że Martin nie umrze, jeśli istnieje cokolwiek, co mogłaby zrobić, by go uratować. Także go kochała. Miał rację. Nie przeżyli ze sobą dość czasu.

- Boyce, mówi pani?

- Boyte. - Uśmiechnęła się do muzealnego obiboka. Wywiązała się z obietnicy, że zwróci pożyczony dokument w ciągu dwudziestu czterech godzin. Tyle wystarczyło. Teraz chciała wiedzieć, czy coś innego zostało tu zdeponowane wiele lat temu przez nieszczęsną, zrozwaloną Jane. Suzanne czuła, że musi coś być.

- Jest pudełko - powiedział strażnik, spoglądając znad ręcznie wypełnionej książki, którą uważnie czytał. - Zawartość nie została zinwentaryzowana.

- Mogę to zobaczyć?

- Oczywiście, może pani zobaczyć. Ale nie może pani zajrzeć do środka. Dopóki ktoś z naszych pracowników nie zinwentaryzuje zawartości, podpisze się i wpisze datę zarejestrowania. Takie są zasady.

Suzanne wyjęła z portfela pięć dziesięciofuntówek i rozłożyła je na biurku.

- Dziesięć minut - powiedziała. Wpatrywał się w pieniądze.

- Pięć - stwierdził. Musiał mieć ostatnie słowo.

- Zgoda.

Zgarniał banknoty jak krupier.

- Poszukam klucza.

Wzięła, co potrzebowała z pancernejszej szkatułki, którą Jane zdeponowała w muzeum. Zrobiła to błyskawicznie i bez sentymentów. W innych okolicznościach spędziłaby więcej czasu nad spuścizną osoby, którą tak polubiła i do której nabrała szacunku. Otworzyłaby pudełko na osiemdziesiąt lat mroku i historii i dokonałaby koniecznego naruszenia łagodnie i z szacunkiem, a może nawet odrobinę ceremonialnie. Teraz jednak nie miała czasu. Jeśli „Mroczne Echo”



wciąż płynie tak szybko, przybędzie za kilka dni. Magnus Stannard się mylił. Jacht nie kierował się ku zachodnim wybrzeżom Irlandii. Zmieni kurs, ominie irlandzkie wybrzeże i wcale nie zatonie ani nie rozbije się na rafach. Skieruje się ku wybrzeżom Lancashire. Wyląduje na brzegu gdzieś między cyplem Formby a przystanią w Southport. I odpłynie na falach najbliższego przypływu. Tutaj rzecz, która kiedyś była Harrym Spaldingiem, wejdzie na pokład i znów stanie się panem jachtu, a oni obaj, Magnus i Martin, zostaną wzięci do niewoli jako załoganci. A przecież Spalding nie cieszył się najlepszą reputacją jeśli chodzi o traktowanie zatrudnionych przez siebie załóg.

Spalding tu był. Widziała go za oknami swojego starego domu, przelotnie. Z tchórzostwa oszukiwała się i uznała, że to sylwetka pomocy domowej. Czuła wtedy jego obecność i nadal ją czuje. Nie sądziła, żeby mógł jej zrobić krzywdę. Próba pozbawienia jej życia na drodze w Northumberland była pierwszą i ostatnią jaką zdołał podjąć. Nie mógł jej skrzywdzić, ponieważ wszystkie swoje moce skierował na zadanie sprowadzenia łodzi z powrotem. Poskramiał i oszałamiał Martina i jego ojca. W jakiś sposób zablokował urządzenia nawigacyjne na jachcie. Demonicznymi czarami przesunął siedemdziesiąt ton drewna i stali po spokojnym oceanie. Ale gdy dostanie się na pokład „Mrocznego Echa”, zniewoli Magnusa i Martina, znów będzie potężny. Tak przeczuwała. Napręży owadzie muskuły, o których Jane mówiła z takim obrzydzeniem. A potem, w wolnej chwili, z rozkoszą skończy wreszcie ze mną pomyślała Suzanne.

Przeszła krótką trasę z muzeum do Hesketh Arms. Usiadła przy stoliku i z telefonu komórkowego zadzwoniła do informacji, żeby dowiedzieć się o numer policji w Southport. Potem spytała, czy jakiś oficer zajmuje się starymi, niewyjaśnionymi sprawami kryminalnymi, i zamknęła oczy, modląc się, żeby się taki znalazł.

- Jak bardzo starymi? - spytał żartobliwy głos.
- Osiemdziesiąt lat. Zapadła cisza.
- Jezu, to kawał czasu. Proszę pani, to nie tyle zbrodnia, ile historia.
- To morderstwo, i tyle - ucięła Suzanne. Ton jej głosu musiał chyba wyrażać powagę i złość, jakie odczuwała.
- Proszę chwilę poczekać. Przełączę panią do pana Hodge'a.

Miała wcześniej nadzieję, że będzie to jakiś Wright, Rimmer czy Halsall. Znała te nazwiska ze swoich studiów nad genealogią aktorów komediowych z północy kraju. Przedtem pomodliła się krótko, żeby to był rzeczywiście ktoś miejscowy, kto zechce wysłuchać tego, co ma do powiedzenia. „Hodge” to chyba

najlepsze, czego mogła oczekiwać. Teraz po cichu podziękowała Bogu. W księdze katastralnej z czasów Wilhelma Zdobywcy występowałi Hodge'owie z tych okolic. Tysiąc lat temu uprawiali ziemię w Hundred End i Ormskirk. Samo słowo oznaczało u wikingów rolnika. Jeśli masz wykopywać coś z ziemi, przydaje się znajomość ziemi, pomyślała. Spotkanie z panem Hodge'em z policji w Southport, z wydziału do spraw dawnych przestępstw, zostało ustalone na dziewiątą trzydzieści następnego dnia.

Suzanne poszła do biblioteki i użyła swojego laptopa w dziale bibliograficznym. Ballada Paddy'ego McAloona *Kiedy miłość się kończy* dostała się na listy przebojów we wrześniu 1985 roku. Wtedy była modna, często grana w radiu, i najprawdopodobniej weszła w świadomy umysł Harry'ego Spaldinga lub w to, co za ten umysł uchodziło. Suzanne wypożyczyła mikrofilmy. Gdy przeglądała strony gazety i fotografie, rok 1985 wydał jej się odległą epoką. To, czego szukała, znalazła w numerze „Southport Visitor” z października tego roku.

Zginęło dwóch przyjaciół łowiących ryby u przylądka Formby. Uznano, że utonęli, ale ich ciała woda nigdy nie wyrzuciła na brzeg. Mieli po siedemnaście lat. Chodzili razem do szkoły. Swoją pasję wędkarską rozwijali najpierw w słodkowodnych strumieniach i stawach, potem w kanałach Leeds i Liverpoolu, wreszcie przeszli do większych połowów ryb morskich z pirsu w Southport. Tamtego dnia dopiero po raz drugi ich rodzice zgodzili się, żeby chłopcy wypłynęli w nocy. Pogoda była ładna. Zapowiadano bezchmurne niebo. A mimo to zaginęli wraz z łódką. Rodziny zamieściły w gazetach ogłoszenia ze zdjęciami. Modne chłopaki z czubami na głowach, w płaszczach, wyglądali na fotografiach jak młode gwiazdy rocka z tamtego okresu. Nie wyglądali jak Paddy McAloon. Ich styl kształtował się wtedy pod wpływem takich zespołów, jak Echo, Bunymen czy The Smiths. Suzanne nie wierzyła, że utonęli. Ale domyślała się, co grało ich radio czy magnetofon, gdy dziób „Mrocznego Echa” wyłonił się w nocy nad ich małą łódką.

- W jaki sposób została rozdarta ta fotografia? - spytał Hodge. Dokładnie przyglądał się zdjęciu zrobionemu przez Jane z samolotu. Suzanne wyjęła je z sejfu zdeponowanego w muzeum. Hodge siedział za biurkiem i patrzył przez dwuogniskowe okulary, przechylając zdjęcie ku jasnemu światłu słonecznemu padającemu z okna. Suzanne oceniła, że mężczyzna ma ponad pięćdziesiątkę. Niczym szczególnym się nie odznaczał. Gęste, siwiejące blond włosy miał krótko ostrzyżone. Wokół jego niebieskich oczu dostrzegła zmarszczki. Garnitur z

welny chesankowej, chyba nieco za ciepły na czerwiec, podobnie jak kraciasta flanelowa koszula, wydawały się zdjęte z wieszaka w sklepie Marks & Spencer. Gdy odchodził na emeryturę, był w stopniu komisarza. Może się nudził. Może skromna emerytura nie wystarczała na jego potrzeby. Może potrzebował czegoś, co zapobiegnie pokusie udania się do przytulnego baru. Nie wyglądał na pijaka. Był skupiony i kompetentny i choć zachowywał się uprzejmie, równocześnie okazywał nieufność. Zważywszy na okoliczności, nie mogła mieć do niego pretensji.

Przedtem przekazała mu informacje podstawowe. Opowiedziała o zaginionych dziewczętach. O podejrzeniach Jane co do Harry'ego Spaldinga.

O ich spotkaniu w Dublinie. O tym, w jaki sposób została zrobiona fotografia. Teraz mówiła o rozmowie Jane z naczelnym komisarzem Bellem.

Hodge prawie się nie odzywał, tylko kiwał głową. Nie komentował tego, co usłyszał. Ograniczył się tylko do paru pytań, by ustalić kolejność wydarzeń i uściślić niektóre fakty. Teraz wreszcie powiedział:

- Pamiętam, jak mój dziadek wspominał o tych zaginięciach.

- Pracował w policji?

- Nie. Był szefem barmanów w hotelu Pałace. Znał tamtą pokojówkę. - Hodge rozłożył na blacie kawałki fotografii. - Znał Helen Sykes i jej środowisko. Panna Sykes dawała duże napiwki. Dziadek to zapamiętał. Może przynieść pani herbatę lub kawę? Czy zaproponowano już coś pani?

- Proszę mówić mi Suzanne. Bardzo chętnie kawę. - A jeszcze chętniej papierosa, ale tego musiała sobie odmówić.

- Muszę pójść na kilka minut do sali komputerowej - powiedział Hodge. Zamknął notebooka, w którym coś notował podczas monologu Suzanne, i wsunął go do kieszeni marynarki. - Proszę się napić kawy w naszym bufecie. Albo mogę poprosić, żeby przynieśli kawę na podwórko, na tyłach komendy, gdzie można palić.

- W takim razie wolę podwórko - odparła Suzanne.

Hodge uśmiechnął się ciepło, ale oczy patrzyły czujnie. Suzanne doszła do wniosku, że policjant nie wrócił do pracy, by nie ciągnęło go do picia piwa albo by spłacić uporczywy debet na karcie kredytowej. Sprowadzili go z powrotem, ponieważ jest cholernie dobry w tym, co robi.

Do gabinetu wrócił po trzydziestu pięciu minutach. Pod pachą trzymał plik dokumentów.

- Dziś jest znacznie łatwiej, gdy wszystko skomputeryzowali - stwierdził.

Skinęła głową. Bez komputerów jej praca byłaby prawie niemożliwa. Co prawda nie miała już w zasadzie pracy. Z przerażeniem stwierdziła, że walka o to, by wyrwać Martina ze szponów widma Harry'ego Spaldinga, pochłania ją całkowicie.

Hodge usiadł i gestem zaprosił Suzanne, by również zajęła miejsce. Potem opuścił żaluzje, by światło ich nie oślepiało. W gabinecie nadal było jasno, bo słońce sączyło się między szczebelkami żaluzji. Bębnił palcami po biurku i cmo-kał. Potem przeszukiwał stos wydruków komputerowych.

- Czy wierzy pani w reinkarnację?

- Nie

Zapadła cisza.

- A pan?

- Nie wierzyłem - odparł. Przesunął po blacie czarno-białą fotografię kobiety siedzącej przy kawiarnianym stoliku. Suzanne spojrziała na zdjęcie i zaczerwieniła się. Wydawało jej się, że patrzy na nieznaną sobie własną fotografię.

- Zdjęcie z inwigilacji. Zrobione przez Wydział Specjalny na Lord Street w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym roku. Panna Boyte była w Dublinie znaną współpracownicą producenta bomb, niejakiego Devlina. Nic dziwnego, że Bell ją zbył. Nawiasem mówiąc, nie należał do oranży-stów. Był masonem. To prawdopodobnie nie ma nic do rzeczy. Wielu oficerów policji było i jest maso-nami. Ważniejsze jest to, że jego brat zginął w Tipperary, gdy służył w Black and Tans - Królewskiej Irlandzkiej Rezerwie Policji. Kapral David Bell został roze-rwany na kawałki w republikańskiej zasadzce.

Suzanne milczała.

- Nie każdy był tak zakochany w Michaelu Collinsie, jak najwyraźniej była zakochana Jane Boyte.

- Dlatego ją obserwowano.

- Ma dość obszerne akta. Od czasu do czasu ją zatrzymywano. Czy wie pani, że urodziła córkę?

- Mogłam się tego domyślać. W swoim dzienniku pisała coś o dzieciach i uczuciach w stosunku do nich. Uderzyło mnie to, bo takie słowa mogła wypowiedzieć tylko matka, tylko matka może wykazywać takie zrozumienie. Czy nazwisko jej córki po mężu brzmi Daunt?

- Brzmiało. Alice Emmeline Daunt. Zmarła trzy lata temu. Miała osiemdzie-siąt cztery lata.

Suzanne przełknęła.

- Urodziła się w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym roku. Była córką Jane Boyte, a jej ojcem był Michael Collins.

- Czy wzięła pani solidniejsze buty od tych, które ma pani na nogach?

- Dlaczego pan pyta?

- Ponieważ nawet przy ładnej pogodzie kopanie w ziemi to bardzo brudna robota.

- Zamierza pan rozpocząć kopanie już dziś?

- Nie osobiście. Ale po południu zgromadzę tam zespół specjalistów od wiji lokalnej, przyjadą eksperci medycyny sądowej, koparka mechaniczna z obsługą ludzie z łopatami. Oraz pani, jeśli pani zechce.

- Może pan podjąć działania tak szybko?

- Spalding był albo bardzo nieprzyjemny, albo niewiarygodnie często zdarzały mu się wypadki, gdy w grę wchodziła przyzwoitość. To zdjęcie Jane Boyte jest bardzo podejrzane. Nie wierzę zbytnio w zbiegi okoliczności. A jeśli te kobiety tam są to chyba już dość się naczekały i powinny zostać wreszcie przyzwolicie pochowane. Nie uważasz, Suzanne?

Obróciła dwie części zdjęcia, złożyła je i spojrzała na ziarnistą rzeczywistość zerwanej darni i wzruszonej gleby.

- Co jest w tym szczególnie podejrzanego, komisarzu?

- Zbieg okoliczności. Fakt, że to tu w ogóle jest. Playboye tacy jak Spalding nie kopią dla zabawy czy rozrywki dołów, które można zobaczyć z samolotu. Chyba że ogarnęła go nostalgia za wojną i wykopał sobie prywatny okop.

- A mieszkańcy domu? Czy ludzie, którzy w nim mieszkają, nie protestują?

- Nikt tam nie mieszka - powiedział Hodge. - Dom wpisano do rejestru zabytków i stoi pusty. Nigdy w zasadzie nie był dłużej zasiedlony. Ludzie nie czują się tam dobrze. Mówią, że tam straszy.

Suzanne wstała. Była w rozterce.

- Co powinnam zrobić?

- Jesteśmy w pobliżu Lord Street. Może pani pooglądać wystawy i zjeść wcześniejszy lunch. Potem pójść do hotelu i zdjąć to eleganckie ubranie, które z szacunku włożyła pani na nasze spotkanie, i przebrać się w coś bardziej praktycznego. Spotkajmy się o drugiej. Proszę włożyć coś na głowę. W czerwcu słońce potrafi mocno przygrzać. I wziąć coś do picia. Czeka nas długi dzień.

Suzanne wyszła z komisariatu. Spacerowała po Lord Street. Miała wrażenie, że przez te parę dni bardzo dobrze poznała Southport. Przeszłość ciągle mieszała



się z terażniejszością ale w pewien szczególny sposób w tym mieście to przenikanie było stosowne. W pewnym momencie wydawało jej się, że widzi Jane Boyte, która patrzy na nią z witryny eleganckiego sklepu, ale gdy spojrzała ponownie, zobaczyła po prostu własne odbicie, odbicie kobiety z gładko zaczesanymi włosami, w wąskiej spódnicy i dopasowanym czarnym żakiecie, w stroju, który włożyła na umówione spotkanie ze starym policjantem.

Weszła do kawiarni Costa Coffe. Była jedenasta, w kawiarni panował ruch i utworzyła się kolejka. Znowu zobaczyła tabliczkę z nazwą ulicy na kolażu we wnętrzu lokalu, która przypomniła jej mieszkanie w Lambeth, dzielone z Martinem. Zastanawiała się, czy wtedy widziała Martina po raz ostatni. Pamiętała ich wspólną, niezręczną noc. Była wtedy daleko od niego, chłodna, bo nie aprobowała jego wyprawy. Jej obiekcje okazały się uzasadnione. Teraz jednak głęboko żałowała tamtego swojego chłodu. Żadne z nich nie wyszło z inicjatywą wzajemnego dzielenia się sobą. Z całego serca pragnęła, by dano jej szansę na wynagrodzenie mu tamtej oziębłości.

Usiadła z kawą przy stoliku na zewnątrz. Przez linie starych drzew rosnących wzdłuż krawężnika widziała pomnik poległych. Z tego miejsca wyglądał wspaniale w swej wielkości i prostocie. Gładkie bloki kamienia portlandzkiego tworzące dwie wielkie białe struktury otaczające wysoki obelisk. Wyobraziła sobie, jak Spalding w lnianym garniturze stoi tam i wywija laską, składając drwiący hołd poległym, równocześnie drocząc się z Jane Boyte, która stała na płytach za nim. Teraz nikogo tam nie było. Na płytach igrały wzory światła i cienia, gdy słońce przeświecało przez baldachim letniego listowia koron drzew. Suzanne westchnęła, napiła się kawy i przeniosła uwagę na tę stronę Lord Street, po której siedziała. Tłoczyli się tu ludzie w kolorowych letnich strojach. Suzanne zdała sobie sprawę, że wypatruje Alice Daunt. Wiedziała jednak, że już nie zobaczy Alice, tak jak wiedziała, że już nie zobaczy ojca Alice, Michaela Collinsa.

Odnaleźli pięć ciał. Szczątki, szkielety. Gdy skończyli kopać, zapadł zmrok i kości białeły w świetle silnych reflektorów, które walczyły z wdzierającą się nocą. Ofiary leżały na boku, w pozycji jak przy skoku do wody: plecy wygięte, ręce dotykają stóp sąsiedniego ciała. Znaczenie tej ludzkiej figury było jasne, szczątki tworzyły makabryczny wzór. Pięcioramienną gwiazdę. Pentagram. Zabójstwa rytualne. Celem było złożenie ofiary. Suzanne zastanawiała się, w jaki sposób zamordowano te kobiety.

- W okrutny - stwierdził Hodge. Wyglądał teraz o dziesięć lat starzej niż rano w swoim słonecznym gabinecie. Popijał kawę z metalowego termosu. - Szczegóły poznamy dopiero wtedy, gdy przyjrzą się temu eksperci medycyny sądowej i dostaniemy raport patologa. Ale sądząc po otarciach kręgów szyjnych, myślę, że kobietom podcięto gardła. Zrobiono to prawdopodobnie zębatym narzędziem, może bagnetem niemieckiej piechoty, który Spalding trzymał jako pamiątkę wojenną. Wydaje mi się, że na miejscu wykrwawiły się na śmierć, a potem ułożono je w taki sposób. Ale, szczerze mówiąc, nie znam okoliczności tego rodzaju zabójstw. Nigdy czegoś podobnego w całym zawodowym życiu nie widziałem. I ufam Bogu, że już nigdy więcej nie zobaczę.

Kobiety pochowano głęboko. Pentagram znajdował się trzy metry pod ziemią dlatego odkopanie go zajęło sporo czasu. Wydrążono okrągły dół, który musiał być umocniony palami oraz deskami ustawionymi rzędem za palami. Mimo tego oszalowania ziemia się wybrzuszała i wdzierała do środka. Wykop zachowywał się niestabilnie, jak żywa istota, która próbuje się zasłonić. Małe lawinki schodziły do jamy przez szczeliny między deskami.

- Wykopano to ręcznie, łopatą i kilofem, tyle można stwierdzić - powiedział Hodge. - Jeśli zrobił to jeden człowiek, to musiał mieć ogromną siłę. Zaniesienie tu ciała kobiety nie stanowiło dla niego żadnego problemu. Tak silny mężczyzna mógłby przenieść nawet dwie nieszczęsne istoty za jednym razem.

Z centrum gwiazdy uformowanej przez szkielety wydobyli mosiężny walec ponadmetrowej długości. Przed zakopaniem został zawinięty w ceratę. Zdjęto ją bardzo ostrożnie. Walec niemal wcale nie uległ zniszczeniu, mimo tylu lat spędzonych pod ziemią. Suzanne sądziła początkowo, że to teleskop. Ale miał równoległe, jednolite ścianki i z jednej strony osłaniała go przykrywka, która, jak się okazało, była gwintowana, zakręcała się, chroniąc zawartość.

Wszyscy biorący udział w kopaniu stłoczyli się, gdy odkrecono wieczko, by sprawdzić, co jest w środku. Suzanne czekała z obawą. Całą operację przeprowadzono niezwykle delikatnie, ale mimo to niepokoiła się, ponieważ wiedziała już, co to za obiekt, i bała się, że mógłby się pokruszyć, wydobyty na powietrze, w świetle halogenowych lamp. Ta myśl ją przerażała. Powietrze tutaj było ostre, przesycone ozonem i solą. Zacisnęła dłonie, zamknęła oczy i modliła się po cichu. Ale gdy otworzyła oczy, zobaczyła, że przedmiot jest nietknięty.

Trudno sobie wyobrazić coś bardziej skromnego. Przypominał kawałek kija od szczotki. Był jednak prawie zmineralizowany ze starości i w jasnym świetle

dało się zauważyć lekkie wgłębienia w miejscu, gdzie kiedyś obwiązano wokół niego sznurek czy rzemień.

- To jakiś trzonek - stwierdził Hodge.

- To nie trzonek, inspektorze. To drzewce - oznajmiła Suzanne. Odwrócił się do niej. Podejrzliwość i wrogość w jego wzroku znikły.

Suzanne przypuszczała, że dlatego, iż jej słowa zostały potwierdzone. Nie mogła sobie wyobrazić bardziej przerażającego i smutnego potwierdzenia.

- Jestem Bernard - powiedział Hodge i wyciągnął do niej rękę. Suzanne uświadomiła sobie, że aż do teraz wstrzymywał się z przejściem na ty. Ucisnęła mu dłoń.

- Co będzie teraz?

- Istnieją rozmaite przepisy. Przede wszystkim należałoby powiadomić ambasadę amerykańską. Nie dysponujemy na razie raportem analityków, a gdy go dostaniemy, może być bezużyteczny, póki nie ekshumujemy Spaldinga i nie zidentyfikujemy DNA. Ale poszlaki są takie przekonujące, że nie można ich zignorować.

- Zawsze istniały.

- Tak, Suzanne. Jane Boyte miała w tej sprawie rację. Zawsze.

W każdym razie trumna Spaldinga na cmentarzu w Nowym Jorku jest pusta, pomyślała Suzanne. Bo Harry Spalding nie umarł.

- Suzanne, ty wiesz, co to jest, prawda? Ten skromny kawałek drewna, który właśnie wydobyliśmy.

- A według ciebie, co to takiego?

- Nie stykałem się z rytuałami satanistycznymi. Przynajmniej do dziś - odparł Hodge. Napił się kawy z metalowego kubka. Mówił cicho, by nikt go nie usłyszał. - Przypuszczam, że to jakaś relikwia. Została tu w okropny sposób sprofanowana. Ale to tylko intuicja starego gliny. Nie wygląda to zbyt okazale.

- To bezcenny przedmiot - zapewniła Suzanne.

- Dla mnie to kawałek kija.

- Znam pewnego księdza jezuitę, który z ogromną ulgą przyjmie wiadomość, że odzyska go Kościół, z którego został zrabowany.

- Niech do mnie zadzwoni. Na prywatną komórkę.

- A to nie jest materiał dowodowy?

- To nie jest broń zabójcy, jeśli to masz na myśli. Bardzo mi zależy na tym, żeby udało się jak najwięcej naprawić z tego, co zostało tu zepsute. Jeśli ten ka-

walek drewna zostanie tutaj, nie przywróci to życia zabitym kobietom. Niech ten twój ksiądz do mnie zadzwoni.

- A odciski palców?

- Wystarczą te na mosiężnej tubie. A chyba oboje wiemy, do kogo należą. Nie potrzebujemy tego kija.

- Czy ludzie nie zauważą, że zniknął?

- Nie zniknie. Zastąpię go podobnym, poszukam czegoś w parku. - Mówił prawie szeptem. - Z materialnego punktu widzenia nie ma on znaczenia dla śledztwa. Jeśli ma jakieś szczególne właściwości, to i tak nie wrócą życia tym nieszczęsnym dziewczynom.

Suzanne skinęła głową, przyznając mu rację.

- Jeśli zostawisz to mnie, Bernardzie, sama zaniosę go księdzu - powiedziała. Spojrzał na nią.

- W pewnym momencie będziesz musiała złożyć zeznania. Muszę ci zaufać, że wrócisz i w ciągu kilku następnych dni wpadniesz do mojego gabinetu.

Znów skinęła głową.

- Wezwij dla siebie taksówkę, Suzanne. Spotkamy się przy wyjściu za pięć minut. Do zobaczenia. I niech Bóg cię prowadzi.

Po raz pierwszy odważyła się dłużej popatrzeć na dom Spaldinga.

Okna wpatrywały się w nią nieprzeniknioną czernią. Suzanne bała się, że z za szyb obserwują ją jego oczy. Ale jego tam nie było. Dom był pusty. W ogóle nie czuła obecności Spaldinga. Przebywał gdzie indziej, w jednej ze swoich kryjówek. Specjalnie stawał się nieuchwytny, jak scharakteryzowała go Jane. A Harry Spalding musiał poznać wiele miejsc, podróżując podczas swego długiego, okropnego życia, roznosząc nieszczęścia jak chorobę.

Taksówką pojechała z Southport na lotnisko w Liverpoolu, gdzie wynajęła samochód. Podróż do Northumberland zajęła jej całą noc. Musiała najpierw jechać na południe, a potem na północny wschód. Ale pomyślała, że warto było, gdy o piątej rano zatrzymała się przy gotyckim donżonie Delaunaya i zobaczyła, że zakonnik czeka na nią w otoczeniu ponurych księży katolickich o szacownym wyglądzie. Zastanawiała się, jak długo czuwali. Przekonała się, że nie miało to dla nich znaczenia, ponieważ na ich twarzach odmalowała się wielka ulga i radość, gdy z bagażnika samochodu wyjęła relikwię spoczywającą w pośłaniu ze zgniecionych gazet.

Zamierzała natychmiast zawrócić i nacisnąć pedał gazu, ale Delaunay nachylił się do otwartego okna po stronie kierowcy i widząc jego zatroskane spojrze-

nie, zmieniła zdanie. Okno miała otwarte, gdyż jadąc, w pewnym momencie omal nie zasnęła za kierownicą. Zbyt długo nie spała. Nigdy wżyciu nie musiała wykazać większej czujności i jasności umysłu. Miała czas. Przeprowadziła obliczenia. Płynąc z szybkością dziesięciu, dwunastu węzłów, „Mroczne Echo” dotrze do celu za parę dni. Uległa naleganiom Delaunaya. Zjadła talerz zupy i jak zabita przespała dwie godziny w pokoju gościnnym, nim znów wyruszyła w drogę. Delaunay czekał na nią w drzwiach.

- Ojczy, niech ojciec konsekruje ponownie to, co ojcu dałam.

- Już zostało to zrobione - odparł.

Dojechała do Dover pięć godzin, przekraczając prędkość przy wszystkich kamerach policji drogowej. Modliła się, żeby jej za to nie zatrzymano. Nie zatrzymano. Wiedziała, że inni modlą się za nią. Jeśli ma się udać, potrzebne jest wszelkie wstawiennictwo, pomyślała, przyda się każde mignięcie płomyka świecy zapalanej w mojej intencji. Pogoda była dobra, a ruch niewielki, przynajmniej aż do obwodnicy Londynu. Musiała zwolnić w Kent, ale pięć minut przed czasem zdołała dotrzeć do promu odchodzącego o jedenastej. Tym razem nie musiała zwalniać, by wybierać drogę. Wiedziała, dokąd jedzie. Oczywiście nie włączyła radia. Jeden element był taki sam: niebo stawało się coraz bardziej ponure, sianiało, a gdy Suzanne dzieliło od celu ponad dwadzieścia kilometrów, zaczął padać deszcz.

Jechała przez pola Duvala do jego stodoły drogą wzdłuż rowu. Miała nadzieję, że ostatnio nie padało zbyt intensywnie i że koła samochodu nie utkną we francuskim grzędawisku. Było błoto, ale na szczęście drogę wysypano żużlem. Słyszała chrupanie i piski, gdy kamyczki wciskały się w bieżnik opon. Stodoła, najpierw rysująca się jako daleka, niedorzeczna, monumentalna budowla, wyrosła przed przednią szybą - gmaszysko jeszcze bardziej osobliwe i niepokojące. Suzanne, widząc ten dziwaczny w tym otoczeniu budynek, czuła, jak podnoszą się włoski na jej rękach. Podobnie jak poprzednio, instynkt nakazywał jej ucieczkę z tego makabrycznego, dziwnego miejsca. Nie mogła jednak tego zrobić.

Wcisnęła hamulec, usłyszała końcowy odgłos miażdżonego żużlu, a potem siedziała w ciszy przed budowlą, która była celem jej podróży. Deszcz bębnił odach samochodu. Silnik tykał, stygnąc. Zauważyła, że wysokie wrota stodoły są lekko uchylone. Za nimi ziała czarna pustka. Suzanne wysiadła z auta i poczuła, jak uginają się pod nią kolana i słabnie determinacja, wchłaniana przez wznoszącą się falę przerażenia. Obserwowała, jak krople letniego deszczu tańczą na kałużach. Mokre włosy oblepiały jej głowę. Miała rozpięty płaszcz. Pomyślała o



Martinie, o jego zranionej w wagonie metra ręce, więc walczyła z niechęcią do działania i zebrała siły.

Wyjęła z bagażnika łopatę pożyczoną w seminarium. Wchodząc do stodoły, słyszała spiskowy szept widmowej armii płaszczy wiszących na przeciwległej ścianie i drżących w nieistniejącym przeciagu. Słyszała wyraźne pogwizdywanie. Melodia *Camptown races*. Zniekształcona i przymglona. Parsknięcie śmiechem, krótki wybuch wesołości. Muzyka akordeonu, słyszana jakby przez mgliste zielone morze, *Róże Pikardii* o zniekształconej melodii, gasnące w powietrzu.

- Pieprzcie się - powiedziała Suzanne. - Cholerna załoga pieprzonych rzeźników. A zwłaszcza ty, Harry Spaldingu. - Mocno ścisnęła łopatę i zaczęła odgarniać buraki z dołu wysokiej pryzmy, jaką tworzyły. Koziółkowały i spadały. Staczały się ze szczytu, odbijały się i turlały. Usłyszała dźwięk, który przypominał jej wystrzał karabinu. Podwójny. Zignorowała go, z wściekłą determinacją zacisnęła zęby, aż z dziąseł pociekła jej krew, którą gorzko przełknęła.

Kopniakami odgarnęła buraki ze środka płaskiej teraz pryzmy, a gdy odsłoniła się goła ziemia, Suzanne zaczęła kopać. Za ledwie trzydzieści centymetrów pod powierzchnią natknęła się na kość. Na czaszkę. Wydłużoną z ponurymi oczodołami i wąską szczęką. To czaszka kozy, Suzanne wiedziała o tym i teraz szukała przedmiotu, którym zabito zwierzę, przekłuto mu mózg w złowrogiej ceremonii ofiarnej. Odkopała już inne obiekty: spaloną Biblię i świecę wotywną roztrzaskaną figurkę Marii Dziewicy i nocnik, gdzie w zaschniętym kale tkwiły paciorki różańca. Krucyfiks pomazany odchodami. Błuznierstwo to szczenięcy wybryk. Suzanne interesowało tylko ostrze zatopione w czaszce kozy. Pochodziło ze starożytnej włóczni, której drzewce już zostało odzyskane.

Suzanne miała wrażenie, że spoza stodoły dobiegają jakieś odgłosy. Zlekceważyła je. Mogą poczekać. To, co na zewnątrz, musi poczekać. Ona ma tu ważną sprawę do załatwienia. Najważniejszą na świecie. Wiedziała, z czym ma do czynienia, i nie chciała dotykać ostrza włóczni. Nie z powodu przewrażliwienia. Nie należała do kobiet przewrażliwionych. Tylko z nabożnego respektu. Powiedziano jej, jakie znaczenie, symboliczne i rzeczywiste, ma ten migoczący kawałek zaostzonego żelaza, który wydobyła z czaszki kozy i trzymała w ubrudzonych ziemią palcach. Uklękła i pocałowała ten przedmiot, jak polecił jej Delaunay. I, również zgodnie z jego wskazówkami, przeżegnała się, ściskając ostrze w prawej dłoni.

Nagle ze skrzynek spiętrzonych w stosach pod ścianami stodoły dobiegło syczenie, fetor i odgłosy pękających zgniłych owoców. Wokół miejsca, gdzie

klęczała, buraki parowały i spłaszczone rozkładały się, wydzielały gaz, cuchnęły, znieważając naturę, poddane w końcu działaniu jej niezmiennych praw. Suzanne zaczęła kasłać, zebrało jej się na wymioty. Wstała. Spojrzała w stronę złachmanionego szeregu szyneli Załogi Jerycho i zobaczyła, że stają się cieńsze, coraz bardziej wytarte, jasny materiał obraca się w proch, co powinno nastąpić wiele dziesięcioleci temu.

Westchnęła zadowolona. Nie była to oznaka triumfu. Instykt podpowiadał Suzanne, że w takiej sytuacji duma byłaby niebezpieczną, może nawet śmiertelną słabością. Przyciskając do piersi to, co wydobyła, skierowała się do drzwi.

Na zewnątrz czekał Duval, właściciel tej ziemi. Na ramieniu miał śru-tówkę. Wkroczenie na teren jego posiadłości nie mogło zostać niezauważone. Suzanne przekonała się o tym podczas poprzedniej wizyty. Tym razem strzelba nie była gotowa do strzału. Deszcz kapał Duvalowi z runda kapelusza. Farmer zacisnął usta pod szczeciniastym wąsem. Deszcz kapał również z obu luf. Dym unosił się z nich leniwie. Obok samochodu Suzanne stała furgonetka. Zaszokowana Suzanne rozpoznała barwy firmowe. Podeszła do furgonetki. Na czarnej karoserii zobaczyła złoty napis „Mar-tens & Degrué”. Obeszła samochód i zatrzymała się przed jego maską. Wewnątrz siedziało dwóch mężczyzn. W jasnobrązowych kombinezonach. W przedniej szybie widniały dwie dziury. Byli martwi. Na pierśiach ich obu wykwitł kwiat czerwonej krwi.

- Zabiliby panią- oznajmił Duval. Powiedział to obojętnie. Stwierdził fakt.

Suzanne spojrzała na ziemię, a potem w niebo.

- Czy tu zawsze tak pada? Duval wzruszył ramionami.

- To korzystne dla zbiorów.

Skinęła głową. Próbowwała się uśmiechnąć, ale nie mogła. Była świadkiem śmierci, doświadczała jej bezpośredniej bliskości.

- Muszę wyrazić uznanie dla pani odwagi, madame. Jest pani zdecydowana. Zdjęła pani przekleństwo.

- A pan nie mógł tego zrobić?

- Mój ojciec próbował. To go zniszczyło. Wskazała furgonetkę.

- A oni?

- Pasza dla świń - prychnął. - To moja zbrodnia. Ja będę musiał pogodzić się z tym grzechem, nie pani. Zasłużyli na to.

A więc już się pogodził.

- Dziękuję panu. Dziękuję za uratowanie mi życia. Patrzył na nią przez dłuższą chwilę poprzez kapiący deszcz.

- Zasługuje pani co najmniej na to.

Odwróciła się twarzą do stodoły. Wiedziała teraz, że ten dziwny budynek jest osobliwością architektoniczną tej okolicy, ale już nie stanowi żadnego zagrożenia.

- *Bonne Chance!* - powiedział Duval, gdy odjeżdżała. Ostrze włóczni leżało w aksamitnej torebce na przednim fotelu. Delaunay błagał ją, żeby nie wkładała go do bagażnika. Łatwo było spełnić tę prośbę. Suzanne nie obchodziła się bez trosko ani nonszalancko z przedmiotami, które odzyskała. A teraz obok niej leżał ten artefakt. Wyraźnie czuła świętość promieniującą z metalu, jakby to było intensywne zimno albo żywy żar.

Wierzyła, że ta rzecz, która kiedyś była Harrym Spaldingiem, naprzemian wzrastała i słabła w potęgę i zaciekłości życia. Samobójstwo na Manhattanie w 1929 roku miało wypróbować jego nieśmiertelność. Wtedy już miał wielką siłę i nie była to siła ludzka. To nie był diabeł, jak przypuszczała Jane Boyte. Ale rzecz targowała się z diabłem. Zyskała pewien rodzaj zuchwałej niezniszczalności jako nagrodę za akt profanacji w stodole. Wtedy, w 1917 roku, chroniona była też Załoga Jerycho. Po wojnie nadal to działało do pewnego stopnia w stosunku do ich dowódcy. Suzanne sądziła jednak, że z czasem efekt słabł. W hotelu Shelbourne zawadiaka Mick Collins nie był w stanie zranić Harry'ego Spaldinga swoimi mocnymi pięściami. Ale w 1919 roku lufa rewolweru, którą Boland wcisnął mu w podbródek, zmusiła go do zastanowienia się.

Później, w Southport, Spalding dokonał drugiej bluźnierczej ceremonii. Akt ofiary był większy, profanacja tym potworniej sza. Jane widziała późniejsze przeobrażenie Spaldinga w coś bardziej podobnego do diabła niż człowieka. Jego siła rosła. Jego sylwetka, a nawet wymiary się zmieniły.

Z nikim jednak umowy nie były tak twarde i bezwzględne jak z diabłem. W końcu wszyscy członkowie Załogi Jerycho musieli zostać złożeni w ofierze. Taki los spotkał braci Waltrowów. Taki los spotkał hazardzystę Gubby'ego Tencha, który korzystał z demonicznego szczęścia Spaldinga przy karcianym stole, aż kazano mu spłacić dług swemu dawnemu dowódcy. Wszyscy byli w niewoli u Spaldinga. A on był w niewoli u szatana. I gdyby szatan się zorientował, że Spalding już nie składa bluźnierczych ofiar i nie wypełnia swoich zobowiązań, Spalding znów stałby się ludzki i niedoskonały i nie mógłby już dłużej unikać losu każdego śmiertelnika. Chociaż teraz był silny, prawda? Byłby silny, aż diabeł by zauważył, że na wyczerpanym koncie Spaldinga nie ma już niczego wartościowego.

Tak rozmawiała Suzanne. Do takich doszła wniosków, gdy we francuskim deszczu prowadziła wynajęty samochód do Calais. I głośno się roześmiała. Na fotelu obok leżała relikwia, nadal czuła krew mężczyzn, których Martens i Degrué wysłali, by ją zabić, a ona musiała się roześmiać. Pomyślała, że w przeciwnym wypadku mogłaby się rozplakać. Jej rozumowanie było rozumowaniem wyjętym z koszmarne snu. A koszmar jeszcze się nie skończył.

Delaunay rozplakał się, gdy wręczyła mu odzyskany przedmiot.

- Ojczy, dlaczego to takie ważne?

- Tą włócznią zabito Chrystusa.

Wiedziała o tym. Znała tę opowieść. Rzymianie ukrzyżowali Chrystusa. Gdy wisiał na krzyżu w długiej agonii, rzymski żołnierz przekłuł mu bok dzidą, tym brutalnym aktem litości odbierając życie. Ale chrześcijanie nie wierzą w zabójstwo z litości. Rzymianin Longinus żałował swego czynu i po śmierci Zbawiciela nawrócił się na chrześcijaństwo. Suzanne nie postrzegała tego faktu jako istotnego w tej opowieści.

- Przebite włócznią oznacza chwilę, gdy Bóg poświęcił swego syna dla ludzkości - wyjaśnił Delaunay. - To jedyna fizyczna rzecz, jaką mamy po naszym Odkupicielu. Przebiła Jego ciało. Skąpała się w krwi Chrystusa.

- Wydaje mi się, że istnieją gwoździe z krzyża, prawda? Są chyba kawałki drewna z tamtego prawdziwego krzyża?

Delaunay uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Średniowieczne fałszerstwa - odparł. - Bez udowodnionego pochodzenia, sfabrykowane dla zysku przez pozbawionych skrupułów ludzi kosztem tych, którzy rozpaczliwie pragną wierzyć. Ale to... - Pocałował metalowy przedmiot.

Znaczenie przypisywane włóczni mogło mieć różną naturę, ale Suzanne nie wątpiła w jej moc. Istniały inne relikwie, które uważano za włócznię Longinusa. Jedna z nich znajdowała się w muzeum w Krakowie, inną Hitler wywiózł do Niemiec z Austrii po Anschlussie. Generał Patton gorąco pragnął zabrać ją z Berlina po upadku miasta. Ale ta była autentyczna. Dowodził tego fakt, że Spalding nadal istnieje i przeprowadza złowrogie akcje. Pamiętała przedmiot należący do Jane, który zabrała z sejfu w Southport i poprzedniej nocy schowała w pokoju gościnnym w seminarium. Poszła teraz po niego z Delaunayem.

- Ojczy, muszę ojca prosić o pobłogosławienie tego. Zmarszczył czoło.

- Nie mogę.

- Musi ojciec.

- Suzanne, pobłogosławiłem łódź. I z jakim skutkiem?

- Proszę to zrobić. Teraz sprawy przedstawiają się inaczej. Okoliczności się zmieniły. Ja je zmieniłam. Niech ojciec to zrobi, trzymając w dłoni ostrze włóczni. Niech to ojciec zrobi dla Magnusa i Martina.

Zawahał się, po czym skinął głową. Ustąpił. Gdy już było po wszystkim, Suzanne położyła się i przespała osiem godzin. Sny miała straszne, męczące. Widziała w nich kobiety wykrwawiające się na śmierć pod ziemią.

Wiedziała, że Łódź osiadzie na plaży w nocy. Spalding lubił się uważać za bóstwo słońca, za radosnego *bon vivanta* z ery jazzu, który recytuje wiersze, jest błyskotliwie wyrafinowany i olśniewa niewinnym uśmiechem. Wytworny, bogaty, ustosunkowany i hojny, był jednak stworzeniem nocnym. Istotą diabelską. Większość znaczących prac wykonał w nocy. Załoga Jerycho, dzięki której zyskał sławę i status w świecie, była tworem nocy. Jego ludzie wychodzili z ukrycia i zabijali po zachodzie słońca i przed ponownym jego wzejściem. Wybierał noc, takie były jego zwyczaje. Suzanne miała pewność, że w ogrodzie domu przy Rotten Row kopał w ciemności. W dzień się bawił, pracował w nocy. Za dnia grał w golfa z Tommym Rimmerem lub spędzał czas na hipodromie w Aintree. Noce poświęcał na morderstwa i rytuały. Okryta całunem mgły, który wszystko tłumii Łódź osiadzie na plaży w czasie, gdy słońce będzie oświetlać drugą stronę świata.

Suzanne stała w nocy na plaży w Birkdale. Czekwała. Całą plażę miała dla siebie. Dalej, po prawej stronie, widziała punkciki światła wykreślające kontury mola. W palcach czuła pensa z 1927 roku, który nadal traktowała jako talizman i zawsze miała przy sobie. Wydawało się jej, że tak dawno temu natknęła się na swoją szczęśliwą monetę. Miała wrażenie, że ma go całą wieczność, a przecież minęło zaledwie kilka dni. Za ubitym piaskiem i daleką wodą widziała migoczące światła platformy wiertniczej. Z tego miejsca konstrukcja była maleńka i niewyraźna, oddalona o wiele kilometrów, na skraju horyzontu, i Suzanne zaledwie domyślała się, że to platforma. Na samej platformie olbrzymie elektryczne lampy świeciły ostro, ale stąd były ledwo widoczne.

Przez chwilę wydawało się jej, że przytłacza ją to, co zamierza zrobić. Łódź nie przyplynie. Utonęła w niezmiernych, obojętnych głębiach północnego Atlantyku, a jej dwaj nieszczęśni załoganci w chwili swej zguby zatracili się w jakimś wspólnym, beznadziejnym urojeniu. Nie mogła walczyć z Harrym Spaldingiem, tym widmem, potworem. Nie miała środków, by się z nim zmierzyć i go pokonać. Nie miała dość siły, dość wiedzy. Nogi się pod nią ugięły, opadła na



piasek. Nie próbowała się podnieść. Piasek był miękki i zachował ciepło długiego letniego dnia. Promieniowanie ciepła wyczuwała przez ubranie i sprawiało jej to przyjemność. Przesiewała między palcami niezliczone maleńkie ziarenka. Bardzo drobniutkie ziarenka piasku. Szanse odgadnięcia ich liczby równały się jej szansom w walce z Harrym Spaldingiem.

Zapłakała. Mrugając energicznie, spojrzała w morze, ale łzy rozmazały i przesłoniły widok jak chmura. Suzanne przetarła oczy wierzchem dłoni, mimo to chmura nie odpływała. Tylko że to nie była chmura. To był napływający kłak mgły, który zbliżając się do brzegu, wirował i rósł, a przynajmniej tak się Suzanne wydawało. W niesamowitej ciszy miarowo podchodził ku lądowi. Wstała ociężale. Pociągnęła nosem. Otrzepała dłonie z piasku. Wyczuła palcami swojego szczęśliwego pensa i ścisnęła pasek przewieszanej przez ramię torby. Rozejrzała się, ale wyczuwała, że jest zupełnie sama. Ruszyła w stronę miejsca, do którego płynął kłak mgły. Piach pod jej stopami był coraz bardziej stabilny, po ostatnim odpływie zastygł w postaci twardych strumieni wysuszonych przez słońce. Choć przecież zaraz zacznie się przyptyw. A „Mroczne Echo” zmierza na jego fali do brzegu.

Suzanne usłyszała kroki. Słyszała rytmiczny odgłos wyciąganych z błota stóp. Pamiętała, że podłoże jest tu grząskie. W przeszłości wchłonęło koła samochodów różnych naiwniaków, którzy próbowali jechać do Blackpool po zdradliwie solidnym gruncie. Suzanne przygotowała się na atak bestii, odwróciła się i spojrzała. Ale to nie był Spalding. To kobieta w futrzanej etoli i w kapeluszu w kształcie hełmu, z trudem brnąca przez muł w zapinanych na guziki trzewikach.

- Jane?

- Nie jestem Jane.

Kobieta podeszła bliżej. Przyglądała się Suzanne. Miała bladą twarz i podkrążone oczy nabiegłe krwią. W ciemności szminka na jej wargach wydawała się czarna. Kobieta była martwa.

- Czy wiesz, kim jestem?

- Jesteś Vera Chadwick.

- Przyszłam, żeby powiedzieć „przepraszam”, Jane. Żałuję, że cię nie posłuchałam. Gdybym cię posłuchała, mogłybyśmy uratować życie Helen.

Suzanne skinęła głową. Widziała Helen leżącą w ziemi. Poznali, że to szczątki zamożnej kobiety po biżuterii, jaka nadal znajdowała się na kościach. Bransoletka i kolczyki. Helen była wyższa od pozostałych ofiar. Była kobietą wysoką i szczupłą. I, jak zauważył Bernard Hodge, umarła w paskudny sposób.

Vera Chadwick westchnęła. W świeżym nadmorskim powietrzu jej oddech miał zimny odór krypty.

- Oczywiście, Jane, to nie miało nic wspólnego z tym, że byłaś fe-nianką. Tak tylko powiedziałam. Rodzina Philipa należała do katolików z Bootle. Prawdopodobnie by to zaaprobował.

Suzanne nic nie odpowiedziała.

- Zniechęcałam cię do spotkania z nim, ponieważ uważałam, że się tobą zainteresuje. Wszyscy się tobą interesowali, wiesz o tym. Jesteś bardzo ładna, Jane. Zawsze byłaś ładna. To niesprawiedliwe.

- Nic nie jest sprawiedliwe - odparła Suzanne.

- Tak czy inaczej, bardzo mi przykro - powiedział duch Very Chad-wick. - Naprawdę tak bardzo mi przykro. - Wyjęła z kieszeni płaszcza rękawiczki i usiłowała je włożyć na blade, roztrzęsione dłonie. Potem odeszła w ciemność, jak poprzednio z odgłosem wyciąganych z błota stóp. Zniknęła.

Suzanne odwróciła się w stronę morza, w kierunku, skąd przyплыnęła łódź. Macki mgły obejmowały węzowym ruchem kostki jej stóp. Widziała teraz sylwetkę „Mrocznego Echa”, którego kadłub spoczywał przechylony lekko na jedną stronę. Owinięty w płaszczyzny mgły, jacht wydawał się ogromny.

Z rufy zwisała sznurowa drabinka. Suzanne przeszła od dzioba wzdłuż całego kadłuba. Nie mogła uwierzyć, że po tej jednej wyprawie jest aż tak zniszczony i pokryty pąklami. Drewno było pełne szram i poszarpane. W niektórych miejscach było miękkie, gąbczaste, z oznakami gnicia. Drewniane elementy pachniały jakby były nasiąknięte wodą która przez dziesiątki małych szczelin w szkieletcie konstrukcji przeciekała i się sączyła. Magia, która sprowadziła tutaj łódź, naruszyła spójność kadłuba. Najwyraźniej jacht został poddany wielkim naprężeniom. Nie płynął dobrowolnie. Zestarzał się i znużył podczas tysięcznego rejsu po niechętnym oceanie.

Suzanne ostrożnie wspięła się po drabinie na pokład. Nikt jej nie powitał. Weszła przez otwarty luk do sterówki, a potem po schodach prowadzących do kapitańskiej kajuty Magnusa Stennarda. Od dołu oświetlało ją przyćmione żółtawe światło lamp oliwnych lub naftowych. Pachniało naftą Suzanne zobaczyła, że drzwi kajuty kapitańskiej są otwarte. Weszła do środka. Tam przekonała się, że zepsucie, które dotknęło żaglowiec, nie ograniczało się tylko do kadłuba.

Ściany kajuty były obwieszane spleśniałymi fotografiami, oprawionymi w ramki, czarno-białymi odbitkami często tak nadgniętymi, że to, co na nich było, zupełnie się zatarło. Jednak na niektórych zdjęciach zachowały się pewne szcze-

góry, co Suzanne dostrzegła, gdy jej wzrok przywykł do mroku. Oceniała, że wisi tu z setka zdjęć. Czuła się zmuszona, by im się bliżej przyjrzeć.

Jedno z nich przedstawiało Spaldingą który boksuje się z owłosionym, uśmiechniętym Ernestem Hemingwayem. Za nimi, na ścianie sali gimnastycznej, wisiała reklama papierosów Caporal. Na innym zdjęciu Spalding w ostrym słońcu trzyma w górze puchar na tle oślepiająco jasnego, wydętego żagla. Gdzie indziej znów Spalding we fraku rozmawia z kobietą o wyrazistych rysach, w boa z piór, na tle kół olbrzymiej lokomotywy wykutej z lodu.

Na innym zdjęciu muskularny, opalony, w kostiumie pływackim stoi na palcach na końcu trampoliny. Wisiało również zdjęcie Gubby'ego Tencha, który uśmiechał się pod wystrzępioną otoczką włosów i kością, gdzie wcześniej był szczyt jego czaszki. Zęby miał poplamione, oczy otwarte i nadal trzymał na kolanach raketnicę Very'ego, która zakończyła jego życie. Jedna z fotografii ukazywała pozbawiony głowy i kończyn kobiecy korpus, leżący w kałuży krzepnącej krwi na gumowej płachcie. Przesiknięty krwią ręcznik leżał starannie złożony obok ciała. Ofiara była młoda, miała wąską talię i wyniosłe jędrne piersi. Rączka noża do krajania kości wystawała tuż poniżej jej mostka. Zdjęcie w plenerze: trzy oświetlone pochodniami krzyże, do których, głowami w dół, przybito bagnetami umundurowanych mężczyzn. Bagnety, zatopione aż po rękojeść, przechodziły przez kostki i nadgarstki. Każdemu z mężczyzn odcięto lewą dłoń i wepchnięto w usta. Palce sterczały jak splątane odnóża bladego pająka. Z wyrazu twarzy tych ludzi Suzanne wnioskowała, że gdy przeprowadzano tę całą makabryczną operację, jeszcze żyli.

Odeszła od tych obrazów ohydneho okrucieństwa. Wzdrygnęła się i potknęła. Zatrzymała się, bo od strony biblioteczki stojącej po prawej stronie dobiegł ją szeleszczący dźwięk. Nie patrzyła tam.

- Nie opuszczaj nas tak szybko, Jane - mówił wysoki, szorstki głos. Wiedziała, że to głos Harry'ego Spaldinga. A więc jest już na pokładzie.

Rzuciła spojrzenie w stronę biblioteczki. Spaldinga tam nie było. Usłyszała śmiech, suchy, przenikliwy chichot, pozbawiony wesołości. To maszyna nagrywająca. Suzanne dostrzegła woskowy walec na osi oraz igłę która nie miała prawa samodzielnie się poruszać - odtwarzając słowa. Usłyszała śmiech bezcieleśnego Spaldinga. Potworny odgłos.

- Do zobaczenia wkrótce, Jane. Nie mogę się doczekać, kiedy ci powiem, jak bardzo się cieszę na nasze spotkanie.

- Gdzie jesteś? Nastąpiła pauza.

- Mam apartament w hotelu Pałace.
- On już nie istnieje. Został rozebrany. Zburzony czterdzieści lat temu.
- Istnieje, Jane - zapewnił Spalding. - Jest tam, jeśli wiesz, gdzie patrzeć.

Przemykał się między światami, podróżował w przeszłości w okresach, gdy łódź nie nadawała się do użytku. Suzanne sądziła, że już nie będzie tego więcej robił po tym, czego dokonała w ostatnich dniach.

Odwróciła się do drzwi. Przy framudze po prawej stronie wisiało małe lustro w mosiężnej ramce. Rama była zaśnieżona, a szkło popękane. Jednak odbicie charakteryzowało się przepychem i bogactwem szczegółów.

W żółtawym świetle kilkunastu dużych świec Spalding wyglądał nienaganie w okularach, bawełnianych rękawiczkach i trzyczęściowym garniturze. Starannie uczesane włosy lśniły niemal barwą szylkretu, pielęgnowane kremem czy olejkiem. Stał przy biurku w kajucie, odpinając zapięcia owalnego pudełka z tłoczonej skóry. W blasku świec klamry wydawały się srebrne. Odpiął ostatnią z nich, podniósł wieczko i uśmiechnął się. Nie rozległ się żaden dźwięk. Stało się, Suzanne była pewna. Wiedziała jednak, że nie dzieje się to teraz, za jej plecami, ponieważ w kajucie za nią panowała całkowita cisza. Ale Suzanne nie wątpiła, że to się stało, i że to, co widzi, wydarzyło się naprawdę.

Położył wieczko na biurku i zanurzył rękę w pudełku. Gdy ją wyjął, trzymał za włosy ludzką głowę. Suzanne rozpoznała kobietę o wyrazistych rysach, która rozmawiała ze Spaldingiem przed lodową lokomotywą na jednym ze zdjęć. Kobieta nie potrzebowała już boa z piór. Miała kasztanowe bujne włosy, a jej szyja kończyła się postrzępioną nieobecnością. Spalding z uśmiechem obrócił powoli głowę, trzymając ją za włosy. W blasku świec martwa twarz nadal miała mleczny odcień życia. Spalding zamknął oczy i namiętnie pocałował głowę w usta.

Suzanne odwróciła się gwałtownie i widziała tylko mrok kajuty. Jedno ze zdjęć spadło ze ściany i z martwym stukiem uderzyło w podłogę.

Lustro mignęło jak flesz aparatu fotograficznego. Suzanne znów na nie spojrzała. Nie miała dość siły woli, by oderwać wzrok. Teraz Spalding był w stroju wieczorowym. Kajuta iskrzyła się światłem zyrandola. Kobieta - według Suzanne mogła to być Helen Sykes - siedziała wygodnie na skórzanej kanapie z drinkiem w dłoni. Tak, to była Helen Sykes. Suzanne rozpoznała biżuterię. Te same kosztowności pobłyskiwały w ostrym świetle reflektorów w ziemi w policyjnym wykopie. Zdobily szczątki Helen.

Suzanne jęknęła. Helen miała na sobie satynową suknię koloru kości słoniowej. Była zachwycającą blondynką. Nic dziwnego, że Vera Chadwick czuła



się niepewnie w towarzystwie takich przyjaciółek jak Jane i Helen. Teraz Helen siedziała ze skrzyżowanymi długimi nogami i śmiała się z czegoś, co mówił Spalding, stojący za nią i zajęty przygotowaniem koktajlu w shakerze. Zrelakso- wana i wesoła, dobrze się bawiła.

Nagle on się odwrócił i coś powiedział. Helen zbladła i zeszywniała, jakby skamieniała, słysząc jego słowa. W dwóch krokach znalazł się przy niej, nachylił się i gładko przeciągnął nóż po jej nagiej szyi, po czym równie błyskawicznie powtórzył ten ruch. Poruszał się z prędkością atakującego węża. Szklanka wyśli- zgnęła się z dłoni Helen. Przez chwilę nic się nie działo. I nagle krew zalała jej sukienkę purpurową falą, a Helen bezradnie podniosła ręce do szyi, stopami ude- rzając w podłogę kajuty.

Spalding okrążył kanapę. Wcześniej zdjął frak. W rękę trzymał szklanę z koktajlem. Przez ramię przewiesił ręcznik. Rzucił go na podłogę i przesuwając go butem, zaczął wycierać krew. Nogi Helen drgały kon- wulsyjnie. Spalding ręcznikiem wytarł podeszwę swojego buta. Spokojnie usuwał skutki morderstwa, tymczasem z jego ofiary uchodziło życie. Sprzątając, obojętnie popijał drinka.

Lustro pociemniało. Znów odbijało teraźniejszość, spleśniały mrok panujący za plecami Suzanne. Opuściła wzrok i zadrzała. Usłyszała mokre uderzenie igły o walec z gnijącego wosku i cisza rozbrzmiała dźwiękami. Ogień artyleryjski i jęki błagających o pomoc ludzi. Strzęp marszowej piosenki. Zdecydowane akor- dy jazzującego fortepianu, ciche rozmowy, wiatr poruszający żaglami, donośna recytacja, kobiece krzyki. Odgłos drgającej trampoliny, obracającego się koła ru- letki, szczęknięcie spustu pistoletu i wysoki, gorzki śmiech. Dalsze jęki pełne cierpienia, tym razem dziecięce. Woda uderza leniwie, jakby rozbijała się o ka- felki basenu w pełnym słońcu. Dźwięk rozrywanego materiału, koraliki uwolnio- ne ze sznurka spadają na ziemię i tańczą po kamiennej posadzce. Piłowanie no- żem czegoś plastycznego i wilgotnego. Lód pobrzękuje w szklance, płonie potar- ta o pudełko zapałka. Ciche pomruki i uwodzicielska rozmowa. Suzanne słuchała ścieżki dźwiękowej długiego i destrukcyjnego życia Spaldinga, muzyki ponurej, ale granej z kipiącą satysfakcją.

- Jak ja się bawiłem, Jane! - szeptał jego głos. - Jak się bawiłem!

Ale teraz już koniec, pomyślała, ściskając torebkę pod pachą i wyczuwając palcami swój miedziany talizman, schowany głęboko w kieszeni. Teraz znów je- steś człowiekiem. Choć jeszcze o tym nie wiesz. Możesz umrzeć jak każdy. I, na Boga, umrzesz.



Przeszła w stronę kajuty Martina. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Naciśnęła klamkę i lekko uchylila drzwi. Wewnątrz panowała ciemność i cisza, unosił się zapach rozkładu, kwaśny i słodki jednocześnie. Suzanne uznała, że nie jest to zapach rozkładu ludzkiego ciała. Nie jest to fetor gnijącego trupa. Raczej zapach jedzenia, które ktoś tu zgromadził, a potem dopuścił, by się zepsuło. Weszła do kajuty i po omacku poruszała się w ciemności. Uświadomiła sobie, że w fotelu ktoś śpi. Druga postać leżała na koi. Srebrny zarys wokół głowy świadczył o tym, że to Magnus. Postać w fotelu poruszyła się. Martin obudził się i zobaczył Suzanne oczami przywykłymi zapewne do stałego braku światła.

- Suzanne? - szepnął zachrypniętym głosem, pełnym niedowierzania i strachu.

Podbiegła do niego i go objęła.

- Jak dostałaś się na łódź?

- Jesteśmy na brzegu.

- Musisz stąd uciekać. Spalding przyjdzie. Musisz uciec, Suzanne. Nie powinnaś wchodzić na pokład. On jest rzeczywisty i żywy i przyjdzie tu. - Martin wstał. Zaczął ciągnąć opierającą się dziewczynę w stronę zejściówki. Suzanne stanęła i oswobodziła się z jego rąk. Uderzyła go z całej siły w twarz, wyczuwając dłonią że Martin ma brodę. Coś otarło się o jej nogę.

- Co to takiego?

- Szczur - odparł Martin ponuro.

- Miłe.

- Szczury to jeszcze nic. On nadchodzi, Suzanne.

- Dostałam dziennik, który wysłałeś Delaunayowi. Przeczytałam go. Odnalazłam cię. Przyszłam po ciebie.

- O, Boże, żeby on i ciebie nie dopadł. Nie może cię dostać.

Znów go spoliczkowała. Była przerażona i bardzo go kochała, ale czasami bywał zbyt szlachetny, by wyszło mu to na zdrowie. Nigdzie nie zamierzała uciekać. On też nigdzie nie pójdzie. Wszyscy się z tego wydostaną.

- Co się stało twojemu ojcu?

Wiedziała, że Magnus Stannard ma lekki sen, a teraz się nie poruszał.

- Miał wylew?

- Raczej nie. Chyba jest w szoku. Raz się poruszył, ale znów popadł w jeszcze głębsze odrętwienie. Karmiłem go przeżuwającym przez siebie jedzeniem. Często wymiotował. - Martin spojrzał z troską i czułością na nieprzytomnego ojca.

- Możemy tu czymś poświecić? Schwycił ją za ramiona.  
- Nie ma czasu. Spalding nadchodzi.  
- Zapałki, świece... pomyśl, Martinie. Chcę, żeby przyszedł. Chcę, żeby widział światło palące się na całym jachcie, i żeby tu przyszedł jak najszybciej. Jego pośpiech będzie działał na naszą korzyść.

Martin się uśmiechnął. Suzanne pomyślała, że wygląda na człowieka pokonanego, ale miała nadzieję, że nie jest pokonany, dla dobra ich trojga.

- Niewielka to korzyść - westchnął. Znalazł świece i zapalił jedną z nich. Do tego czasu oczy Suzanne też zdążyły przywyknąć do mroku. Płomień świecy wydał jej się bardzo jasny, rozpraszał ciemność. Spojrzała na Magnusa. Miał szarą twarz i szare włosy. Nie oddychał jednak ciężko w swoim śnie, dzięki któremu wycofał się z tego świata. Na ścianie dostrzegła oprawioną fotografię i przyjrzała się jej. Znała ją z opisu Martina. Czarno-białe zdjęcie przedstawiające ich dwoje na jakimś przyjęciu. Magnus zrobił je z zaskoczenia. Tylko że teraz ukazywało Jane Boyte z Michaelem Collinsem na pikniku, najprawdopodobniej na College Green w Dublinie, jak sądziła Suzanne.

Martin ukrył twarz w dłoniach.

- Marty?

- Tak?

Pomyślała, że z brodą wygląda przystojnie.

- Pamiętasz, co ci powiedziałam, gdy wyjeżdżałam do Dublinu, choć to wcale nie była podróż do Dublinu?

- Tak. Powiedziałaś, że w twoim życiu nie ma miejsca na duchy.

- Gdy to mówiłam, nie była to prawda. Raczej życzenie. Bardzo bym pragnęła uczynić z tego prawdę.

- W takim razie pragnij jeszcze mocniej.

Ale Suzanne wiedziała, że same pragnienia nie wystarczą.

- On nadchodzi - powtórzył Martin.

- Czy zdołasz ponieść ojca?

- Jest moim tatą. Oczywiście, że zdołam.

- Więc zarzuć go sobie na plecy i wychodzimy stąd.

Martin musiał obwiązać linę wokół piersi ojca, żeby spuścić go z pokładu na piasek, gdzie czekała Suzanne. Gdy robił węzeł i przesuwiał linę przez blok i wielokrążek takielunku, Suzanne przyglądała się mgłę, próbując stwierdzić, czy się rozrzedza. Nie. Nadal gęsto spowijała jacht.

Człapali wokół łodzi i po chwili mieli mokre nogi. Nadchodził przypyływ, który miał zabrać „Mroczne Echo”. Spalding wkrótce tu przybędzie, by wejść na jego pokład. Pan jachtu chciałby wyznaczyć kurs i przejąć stery, gdy jacht znajdzie się na wodzie. Martin stawiał ciężkie kroki, przytłoczony ciałem ojca. Był silny, ale ostatnie przejścia go osłabiły. Suzanne miała nadzieję, że Martin ma jeszcze dość woli walki.

Usłyszała, jak we mgle coś dużego pełźnie czy przemyka niczym krab. Martin też musiał to usłyszeć, ponieważ się zatrzymał.

- Jane! - powiedział głos.

Martin ostrożnie położył ojca na suchej łasze piachu, pośród wzbierających strumieni nacierającego przypyłwu. Z mgły znów dobiegł dziwny odgłos.

- Jak miło cię widzieć, Jane! Nie masz pojęcia, jak wspaniale się bawimy.

Głos Spaldinga grzechotał i ryczał pośród mgły. Martin Stannard zdjął koszulę, rzucił ją na piasek i uniósł pięści. Suzanne zauważyła z przygnębieniem, że dawna rana od noża na jego ramieniu otworzyła się i ropiała, otoczona żółtymi siniakami. Z mgły wystrzelił cios i trafił Martina prosto w szczękę. Martin zatoczył się, ale nie upadł. Przeciwnik czmychnął w mgłę, gotowy do kolejnego ataku.

- Jane, skończymy nasze czule spotkanie, które zaczęło się w Shelbourne. Mogę ci obiecać, że od tamtego czasu dojrzałem. Czule objęci, nie będziemy się śpieszyli. Będzie ci przyjemnie. Mnie też będzie przyjemnie. Teraz wiem, jak wykorzystać czas. Wiem, jak zadowolić kobietę.

Po ciosie pięścią nastąpił kopniak, wściekły, zamazany ruch, wskutek którego Martin zgiał się wpół. Jęknął, ale po chwili przyjął postawę obronną.

- Konieczna reprimenda - powiedział głos. - Byłeś skandalicznie niesubordynowany.

- Więc chodź i złóż mi skórę.

- Nie możesz mnie pokonać - nucił Spalding gdzieś niedaleko.

- Jesteś stary - odciął się Martin. - To rozgrywka dla młodych mężczyzn. - Wypluł ząb na piasek.

Suzanne widziała, jak nienawiść i pogarda dają Martinowi siłę, sycą jego determinację. Dużo przeszedł na zagłowcu. Jego ramię wyglądało jak dotknięte gangreną. Miała ochotę nad nim zapłakać. Nad nimi trojgiem. Harry Spalding znajdował się tak przerażająco blisko. Musi jednak czekać. Musi zyskać na czasie.

Z mgły wyprowadzono cios, który trafił Martina prosto w twarz i złamał mu nos. Kość głośnie zachrzęściła. Martin się zatoczył. Suzanne zobaczyła, jak nacie-  
ra na niego zwinny, zwalisty cień. Ale Martin nie upadł i jakoś udało mu się  
uniknąć kolejnego ciosu. Słyszając zamazane przez mgłę odgłosy, zorientowała  
się, że Martin zadaje pierwsze celne ciosy. Trafiały w cel w szybkich seriach, co  
Suzanne mogła stwierdzić, bardziej słyszając niż patrząc. Spalding nadal pozosta-  
wał niewyraźnym, niebezpiecznym, dużym kształtem. Wiedziała jednak, że Mar-  
tin potrafi spuścić solidne manto. W jaskrawym oświetleniu wagonu metra wi-  
działa, jak skutecznie umie walczyć w zwarciu. W ciemnym, nieprzezroczystym  
powietrzu słyszała teraz, jak pięści Martina mściwie uderzają w odwecie. Teraz  
miała pewność, że Spalding nie zdoła uniknąć ponownego stania się człowie-  
kiem. Zrobiła wszystko, co należy, by do tego doszło.

Spalding wyprowadził kontrę i Martin zachwiał się pod ciosami padającymi  
z mgły. Mgła rzedła, kurczyła się. Martin znów oberwał i tym razem upadł na  
kolana, na zalewany szybką falą przyływu piasek. Był ranny, oszołomiony.  
Zdruzgotany. Jego przystojna twarz wyglądała jak przebity balon, rysy były  
zniekształcone, kość policzkowa strzaskana. Spalding się ukazał, najpierw poja-  
wiły się jego spleśniałe płócienne tenisówki w trzepoczących wystrzępionych  
mankietach białych spodni. Czubkiem buta wcisnął głowę Martina w mokry muł.  
Głowa i ramiona Martina zanurzyły się, otoczone bąbelkami wody i krwi. Piana  
na wodzie pluskała wokół jego unoszących się na powierzchni włosów. Suzanne  
obserwowała i doszła do wniosku, że nie ma to znaczenia. Nie miała znaczenia  
przeigrana walka. Martin wykazał siłę, by tę walkę podjąć. Na jej oczach stawił  
czoło Harry'emu Spaldingowi. To było zwycięstwo Martina. Teraz tylko to się  
liczy.

Wyjęła z torebki pistolet Jane Boyte. Ten sam, który zabrała z sejfu i który  
Dalaunay pobłogosławił. Odbezpieczyła go, uniosła i wycelowała, pamiętając  
dokładnie radę Bolanda na temat strzelania do ludzi. A Harry Spalding odwrócił  
się i uśmiechnął do niej, ponieważ niczego się nie spodziewał. Miała czas, by za-  
uważyć, że jego niebieskie oczy, które opisywała Jane, stały się po latach życia  
wypełnionego żądzą krwi ciemnoszkarłatne, a zęby niemal czarne. Wtedy opróż-  
niła magazynek - osiem kul prosto w jego ciało.

Odrzuciła pistolet na piasek i wyciągnęła Martina z wody. Otworzył oczy,  
pojawiła się w nich czujność. Wskutek strzałów mgła szybko się rozpraszała. Na  
plaży nie znaleźli jednak żadnego ciała, tylko szmaty i kości. Kości tkwiły w  
błocie, a szmaty pływały w strumieniach żwawej wody.

- Podnieś ojca. Wracamy do domu, Martinie.

Martin obmacywał policzek w miejscu, gdzie kość została wgnieciona. Na jego twarzy malowało się ogromne cierpienie. Próbował się opanować, przyzwyczaić do bólu. Był naprawdę poważnie ranny, zszokowany, mówił drżącym głosem, mamrotał niewyraźnie.

- Tata wiedział, że Spalding stale wraca na łódź.

- Ciii...

- Powiedział mi to, gdy wczoraj na chwilę się ocknął.

- Martinie, nic nie mów.

- Miał nadzieję, że Spalding powróci jeszcze raz. Myślał, że będzie czarującym jak Jay Gatsby.

- Mówienie ci szkodzi.

- Musiałem ci to powiedzieć. Skinęła głową.

- Tata sądził, że Spalding przekaże mu tajemnicę, jak komunikować się z umarłymi. Nigdy nie pogodził się z utratą żony. Z utratą córki. Nigdy nie stracił nadziei.

- Przecenia się te sprawy - prychnęła Suzanne.

- Jakie sprawy?

- Kontakt z umarłymi. Martin spojrzał na nią.

- On uważał, że jesteś Jane Boyte.

- Poznałam Jane Boyte.

- Jaka była?

- Dzielna i piękna.

- Tak jak pewna osoba, którą znam. - Uśmiechnął się. Wyglądał strasznie. Szczękę miał opuchniętą, kość policzkową strzaskaną. Brakowało mu zęba, a ze złamanego nosa krew kapiała z brody na tors. Bełkotał, jakby był pijany.

- Jak twoje ramię?

- Coraz lepiej.

Spostrzegła błysk na wodzie i zastanowiła się, czy to wschodzi słońce. Gdy się odwróciła, zobaczyła, że światło dociera z niewłaściwego kierunku. To nie słońce. Za wcześnie na wschód słońca. Od świateł, które zapalili na żaglowcu, by zwabić Spaldinga, musiała zająć się naftą - jej zapach Suzanne czuła wcześniej na pokładzie. „Mroczne Echo” stanęło w płomieniach. Przechylony stos, dryfujący w morze, szarpany przez przyływ. Pomarańczowy, wściekle płonący, i w końcu skazany na zagładę.



Nikt nie będzie opłakiwał jachtu. Szkoda, że jego spóźnionego pogrzebu nie widzą inni ludzie i nie mogą się tym cieszyć. Suzanne bardzo by chciała, żeby świadkami widowiska byli Frank Hadley, Jack Peitersen, Patrick Boyte, Bernard Hodge, ojciec Delaunay. Może również dzielny, małomówny rolnik Duval. I kapitan Straub z dumnej i sfatygowanej „Andromedy”. I oczywiście Magnus Stannard. Magnus niczego nie widział, pogrążony w terapeutycznym śnie. Inni ludzie, dawno zmarli, też mogliby się napawać tym widokiem, pomyślała Suzanne. Może właśnie się napawają jako umarli, niepoddani takim ograniczeniom, jak żywi ludzie. W zasadzie była pewna, że tak jest. Ale dała sobie spokój z duchami. Miała szczerą nadzieję, że one też dały sobie spokój z nią.

Podeszła do Martina, zakrwawionego i brudnego, i objęła go.

- Kocham cię - wyznała.
- Jestem wdzięczny za to Bogu - odparł.
- Podnieś ojca. Podnieś go delikatnie. Bardzo delikatnie, Marty. Idziemy do domu.

## Epilog

**Omal** nie straciłem ręki. Przez pewien czas nic nie było wiadomo, ale chirurg był zdolny, nie ustąpił i ją uratował. Potem nastąpiła fizjoterapia, bardziej bolesna niż za pierwszym razem. Mięśnie się jednak zregenerowały, przeszczep skóry przyjął i w końcu zostałem wyleczony. Nigdy nie odzyskam szybkości i siły ciosu, jaką miałem kiedyś. Modliłem się jednak, żeby skończyły się dni, gdy musiałem zadawać ciosy.

Myślałem, że dla ojca powrót do zdrowia będzie procesem bardziej skomplikowanym. Przed naszą wyprawą nie wiedziałem, jak bardzo osłabiła go strata tych, których kochał. Już na samym początku podróży ojciec miał duszę obolałą i bezsilną. Jak sądzę, po przejściu na emeryturę pogrążył się w rozmyślaniach o ludziach, których kochał i których stracił. Jego ostatnie małżeństwo rozpadło się. Romans w Chichesterze był tylko powierzchownym związkiem, rozrywką, która nie dawała ukojenia od bólu i samotności. Postawił wszystko na jacht. Miał stanowić nie tylko wyzwanie, miał być początkiem nowego życia. Wszystko od niego uzależnił. I oczywiście przegrał.

Pomyślałem, że choćby częściowy powrót do biznesu może się okazać dla niego dobrodziejstwem. Albo mógłby się aktywnie zaangażować w działalność charytatywną. Zawsze okazywał szczodrość potrzebującym. Mógłby objąć przewodnictwo jednej z organizacji. To byłaby aktywność pozytywna. Jak mówią, cnota sama w sobie jest nagrodą. Ale nic z tego nie wyszło, bo ojciec znalazł sobie nowe powołanie. Nadal od czasu do czasu „chichesteruje” podczas swoich lubieżnych wypraw do Bath, Edynburga czy choćby do samego Chichesteru. Jestem tego prawie pewien. Jego gospodyni, przed oddaniem garniturów do prania, znajduje po kieszeniach bilety kolejowe pierwszej klasy. Te przygody nie mają jednak dla ojca takiego znaczenia jak kiedyś.

Minęły już prawie dwa lata, od kiedy ojciec Delaunay udzielił nam ślubu. Pobraliśmy się, gdy tylko wyleczyłem rękę, a moja twarz zaczęła jako tako wyglądać. Suzanne szybko zaszła w ciążę. Nazwaliśmy syna Michael. Podoba mi się to imię. Lubię proste, tradycyjne imiona. A Suzanne, która dała sobie spokój z duchami, uważa jednak, że pewne długi należy spłacać.

Magnus Stannard został dziadkiem. To właśnie jest jego nowe powołanie. Przyjął tę rolę z energią i niezwykłą radością. Dzięki wnukowi wraca do siebie. Delaunay miał rację, gdy przewidział to całe wieki temu. Może przesadą jest twierdzenie, że dobre wynikło ze złego. Ale przeżyliśmy coś bardzo złego, a zyskaliśmy coś wspaniałego. Nikt nie mógłby oczekiwać więcej. To nasza najszczęśliwsza, nieprzemijająca nadzieja: w naszym życiu wszyscy dążymy do tego, by z ciemności wynurzyć się w światło.